

A woman is shown from the back, wearing a cream-colored Tudor-style dress with gold floral embroidery and puffed sleeves. She is holding a dagger with a silver hilt and a red and white patterned blade. The background is dark and textured.

KOBIETY,  
KTÓRE ZMIENIŁY  
BIEG HISTORII

---

SPISEK  
TUDORÓW

Intryga, która pozwoliła Elżbiecie Wielkiej  
sięgnąć po koronę

---

C.W. GORTNER

między  
słowa*mi*

C.W. Gortner

## Spisek Tudorów

*tłumaczenie Adriana Sokolowska-Ostapko*

między  
słowa*mi*



*Dla Erika*

*„Ma w sobie jakiś urok”.*

Simon Renard o Elżbiecie Tudor

# BOHATEROWIE W KOLEJNOŚCI POJAWIANIA SIĘ



1. **Brendan Prescott:** szpieg na służbie u Elżbiety; posługuje się przybranym imieniem Daniel Beecham
2. **Kate Stafford:** dama dworu Elżbiety
3. **Peregrine:** giermek Brendana, były stajenny w Whitehall
4. **William Cecil:** były sekretarz dworski, doradca i przywódca sieci szpiegowskiej
5. **Katherine Ashley:** guwernantka księżniczki Elżbiety i gospodyni w Whitehall
6. **Robert Rochester:** rachmistrz królowej Marii
7. **Maria Tudor:** królowa Anglii
8. **Jane Dormer:** jedna z podopiecznych i dam dworu Marii
9. **Susan Clarencieux:** dama dworu, faworytka Marii
10. **Sybilla Darrier:** jedna z dam dworu królowej
11. **Simon Renard:** ambasador króla Hiszpanii Karola V, cesarza rzymskiego
12. **Margaret Douglas, hrabina Lennox:** kuzynka Marii i Elżbiety

13. **Edward Courtenay, hrabia Devon:** kuzyn Marii i Elżbiety
14. **Elżbieta Tudor:** siostra królowej i następczyni tronu
15. **Dziobaty:** najemnik Courtenaya
16. **John, Ambrose, Henry i Guilford Dudleyowie:** bracia Roberta
17. **Jane Grey:** córka księcia Suffolk, uwięziona w lochach Tower
18. **Robert Dudley:** bliski przyjaciel Elżbiety, uwięziony w lochach Tower
19. **Nan:** karczmarka
20. **William Howard:** lord admirał

# Zima 1554



W życiu każdego człowieka nieuchronnie nadchodzi czas, gdy musimy przestąpić pewien próg i przekroczyć niewidzialną granicę oddzielającą to, kim jesteśmy, od tego, kim musimy się stać. Czasami ów moment przejścia jest wyraźnie widoczny – to niespodziewana katastrofa, która poddaje próbie siłę naszego charakteru; tragiczna strata, która otwiera nam oczy na przekleństwo śmiertelności; albo osobisty sukces, który dodaje nam pewności potrzebnej do tego, byśmy mogli się wyzbyć dręczących nas lęków. Innym razem ta chwila ginie wśród natłoku szczegółów przepełnionego wrażeniami życia i dostrzegamy ją dopiero w przeblysku zakazanego pożądania; w melancholijnym poczuciu niewytłumaczalnej pustki lub w pragnieniu czegoś więcej, bez przerwy więcej niż to, co już posiadamy.

Czasami skwapliwie korzystamy z okazji, aby przekroczyć tę granicę, upatrując w tym szansy na zrzućenie skóry podrostka i sprawdzenia się w starciu z nieustannymi kapryсами losu. Innym razem pomstujemy na niespodziewane okrucieństwo, na to, że bez ostrzeżenia wepchnięto nas w wir spraw świata, którego nie jesteśmy jeszcze gotowi odkrywać, którego



nie znamy i któremu nie ufamy. Przeszłość jest bezpieczną przystanią i wcale nie mamy ochoty jej opuścić z obawy, że przyszłość zgubi nasze dusze.

Lepiej się nie zmieniać, niż stać się kimś, w kim nie rozpoznamy siebie.

Doskonale znam tę obawę. Znam to uczucie, gdy ukrywa się sekret i udaje się, że można być takim samym jak inni ludzie – zwykłym, przeciętnym, niczym niewyróżniającym się człowiekiem; że można poddać się stałemu rytmowi dni rozpiętych między świtem a zmierzchem, że można oddać serce tylko jednej osobie. Pragnąłem być kimkolwiek innym niż tym, kim byłem. Myślałem, że wiedziałem wszystko, co można wiedzieć o zmiennych kolejach losu i utraconej niewinności, o okrucieństwach popełnianych w imię wiary, władzy i namiętności. Wierzyłem, że przemilczając prawdę, będę bezpieczny.

Nazywam się Brendan Prescott, w przeszłości byłem giermkim lorda Roberta Dudleya, teraz zaś służę księżniczce Anglii Elżbiecie Tudor.

Tamtej zimy 1554 roku oszustwo, które skrywałem, wyszło na jaw.

# HATFIELD

## Rozdział 1



– Cięcie i sztych! W lewo! Nie, w twoje lewo!

W krążanku rezydencji Hatfield rozległ się krzyk Kate przerwany świstem metalowego ostrza, gdy miękkim ruchem przesunęła po posadzce stopy i wymachując rapierem, uczyniła wypad.

Nie zwracając uwagi na pot skapujący mi z brwi ani na kosmyki długich do ramion włosów, które wysunęły mi się zza wiązadła i przykleiły do karku, błyskawicznie oceniłem sytuację. Przewagę dawały mi wzrost i słuszna masa, ale na korzyść Kate przemawiały lata doświadczenia. Prawdę mówiąc, wprawa, z jaką władała rapierem, zupełnie mnie zaskoczyła. Poznałem się z Kate zaledwie pięć miesięcy wcześniej w pałacu Whitehall w niebezpiecznym czasie, kiedy to służyłem jako giermek lordowi Robertowi Dudleyowi, synowi potężnego księcia Northumberland, ona zaś była zauszniczką naszej pani, księżniczki Elżbiety Tudor. Podczas naszego pobytu na dworze Kate wykazała się dość niezwykłymi jak na kobietę umiejętnościami, ale kiedy pierwszy raz zaproponowała, że udzieli mi paru lekcji fechtunku, nie podejrzewałem, iż okaże się tak znakomita w szermierce. Postanowiłem podjąć

wyzwanie, spodziewając się, że stać ją będzie zaledwie na kilka zwykłych pchnięć i podstawowych zasłon. Bardzo szybko udowodniła, w jak dużym byłem błędzie.

Teraz uczyniłem unik, a jej rapier przeciął powietrze. Obróciłem się na miękkich podeszwach skórzanych butów i obserwowałem zbliżającą się do mnie Kate. Udając znużenie, pozwoliłem jej podejść, po czym w chwili gdy szykowała się do wyprowadzenia sztychu, uskokczyłem i ciąłem rapierem.

Stalowe ostrze smagnęło przegub rękawicy Kate z trzaskiem, który w panującej wokoło ciszy zagrzmiął niczym huk pioruna. Kate wydała stłumiony okrzyk zdziwienia, a jej rapier z brzękiem potoczył się po posadzce.

Zapadło pełne napięcia milczenie.

Czułem, że serce podeszło mi do gardła.

– Moja droga... dobry Boże, jesteś ranna? Wybacz mi. Nie chciałem. Nie... Nie wiedziałem...

Pokręciła głową, zdejmując rękawicę. W miejscu, którego dosięgło moje ostrze, ujrzałem głębokie rozcięcie i przedartą czerwoną podszewkę. Strach ścisnął mi żołądek.

– Ale jak...? – urwałem, nie mogąc wyjść ze zdumienia. Przesunąłem palcem po stalowej klindze. – Mój rapier – nie jest stępiony. Czubek: powinien być stępiony. Końcówka musiała odpaść!

Zacząłem rozglądać się po ziemi, ale zaraz znieruchomiałem, gdyż coś przyszło mi do głowy.

Spojrzałem na młodzieńca o patykowatych nogach, który stał w kącie jak struchlały.

– Peregrine! Czy stępiłeś mój rapier, tak jak kazałem?

– Oczywiście, że stępił – odezwała się Kate. – Nie krzycz. Spójrz, nic mi się nie stało. To tylko draśnięcie.

– Wyciągnęła nadgarstek w moją stronę. Delikatna biała skóra, którą całowałem niezliczoną ilość razy, zaczynała ciemnieć, tworząc coś, co zapowiadało się na pokaźny siniak, jednak ku swojej uldze zobaczyłem, że nie było otwartej rany.

– Zachowałem się jak gwałtownik – wymamrotałem.  
– Nie powinienem był uderzać tak mocno.

– Nie, uczyniłeś właśnie to, co powinieneś był uczynić. Zaskoczyłeś i rozbroiłeś przeciwnika. – Podniosła na mnie złociste oczy. – Potrzebny ci lepszy nauczyciel. Ja pokazałam już wszystko, co umiem.

Jej pochwała sprawiła, że przez moment się zastanowiłem. Chociaż komplement z jej ust sprawił mi przyjemność, wydawał się służyć potrzebie chwili i nie potraktowałem go do końca poważnie. Schyliłem się po rapier leżący u jej stóp. Poczułem, że zaciskają mi się szczęki.

– Powinienem był wiedzieć. Wygląda na to, że końcówka z twojego ostrza również odpadła. – Urwałem, wpatrując się uważnie w jej twarz. – Na Boga, Kate, co cię opętało? Dlaczego to uczyniłaś?

Poczułem, jak w ostrzegawczym geście kładzie dłoń

na moim ramieniu, ale zignorowałem ją i ruszyłem gwałtownie w stronę Peregrine'a. Chłopak ani drgnął. Utkwił we mnie spojrzenie szeroko otwartych zielononiebieskich oczu, których barwę podkreślały ciemne pukle okalające jego twarz. Peregrine nie znał dnia swoich narodzin, ale przypuszczał, że ma około czternastu lat, i chociaż nie zdążył jeszcze zbyt urosnąć, jego oblicze powoli traciło delikatne dziecięce rysy i zaczynało przypominać twarz urodziwego mężczyzny, którym pewnego dnia miał się stać. Czyste powietrze i obfitość jedzenia tu, w rezydencji Elżbiety w Hatfield, odmieniły go i nie sposób było w nim poznać tego niedożywionego stajennego, z którym zaprzyjaźniłem się niegdyś podczas pobytu na dworze.

– Powinieneś być sprawdzić – powiedziałem. – To należy do twoich obowiązków jako giermka. Giermkowie zawsze dwa razy sprawdzają rzeczy swoich panów.

Peregrine wysunął dolną wargę.

– Ja naprawdę sprawdzałem. Ale...

– Naprawdę? – Mimo że słyszałem narastający w swoim głosie gniew, nie potrafiłem nad nim zapanować. – Skoro więc sprawdzałeś, marnie ci to wyszło. Może nie jesteś gotowy do pełnienia służby giermka. Może powinieneś wrócić do stajni. Tam przynajmniej nikomu nie stanie się krzywda.

Kate wykrzyknęła z irytacją:

– Brendanie, doprawdy! Teraz rzeczywiście

zachowujesz się jak gwałtownik. To nie wina Peregrine'a. Ja zdjęłam końcówki, zanim przyszedłeś. Mam też pod kamizelką wystarczająco grubą warstwę pikowanego okrycia, żeby przeżyć atak rozjuszonego byka. Nic mi nie groziło.

– Nic ci nie groziło? – Spojrzałem na nią z niedowierzaniem. – Mogłem odciąć ci dłoń.

– Ale nie odciąłeś. – Westchnęła i stanęła na palcach, żeby mnie pocałować. – Proszę, nie podnoś gwałtu. Ćwiczymy codziennie od wielu tygodni. Kiedyś wreszcie trzeba było zdjąć te końcówki.

Sapnąłem ze złością, chociaż wiedziałem, że nie powinienem czynić jej wyrzutów. Musiało minąć trochę czasu, a moje ciało musiało pokryć się licznymi siniakami, zanim zrozumiałem, że nasze lekcje miały co prawda na celu wprowadzenie mnie w arkana fechtunku, ale przede wszystkim stanowiły sposób na poradzenie sobie z rozczarowaniem i irytacją spowodowaną tym, iż nie mieliśmy okazji poprosić o zgodę na zaślubiny przed wyjazdem księżniczki Elżbiety do Londynu na uroczystość koronacji jej przyrodniej siostry, królowej Marii.

Biorąc pod uwagę okoliczności, postanowiliśmy, choć niechętnie, nie obciążać Elżbiety naszą prośbą. W dniach poprzedzających wyprawę do stolicy z twarzy księżniczki nie schodził uśmiech, ale ja wiedziałem, że obawiała się spotkania ze starszą siostrą, której nie widziała od lat. Martwiła ją nie tylko dzieląca je różnica

wieku wynosząca siedemnaście lat. W wyniku rozłamu religijnego, który dokonał się za sprawą ich ojca, króla Henryka VIII, Elżbieta została wychowana w wierze protestanckiej, natomiast Maria pozostała przy katolicyzmie –i straciła przez to niemal wszystko w ostatnich dniach panowania ich brata króla Edwarda.

Doskonale zdawałem sobie sprawę z niebezpieczeństwa, które groziło wcześniej księżniczkom, i z tego, co przeszły. Zarówno Elżbieta, jak i Maria stały się przedmiotami knowań Johna Dudleya, księcia Northumberland, rządzącego w imieniu Edwarda. Gdy młody król leżał na łożu śmierci, Northumberland snuł intrygę mającą na celu pojmanie siostr Tudor i zamiast nich osadzenie na tronie własnego młodszego syna Guilforda oraz synową Jane Grey. Bardzo możliwe, że zamysł ten powiódłby się, gdybym nie został wepchnięty w sam środek spisku i mimowolnie nie przyczynił się do śmierci księcia. Wtedy właśnie poznałem Kate i zacząłem służyć Elżbiecie; teraz, gdy Northumberland nie żył, pięciu jego synów było uwięzionych, a Anglia świętowała wstąpienie na tron Marii, Elżbieta nie miała wyboru, musiała przybyć na wezwanie siostry, mnie jednak bardzo niepokoiło to, że uparła się pojechać na dwór bez nas.

– Nie, przyjaciele – oznajmiła. – To nie najlepszy czas, żeby zjawiać się z całą świtą. Wezmę udział w koronacji jako wierna poddana i wrócę, ani się

obejrzycie. Maria wcale nie chce, żebym została. Ma dość frasunków. Byłabym dla niej kolejnym ciężarem.

Elżbieta wzięła ze sobą jedynie zaufaną damę dworu, stateczną matronę Blanche Parry. Nie podobało mi się to. W wieczór przed wyjazdem ponownie prosiłem księżniczkę, niestety na próżno, aby pozwoliła, bym dotrzymał jej towarzystwa, i wyliczałem niebezpieczeństwa czyhające na nią w bagnie, jakim był nieustannie spiskujący dwór.

Elżbieta roześmiała się.

– Zapominasz, że oddycham oparami tego bagna od dnia narodzin! Przeżyłam Northumberlanda i chyba niczego już się nie lękam. Obiecuję ci jednak, że jeśli zajdzie potrzeba, aby ktoś stanął w mojej obronie, będziesz pierwszym człowiekiem, po którego poślę.

Opuściła Hatfield w czasie, gdy jesień zaczynała powlekać złotem drzewa. Po jej wyjeździe sprawy domowe toczyły się utartym torem. Próbowałem odsunąć od siebie pełne niepokoju myśli, poświęcając się nauce, lekcjom szermierki i innym obowiązkom, i po pewnym czasie zrozumiałem, że Elżbieta kazała mi zostać nie dlatego, iż nie chciała, abym jej towarzyszył, ale dlatego, że znała mnie lepiej niż ja sam i działała na moją korzyść.

Prawda bowiem wyglądała tak, że nie byłem gotowy do powrotu na dwór. Wciąż potrzebowałem czasu, aby zagoić rany.

Kiedy sobie o tym przypomniałem, z miejsca



pożałowałem, iż podniosłem głos na Peregrine'a, który tak bardzo w ostatnim czasie mi pomógł. Objąłem Kate w tali i skinąłem na chłopaka.

– Podejź – poleciłem.

Niepewnie ruszył do przodu. Stał się moim cieniem, wszędzie za mną chodził – „niczym zakochany w swoim panu szczeniak”, zauważyła kiedyś Kate – teraz zaś żarliwie wpatrywał się we mnie szeroko otwartymi oczami.

– Powinienem odesłać cię do czyszczenia latryn albo do innego równie nieapetycznego zajęcia – mruknąłem. – Nie nauczyłeś się jeszcze, że nierozsądnie jest zaufać niewieście?

Kate dała mi kuksańca.

– Tak – wymamrotał Peregrine. – To znaczy nie.

Kate roześmiała się.

– Jesteś nieznośny! Zostaw chłopaka w spokoju. Ma jeszcze wiele czasu, żeby poznać sztuczki płci pięknej. – Odsunęła się ode mnie, rozwiązała przepaskę na włosy i rozpuściła kasztanowe pukle. Zmierziłem czuprynę Peregrine'a.

– Rzeczywiście zachowałem się jak gwałtownik – przyznałem, patrząc na młodzieńca. – Wybacz mi, proszę.

Peregrine otworzył usta, aby odpowiedzieć, ale w tym momencie rozległ się okrzyk Kate:

– Ojcie, coś za niespodzianka!

Ja zaś zamarłem i utkwiałem pełnie niedowierzania

spojrzenie w drugim końcu krużganku.

Zbliżał się ku nam człowiek, którego najmniej spodziewałem się ujrzeć – elegancki mężczyzna w czarnej pelerynie i z przerzuconą przez ramię torbą. Gdy William Cecil zdejmował z łysiejącej głowy płaski czarny kapelusz, pomyślałem, że nie wygląda na swoje trzydzieści trzy lata i wydaje się w lepszym zdrowiu niż podczas naszego ostatniego spotkania. Nawet jego rudawej brody nie przetykały jeszcze srebrzyste nitki, a śniada cera świadczyła o tym, że podobnie jak ja spędzał każdą cenną wolną chwilę na świeżym powietrzu, zajmując się uprawą ogrodu, pielęgnacją zagonu ziół albo jakąś inną czynnością, która zapewniała mu chwilę wytchnienia od manipulowania życiem innych ludzi.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam? – spytał typowym dla siebie uprzejmym tonem. – Pani Ashley powiedziała, iż zażywacie tutaj trochę ruchu.

– Zawsze przeszkadzasz – usłyszałem szept Peregrine’a i położyłem dłoń na jego ramieniu.

W błękitnych oczach Cecila błysnęło rozbawienie, zerknął na chłopca, po czym przeniósł wzrok na Kate, która zdawała się wyjątkowo podenerwowana. Mimo że udawała zaskoczenie, odniosłem nieodparte wrażenie, iż przybycie Cecila nie było dla niej niespodzianką.

– Najdroższa Kate, tyle się nie widzieliśmy. – Cecil objął ją. – Moja żona, lady Mildred, zamartwiała się, czy przypadkiem się nie rozchorowałaś. Z ulgą przyjeśliśmy

wiadomość od ciebie.

Wiadomość? Przyjrzałem się bacznie Kate, która również uściskała Cecila. Ostatecznie miała do tego wszelkie prawo. Od śmierci matki była jego podopieczną, wychowywała się w domu Cecila w pieczy jego i jego żony. Dlaczego miałyby do niego nie pisywać? Tyle że nic mi o tym nie wspomniała, mimo iż znała mój stosunek do tego człowieka. Ona nigdy z nim nie walczyła, ja natomiast owszem. Musiałem stawić mu czoła w czasie, gdy służył u księcia Northumberland jako jego osobisty sekretarz i nakłonił mnie, abym szpiegował przeciwko rodowi Dudleyów. Kate nie wiedziała, że jej ukochany opiekun to człowiek o kilku obliczach i że żadnemu z nich nie można w pełni zaufać.

– Przykro mi, że przysporzyłam trosk tobie i lady Mildred – odpowiedziała Kate. – Pragnęłam was odwiedzić, ale... – Odwróciła się w moją stronę i ujęła mnie za rękę. Cecil zerknął z pozoru obojętnie na nasze złożone dłonie, chociaż sugestia płynąca z tego gestu nie mogła ujść jego uwadze. – Czas po prostu przecieka nam przez palce – ciągnęła Kate. – Nieprawdaż, Brendan? – Uśmiechnęła się do mnie. – Ostatnio mam wrażenie, że dzień stał się za krótki. W domostwie jest bez przerwy mnóstwo pracy.

– Nie wątpię – odparł Cecil. – I nie chcę nadużywać waszej gościnności, chociaż miałem nadzieję zatrzymać się na wieczerzę. Przywiozłem pieróg nadziewany mięsem i sółj miodu. Przekazałem je pani Ashley. –

Uśmiechnął się ciepło do Kate. – Pamiętam, że kiedy byłaś małą dziewczynką, uwielbiałaś miód z naszej pasieki.

– Jesteś bardzo hojny! Tak, zaraz wszystkiego dopilnuję.

Kate znów na mnie zerknęła; poczułem skurcz w żołądku. Zebrałem się w sobie i zdobyłem się na suchą uwagę:

– Rzeczywiście. Jak moglibyśmy odmówić?

Spojrzenia moje i Cecila skrzyżowały się. Bezbłędnie wyczuł chłodną nutę pobrzmiewającą w moim tonie, ja zaś wiedziałem, że sprowadza go coś więcej niż zwykła troska o zdrowie Kate.

– Proszę mi na chwilę wybaczyć – zwróciłem się do niego, po czym odprowadziłem Kate, zostawiając Cecila sam na sam z Peregrine'em, który obrzucał przybysza gniewnym spojrzeniem.

– Co się dzieje? Dlaczego on tu przyjechał? I dlaczego nie uprzedziłaś mnie o jego przyjeździe?

– Po prostu wysłuchaj go – odpowiedziała Kate. – To ważne.

Znieruchomiałem.

– Czy chodzi o...?

– Tak. – Położyła palec na moich wargach, uprzedzając mój wybuch. – Możesz złączyć mnie później, ale teraz zostawiam was samych, żebym mogła dopilnować wieczery. Postaraj się na niego nie rzucić, dobrze? – Obróciła się z promiennym uśmiechem

i skinęła na Peregrine'a, który odchodząc, obejrzał się przez ramię, aby na pożegnanie spiorunować Cecila wzrokiem.

– Sądząc po twojej minie i zachowaniu twojego młodego przyjaciela, przypuszczam, że wolałbyś mnie tu nie oglądać – mruknął Cecil.

– A ja widzę, że nie straciłeś nic na przenikliwości. Czego chcesz?

Uśmiechnął się i ruszył w stronę ławy w wykuszowym oknie.

– Wyglądasz doskonale – zauważył. – Nabrałeś ciała. Zdaje się, że służy ci powietrze w Hatfield.

– Z pewnością bardziej niż dworskie – odrzekłem. Usiłowałem zachować spokój. Cecil był mistrzem manipulacji; wiedział, jak zaleźć mi za skórę. Czułem, że już mnie bada, stara cię ocenić, w jakim stopniu zmieniło mnie życie w zaciszu domowym, wczesne pobudki i powroty do łoża, i na ile nie przypominam już gołowąsa, którego zwerbował do donoszenia na członków rodu Dudleyów. – Nie odpowiedziałeś na moje pytanie – przypomniałem.

– Przyjechałem, żeby spotkać się z tobą. – Usiadł. – Kate wysłała do mnie wiadomość, ale to ja napisałem do niej pierwszy. Poinformowałem ją, że mam do przekazania ważne wieści. Odpisała, iż powinienem przybyć osobiście.

– Mogłeś napisać do mnie.

– Owszem, mogłem. Ale czy odpisałbyś?

– To zależy. – Przyjrzałem mu się. – Nadal nie odpowiedział na moje pytanie.

Cecil wyglądał na skonfudowanego, co akurat dobrze o nim świadczyło.

– Nie byłoby mnie tutaj, gdyby nie chodziło o sprawę niecierpiącą zwłoki, wierz mi. Nie zamierzam przysporzyć ci więcej kłopotów, niż przysporzyłem do tej pory.

– Doprawdy? – spytałem.

Gdy tak siedzieliśmy naprzeciwko siebie po raz pierwszy od czasu burzliwych wydarzeń, które sprawiły, że w ogóle zetknęliśmy się ze sobą, przeszło mi przez myśl, jak dużo ironii losu jest w tym, iż dwóch tak zupełnie odmiennych mężczyzn skrywa o sobie nawzajem tak wielkie sekrety. Ponieważ tylko ja wiedziałem o bezwzględnych działaniach Cecila mających na celu zniszczenie jego byłego mocodawcy, Northumberlanda, i ochronę Elżbiety, natomiast on z kolei jako jedyny znał prawdę o mnie.

Napiąłem mięśnie, gdy Cecil odsunął na bok stos książek leżących na ławie i oparł się o rozłożone na siedzisku poduszki. Podniósł jeden z tomów, przyjrzał mu się uważnie.

– Widzę, że oprócz umiejętności szermierskich zacząłeś doskonalić swój hiszpański i francuski. Dość karkołomne zadanie, pozwolę sobie zauważyć. Można by pomyśleć, że przygotowujesz się do czegoś.

Minęło trochę czasu, zanim nauczyłem się

wytrzymywać przenikliwe spojrzenie jego bladoniebieskich oczu. Zaszło między nami wystarczająco wiele, abym się przekonał, że w porównaniu z nim jestem zwykłym pionkiem. Nawet teraz, niedbale oparty o murowaną okienną wnękę, wyglądał, jak gdyby udzielał audiencji w swojej londyńskiej rezydencji, i gdy uzmysłowiłem sobie, jak bardzo rozległe i potężne są jego wpływy, mimo że się z nimi nie obnosi, przebiegł mnie dreszcz na myśl, do czego jest zdolny.

Zacisnąłem szczęki.

– Na wypadek gdybyś zapomniał, służę teraz księżniczce Elżbiecie. Nie jestem już twoim zausznikiem, zatem przejdź od razu do rzeczy. Cóż to za niecierpiąca zwłoki sprawa?

Pochylił głowę. Jak zwykle jego rzeczowy sposób bycia nie zdradzał pilnej nautry zajęć, które przygnały go do Hatfield. Mimo to pierwsze pytanie zbiło mnie z tropu.

– Otrzymałeś jakieś wieści od Jej Księżęcej Mości?

Ziąb, który nagle przeszedł mi po plecach, nie miał nic wspólnego z przesiąkniętą potem koszulą.

– Ostatnio nie. Mniej więcej miesiąc temu dostaliśmy od niej krótki list, w którym informowała, że zostaje na dworze do święta Trzech Króli. Przypuszczaliśmy, iż królowa zaprosiła ją na świąteczne uroczystości.

Cecil uniósł brwi.

– Owszem, Jej Księżęca Mość będzie przebywać na dworze dłużej, ale nie dlatego, że została zaproszona. Maria rozkazała jej zostać. – Urwał na chwilę. – Wzbudziłem twoje zainteresowanie? – Sięgnął do torby po zwitek papierów. – To są raporty, które niedawno otrzymałem od swojego informatora. Mniemam, że biorąc pod uwagę okoliczności, nie uwierzysz mi na słowo.

Skrzyżowałem ręce z udawaną niedbałością mającą zamaskować mój niepokój.

– Elżbiecie grozi niebezpieczeństwo – oznajmił. – Poważne niebezpieczeństwo, jak wynika z tych raportów.

Przez moment patrzyłem mu prosto w oczy. Nie dostrzegłem w nich fałszu, ukrytych zamiarów. Cecil wyglądał na szczerze zmartwionego. Z drugiej strony potrafił po mistrzowsku skrywać powodujące nim motywy.

– Niebezpieczeństwo? – powtórzyłem. – I powiedział ci o tym twój informator przebywający na dworze? Kto to taki?

Pokręcił głową.

– Nie wiem. – Odsupłał sznurek obwiązujący dokumenty. – Raporty zaczęły do mnie docierać około miesiąca temu – wszystkie anonimowe, napisane tym samym charakterem pisma. – Podał mi jeden z listów, a kiedy po niego sięgnąłem, dodał: – Ten jest ostatni. Dostałem go około tygodnia temu. Nie został spisany na pergaminie, tak samo zresztą jak pozostałe, ale sądzę, że



człowiek, który je sporządza, służy na dworze. Podane przez niego informacje świadczą o tym, iż jest blisko opisywanych przez siebie wydarzeń. Zwróć uwagę na litery: schludne, ale nie nazbyt ozdobne; to sekretarz, być może notariusz.

Zerknąłem na dokument. Gdy zobaczyłem charakter pisma, poczułem nagły przypływ wspomnień – przed oczami stanęły mi staranne rzędy liter widziane niegdyś w księgach rachunkowych prowadzonych przez Archiego Sheltona, zarządcę służby u Dudleyów. Shelton przyuczał mnie początkowo na swojego zastępcę. Również on wprowadził mnie na dwór, gdzie podjąłem służbę jako giermek lorda Roberta Dudleya, a przez to wrzucił do jaskini lwa.

Otrząsałem się z zamyślenia.

– Nie rozumiem. – Spojrzałem na Cecila. – To protokół z przyjęcia przez królową Marię posłów z Hiszpanii, którzy przybyli złożyć jej w imieniu cesarza Karola V powinszowania z okazji koronacji. Cóż w tym niezwykłego? To normalna rzecz wśród monarchów.

– Obróć ją – podpowiedział. – Obróć kartę do góry nogami i spójrz na nią pod światło.

Podszedłem do szyby i przycisnąłem do niej dokument. Musiałem wyteńczyć wzrok, ale po chwili je zobaczyłem: jasne, półprzezroczyste linie majaczące niczym zjawy między tymi nakreślonymi inkaustem.

W liście ukryto drugi list.

Przymrużyłem powieki.

– Nie mogę nic odczytać. Litery wyblakły.

– Specjalny atrament, którego użyto, uwidacznia się pod wpływem soku z cytryn – wytłumaczył Cecil. – To znana sztuczka i ze wstydem przyznaję, że zajęło mi trochę czasu, zanim się na niej poznałem. Z pewnością nie jest to dzieło doświadczzonego szpiega. Z początku myślałem, że przysyłając niewinne wieści z dworskiego życia, ktoś po prostu płata mi mało zabawne figle. Kiedy jednak listy nie przestawały przychodzić, zacząłem nabierać podejrzeń. Na szczęście lady Mildred zawsze robi zapasy soku wyciśniętego z cytryn rosnących w naszym sadzie. – Podniósł na mnie wzrok. – Wszystko przepisałem tu, na tę kartę. Z niewidzialnego listu wynika, że nieoficjalnie hiszpańscy posłowie przywieźli również sekretną propozycję małżeństwa z synem Karola V, księciem Filipem.

– Z księciem Filipem? – drgnąłem. – Następcą tronu Hiszpanii?

– Nie inaczej. A cesarz jest kimś więcej niż zwykłym monarchą: to kuzyn królowej w pierwszej linii i od lat jej zaufany powiernik. Królowa polega na jego radach. Jeśli zechce przyjąć propozycję zamążpójścia, jednym z warunków jest przywrócenie Anglii na łono Kościoła katolickiego. Karol V nie ustąpi w tej kwestii ani o piędź. Nie trzeba dodawać, że zbliżenie się z Rzymem będzie zgubne dla wszystkich protestantów w tym królestwie, a przede wszystkim dla Elżbiety.

Podniósł kartkę, na którą przepisał ukrytą

w oficjalnym dokumencie wiadomość.

– Posłuchaj: „Jej Królewska Mość bierze pod uwagę wyłącznie zdanie cesarskiego ambasadora, Simona Renarda, który uznaje Elżbietę za bękarta, heretyczkę i zagrożenie dla królowej”. – Spojrzał na mnie. – Podobnie wygląda reszta: w każdym dokumencie są ukryte dwie lub trzy linijki, ale jeśli zebrać je wszystkie razem, wyłania się z nich pełny obraz.

Serce zaczęło mi łomotać. Nawet jeżeli Cecil był kłamcą, w sprawach dotyczących Elżbiety zawsze kierował się jej dobrem. Była dla niego wszystkim; za jej przyczyną nie ustawał w wysiłkach, to ona stanowiła światło przewodnie, które prowadziło go przez bagna hańby, ponieważ upadek Northumberlanda oznaczał również jego upadek, przypieczętowany wydaleniem go z dworu przez królową Marię.

– Jej Królewska Mość nie wydaje się kimś, kto łatwo ulega wpływom innych – zauważyłem.

– To prawda, pod tym względem przypomina ojca; zawsze ma własne zdanie. Niemniej jest również córką Katarzyny Aragońskiej, hiszpańskiej księżniczki, a Simon Renard reprezentuje interesy Hiszpanii. Przez wiele lat służył cesarzowi Karolowi V Habsburgowi i królowa liczy się z jego radami. Jeśli Renard twierdzi, że Elżbieta zagraża religii katolickiej i stanowi przeszkodę w zawarciu przez królową małżeństwa z kandydatem z rodu Habsburgów, zasiane ziarno podejrzania może przynieść niespodziewanie groźne

owoce. Królowa jest bardzo religijna. Uważa, że sam Bóg pomógł jej przezwyciężyć trudności, które musiała pokonać, aby wstąpić na tron. Elżbieta jest protestantką; ma cele zupełnie sprzeczne z tym, co zamierza osiągnąć Maria, między innymi jest przeciwna ponownemu zjednoczeniu Anglii z Kościołem katolickim.

Ogarnęła mnie trwoga.

– Czy to znaczy, że ów Renard chce doprowadzić do uwięzienia księżniczki?

– I do jej śmierci – uściślił Cecil. – Nie może być inaczej. Jeśli uda mu się usunąć Elżbietę, tron Anglii przypadnie w przyszłości dziecku księcia Filipa i królowej Marii. Potomek rodu Habsburgów będzie rządził Anglią i zjednoczy nas z cesarstwem, dzięki czemu Francja zostanie wzięta w dwa ognie, a o tym właśnie marzy Karol V. Renard to parweniusz; wie, że osoba, która umożliwi ziszczenie tego marzenia, zyska bardzo wiele.

Wpatrywałem się w niego z przerażeniem.

– Ale królowa przecież jej nie skrzywdzi. Elżbieta to jej siostra i... –zaoponowałem, urwałem jednak, gdy zobaczyłem wyraz, który odmalował się na twarzy Cecila. – Na Boga, sądzisz, że ma jakiegokolwiek dowody przeciwko niej?

– Oprócz oskarżeń szeptanych do ucha? Nie, jeszcze nie. Co nie znaczy, że Renard wkrótce ich nie dostarczy. Nie daj się zwieść: Simon Renard to nieustępliwy przeciwnik. Kiedy wyznaczy sobie cel, nie spocznie,

dopóki go nie osiągnie.

Dobiegło mnie wycie wieczornego wiatru wzmagającego się za grubymi murami pałacu. Przez chwilę zbierałem myśli, zanim odrzekłem:

– Czego ode mnie oczekujesz?

Cecil uśmiechnął się.

– A czegoż ja mogę od ciebie oczekiwać? Chcę, żebyś pojechał na dwór i powstrzymał Renarda. Zdobyłeś zaufanie królowej Marii, gdy z narażeniem życia pomogłeś jej uciec podczas pałacowego przewrotu zorganizowanego przez Northumberlanda. Teraz ucieszy się z twojego przybycia. Zaofiaruj jej swoje usługi, zdobądź pozycję na dworze, a będziesz mógł pokonać Renarda jego własną bronią.

Parsknąłem śmiechem.

– Tylko tyle? Wracam na dwór, a królowa wita mnie z otwartymi rękami i zapewnia wikt, opierunek oraz pozycję? – Moje rozbawienie szybko ustąpiło miejsca powadze. – Masz mnie za skończonego głupca?

– Wręcz przeciwnie, uważam, że masz zdolności do tego zadania, co wykazały poprzednie wydarzenia. – Zerknął na stos leżących obok ksiąg, na którym spoczywały teraz tajne raporty. – Nie wierzę, że wiejska sielanka zadowoli cię na długo, nie w chwili, gdy pozostało tak wiele ważnych zadań do wykonania.

Jego wnikliwe spostrzeżenie dotknęło mnie bardziej, niż chciałem przyznać. Nie cieszyło mnie to, że wiedział rzeczy, o których nie miał prawa wiedzieć. Nie życzyłem

sobie, by przenikał moje myśli.

– Ostatnim razem, gdy przyjąłem zadanie od ciebie – przypomniałem – niemal przypłaciłem to głową.

– Owszem – stwierdził, a ja przyjąłem jego oświadczenie z uznaniem. – Ryzyko w fachu szpiega. Niemniej przeżyłeś i w sumie poradziłeś sobie całkiem nieźle. Tym razem przynajmniej będziesz przygotowany i będziesz wiedział, kim jest twój przeciwnik. Wrócisz na dwór pod przybranym imieniem, które ci nadałem, kiedy przedstawiałem cię królowej Marii. Znów będziesz się nazywał Daniel Beecham i pojawienie się tej figury raczej nie wzbudzi większego zainteresowania.

Podniósł się z ławy, raporty zostawił na stercie książg.

– Nie musisz odpowiadać od razu. Przeczytaj dokumenty i zastanów się, czy możesz sobie pozwolić, żeby je zlekceważyć.

Nie chciałem czytać żadnych raportów. Nie chciałem się w nic angażować. Czułem jednak, że mimowolnie połknąłem już przynętę, którą zarzucił Cecil. Poruszył we mnie coś, od czego nie potrafiłem uciec – obnażył niepokój, który mnie dręczył, odkąd porzuciłem dwór, by zaszyć się w tym bezpiecznym ustroniu.

Cecil dobrze o tym wiedział. Dobrze znał trawiący mnie głód, ponieważ również go odczuwał.

– Muszę porozmawiać o tym z Kate... – zacząłem, ale urwałem, gdy Cecil zmarszczył brwi ze zniecierpliwieniem. – Ona już wie, nieprawdaż? Wie, że chcesz wysłać mnie z powrotem na dwór.

– Jest bystra i zależy jej na tobie – dość mocno, zdaje się. Rozumie również, że w sprawach tego typu czas jest towarem zbyt kownym, którego często nam brakuje.

Zacisnąłem szczęki. Pomyślałem o tym, jak Kate pochlebstwami nakłaniała mnie do nauki fechtunku, jak bardzo dążyła do tego, abym osiągnął mistrzostwo. Zapewne podejrzewała, że nadejdzie dzień, w którym będę zmuszony wrócić na dwór, by stanąć w obronie Elżbiety.

– Powinienem odświeżyć się przed wieczerzą – powiedział Cecil. – Przypuszczam, że będziesz miał więcej pytań po przeczytaniu dokumentów. Mogę zatrzymać się na noc, ale jutro muszę wracać do swojego majątku.

– Na nic się jeszcze nie zgodziłem.

– Owszem, jeszcze nie – przytaknął. – Ale zgodzisz się.

## Rozdział 2



Na zewnątrz szare niebo zlewało się z bezbarwnym zimowym krajobrazem, zacierając granice między ziemią a przestworzami. Wpatrywałem się w las, w nagie konary drzew kołysanych wiatrem, w którego podmuchach wirowały płatki śniegu, i czułem, że ta zaciszna przystań, moje ustronie, nieubłaganie niknie niczym piękny, ulotny sen.

„Możemy dopomóc, by spełnił się jej los – ty i ja. Ale wprawdzie musimy ustrzec ją przed śmiercią...”

Odwróciłem się od ławy i sięgnąłem po raporty. Było ich sześć, ale mimo że każdy po kolei przyciskałem do szyby, w słabnącym popołudniowym świetle trudno, a momentami w ogóle nie sposób było odcyfrować wiadomości ukrytej między zapisanym atramentem liniami. Zwięzłe podsumowania sporządzone przez Cecilia potwierdzały jednak to, co od niego usłyszałem: hiszpański ambasador Simon Renard zasiał w królowej obawy dotyczące lojalności Elżbiety, wykorzystując do tego celu protestanckie wyznanie Elżbiety i sugerując, że jest ona uwikłana w coś na tyle groźnego, aby należało ją niezwłocznie uwięzić. Informator nie stwierdzał, czym dokładnie jest owo „coś”, prawdopodobnie dlatego, że



sam nie wiedział. Kilka razy pojawiała się wzmianka na temat Edwarda Courtenaya, hrabiego Devon, arystokraty, który najwyraźniej zaprzyjaźnił się z księżniczką. Zakonotowałem sobie, by zapytać później Cecila, co wie o wspomnianym Courtenayu.

Zatopiłem się w lekturze dokumentów do tego stopnia, że straciłem rachubę czasu. Z zamyślenia wyrwały mnie dopiero kroki Kate stąpającej po skrzypiącej podłodze. Podniosłem wzrok i zorientowałem się, iż krużganek pogrążył się w półmroku. Kate stała przede mną ubrana w pastelową niebieską suknię. Zbierając rozrzucone naokoło papiery, powiedziała cicho:

- Wieczera jest prawie gotowa.
- Wiedziałaś o tym – stwierdziłem.

Westchnęła.

– Tak. Cecil napisał, że ma do przekazania ważne wieści w sprawie Jej Księżęcej Mości; nie wyjaśnił, o co dokładnie chodzi, a jedynie nalegał na pilne spotkanie z tobą. Cóż miałam robić?

– Mogłaś mi powiedzieć.

– Chciałam, ale on się upierał, że musi pokazać ci coś osobiście. – Znów zerknęła na rozłożone na ławie dokumenty. – Wygląda to poważnie.

– To poważna rzecz.

Opowiedziałem jej o raportach i o tym, co Cecil z nich wywnioskował.

Kiedy skończyłem, zwilżyła usta.

– Na Boga, niebezpieczeństwo wisi nad nią niczym klątwa. – Odetchnęła ciężko. – Obawiałam się tego dnia, choć w głębi duszy miałam cichą nadzieję, że może nigdy nie nadejdzie.

Wstałem i ująłem jej dłonie. Miała silne ręce, opalone od pracy w ukochanym ogrodzie ziołowym, oraz krótko przycięte paznokcie, pod którymi tkwiły drobiny ziemi. Nagle serce ścisnęło mi się na myśl, że będę musiał ją opuścić.

– Jeśli te raporty są zgodne z prawdą, ona mnie potrzebuje – oznajmiłem. – Nie rozumiem tylko, dlaczego o niczym nas nie powiadomiła. Z pewnością do tej pory zorientowała się, że grozi jej niebezpieczeństwo.

– Jeśli się zorientowała, nic dziwnego, że nie pisała – uznała Kate. Spojrzałem na nią, marszcząc brwi. – Gdy miała szesnaście lat – ciągnęła – a było to, zanim jeszcze u niej służyłam, została zamieszana w zdradziecki spisek uknuty przez wuja jej brata Edwarda, admirała Seymoura, którego stracono w związku z ową intrygą. Elżbietę wnikliwie przesłuchano, naszą panią Ashley zamknięto na pewien czas w Tower. Kiedy Elżbieta opowiadała mi o tym, stwierdziła, że był to najbardziej przerażający czas w jej życiu. Poprzysięgła sobie, iż nigdy więcej nie narazi swoich sług na niebezpieczeństwo. Nie napisała do nas, ponieważ chciała cię ochronić. Zapewne uznasz, że jestem samolubna, ponieważ pragnęłam tego samego.

– Gdybyś tego pragnęła, spaliłabyś wiadomość od

Cecila i zaryglowała bramę.

– To prawda. – Znów westchnęła. – Kiedy wyjeżdżasz?

– Wkrótce – odpowiedziałem cicho. – Po wieczery muszę jeszcze porozmawiać z Cecilem, ale przypuszczam, że będzie chciał, abym wyruszył jak najszybciej. Stwierdził, iż czas jest towarem zbyt drobnym, którego nam brakuje.

– Umie dobrać słowa, nieprawdaż? – Zdobyła się na słaby uśmiech. – Skoro zatem zamierzasz nas opuścić, myślę, że wcześniej powinienesz uczynić coś dla mnie.

Nagle zapanowało między nami pełne napięcia milczenie. Kate sięgnęła za dekolt i wyjęła przedmiot zawieszony na rzemyku – złoty listek karczocha o nierównych brzegach, ozdobiony na końcu maleńkim rubinowym oczkiem.

– Powiesz mi, co to jest?

Zaschło mi w gardle.

– Ja... przecież ci mówiłem. To symbol słowa, które ci dałem, dowód mojej miłości do ciebie.

– Tak, ale co on oznacza? Wiem, że zdobyłeś go w tych trudnych czasach, gdy walczyliśmy o ocalenie księżniczki z rąk Dudleyów. Dała ci go kobieta, która cię wychowała, pani Alice. Dlaczego? Jakie on ma znaczenie? – Kate urwała, a widząc, że milczę, dodała już ciszej: – To ma jakiś związek z twoją przeszłością, nieprawdaż? Cecil też o tym wie. Skoro ufasz jemu w tej sprawie, dlaczego nie mnie? – Uniosła dłoń, aby

pogłaskać mnie po twarzy, klejnot mienił się na jej piersiach. – Niezależnie od tego, czym jest ten przedmiot, obiecuję ci, że nigdy cię nie zdradzę. Prędeż umrę. Jeśli jednak musisz wrócić na dwór i stawiać czoła Bóg wie jakim niebezpieczeństwom, nie możesz zostawić mnie samej z tą niewyjawioną tajemnicą. Muszę znać prawdę.

Zaparło mi dech. Spojrzałem jej w oczy, spokojne i stanowcze, i poczułem, że przytłacza mnie ciężar sekretu, którego przysięgłem nigdy nie zdradzić.

– Nie wiesz, o co prosisz – powiedziałem cicho. – Ale ufam ci, na śmierć i życie. – Podprowadziłem ją do okna, spoczęliśmy na ławie. – Musisz przyrzec, że nikomu tego nie powiesz – oznajmiłem, ujmując jej dłoń w obie ręce – zwłaszcza Elżbiecie. Ona nie może się dowiedzieć.

– Brendanie, już ci mówiłam, że nie zawiodę twojego zaufania...

Ścisnąłem jej dłoń.

– Przysięgnij, Kate. Proszę, zrób to dla mnie.

– Dobrze – szepnęła. – Przysięgam.

Skinąłem głową.

– Nigdy nie wspominałem Cecilowi o tym klejnocie. Jedyńm człowiekiem, który wie o jego istnieniu, jest Archie Shelton.

– Shelton? Zarządca Dudleyów, który wprowadził cię na dwór? On wie?

– Wiedział. Teraz już nie żyje. Nie może być inaczej.

Nie mógł pozostać przy życiu tamtej nocy, gdy uwięziono nas w Tower, po tym jak Londyn opowiedział się za Marią. Zapanował całkowity chaos. Bramy opadły wprost na nas. Zwolennicy Northumberlanda rzucali się na siebie, pragnąc się wydostać. Widziałem, jak Shelton znika w tłumie, zapewne stratowany na śmierć. Umarł, a wraz z nim pochowana została tajemnica tego klejnotu. Cecil wie, kim jestem, ale nie ma pojęcia, że posiadam coś, czym mogę dowieść swojego pochodzenia.

Głos mi się załamał i urwałem. Zobaczyłem siebie znów jako zagubionego chłopca, bezimiennego podrzutka rozpaczliwie szukającego schronienia przed dziećmi Dudleyów, które dręczyły mnie i od których nieustannie zbierałem cięgi. Przypomniała mi się ukochana pani Alice opatrująca moje rany i mrużąc pod nosem, że wyróżnia mnie coś szczególnego. Że z jakiegoś powodu doszło do szeregu gmatwających ludzkie losy zdarzeń, i teraz, gdy myślałem o tym wszystkim, co mi się przydarzyło, o wszystkim, co odkryłem, zrozumiałem, iż nie mogę dłużej dźwigać brzemienia tej tajemnicy sam. Musiałem się nią z kimś podzielić.

Zniżyłem głos i opowiedziałem Kate swoją historię, poczynając od chwili, gdy jako niemowlę trafiłem do domostwa Dudleyów, gdzie wychowano mnie na ich służącego, zanedbywano i pogardzano mną, aż pewnego dnia przydzielono na służbę do lorda Roberta, najniebezpieczniejszego z całego rodu.

– Kiedy przybył do zamku, żeby zabrać mnie ze sobą na dwór, Shelton ostrzegł mnie, abym słuchał wszystkich rozkazów, wiernie służył i nigdy nie zdradził rodu, od którego zależał mój byt. Powiedział, że moja lojalność zostanie nagrodzona. Później jednak poznałem Elżbietę. Jeszcze później Cecil nakłonił mnie, żebym szpiegował lorda Roberta i pomagał księżniczce, a wtedy wszystko się zmieniło. Rozwikłałem zagadkę swojego pochodzenia. Po dwudziestu jeden latach życia w przeświadczeniu, że jestem nikiem, odkryłem, iż w moich żyłach płynie królewska krew. – Umilkłem, ale słysząc stłumiony okrzyk niedowierzania, który wydała Kate, dorzuciłem z wahaniem: – Moją matką była Mary Suffolk, ciotka Elżbiety. Jestem Tudorem.

Nigdy wcześniej nie mówiłem tego na głos i zobaczyłem, jaką siłę mają owe słowa, gdy ujrzałem wyraz twarzy Kate. Uniosła drżącą dłoń do piersi i dotknęła złotego listka.

– Skąd... skąd Shelton o tym wiedział? – wykrztusiła w końcu. – Jaki związek ma z tym wszystkim ten klejnot?

– Shelton przekazał klejnot pani Alice. – Wstałem. Nie mogłem już dłużej usiedzieć. – Służył w domu Suffolków na długo, zanim przeszedł na służbę do Dudleyów. Ten liść to część większego klejnotu, który połamano po śmierci mojej matki; zostawiła jego fragmenty ludziom, którym ufała. Jednak pani Alice już wcześniej uciekła ze mną do zamku Dudleyów

i rozgłosiła, że jestem podrzutkiem. Shelton szukał jej przez lata. A kiedy ją znalazł, powiedziała mu o mnie.

– Ale dlaczego akurat jemu?

Zmusiłem się do tego, aby wzruszyć ramionami, chociaż pytanie to przeszło moje serce na wylot.

– Matka utrzymywała swój brzemienny stan w tajemnicy przed wszystkimi prócz Alice; kiedy umarła, Alice wywiozła mnie w bezpieczne miejsce, ukryła. Sądzę, że uczyniła to, aby ochronić mnie i matkę, dochować sekretu księżniczki Tudor, która urodziła bękarta.

– Dobry Boże. A ty przez cały czas o wszystkim wiedziałeś. I zachowałeś to dla siebie.

– Nie miałem wyjścia. Nie rozumiesz, Kate? Ten klejnot może dowieść praw przysługujących mi z urodzenia, ale jednocześnie ściągnąć niebezpieczeństwo, i to na nas wszystkich. Bękart się nie liczy, ale gdyby komuś przyszło do głowy, że jestem prawowitym synem... – Przeszedł mnie dreszcz, odwróciłem się od niej.

– Myślisz, że Shelton wiedział, kto jest twoim ojcem? – spytała cicho.

– Nawet jeżeli tak było, ja nigdy się tego nie dowiem.

– Odchrząknąłem. – Nie pragnąłem tego wszystkiego. Gdybym mógł, cofnąłbym czas. Wolałbym dalej być podrzutkiem niż... człowiekiem zjawą.

– Nie jesteś żadną zjawą. – Spódnice zaszeleściły, gdy Kate podniosła się z ławy. Poczulem dotyk jej dłoni

na ramieniu. Ogarnął mnie bezbrzeżny smutek.

– Nie mogę cię prosić, żebyś żyła z tym ciężarem – wyszeptalem. – To zbyt wielkie brzemię, wiem. Dzieci, które mogłyby przyjść na świat z naszego małżeństwa... nigdy nie będą miały dobrego pochodzenia. Nawet moje nazwisko jest zmyślane. Nic nie znaczy.

– Pozwól, że sama zdecyduję, co zdołam, a czego nie zdołam udźwignąć. Brendanie, spójrz na mnie. – Odwróciłem się, aby zajrzeć jej w twarz. – Nigdy więcej nie chcę tego słyszeć – powiedziała. – Jesteś mężczyzną, z którym zdecydowałam się dzielić życie. Jesteś silny, dobry i prawy. Masz wszystko, czego dziecko potrzebuje od ojca.

Oczy zapiekły mnie od łez. Przygarnąłem ją do siebie, a gdy poczułem jej ciało blisko swego i gdy owionął mnie jej lawendowy zapach, przepełniło mnie pożądanie. Pragnąłem zatopić palce w jej włosach, zsunąć z nich siatkę, aby spłynęły niczym ciemny miód na jej nagie ramiona. Pragnąłem zdjąć z niej szaty i zobaczyć, jak wygina się pode mną w zapomnieniu, wpuszczając mnie coraz głębiej do środka. Nie chciałem, by brudne dworskie intrygi i przerażające wydarzenia z mojej przeszłości przysporzyły jej cierpień.

– Kocham cię, Kate Stafford – wymruczałem. – Kocham cię całym sercem. Pragnę być twój, na zawsze. Jeśli kiedykolwiek zdarzy się coś, przez co mogłabyś we mnie zwątpić, pamiętaj o tym, co przed chwilą powiedziałem.



Pocałowała mnie.

– A ja kocham ciebie, Brendanie Prescottcie, nawet jeśli masz wiele do ukrycia.

Po wieczery przeszliśmy z Cecilem do sali kominkowej, aby usiąść przy ogniu.

Popijaliśmy z kielichów grzańca z cydru, a po chwili, gdy jasne oczy Cecila wydały się spochmurnieć w migoczącym blasku płomieni, mój towarzysz spytał:

– Uczynisz to, o co proszę?

W odpowiedzi oddałem mu zwitek dokumentów owiązanych sznurkiem.

– Nie masz żadnych pytań? – w jego tonie pobrzmiwało zdziwienie.

– Zdaje się, że nie ma o co pytać, nieprawdaż? Tak jak wspomniałeś, wszystkie raporty opisują wydarzenia na dworze. Mogą być dokumentami sporządzonymi przez mistrza ceremonii lub sekretarza; nie budzą żadnych wątpliwości, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Jednak jest pewna rzecz, oprócz sekretnych ostrzeżeń, na którą zwróciłem uwagę.

Urwałem na chwilę i przyjrzałem się Cecilowi. Mógł przecież przeoczyć ten czy ów ważny szczegół. Zdarzało mu się to już wcześniej. Nie chciałem dopuścić myśli, że być może znów prowadzi podwójną grę, nie w tym wypadku, ale trudno było mi całkowicie wyzbyć się podejrzliwości wobec niego. Musiałem zyskać pewność.

– Mów dalej. – Pociągnął łyk z kielicha. – Widzę wątpliwości malujące się na twojej twarzy. Musisz

nauczyć się bardziej nad sobą panować. Na dworze wszyscy próbują wzajemnie przeniknąć swoje myśli i są w tym mistrzami.

– Edward Courtenay – oznajmiłem – hrabia Devon. Twój informator wspomina o nim kilkakrotnie w związku z księżniczką. Dlaczego?

Cecil uśmiechnął się.

– Doprawdy masz wrodzony talent.

– Nie trzeba wielkiego talentu, każdy, kto przeczytałby te raporty, zapytałby o to samo. Kim zatem jest ów człowiek?

– To ostatni potomek królewskiego rodu Plantagenetów. Stary król Henryk – który potrafił wywęszyć wroga z odległości kilku mil – uwięził Courtenaya w Tower, gdy ten był jeszcze chłopcem. Król kazał również ściąć jego ojca. Publicznie oświadczył, że to kara za to, iż rodzina Courtenayów odmówiła uznania go za głowę Kościoła, jednak w rzeczywistości obawiał się praw Courtenaya do tronu. Jednym z pierwszych edyktów wydanych przez Marię jako królową był nakaz uwolnienia Courtenaya. Nadała mu również tytuł. Prawdę mówiąc, okazała mu specjalne względy.

– Oznacza to, że jest naszym sprzymierzeńcem czy nieprzyjacielem?

Cecil uniósł brwi.

– Tak długo odmawiano mu jego praw, lub też praw, które jego zdaniem mu się należały, że niezależnie od królewskiej przychylności nasz hrabia z pewnością snuje

własne plany. Jeśli wierzyć pogłoskom, rozważano go jako kandydata na męża Marii, ale ta odrzuciła go ze względu na jego niedoświadczenie i młody wiek.

– Chcesz przez to powiedzieć, że być może spiskuje on przeciwko małżeństwu królowej z potomkiem Habsburgów?

– Chcę przez to powiedzieć, że jest to jedna z zagadek, której należy się przyjrzeć. – Głos Cecila stał się ponury. Po raz pierwszy zdradził się ze swoim przygnębieniem wywołanym przez fakt, że znalazł się tak daleko od potajemnych dworskich intryg. W dawnych czasach miały pod sobą dwóch czy trzech zauszników, którzy śledziliby każdy ruch Courtneya i o wszystkim donosili swojemu mocodawcy. – Jeśli Corutenay spiskuje, musi się dobrze maskować. Pamiętaj, Maria nie ogłosiła jeszcze oficjalnie, że nosi się zamiarem zamążpójścia. Cokolwiek planuje Courtenay, czyni to w tajemnicy.

– Niemniej Renard na pewno go obserwuje. – Rozsiadłem się wygodniej na krześle, ale kątem oka zauważyłem, jak dłoń Cecila zaciska się mocniej na kielichu. Gest ów był nieznaczny, niemalże niedostrzegalny, jednak w chwili gdy go pochwyciłem, wszystko pojąłem. – Boże –szepnąłem. – Nadal mnie sprawdzasz. Wysyłasz mnie na dwór, ponieważ obawiasz się, że Renard może się nie mylić w swoich podejrzeniach wobec Elżbiety.

Odetchnął.

– Przeszło mi to przez myśl. Mam nadzieję, że jestem w błędzie. Szczerze mówiąc, modłę się, by tak było. Jednak niezbyt pomyślnym znakiem jest to, iż Elżbietę łączy się z Courtenayem. Oczywiście równie dobrze może to nic nie znaczyć. Ich przyjaźń może być naturalnym zbliżeniem między dwojgiem ludzi o znaczącej pozycji, którzy nagle znaleźli się na dworze. Są w podobnym wieku. On ma dwadzieścia sześć lat, jest sześć lat starszy od niej. To wszystko może być zupełnie niewinnym zbiegiem okoliczności.

– Ale równie dobrze może być czymś więcej – odparowałem. Zawahałem się i przyjrzałem się Cecilowi uważnie. Czasami zapominałem, że chyba nikt z nas nie znał Elżbiety tak dobrze, jak nam się zdawało. W tym między innymi tkwił sekret jej uroku; potrafiła sprawić, że ludzie czuli się przy niej jak jej serdeczni przyjaciele, jednak jej prawdziwa natura pozostawała nieodgadniona.

– Naprawdę sądzisz, że gotowa byłaby spiskować przeciwko własnej siostrze? – spytałem ostrożnie.

Zachichotał, a w jego głosie pobrzmiwała ironia.

– Biorąc pod uwagę stosunki panujące między Marią i Elżbietą, byłbym szczerze zdziwiony, gdyby Elżbieta nie spiskowała. Na próżno szukać dwóch kobiet, a tym bardziej sióstr, różniących się od siebie skrajnie niż one. Obawiam się, że jest im pisane zostać śmiertelnymi wrogami. W chwili gdy rozmawiamy, obie umacniają swoje pozycje przed bitwą. Maria, zdecydowana oczyścić królestwo z heretyków i związać nas z obcym

moce, stoi po jednej stronie, po drugiej zaś jest Elżbieta, następczyni tronu, ostatnia nadzieja tych, którzy pragną niezależnego królestwa wiernego protestantyzmowi. Która z nich zwycięży? – Mówił coraz śpieszniej, w jego tonie pobrzmiwał niepokój. – Jeśli Elżbieta jest zamieszana w spisek Courtenaya, należy ją powstrzymać, zanim będzie za późno. Podobnie jak ona nie palę się do tego, aby paść ofiarą Hiszpanii i inkwizycji, jednak w przeciwieństwie do niej nie popycha mnie do działania naturalna u młodych zapalczywość. Elżbieta zdaje się zapominać, że Maria niedługo kończy czterdzieści lat. Nawet jeśli księciu Filipowi uda się spłodzić dziedzica, królowa może nie donosić potomka. Jeżeli Maria nie urodzi następcy tronu, korona prawdopodobnie przypadnie Elżbiecie. Możemy dopomóc, by spełnił się jej los – ty i ja. Ale wpierw musimy ustrzec ją przed śmiercią

Echo ostatnich słów rozbrzmiewało w pustej komnacie, dopóki nie zagłuszył go trzask polan płonących w kominku. Wpatrywałem się w ogień, rozważając niepokojące słowa Cecila.

W końcu odezwałem się cicho:

– Zatem postanowione. Pojadę na dwór.

Zdawało się, że z Cecila raptownie uszło powietrze. W tym momencie ujawniło się ogromne znużenie czające się pod maską pozornej niezniszczalności, zobaczyłem steraną duszę, pokłosie wielu lat mozolnej pracy w świecie władzy, przekupstw i przysług, intryg

i spisków.

– Dziękuję – odpowiedział. – Obiecuję, że pewnego dnia, gdy Elżbieta zasiądzie na tronie, co przy Bożej pomocy niechby się stało czym prędzej, twoja służba zostanie wynagrodzona.

Wstałem.

– Nie obiecuj jeszcze niczego. Powiedziałem, że udam się na dwór, żeby jej pomóc, ale uczynię to na moich warunkach. Czy wyrażam się jasno? Nie zgodzę się, aby ktokolwiek wtrącał się w moje poczynania, jakiegokolwiek one by były. Jeżeli zamierzałeś posłać moim śladem kogoś ze swoich popieczników w Londynie, przekaż mu moje słowa już teraz. Jeśli tego nie uczynisz, jeśli dowiem się, że w jakikolwiek sposób próbujesz sterować moimi ruchami, pożałujesz.

Wargi mu zadrgały.

– Sądzę, że się rozumiemy.

Sięgnął do torby stojącej przy krześle i wyjął niewielką skórzaną sakiewkę.

– Na pokrycie wydatków.

– Robię to dla księżniczki. Nie chcę od ciebie zapłaty.

Postawił sakiewkę na moim krześle.

– Uznaj to zatem za pożyczkę.

Podniósł się, a mnie ogarnęło zadowolenie. W końcu zyskałem przewagę nad Williamem Cecilem.

Gdy ruszył do wyjścia, spytałem:

– Co z informatorem? Powinienem spróbować do

niego dotrzeć?

– W żadnym wypadku. Jeśli będzie chciał, żebyśmy do niego dotarli, sam się do nas zwróci.

Przez kilka następnych dni prószył śnieg – lodowate drobinki rozpływały się szybko w świetle słońca, pozostawiały jednak po sobie uczucie chłodu, które codziennie na nowo przenikało powietrze. Od świtu do zmierzchu zajęci byliśmy szykowaniem zwierząt i pól na nadejście zimy, kończyliśmy układać zapasy w spiżarniach i piwniczkach, obrywaliśmy ostatnie owoce z drzew i przykrywaliśmy zagony ziół oraz inne delikatne rośliny, aby ochronić je przed nocnymi przymrozkami.

Wysłałem wiadomość do Cecila i otrzymałem w odpowiedzi polecenia. Podczas tych wszystkich przygotowań zarówno ja, jak i Kate, staraliśmy się nie wspominać zbyt często o zbliżającym się rozstaniu. Kate zakupiła nowy materiał, siadała wieczorami przy ogniu i szyła mi potrzebne na dworze kaftany oraz koszule, ja natomiast ślęczałem nad przepisanymi przez Cecila raportami, usiłując odnaleźć wskazówki, które być może wcześniej przeoczyłem. Napięcie między nami stało się tak widoczne, że nawet pani Ashley zwróciła na nie uwagę w dzień mojego wyjazdu, rankiem, gdy pakowałem rzeczy na drogę.

Pulchna matrona, która od lat doglądała domostwa Elżbiety, stała się również moim oparciem. Kate Ashley, żwawa i bezgranicznie oddana księżniczce, niezmiennie

tryskała optymizmem i potrafiła sprawić, że w jej towarzystwie wszyscy czuli się swobodnie. Wiedziałem, iż ciężko zniosła decyzję Elżbiety, która nie zabrała jej ze sobą do Londynu; księżniczka przed wyprawą tradycyjnie posprzeczała się ze swoją leciwą opiekunką, którą pieszczotliwie nazywała Kat Ash, ta zaś załamywała ręce, patrząc za odjeżdżającą Elżbietą.

– Nic dobrego z tego nie przyjdzie – wzdychała. – Ona i ta jej siostra nie powinny mieszkać w tym samym mieście, a co dopiero pod jednym dachem. Mówiłam jej, żeby trzymała się od tego z daleka, wymówiła się chorobą, ale czy ona kiedykolwiek mnie słuchała? Oczywiście, że nie. No i pojechała, prosto w paszczę lwa.

Teraz pani Ashley wpadła do mojej izby ze słowami:

– Przywieziesz ją do domu? Tym razem bez żadnej błazenady, zakradania się do tajemnych komnat i skakania z okien do Tamizy? Spakujesz ją i przywieziesz tu, gdzie jej miejsce.

Najwyraźniej Kate zwierzyła się matronie wieczorem przy kuchennym stole, gdy udałem się na spoczynek.

– Z chęcią bym tak uczynił – gdyby mi na to pozwoliła – dodałem z uśmiechem.

Kat Ashley prychnęła.

– Ostrzegałam cię, służba u niej to ciężki kawałek chleba. Wymaga więcej, niż daje, i rzadko okazuje wdzięczność. Mam nadzieję, że jesteś na to przygotowany. Nie znosi, kiedy mówi się jej, co powinna zrobić, a jeszcze bardziej, kiedy mówi się jej, czego



czynić nie powinna.

– Jestem tego świadom.

Zasnurowałem torbę, po czym podniosłem ją, żeby zważyć ją w dłoni. Dzięki pożyczce od Cecila mogłem się zaopatrzyć w dwa nowe kaftany, kilka par pończoch oraz buty odpowiednie do chodzenia po dworze, a wszystko to było dość ciężkie. Nie chciałem nadmiernie obciążać mojego wierzchowca, Cinnabara. Wyprawa do Londynu miała potrwać cały dzień albo i dłużej, jeśli pogoda pogorszyłaby się.

Pani Ashley sięgnęła do kieszeni fartucha po paczuszkę owiniętą papierem olejowym i przewiązaną szpagatem.

– Na drogę – powiedziała. Przyjąłem podarek z wdzięcznością, doskonale wiedząc, co znajdę w środku: kawałek świeżo uwędzonej sarniny, gomółkę dobrego sera oraz chleb jeszcze pachnący piecem. Chwilę później matrona wcisnęła mi w rękę kolejne zawiniątko, tym razem niewątpliwie wypełnione monetami. – Oszczędzałam z myślą o tym dniu. Wystarczy kupić mniejszą porcję mięsa, sprzedać dodatkową osełkę masła – i zbierze się ziarnko do ziarnka.

Zaprotestowałem, tłumacząc, że zostały mi jeszcze pieniądze od Cecila, ale pani Ashley uniosła rękę.

– Nalegam. Nie możesz pojawić się na dworze jak jakiś żebrak, jeśli chcesz zrobić dobre wrażenie na królowej. – Przyjrzała mi się bacznie, nasze spojrzenia skrzyżowały się. – Dziewczyna odchodzi od zmysłów –

oznajmiła. Znieruchomiałem. – Nic ci nie powie, ponieważ wie, że wypełniasz swój obowiązek, ale obawia się, że ty też jedziesz prosto do jaskini lwa.

– Wiem – powiedziałem cicho. – Na dworze jednak nikt nie słyszał o Danielu Beechamie.

Wymawiając głośno swoje przybrane imię, bezwiednie potarłem policzki. Zapuściłem brodę, która przybrała miedzianozłoty kolor, przyciąłem ją równo wzdłuż linii szczęki, zostawiając nieco dłuższy, modny szpic. Zapuściłem również włosy i teraz sam siebie ledwo poznawałem. Czy to jednak wystarczy? Czy mogę wrócić na dwór i liczyć, że nikt nie rozpozna we mnie nieopierzonego giermka, który pokrzyżował plany Northumberlandowi?

– Możesz uchodzić, za kogo chcesz – stwierdziła pani Ashley, przenikając moje myśli. Ujęła moją twarz w dłoń. – Kate potrzebuje cię. Mimo że zostaje tutaj, sercem jest z tobą. Wszyscy jesteśmy. Pragniemy tylko jednego – żebyś zdrowo i bezpiecznie wrócił do nas razem z Jej Księżecą Mością.

Poczułem, że coś ściska mnie w gardle.

– Takie słowa nie ułatwiają mi rozstania – wymamrotałem.

– Wcale nie zamierzałam niczego ułatwić. – Poklepała mnie po policzku.

Objąłem ją, zatracając się na chwilę w rześkim zapachu ziół, oleju lnianego i wszystkich innych najprostszycy przyjemności życia.

– No dobrze – mruknęła, odsuwając się. – Wystarczy. Chodź, robi się późno, a ty masz przed sobą długą drogę. Chłopak jest tak rozgorączkowany, że ledwie zipie.

Wzdrygnąłem się.

– Chłopak?

Uśmiechnęła się.

– Naprawdę myślałeś, że puścimy cię samego? Peregrine wybiera się z tobą. – Pogroziła palcem, raz jeszcze ucinając moje protesty. – On i tak nie zostałby tutaj. Dobrze wiesz, że gdy tylko wyjechałbyś, ruszyłyby w ślad za tobą.

## Rozdział 3



Gdy weszliśmy na dziedziniec, zobaczyłem owiniętego peleryną Peregrine'a w wełnianej czapce, pod którą upchał swoje gęste loki. Stał, trzymając konia za lejce. Pani Ashley miała rację: gdybym nawet postanowił nie brać go ze sobą, on nie zostałby tutaj. Bolała mnie myśl, że znów narażę go na czyhające na dworze niebezpieczeństwa, ale wiedziałem również, iż zawsze dobrze mi służył. Uratował mi nawet życie – dwukrotnie, co lubił podkreślać. Nie znalazłbym wierniejszego towarzysza.

Kate, która sprawdzała uprząż Cinnabara, obróciła się.

– Gotowy? – spytała, siląc się na pogodny ton.

– Prawie. – Ruszyłem w stronę Peregrine'a. Chłopak otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale nie dopuściłem go do słowa. – Robisz, co ci każę, bez gadania. O nic nie pytasz. Nie próbujesz zgadnąć moich zamiarów. Jesteś moim giermkim, a giermek ma być na zawołanie swojego pana o każdej porze dnia i nocy. I żebym nie musiał pilnować, żebyś się nie wpakował w jakieś tarapaty. Czy wyrażam się jasno?

– Tak, panie – odpowiedział z oburzeniem.

Kate poprawiła moją pelerynę.

– Uważaj na siebie – powiedziała. Głos jej się załamał.

– Kate. – Wyciągnąłem do niej rękę.

Cofnęła się o krok.

– Nie. Żadnych pożegnań.

Zajrzałem jej w oczy.

– Obiecuję, że najszybciej, jak będę mógł, prześlę ci wiadomość.

– Nie. – Wystarczyło jedno słowo, aby wyrazić to, czego nie ważyliśmy się powiedzieć na głos: że kreśląc choćby kilka słów, mogę się zdradzić. – Po prostu wróc – dodała, po czym przemknęła obok pani Ashley i ruszyła sklepionym przejściem w stronę rezydencji.

Chciałem iść za nią, ale leciwa gospodyni powstrzymała mnie.

– Zostaw ją. Ja się nią zaopiekuję. Teraz już jedź, zanim dziewczyna zmieni zdanie i rozkaże siodłać sobie wierzchowca.

Obróciłem się do Cinnabara. Zwierzę parsknęło zniecierpliwione oczekiwaniem. Peregrine stanął na podstawce i wdrapał się na grzbiet jabłkowitego wałacha.

Ruszyliśmy przed siebie, w stronę drogi. Kiedy się obejrzałem, zobaczyłem sylwetkę pani Ashley odcinającą się na tle czerwonego murowanego domostwa oplecionego nieustępliwym, okalającym okna bluszczem, którego liście zaczynały brązowieć. Gospodyni uniosła rękę w geście pożegnania. Raz po raz

oglądałem się za siebie, dopóki matrona i rezydencja Hatfield nie zniknęły mi z oczu.

Chociaż nie dostrzegłem Kate, wiedziałem, że stoi w jednym z okien i odprowadza mnie spojrzeniem.

Dzień był rześki, słońce zdawało się matowym krążkiem świecącym blado na białym niczym kość niebie. Gdy minęliśmy granice majątku, puściliśmy się cwałem, a konie z radością powitały okazję do rozprostowania nóg. Nie miałem ochoty wypełniać ciszy czczą gadaniną. Wyczuwając mój nastrój, Peregrine również milczał, przynajmniej do chwili, gdy zatrzymaliśmy się na południowy posiłek. Kiedy przystąpiłem do krajania sera, sarniny i chleba, w końcu dał upust swojej ciekawości i zadał pytanie, które dręczyło go od czasu wizyty Cecila. Jak zwykle uważnie słuchał wszystkich toczących się w domu rozmów, aby wywęszyć cel naszej podróży.

– Czy grozi jej niebezpieczeństwo? – spytał, odgryzając spory kawał chleba. Jadł za dwóch, ale cały czas pozostawał chudy jak szczapa. Za każdym razem, gdy widziałem, jak łapczywie połyka jedzenie, zastanawiałem się, ile razy w swoim krótkim życiu głodował.

– Pogryź dokładnie. Tak, być może coś jej grozi. A być może zupełnie nic. Tego jeszcze nie wiem. Jadę na dwór, żeby się dowiedzieć.

Na twarzy chłopaka odmalowało się powątpiewanie.

– Ale przez przypadek usłyszałem, jak panna Kate

rozmawiała z panią Ashley, i panna Kate powiedziała, że cesarski poseł chce doprowadzić do tego, aby aresztowano księżniczkę za zdradę.

– Przez przypadek? To twoje nadstawianie uszu wpędzi cię kiedyś w większe kłopoty, niż jesteś tego wart. Zapomniałeś już, co ci mówiłem?

Młodzian westchnął.

– Mam nie próbować odgadnąć twoich zamiarów, panie.

– Właśnie. Nie żartuję, Peregrine. To nie jest zabawa.

– A kto mówił, że jest? – Wydawał się urażony. – Jeśli jednak księżniczce grozi niebezpieczeństwo, równie dobrze możesz mi powiedzieć o tym teraz, panie. Chyba nie chcesz, żebym wałęsał się po dworze, nic nie wiedząc.

– Nie chcę, żebyś w ogóle wałęsał się gdziekolwiek. Masz robić, co ci każę, a inaczej przyrzekam, odeślę cię do Hatfield, spętanego, jeśli zajdzie taka potrzeba.

– Dobrze, panie. – Chwycił ostatni kawałek sarniny i wpackował go sobie do ust. – Powiedz mi tylko jeszcze jedno, panie – wymamrotał, przeżuając mięso.

– Co takiego?

– Że nie zamierzasz wpaść do rzeki. Bo Tamiza czasami zamarza zimą i trudno będzie cię uratować... – Roześmiał się i schylił, aby uniknąć mojej dłoni, gdyż chciałem zdzielić go po głowie. Miał cudowny śmiech, taki, jaki powinien mieć każdy młody chłopak. Po raz pierwszy od opuszczenia Hatfield ja również się

uśmiechnąłem.

– Jesteś nie do wytrzymania – westchnąłem. – Zbierajmy się. Chcę dotrzeć do miasta przed zmrokiem.

Ruszyliśmy w dalszą drogę. Na gościńcu mijaliśmy niewielu podróżników, paru chłopów, grupę kupców pozdrawiających nas nieufnie i wlokących się noga za nogą obok załadowanych towarami wozów. Dość szybko pobielony śniegiem krajobraz hrabstwa Hertfordshire zaczął ustępować miejsca osadom i wioskom, które wyrastały wśród pól tym częściej, im bliżej znajdowaliśmy się Londynu. Na trakcie zrobił się większy ruch; ludzie spieszyli się, aby zdążyć do miasta przed zamknięciem bram. Gdy przejeżdżaliśmy obok zbudowanego z kamieni kościołka, z którego płynęło bicie dzwonów, zauważyłem lekko pochylony krzyż, świeżo i trochę niezdarnie umocowany na szczycie wieży. W stronę świątyni zmierzały opatulone chustami kobiety ciągnące za sobą przemarznięte dzieci.

Peregrine również przyglądał się tej scenie. Zerknąłem na niego.

– Wyznajesz starą religię?

Wzruszył ramionami.

– Nigdy nie przywiązywałem zbyt wiele wagi do religii. Myślę, że Bóg również.

Zdumiało mnie, że chłopak niechcący wygłosił moją własną opinię na ten temat. Ja także często się zastanawiałem, na ile jedno wyznanie może być lepsze od drugiego, zwłaszcza gdy z ich powodu przelano tak



wiele krwi, nie obnosiłem się jednak ze swoimi wątpliwościami, ponieważ snucie rozważań na tematy religijne nigdy nie było bezpieczne.

Zapadł zmierzch, gęsty od płatków śniegu. Cinnabar prychał niecierpliwie. Poklepałem go po szyi. Ja też odczuwałem znużenie, o chłodzie nie wspominając. Ukryte w rękawicach dłonie zdawały się przymarznąć do lejców, krocze miałem obolałe od siedzenia w siodle. Myślam cofnąłem się do Hatfield, gdzie Kate o tej porze na pewno zapalała już świece przed wieczornym posiłkiem...

– Widać bramę. – Głos Peregrine’a wyrwał mnie z zamyślenia. – Wystarczy przejechać, skrócić w stronę ulicy Strand i ruszyć nią prosto do pałacu.

Skupiłem uwagę na manewrowaniu między chmurą podróżnych walących tłumnie w stronę miasta, którego bramy wkrótce miały się zamknąć. Gdy uiszczałem opłatę drogową, w pamięci odżyło mi wspomnienie mojej pierwszej wizyty w Londynie. Wpatrywałem się wtedy z podziwem w rozpościerające się przede mną mury i połyskującą w oddali wstęgę Tamizy, nie mając pojęcia, jaka przygoda mnie tu spotka. Teraz również ogarnęło mnie lekkie podniecenie i poczułem znajomy ucisk w trzewiach.

Wszędzie naokoło kłębili się ludzie; jedni zamykali stragany i spieszyli do domu po załatwieniu ostatnich sprawunków, inni z radością witali wieczór, ochoczo przekraczając progi zadymionych gospód i wrzaskliwych

karczm. Wyniszczone, krzykliwie umalowane nierządnice przechadzały się ciemnymi zaułkami, uważnie wymijając wszechobecnych żebraków, złodziei i czujnych kieszonkowców. Pod nogami przemykały wychudzone psy, w poszukiwaniu jedzenia obwąchujące rynsztoki, które prowadziły w stronę rzeki. Wysoko ponad głowami połączone przejściami szczyty drewnianych domów tworzyły wąski korytarz, w którym unosił się fetor nieczystości wylewanych przez okna prosto na głowy przypadkowych przechodniów.

Z początku nie dostrzegłem większych zmian. Londyn wydał mi się równie brudny i nieprzewidywalny jak za ostatnich dni panowania zmarłego króla Edwarda. Kiedy jednak ruszyliśmy w stronę ulicy King i pałacu, zauważyłem wymalowane na murach napisy: „ŚMIERĆ PAPISTOM!” oraz „HISZPANIE PRECZ!”. Na ziemi leżały rozrzucone afisze, teraz już zabłocone i nieczytelne, ale bez wątplenia wyrażające ten sam sprzeciw. Wyglądało na to, że zwykli londyńczycy nie byli zadowoleni z przybycia habsburskich posłów.

Wreszcie wyłonił się przed nami pałac Whitehall. Wjechaliśmy na dziedziniec i zsiadliśmy z koni. Obok nas przemaszerowali naburmuszeni urzędnicy z zarzuconymi na ramiona pelerynami i czapkami mocno wciśniętymi na głowę. Żaden z nich nie zwrócił na nas uwagi. Śnieg padał coraz gęściej, pobielając kamienne płyty podwórza. Rozległ się stukot kopyt Cinnabara, który poruszył się niespokojnie.

– Trzeba nakarmić i oporządzić konie – powiedziałem.

Peregrine wziął ode mnie cugle. Dałem mu dwa dukaty z sakiewki, którą przesłał mi Cecil. Nie zbywało mu na szczodrości. Miałem wystarczająco dużo pieniędzy, żeby wygodnie się urządzić, pod warunkiem że nie zatrzymam się na dworze zbyt długo.

– Czekał. – Chwyciłem chłopaka za nadgarstek. – Jak mnie znajdziesz?

Prychnął.

– Przecież mieszkałem już tutaj, prawda? I na pewno nie umieszczą cię w królewskich komnatach, panie.

– Dobrze, ale nie ociągaj się. Gdy oporzędzisz konie, od razu wracaj do mnie.

– Tak, panie. – Uniósł głowę z godnością i z przesadnym dostojeństwem powiodł konie w stronę stajni.

Przewiesiłem torbę przez ramię, po czym ruszyłem do najbliższego wejścia. Drogę zastąpiło mi trzech owiniętych w peleryny wartowników dzierżących halabardy. Musiałem powtórzyć dwukrotnie, że przybyłem porozmawiać z lordem Rochesterem, zanim jeden ze strażników odezwał się szyderczo:

– Z księgowym Jej Królewskiej Mości? A czegoż może chcieć taki prostak jak ty od takiego ważnego pana?

– Możecie mu przekazać, że czeka na niego pan Beecham? – spytałem ze znużeniem w głosie.

Podawszy swoje przybrane imię w nadziei, że Rochester będzie mnie pamiętał, czekałem w kolumnadzie na odpowiedź, dygocząc z zimna. Wydawało mi się, że minęło wiele godzin, zanim w końcu dobiegł mnie gromki okrzyk:

– Do kroćset, toż to ten sam pan Beecham, który ocalił nas wszystkich od niechybnej śmierci! – Kiedy się odwróciłem, zobaczyłem rozpromienioną twarz lorda Rochesterera.

Ostatni raz widziałem go w hrabstwie Norfolk, kiedy zbierał oddziały w obronie Marii, która przygotowywała się do walki o tron z Northumberlandem. Już wtedy Rochester był tęgiej postury, teraz jednak wydawał się jeszcze potężniejszy w swoim przyciasnym kaftanie z kosztownego ciemnofioletowego aksamitu i ze złotym łańcuchem księgowego zawieszonym na muskularnych ramionach. Policzki miał zaczerwienione, a jego oddech czuć było pieczonym mięsiwem i grzanym winem.

Potrząsnął moją dłońią.

– Pan Beecham! Kto by się spodziewał! Myślałem, że już nigdy się nie zobaczymy. Po spotkaniu we Framlingham zniknął pan jak duch.

Zmusiłem się do uśmiechu.

– Niestety wezwały mnie pilne sprawy w innej części królestwa.

Rochester zarechotał.

– Niewątpliwie, zwłaszcza że inni ludzie Nortumberlanda również rozpierzchli się po całym

królestwie, gdy ich pana skrócono o głowę. Mniejsza o to. Teraz jest pan tutaj i cieszę się z tego, podobnie jak uraduje się Jej Królewska Mość.

Poprowadził mnie obok wartowników i weszliśmy do pałacu. Powoli odzyskiwałem czucie w skostniałych dłoniach i stopach, gdy przemierzaliśmy kolejne korytarze obwieszane gobelinami.

– Ile to czasu upłynęło? – spytał Rochester. – Pięć miesięcy? Sześć? Ach, tyle zdążyło się wydarzyć od tamtej pory. Być może nie wie pan o tym – zerknął na mnie z ukosa – ale Jej Królewska Mość zjednała sobie serca poddanych. To nowa Anglia, panie Beecham, zupełnie nowa. Och, ależ Jej Królewska Mość uraduje się na pana widok. Uraduje i odetchnie z ulgą. Zastanawiała się, co się z panem stało.

Jego słowa dodały mi otuchy. Niezmiernie ważne było to, by królowa ucieszyła się z mojego powrotu.

Rochester raptownie przystanął.

– Lepiej jednak nie wspominać spraw z przeszłości, prawda? Jej Królewska Mość bez wątpienia okaże wdzięczność za pana zasługi, ale... cóż – odkaszlnął z zakłopotaniem – na pana miejscu nie wracałbym do nich. Królowa na pewno wolałaby zapomnieć o tym, co zamierzali wobec niej Northumberland i jego synowie.

– Oczywiście, rozumiem potrzebę dyskrecji.

– Tak, taki człowiek jak pan potrafi to zrozumieć. Szuka pan zatem zajęcia? Jeśli tak, to ośmielę się stwierdzić, że nietrudno będzie je znaleźć. Jej Królewska

Mość zawsze potrzebuje zdolnych ludzi, a pan z pewnością zalicza się do ich grona.

Miałem jedynie nadzieję, że Maria będzie podobnego zdania. Nie miałem odwagi zapytać o Elżbietę, chciałem jednak dowiedzieć się o losach przyjaciela, od którego dłuższy czas nie otrzymywałem żadnych wieści.

– Czy na dworze bawi Barnaby Fitzpatrick?

Rochester zawahał się i zmarszczył brwi, ale już po chwili na jego twarz powrócił szeroki uśmiech.

– Ach, ma pan na myśli towarzysza naszego zmarłego króla. Nie, przebywa obecnie w Irlandii. Jej Królewska Mość uznała jego prawa do tytułu barona Upper Ossory. Wyjechał kilka miesięcy temu.

Nic na to nie powiedziałem, pamiętałem bowiem, że Barnaby obawiał się rządów Marii z powodu jej żarliwości w kwestiach religijnych. Najwyraźniej udało mu się znaleźć sposób na ucieczkę z najbliższego otoczenia monarchini.

Znaleźliśmy się w krużganku. Na końcu ozdobnego sklepionego przejścia widniały ogromne dwuskrzydłowe drzwi. Gdy pochwyciłem odległe dźwięki muzyki, serce zabiło mi szybciej. Za tymi drzwiami mieściła się sala tronowa. Rochester poprowadził mnie jednak w przeciwnym kierunku, w stronę kolejnej, mroczniejszej kolumnady, potem zaś przez wąski korytarz, z którego weszliśmy na ciasne schody.

Rochester sapał, nie mogąc złapać tchu z powodu swojej tuszy.

– Umieszczę pana w jednej z pomniejszych komnat na drugim piętrze. Gościmy habsburskich posłów i pałac chwilowo pęka w szwach. Później postaramy się znaleźć coś lepszego, jeśli wolno mi to zaproponować.

Weszliśmy do holu o nisko zawieszonym stropie prowadzącego do pomieszczeń ukrytych za niewyszukanymi drzwiami, które ciągnęły się po obu jego stronach. Tę część pałacu również pamiętałem. Swego czasu umieszczono w niej Roberta Dudleya i jego braci, gdy ich ojciec dzierżył władzę. Dziwnie się poczułem, stojąc tu jako wolny człowiek na służbie u księżniczki, podczas gdy zaledwie kilka miesięcy wcześniej przemierzałem te same korytarze jako giermek Dudleyów, a moje szanse na odmianę losu były znikome.

– Przybył pan ze służącymi? – Rochester przeszukał pęk kluczy zawieszonych na żelaznej obręczy, który wyjął niczym magik z kieszeni obszernych pumpów.

– Z jednym giermkim. Poszedł do stajni oporządzić konie.

– Och, to dobrze. W izbie starczy miejsca dla was obu.

Gdy przekręcał klucz w zamku, zamarłem. Naprawdę umieści mnie w tej samej komnacie? Pchnął drzwi, a ja zerknąłem do środka i uspokoiłem się. Nie, było to inne pomieszczenie, mimo że nieco przypominało zagracony chlew, w którym sypiali synowie Dudleya. Izba, do której weszliśmy teraz, była mniejsza i niemal w całości

zajmowało ją proste łoże. Na posadzce leżał pleciony z sitowia dywanik, przy ścianie stały chybotliwy stołek i wysłużony kufer, na nim zaś spoczywały cynowa karafka, zwichrowany lichtarz i dwa drewniane kubki. W rogu stało wiadro, zapewne służące za wygódkę. Wąskie, wysoko osadzone okno przeszklone grubą szybą prawdopodobnie wpuszczało niewiele słońca. Teraz ciemności rozpraszało nikłe światło lampek łojowych.

– Nie ma tu zbytków, ale przynajmniej jest czysto – oznajmił Rochester – i nie panuje taka wilgoć jak na niższych piętrach. O tej porze roku w ciągu jednej nocy można dostać tam febry.

– Odpowiada mi to. – Położyłem torbę na podłodze. – Wolę skromną kwaterę.

– Cóż, skromniej się już nie dało. Zapewne jest pan głodny. Zostanie coś z dzisiejszej uczyty. Może pan pójść do kuchni albo posłać giermka po posiłek. Dopilnuję, żeby go o wszystkim powiadomiono. Stajnie są pełne i może mieć kłopoty ze znalezieniem miejsca dla wierzchowców. Hiszpanie przyjechali z końmi. – Przewrócił oczami. – Da pan wiarę? Z końmi! Przywieźli je tutaj aż z Hiszpanii na okrętach, jak gdyby nie wiedzieli, że my też jeździmy konno.

– Słyszałem, że hiszpańskie rasy należą do najlepszych na świecie – powiedziałem. Nie chciałem dać się wciągnąć w krytykę zagranicznych gości, chociaż zwróciłem uwagę, iż Rochester określił poselstwo habsburskie lekceważącym mianem „Hiszpanie”.



Przypomniały mi się napisy, które widziałem na ulicach Londynu, dodałem więc: – Ludzie nie wydają się szczególnie zadowoleni z ich wizyty. Widziałem afisze na mieście.

– Tak, to robota młodziaków terminujących u rzemieślników. – Pokręcił głową. – Banda szubrawców. Powinni trzymać język za zębami, inaczej Jej Królewska Mość każe ich wszystkich uwięzić za bezczelność. – Mówił z coraz większą powagą. – Niedawno doszło do pewnego incydentu na dworze. Ktoś podrzucił zdechłego psa do kaplicy królowej. – Skrzywił się. – Wygolono mu na łbie tonsurę, jak duchownemu, i przywiązano do szyi list, w którym grożono śmiercią wszystkim katolikom. Od tamtej pory z polecenia królowej bardzo ściśle przestrzega się zakazu poruszania się po mieście od późnego wieczoru do świtu. Młodzi terminatorzy dalej rozwieszają afisze, ale czynią to głęboką nocą i bardzo ostrożnie, aby nie natknąć się na strażę. Jeśliby któregoś złapano, obcięto by mu dłoń.

Zastanowiłem się nad tym, co usłyszałem, przez dłuższą chwilę. Najwyraźniej niechęć wobec Hiszpanów okazywano jawniej, niż Cecil przypuszczał. Uznałem, że nie zaszkodzi spytać. Plotki o małżeństwie nie mogły być tajemnicą, skoro w Londynie zapanował aż taki niepokój.

– Słyszałem, że Jej Królewska Mość rozważa zawarcie związku małżeńskiego z Filipem, księciem Hiszpanii. Czy to może mieć coś wspólnego z tymi

zajściami?

Rochester zamarł na moment, po czym odparował:

– Z księciem Hiszpanii? A gdzież to pan usłyszał? Na pana miejscu nie przywiązywałbym wagi do rozmaitych pogłosek. Plenią się jak chwasty. – Poprawił kaftan. – Cóż, proszę teraz zażyć trochę odpoczynku. Powiadomię Jej Królewską Mość i przyślę po pana, gdy królowa znajdzie czas, żeby pana przyjąć.

Skłoniłem głowę.

– Jestem szczerze wdzięczny za okazaną mi życzliwość.

– Och, nie ma o czym mówić! To zaszczyt znów pana gościć.

Wyszedł i zamknął za sobą drzwi. W ciszy, która zapanowała, podszedłem do karafki, aby jej dotknąć.

Była gorąca. Uniosłem pokrywkę i zobaczyłem grzane wino.

Odniosłem nieodparte wrażenie, że Rochester oczekiwał mojego przybycia.

Wypiłem połowę dzbana, a następnie zwałem się na łoże. Mimo że materac trzeszczał, a ja ze wszystkich sił starałem się nie zasnąć, niemalże natychmiast zapadłem w sen. Kiedy się przebudziłem kilka godzin później, poczułem suchość w ustach. Rozejrzałem się po izbie, było jednak tak ciemno, że nie widziałem własnych dłoni, które uniosłem do twarzy. Powoli dochodziłem do siebie i po chwili zorientowałem się, że nie jestem sam. Przy moich stopach leżało coś ciężkiego i ciepłego.

Wyciągnąłem rękę. Poczułem dotknięcie miękkiego pyska i liźnięcie językiem. Od razu poznałem ukochanego charta Elżbiety, Uriana, którego zabrała ze sobą z Hatfield na dwór. Zrzuciłem z nóg szorstki koc i szturchnąłem Peregrine'a, który, tak jak się tego spodziewałem, leżał owinięty peleryną na dywaniku z trzciny i drzemał.

– Przeziębisz się na śmierć, jak będziesz tak spał! I nie spieszyłeś się zbytnio z powrotem.

– Za to znalazłem Uriana, nieprawdaż? – spytał. – Poznałem również stajennego, który powiedział mi, że księżniczka udaje się każdego ranka na przejażdżkę konną razem z przyjacielem. Nie wiedziałem, że ma tutaj przyjaciół.

W jednej chwili oprzytomniałem.

– Ja również nie wiedziałem. Czy stajenny mówił, kim jest ów przyjaciel?

– To Edward Courtenay, hrabia Devon. Zdaje się, że jest kuzynem Jej Księżęcej Mości.

– Dowiedziałeś się czegoś jeszcze? – Z trudem się powstrzymywałem, żeby nie zarzucić chłopaka pytaniami, ponieważ dobrze pamiętałem, co Cecil mówił mi o Courtenayu. Uspokoilem oddech, udając, że z powrotem zapadam w sen, i dopiero po chwili mruknąłem: – Zauważy, że zniknął jej pies.

– O to chodziło. Urian nie poszedłby z nikim, komu by nie ufał.

Uśmiechnąłem się, krzyżując ręce pod głową, a chart

Elżbiety umościł się między moimi nogami. Peregrine oddychał coraz głębiej. Ten chłopak zasnąłby nawet na stojąco.

Teraz wiedziałem już na pewno, że Elżbieta zbliżyła się z Courtenayem, i niezależnie od natury ich sojuszu, nie wróżył on nic dobrego, zwłaszcza jeśli Renard obrał ich sobie za cel ataku. Potem powędrowałem myślami do zdechłego psa podrzuconego do kaplicy królowej i przywiązanej do szyi zwierzęcia odezwie potępiającej katolików.

Na jakąż niebezpieczną drogę wkroczyła Elżbieta?

# WHITEHALL

## Rozdział 4



Zbudziłem się przed świtem. Gdy rozbiwszy cienką skorupę lodu, ochlapałem twarz wodą z miednicy, Peregrine zerwał się na nogi i chcąc mi usłużyć, wypadł z izby ze zmierzwionymi włosami, aby przynieść w dzbanie świeżej wody.

Kiedy wrócił, stanąłem w chropowatej miednicy, a wtedy chłopak wylał mi na głowę zawartość dzbana, tak lodowatą, że ledwo mogłem poruszyć rękami, żeby się obmyć.

– Musisz znaleźć nam jakiś piec, choćby starą kozę, obojętnie co, byle tylko można było w tym napalić – wycodziłem, szczękając zębami. – Nie mogę myć się w taki sposób każdego ranka. Zamarznę na śmierć!

– Tak, panie – powiedział, po czym odskoczył, gdy zamachnąłem się na niego pończochami.

Wciągnąłem na siebie ubranie szybciej niż kiedykolwiek w życiu, nie przejmując się tym, że nie wytarłem się po porannej toalecie. Gdy wsuwałem sztylet za cholewę buta, Urian stał już przy wyjściu, skomlać i drapiąc w drzwi.

– Trzeba go wypuścić – oznajmił Peregrine, który najwyraźniej nie zamierzał brać ze mnie przykładu i myć

się tego ranka, mimo że spał w ubraniu, był cały pomięty i rozczochrany.

– Dobrze, wyjdź z nim – poleciłem. – Skoro już będziesz na zewnątrz, sprawdź nasze konie. Dopilnuj, żeby dobrze je nakarmiono i żeby miały ciepło. Zaraz do ciebie dołączę. Chcę się przyjrzeć temu Courtenayowi. A, i jeśli spotkasz Jej Księżęcą Mość przede mną, postaraj się ją zatrzymać, ale uczyn to tak, aby nikt się nie zorientował, że się znacie.

– Na pewno uraduje się na mój widok – rzucił Peregrine z przekąsem, po czym przypiął smycz do czerwonej skórzanej obroży Uriana i wyszedł.

Wsunąłem rapier razem z pochwą pod łożę. Na dworze nie wolno było nosić broni, a przynajmniej nie wolno było nosić jej otwarcie. Potem rozejrzałem się za kryjówką dla mojej torby. Nie miałem nic, co mogłoby świadczyć przeciwko mnie, oprócz książki, która – jak uzgodniłem z Cecilem – miała służyć jako klucz do szyfru na wypadek, gdybym musiał przekazać tajną wiadomość. Wolałem nie zostawiać jej na widoku. Żadna z desek w podłodze nie była na tyle obluźwana, bym mógł ją podważyć. Postanowiłem schować torbę do skrzyni, a gdy tylko zamknąłem jej wieko, rozległo się pukanie do drzwi. Otwarłem je i w progu zobaczyłem Rochesterera, który uśmiechał się i wyglądał na zadowolonego z siebie.

– Dzień dobry, panie Beecham. Mam nadzieję, że wypoczął pan po trudach podróży. – Urwał i przyjrzał mi

się uważnie. – Jest pan gotów?

– Gotów? – spytałem, nie zrozumiawszy go.

– Tak. Jej Królewska Mość zgodziła się przyjąć pana dziś rano. Prawdę mówiąc, nalegała na to.

Śnieg tworzył małe zasy na parapetach krużganków, przemieniając dziedzińce w wyścielane białym atłasem szkatułki. Wewnątrz pałacu panował dojmujący chłód pomimo rozłożonych wszędzie dywanów i pozawieszanych gobelinów. Zespół pałacowy Whitehall, którego liczne części połączone były długimi kolumnadami i korytarzami, a obite siedziska w oknach wykuszowych świadczyły o tym, że ważniejsza od obronności budowli była jej zbytkowność, pozostawał nieukończony. Ów zaprojektowany z rozmachem labirynt przesadnie okazałych przejść, komnat, pomieszczeń dla służby i sal urzędowych wznoszono od wielu lat, jednak mimo to nadal sąsiedował z plandekami i rusztowaniami rozstawionym przy niedokończonych murach, a w szparach między cegłami świstał wiatr.

Zanim dotarliśmy do krużganka ozdobionego pociemniałymi od dymu malowidłami, stopy, chociaż obute, zdążyły mi przemarznąć do kości. Wartownicy rozstąpili się, aby wpuścić nas do świata, który po raz pierwszy odsłonił się przed moimi oczami: do amfilady wyłożonych boazerią i urządzonych z przepychem komnat o sutych kotarach, złotych i srebrnych tacach i kandelabrach oraz rzeźbionych krzesłach tak dużych, że mogły służyć za posłania. Na krytej dywanami posadzce

leżały rozsypane zasuszone kwiaty lawendy i rozmarynu, które kruszyły się pod naszymi stopami, uwalniając intensywny zapach. W paleniskach wbudowanych w pałacowe mury trzaskały jabłoniowe polana, ogrzewając pomieszczenia tak mocno, że panował w nich niemalże letni upał. Już po chwili poczułem, iż krople potu zaczynają ściekać mi po plecach pod moim nowym dopasowanym kaftanem. Nagła zmiana temperatury na pewno sprzyjała rozwojowi różnych chorób, pomyślałem, i przypomniała mi się teoria Kate o wpływie pogody na nasze humory.

Zdjąłem czapkę. Gdy ocierałem brwi, dobiegła mnie salwa kobiecego śmiechu. Rochester podszedł do srebrnej zasłony z gazy zawieszanej nad sklepionym przejściem, które zdobiło gipsowe nadproże przedstawiające rozbawione cherubiny. Spojrzał na mnie i uśmiechnął się sprośnie.

– Będzie pan niczym lis w kurniku, ale takiemu młodemu byczkowi nie powinno przeszkadzać zainteresowanie ze strony dam.

Odpowiedziałem uśmiechem i poprawiłem kaftan. W komnacie za zasłoną rozległ się charakterystyczny szorstki głos królowej:

– Panno Dormer, proszę natychmiast uciszyć te piekielne chichoty! Nie słyszę własnych myśli. A teraz proszę powiedzieć: czy ten stroik pasuje? Nie będę tu stała cały dzień.

Odsunąłem zasłonę i wszedłem w sam środek



rozbawionego rozmową niewieścigo towarzystwa.

Znalazłem się w obszernej komnacie o dwóch ogromnych oknach wychodzących na ośnieżony park. Poza tym w pomieszczeniu panował olbrzymi nieład i wszędzie dookoła – na stołach, krzesłach, kredensach, a nawet gdzieniegdzie na podłodze – leżały skrawki różnokolorowych materiałów. Kilka małych czarno i brązowo cętkowanych psów o puchatych uszach i ozdobnych wysadzanych klejnotami obrożach rozszczękało się jazgotliwie na mój widok. Najodważniejszy i najczarniejszy z nich rzucił się w moją stronę i wgryzł w czubek buta, wywołując wybuch wesołości wśród zebranych dam. Szczupła jasnowłosa panna ubrana w srebrną atlasową suknię zerwała się z miejsca, aby odciągnąć ode mnie napastliwego pieska. Zerknęła na mnie płochliwie. Miała duże niebieskoszare oczy i piękną cerę zabarwioną rumieńcem nieśmiałej młodości. Nie mogła mieć więcej niż siedemnaście lat.

– Proszę o wybaczenie – powiedziała, a ja poznałem to lekko chropawe brzmienie, które wyróżniało się już wcześniej w chórze roześmianych kobiecych głosów. – Niedawno go dostałam i niestety nie został jeszcze odpowiednio wytresowany. Bardzo nie lubi obcych.

– Jak się wabi? – Wyciągnąłem rękę, aby pogłaskać pieska, którego młoda dama trzymała w ramionach, zwierzę jednak zawarczało i obnażyło kły.

– Blackie. – Uśmiechnęła się skromnie. – Ja

nazywam się Jane Dormer.

– To zaszczyt panią poznać, panno Dormer.

Złożyłem ukłon i w tej samej chwili podeszła do mnie wychudzona, ale urodziwa kobieta, w której rozpoznałem ulubienicę królowej lady Susan Clarencieux. Uśmiechnęła się serdecznie; pamiętała mnie z czasów spisku Northumberlanda, kiedy to pomogłem jej i Marii uciec przed pościgiem Roberta Dudleya i znaleźć schronienie w zamku Framlingham.

Lady Clarencieux zwróciła się do Jane Dormer:

– Nie sądzę, aby ten kawaler przyszedł tu zobaczyć się z tobą. I będziesz musiała nałożyć swojemu pieskowi kaganiec, jeśli nie przestanie rzucać się do kostek wszystkim nieznanym.

Rozległ się stłumiony chichot pozostałych kobiet, a Jane Dormer spłonęła rumieńcem. Uśmiechnęła się do mnie nieśmiało, po czym wróciła na miejsce. Mimo że nie znałem większości dam, które wpatrywały się we mnie z nieskrywaną ciekawością, zauważyłem, iż nie ma wśród nich Elżbiety. W następnej chwili dostrzegłem nieznaczny gest lady Clarencieux, po którym jedna z matron pośpiesznie szarpnęła za płócienną zasłonę, zakrywając duży portret oparty o ścianę w rogu. Zanim materiał opadł, zdążyłem uchwycić wizerunek uwieczniony na płótnie – jasnowłosego brodatego mężczyznę o wysuniętym podbródku i dobrze zbudowanych nogach w białych pończochach.

– Panie Beecham, jestem tutaj.

Obróciłem się i zobaczyłem królową stojącą przed zwierciadłem. Spoglądała na mnie w odbiciu, a jej głowę zdobiło coś na kształt zawoju.

Ukloniłem się nisko.

– Wasza Królewska Mość, czuję się zaszczycony, że mogłaś mnie tak szybko przyjąć.

Królowa ściągnęła usta. Zmierzyła mnie od stóp do głów, po czym posłała mi krótki uśmiech, odsłaniając pokryte nalotem zęby.

– Ależ tak, to rzeczywiście pan. Nie miałam z początku pewności.

Maria Tudor nie była piękna. Urodę, którą niegdyś mogła posiadać, straciła w wyniku wieloletniej zaciętej walki, dlatego teraz wyglądała starzej niż na swoje trzydzieści siedem lat. Jej blisko osadzone orzechowe oczy oplatała sieć zmarszczek, a zapadnięte policzki świadczyły o przedwczesnej utracie zębów. Słaby wzrok sprawił, że między jej ledwo widocznymi brwiami utworzyła się szeroka bruzda, a do tego wszystkiego królowa była wymizerowana i pod sztywną, inkrustowaną szlachetnymi kamieniami suknią rysowała się niemalże dziecięca figura. Jednak niedostatki urody rekompensowały jej wrodzona godność oraz szczodrość serca, którą zjednywała lojalność służących jej ludzi.

– Niech ktoś będzie łaskawy zdjąć to ze mnie – rozkazała monarchini. Lady Clarencieux pospieszyła z pomocą i uwolniła królową od oryginalnego nakrycia głowy. Proste miedzianozłote włosy, gdzieniegdzie

przetykane nitkami siwizny, rozsypały się na ramiona monarchini. Maria Tudor westchnęła, zebrała nierozczesane pasma przepaską i znów na mnie spojrzała. – Coś się zmieniło. Wygląda pan inaczej.

– Może dlatego, że mam teraz brodę, Wasza Królewska Mość? – podsunąłem.

– Nie, ostatnio również miał pan brodę, choć nie tak modnie przystrzyżoną. – Zdumiała mnie jej pamięć do szczegółów. Czując, że oczy wszystkich kobiet w komnacie zwrócone są na mnie, delikatnie zasugerowałem: – Zapusiłem włosy i nabrałem tuszy, Wasza Królewska Mość.

Monarchini rozpromieniła się.

– Tak, w tym rzecz. Jest pan potężniejszy. – Wydawała się niezmiernie zadowolona z tego, że wydedukowała, na czym polega owa zmiana. Jednak chwilę później chmura przebiegła jej po twarzy, a radość zgasła niczym słońce. Skoro nabrałem tuszy – niemalże słyszałem jej myśli – gdzie przebywałem? Na czyim wikcie? Pod czyim dachem? Następnie z jej ust padła kąśliwa uwaga: – Być może łatwiej byłoby nam rozpoznać pana, gdyby raczył pan zaszczyścić nas swoją obecnością na dworze wcześniej. O ile nie myli nas pamięć, jeszcze we Framlingham proponowaliśmy panu przyjęcie służby u nas.

– Tak, Wasza Królewska Mość, proszę mi wybaczyć to niefortunne spóźnienie. Uznałem, że najrozsądniej będzie opuścić dwór na pewien czas. – Zniżyłem głos

i postąpiłem krok w przód. Zauważyłem, że królowa wzięła głębszy oddech, słysząc mój poufaly ton. – Obawiałem się, że być może będzie tu ktoś, kto będzie miał mi za złe to, iż zawiodłem zaufanie pewnych osób. Mimo że bez wahania ponownie stawilibym czoła niebezpieczeństwu w twojej, pani, obronie, nie chciałem niepotrzebnie ryzykować.

Monarchini patrzyła na mnie w milczeniu, ja zaś cofnąłem się, aby przywrócić odpowiedni dystans między nami.

– Rozumiemy. I zapewniamy, że jest pan tutaj całkowicie bezpieczny. Nie zapomnieliśmy o nieocenionych przysługach, które nam pan wyświadczył.

Wyciągnęła do mnie prawą dłoń ozdobioną pierścieniem koronacyjnym. Gdy pochyliłem się, aby pocałować klejnot, wydałem ledwo słyszalne westchnienie ulgi. Cecil się nie mylił: królowa nadal darzyła mnie zaufaniem.

Usłyszałem jej głos:

– W przyszłości jednak proszę pamiętać, że nie lubimy, kiedy lekceważy się nasze zaproszenia. Przekonał się o tym chociażby były pana mocodawca.

Po plecach przeszedł mi dreszcz. Wyprostowałem się. Królowa klasnęła w dłonie, na co ponownie rozległo się ujadanie małej sfory. Damy przekopywały się przez stosy tkanin, Maria zaś zwróciła się do mnie:

– Porozmawiajmy teraz o powodach, dla których

zaszczycił nas pan swoją wizytą. Rochester mówi, że szuka pan posady.

– Owszem, jeśli wolno mi być szczerym – przyznałem.

Lady Clarencieux podała Marii skrawek atłasu w kolorze kanarkowym. Zerknąłem w stronę ławy pod oknem, na której siedziała młoda panna Dormer i głaskała swojego pieska. Zarumieniła się, gdy mrugnąłem do niej.

Maria przyłożyła żółty materiał do policzka.

– Pasuje? Jak pan sądzi?

Drgnąłem. Królowa postukała nogą. Zauważyłem, że lady Clarencieux przygląda mi się z rozbawieniem. Czyżby monarchini proponowała mi posadę garderobianego?

– Jest... dość jaskrawy – orzekłem bezradnie.

– W końcu ktoś, kto mówi prawdę, Wasza Królewska Mość – odezwał się dźwięczny, a jednocześnie gładki jak jedwab głos, po czym zbliżyła się do nas kobieta niepodobna do żadnej, jakie do tej pory widywałem.

Musiła siedzieć ukryta za załomem wykuszowego okna, inaczej dostrzegłbym ją już wcześniej. Takiej niewiasty nie sposób przeoczyć. Nie była piękna w konwencjonalnym tego słowa znaczeniu. Miała za szczupłą sylwetkę, choć jej piersi i uda były kształtne, i nazbyt wyraziste rysy twarzy, które wyglądały jak rzeźbione. Jasna cera uwydatniała niezwykłą barwę głęboko osadzonych fioletowoniebieskich oczu, a wąski

nos i wydatne kości policzkowe sprawiały, że twarz kobiety nabierała niemalże kociego wyglądu. Wrażenie arystokratycznej oziębłości łagodziły pełne, ponętne usta, które zdawały się skrywać zmysłową obietnicę. Włosy koloru jesiennego złota i upięte w wyszukany sposób częściowo zakrywał obramowany perłami czepek zakończony tuż nad modnie ukształtowanymi brwiami. Kiedy zmierzała w stronę królowej, dostrzegłem, że jej ruchy cechuje niezwykła gracia. Zwróciłem również uwagę na nietypowe proste, rozszerzane rękawy sukni i sztywną trójkątną spódnicę. Styl jej odzienia wyróżniał ją na tle pozostałych dam.

Maria jęknęła i upuściła skrawek tkaniny na podłogę.

– Cóż zatem? – spytała. – To wszystko trwa już kilka godzin i jestem tym znużona. – Machnęła ręką w stronę materiałów bezładnie rozłożonych po całej komnacie.

Kobieta zwróciła się w moją stronę. Usłyszałem w jej głosie coś na kształt wyzwania.

– Być może uda nam się poprosić przyjaciela Waszej Królewskiej Mości o radę? W końcu jest mężczyzną, prawda?

Królowa zmarszczyła brwi.

– Nie sądzę, aby pan Beecham był gotowy...

Urwała, widząc jak pewnym krokiem podchodzę do najbliższego stołu zarzuconego różnymi tkaninami. Zacząłem przeglądać materiały, podniosłem kilka i odłożyłem, zanim zdecydowałem się na przetykany złotem aksamit w kolorze śliwkowym.

– Ten – oznajmiłem.

Maria wzięła ode mnie tkaninę. Gdy uniosła ją do twarzy, w komnacie rozległ się chóralny okrzyk podziwu. Na szczęście dokonałem idealnego wyboru, intensywny fiolet odwracał uwagę od bladej cery królowej, a jednocześnie przydawał blasku jej zmatowiałym włosom. Nie szkodziło również to, że wybrany kolor był odcieniem królewskim. Fioletowa barwa zawsze miała dobroczynny wpływ na królowe.

– Wydaje się, że przez cały ten czas brakowało nam właśnie mężczyzny. – Kobieta roześmiała się wspaniałym gardłowym śmiechem, który zdawał się wydobywać z głębi jej klatki piersiowej. Podała mi dłoń. – Proszę pozwolić, że się przedstawię. Nazywam się Sybilla Darrier.

Pochyliłem się nad jej wyciągniętymi palcami i wyczułem niepowtarzalny zapach.

– Jestem zaszczycony, droga pani – powiedziałem. – Przebywała pani we Francji? Czuję zapach lilii.

Oczy Sybilli rozwarły się szeroko.

Odpowiedziała mi Maria:

– Jest pan jak zwykle niezmiernie spostrzegawczy, panie Beecham. Rzeczywiście, panna Darrier niedawno wróciła do Anglii, spędziwszy wiele lat za granicą.

Domyśliłem się tego już wcześniej, nie tylko wnosząc po wyjątkowym zapachu, ale i oryginalnym odzieniu.

– Wywodzi się z hrabstwa Lincolnshire – dodała



królowa, ponownie obracając się do zwierciadła, aby ocenić, na ile tkanina pasuje do jej cery. – Panie Beecham, pan, zdaje się, również pochodzi z tamtych stron?

Znieruchomiałem. Wyglądało na to, że nie zapomniała ani jednej informacji na mój temat.

– Rzeczywiście. – Uśmiechnąłem się, aby ukryć zakłopotanie. – Jednak, jak Wasza Królewska Mość zapewne sobie przypomina, wyjechałem po śmierci rodziców. Epidemia zarazy – wyjaśniłem, potrząsając głową ze smutkiem i patrząc na Sybillę. – Osierocono mnie, gdy byłem małym dzieckiem.

– To przykre – odpowiedziała cicho.

Jeśli liczyłem, że odwzajemni się wyznaniem na temat swojej przeszłości, czekał mnie zawód, wydawało mi się jednak, iż dostrzegłem w jej oku błysk zainteresowania. Fałszywe nazwisko, którym się posługiwałem, nadał mi Cecil i w rzeczywistości należało do nieżyjącego już człowieka, gdyż prawdziwy Daniel Beecham, podobnie jak jego krewni, nie przeżył epidemii. Wywodził się z ostatniej rodziny ziemiańskiej i prawdopodobnie nie obracał się nigdy w kręgu ludzi urodzonych tak wysoko jak Sybilla, niemniej ostrożności nigdy nie było za wiele. Nie chciałem, aby owa kobieta widziała we mnie krajana dobrze zorientowanego w sprawach jej rodzinnego hrabstwa.

Tymczasem Sybilla dodała półgłosem:

– Ja również opuściłam Lincolnshire wiele lat temu. Ledwo pamiętam tamte strony.

Rzeczywiście musiała wyjechać w młodym wieku, ponieważ teraz wydawała się mieć zaledwie dwadzieścia parę lat, niewiele więcej ode mnie. Przyjąłem tę wiadomość z ulgą.

– I jak podoba się pani w Anglii po tak długiej nieobecności? – spytałem.

Nasze oczy spotkały się, jej spojrzenie przeszło mnie niczym spojrzenie kota.

– Jeszcze nie wiem. Nadal czuję się tu jak cudzoziemka.

W tym momencie zza zasłony dobiegł tubalny głos Rochester'a:

– Jej Królewska Mość, Jego Ekscelencja Simon Renard prosi o audiencję.

Sybilla po raz kolejny uśmiechnęła się do mnie zagadkowo, po czym dygnęła przed królową i wróciła do pozostałych dam. Gdy siadała obok panny Dormer, młoda dwórka mocniej przygarnęła do siebie swojego spaniela. Sybilla wyciągnęła rękę, aby pogłaskać psa po uchu, a zwierzę nawet na nią nie warknęło.

– Ach, don Renard! – Maria rozpromieniła się, gdy do komnaty wszedł dystyngowany mężczyzna ubrany w ponure czarne szaty. – Czyżbym spóźniła się na nasze spotkanie?

– Majestad<sup>1</sup>. – Poseł cesarza Karola V, Simon

Renard, uniósł dłoń monarchini do swoich ust. – Jeśli nie jest pani gotowa na spotkanie ze mną, oznacza to, że to ja przybyłem zbyt wcześnie.

Maria uśmiechnęła się, ja zaś przyjrzałem się baczniej ambasadorowi. Nosił się ze swobodą wytrawnego dworskiego urzędnika i zarówno jego sposób bycia, jak i wygląd – począwszy od starannie ostrzyżonej i ułożonej brody, po wypolerowane buty i wytworny kaftan z kosztownego czarnego aksamitu – świadczyły o tym, że jest to człowiek przyzwyczajony do poruszania się na szczytach władzy. Nie był przesadnie wysoki, nie imponował posturą, nie był również wyjątkowo urodziwy, jednak wyraz jego małych brązowych oczu przykuwał uwagę i spostrzegłem, że nawet teraz z idealnie udaną obojętnością zlustrował pomieszczenie, zapamiętując twarze wszystkich obecnych tu osób, między innymi moją.

Ów mężczyzna, nawet jeśli sprawiał wrażenie odprężonego, nigdy nie tracił czujności.

Maria wydeła wargi.

– Dobieram tkaniny przez cały ranek i zaczynam odczuwać zmęczenie. Bardzo pragnę wyglądać wspaniale, kiedy nadejdzie ten czas. Co pan myśli o tym? – Rzuciła posłowi skrawek aksamitu w kolorze śliwki. – Pan Beecham mówi, że pasuje, damy dworu przyznają mu rację. Czy jednak spodoba się Jego Wysokości?

Renard zamarł i spojrzał nieuważnie na podany

materiał. Maria wydawała się zupełnie nieświadoma tego, co przed chwilą powiedziała głośno i otwarcie, kiedy jednak ambasador przeniósł na mnie spojrzenie półprzymkniętych oczu, zrozumiałem. Stojący w rogu portret, który jedna z dam spiesznie zakryła, przedstawiał Filipa, syna cesarza, a całe to zamieszanie wokół stroju monarchini również musiało mieć coś wspólnego z księciem. Czyżby Maria szukała odpowiedniego odcienia do wyprawy ślubnej?

– Waszej Królewskiej Mości do twarzy w każdym kolorze, chociaż ten wydaje mi się odrobinę ciemny. – Renard wyprostował się. – Mówisz, pani, że ten odcień zaproponował ów... kawaler? – zapytał, po czym zwrócił się do mnie: – Nie sądzę, byśmy mieli przyjemność się poznać.

Maria zamrugła wyraźnie zawiedziona, że ambasador nie poparł mojego wyboru, przez co ona musiała teraz wrócić do żmudnego zadania oglądania kolejnych materiałów. Z ledwo skrywanym zniechęceniem powiedziała:

– Don Renardzie, to pan Daniel Beecham. Wspominałam o nim już wcześniej, pamięta pan? To jego Cecil wysłał z ostrzeżeniem, że ściga mnie Robert Dudley. Dzięki temu zdołałam uciec do zamku Framlingham, zebrać oddziały i pokonać Nortumberlanda.

– Ach, tak. – Usta dyplomaty ułożyły się w wyćwiczony uśmiech, który nie rozjaśniał oczu. –

Zatem to jest tajemniczy pan Beecham. Rozumiem, że podjął pan wielkie ryzyko i pospieszył z pomocą Jej Królewskiej Mości, gdy zaszła taka potrzeba. – Urwał. – Nadal wykonuje pan polecenia sekretarza Cecila?

Maria obrzuciła mnie przelotnym spojrzeniem, co znaczyło, iż moja odpowiedź interesowała nie tylko Renarda, ale i ją.

Wzruszyłem ramionami z udawaną nonszalancją.

– Nie służę mu od jakiegoś czasu. Z powodu utraty swojego statusu nie mógł sobie dłużej pozwolić na moje usługi.

– Rozumiem. – Renard prześwidrował mnie spojrzeniem. – A owe usługi polegały na...?

W milczeniu zerknąłem na królową. Ze swojej strony zachowałem dyskrecję w sprawie zdarzeń z przeszłości. Nie wiedziałem, ile o tamtych wydarzeniach monarchini opowiedziała Renardowi.

– Jeżeli Jej Królewska Mość pozwoli, z chęcią rozjaśnię tę kwestię – oznajmiłem. – Jednakże nie chciałbym tą rozmową znużyć towarzystwa, w którym mamy zaszczyt przebywać.

– Proszę się o to nie martwić – odpowiedział Renard ostro, na co Maria zachichotała.

– Ależ, ależ, don Renardzie – napomniała go. – Nie każdy człowiek z przeszłości to potencjalny wróg. Pan Beecham co prawda służył sekretarzowi księcia, ale podobnie czyniło wielu innych, wykazując się przy tym o wiele mniejszą prawością, jeśli mogą zauważyć.

Zapewniłam go, że jest u nas mile widziany. – Zamilkła i zmarszczyła brwi. – Być może znajdziemy mu posadę u pana? Pan ze wszystkich znanych mi ludzi najbardziej doceni jego talent.

Uśmiech zniknął z twarzy Renarda, a ja poczułem, że tak doskonałej okazji nie mogę zmarnować.

– Służyłem już wcześniej osobom wysoko postawionym, Jego Ekscelencjo – podsunąłem – i potrafię czytać i pisać w kilku językach, między innymi po hiszpańsku.

Była to prawda, przynajmniej częściowo. Miałem nadzieję, że nie zechce mnie sprawdzić.

– Doprawdy? – spytał ambasador lodowatym tonem. – Godne podziwu, niemniej z przykrością muszę stwierdzić, że kolejny angielski urzędnik nie będzie mi obecnie przydatny.

Nie, pomyślałem, urzędnicy, zwłaszcza angielscy, lubią plotkować; a Renardowi nie potrzeba było więcej plotek na temat jego planów związanych z zaręczynami Marii i Filipa.

– Jego Ekscelencja raczy mi wybaczyć, ale nie interesuje mnie posada urzędnika. W przeciwieństwie do większości szlachetnie urodzonych kawalerów wolę przebywać na wolnym powietrzu niż w murach zamku. Być może uda nam się dojść do porozumienia?

Renard przyjrzał mi się, zwiężając oczy. Nie spodziewał się, że będę naciskał na niego tak zuchwale.

Maria przyklasnęła:

– Byłoby wspaniale. Jestem dłużniczką tego kawalera i pragnę spłacić ów dług. – Gestem przywołała jedną z dam. – Muszę zmienić strój przed posiedzeniem rady. Don Renardzie, proszę na mnie poczekać. Wcześniej chcę z panem porozmawiać o kilku sprawach. Panie Beecham – zwróciła się do mnie, a ja po raz kolejny ukloniłem się – miło mi było pana spotkać. Proszę koniecznie mnie powiadomić, na ile będzie panu odpowiadała nowa posada.

Nie czekając na odpowiedź, ruszyła w kierunku drzwi po drugiej stronie komnaty, damy dworu posłusznie podążyły za nią, a wraz z nimi zerwały się do wyjścia hałaśliwe pieski.

Nagle zostałem sam na sam z ambasadorem.

– Wygląda na to, że ma pan więcej talentów, niż przypuszczałem – zauważył Renard.

– I mam nadzieję wykorzystać je w służbie u Jego Ekscelencji – odpowiedziałem.

– To się jeszcze okaże. Spotkajmy się jutro o dziewiątej – rzucił tonem, któremu daleko było do prośby. Skłoniłem głowę, a wtedy on podszedł do mnie sprężystym krokiem i chwycił moją dłoń. Miał niespodziewanie mocny uścisk, który bardziej pasowałby mężczyźnie przyzwyczajonemu do częstego władania rapierem, a nie piórem. –Nie trzeba tych ceremonii – oznajmił. – Jesteśmy zwykłymi zjadaczami chleba, którzy pragną służyć innym, nieprawdaż?

Cofnąłem się o krok. W jego z pozoru serdecznych

słowach nie było za grosz życzliwości. Został zmuszony do uległości i nie podobało mu się to. Ja jednak osiągnąłem swój cel. Teraz miałem szansę wniknąć w jego otoczenie i odkryć jego plany.

– Rochester wskaże ci drogę – dodał, podchodząc do kredensu królowej. Ujął karafkę z kutego srebra i napełnił sobie kielich. Nie zaproponował, abym przyłączył się do niego.

Oznaczało to, że mogę odejść. Odwróciłem się do wyjścia, ale zatrzymał mnie kobiecy głos:

– Panie Beecham?

Obejrzałem się przez ramię. W przejściu prowadzącym do prywatnych komnat królowej stała Sybilla, trzymając w dłoni złożoną kartę papieru.

– Jej Królewska Mość wydaje dziś ucztę na cześć cesarskiego poselstwa i ma nadzieję, że będzie pan mógł uradować nas swoją obecnością. – Podała mi wiadomość opatrzoną królewską pieczęcią. – To zaproszenie zapewni panu miejsce – wyjaśniła.

Gdy sięgnąłem po kartę, poczułem na swojej dłoni muśnięcie jej palców.

Renard głośno wciągnął powietrze.

– Do zobaczenia wieczorem – powiedziała cicho Sybilla, po czym wróciła do komnat królowej.

Nie zdawałem sobie sprawy z tego, że wciąż wpatruję się w puste przejście, w którym przed chwilą stała, dopóki ambasador nie spytał oziębłe:

– Rozgląda się pan również za szlachetnie urodzoną



żoną, panie Beecham?

Obróciłem się do niego.

– Niestety, nie mogę sobie jeszcze pozwolić na ten przywilej. Jeśli jednak moja sytuacja materialna ulegnie zmianie... – zawiesiłem znacząco głos i z zadowoleniem odnotowałem, że oczy patrzącego na mnie sponad kielicha Renarda pociemniały.

– Niemniej radzę rozglądać się gdzie indziej – warknął. – Panna Darrier jest już przyrzeczona.

Mimo iż nie popatrzyłem ponownie na ambasadora, gdy wychodziłem, poczułem, jak wbija w moje plecy spojrzenie lodowate niczym ostrze sztyletu.

Doskonale wiedziałem, że dostałem ostrzeżenie.

## Rozdział 5



Rochester wskazał mi drogę do gabinetu Renarda – wiodąc mnie przez ciąg korytarzy i przejść, które miałem nadzieję spamiętać – złożył mi również gratulacje.

– Wyśmienicie! Don Renard to dobry mocodawca, prawy i oddany interesom Jej Królewskiej Mości. Trudno o lepszą posadę niż u niego. – Mrugnął. – A przynajmniej, śmiem dodać, lepszą dla kogoś, kto chce się wzbogacić. Słyszałem, że cesarscy posłowie sypią dukatami na prawo i lewo.

Ucieszony jego uwagą podziękowałem za życzliwość i skręciłem na schody prowadzące do obwieszonych malowidłami krużganka. Przez wielodzielne okna zobaczyłem, że na dworze przestał padać śnieg. Błede słońce usiłowało rozweselić ponury zimowy krajobraz, rzucając na dziedziniec blade promienie.

Rozmyślałem nad tym, czego do tej pory się dowiedziałem. W prywatnych komnatach Marii widziałem portret księcia Hiszpanii Filipa, co świadczyło o tym, że królowa poważnie rozważała jego propozycję małżeństwa, o ile już jej nie przyjęła. Nieobecność Elżbiety w najbliższym otoczeniu

monarchini również była wymowna i wskazywała na możliwy konflikt między dwoma siostrami. Elżbieta każdego ranka wybierała się na przejażdżkę z Courtenayem; skoro on popierał frakcję przeciwną Habsburgom, czyżby łącząca go z księżniczką przyjaźń wskazywała na niechęć Elżbiety wobec sojuszu królowej z Hiszpanią? Takie zachowanie byłoby dla niej dość znamienne: nie mówiła niczego głośno, ale swoim postępowaniem jasno dawała do zrozumienia, co sądzi o danej sprawie.

Moje myśli powędrowały do Renarda. Hiszpański ambasador nie miał powodów, by zaufać mnie, nieznanemu, który dopiero pojawił się na dworze i o którym nie wiadomo było nic prócz tego, że w przeszłości pomógł królowej, czym zaskarbił sobie jej łaski. Jego podejrzliwość wobec mnie wzmogła się jedynie, gdy dostrzegł, jaki mam wpływ na monarchinię, i gdy Maria zmusiła go, by zaoferował mi posadę. Co mnie czekało na jutrzejszym spotkaniu?

Zastanowiła mnie również postać Sybilli, wychowanej za granicą Angielki, która niedawno wróciła do królestwa i zdaniem Renarda „była przyrzeczona”. Nie miałem większego doświadczenia w kwestiach dotyczących kobiet, wyczuwałem jednak, że za słowami ambasadora kryła się zazdrość i pożądlivość. Niemniej Sybilla celowo wdała się ze mną w delikatny flirt, i to na oczach Renarda. Dlaczego? Co właściwie, jeśli w ogóle, łączyło ją z hiszpańskim ambasadorem?

Przyspieszyłem kroku. Dopiero gdy zatrzymałem się przed swoją komnatą, zdałem sobie sprawę z tego, jak szybko szedłem, jak gdybym obawiał się, że w każdej chwili mogę zostać zatrzymany. Uśmiechnąłem się mimowolnie. Wystarczył dzień, a zdołałem odbyć audiencję u królowej i uzyskać posadę u Simona Renarda, człowieka, którego Cecil podejrzewał o chęć zgubienia Elżbiety. Choć z jednej strony mogłem sobie powinszować, z drugiej – wiedziałem, że dwór może uwikłać mnie w pajęczą sieć intryg i wystarczy jeden fałszywy ruch, by wpaść w niewidoczną pułapkę. Musiałem na każdym kroku mieć się na baczności.

Gdy sprawdziłem, czy wszystko w mojej izbie wygląda tak jak przed moim wyjściem, narzuciłem pelerynę i ponownie zagłębiłem się w labirynt pałacowych korytarzy. Pomyślałem, że jeśli szczęście nadal będzie mi dopisywać, zdołam odnaleźć stajnie i porozmawiać osobiście ze stajennym, którego poznał Peregrine. Chciałem dowiedzieć się czegoś więcej na temat Courtenaya i jego znajomości z Elżbietą, zaledwie jednak opuściłem kwadratowy dziedziniec i ruszyłem w stronę długich pobielonych stajennych zabudowań, ujrzałem Peregrine'a, który z zaczerwienionymi od mrozu policzkami wypadł przez jedną z bram. Kiedy mnie zobaczył, zatrzymał się gwałtownie.

– Widziałem ją! – zawołał. – Rozmawiała ze mną!

Nie musiałem pytać, kogo ma na myśli.

– Ciszej! – Położyłem mu rękę na ramieniu

i rozejrzałem się. W pobliżu kręciło się kilku pacholków.  
– Ani słowa więcej – nakazałem i pociągnąłem go ze sobą z powrotem do pałacu. Gdy tylko zamknąłem drzwi naszej izby, rzuciłem: – Teraz powtórz słowo w słowo, co powiedziała.

– No więc weszła do stajni po powrocie z przejażdżki. Oporządzałem Cinnabara. Ma ranę na czole; pewnie podczas drogi zadrasnął go jakiś kamień. Oglądałem to skaleczenie, kiedy Jej Księżęca Mość zjawiła się razem z jakimś szlachcicem. Śmiali się. Ów kawaler zawołał, żeby któryś ze stajennych odebrał od niego konia, i ja podbiegłem. Poznała mnie, ale udawała, iż się nie znamy. Kiedy szlachcic wyszedł – nazywała go „uroczym kuzynem” – zamieniliśmy kilka słów. Nie była zadowolona. Powiedziała, że nie powinniśmy byli przyjeżdżać na dwór bez jej pozwolenia.

Ogarnęła mnie ulga. To zachowanie bardzo do niej pasowało.

– Oczywiście, cóż innego miała powiedzieć, ale przynajmniej teraz już wie, że tu jesteśmy. Mówiła coś jeszcze?

– Nie, ów kawaler czekał na nią na zewnątrz. Powiedziała, że rozboleła ją głowa od tego całego gwaru i że chce odpocząć przed ucztą u królowej. Och, i kazała mi zająć się Urianem, widząc, że pies kręci się koło mnie.

Była to wiadomość dla mnie: chciała mi przekazać, że będzie dziś na uczcie. „Uroczy kuzyn” to zapewne

Courtenay. Musiałem się z nim rozminąć. Gdybym przyszedł chwilę wcześniej, mógłbym przyjrzeć się temu mężczyźnie, którego znajomość z Elżbietą napawała mnie coraz większym niepokojem.

– Co mi powiesz o tym szlachcicu? – spytałem.

Peregrine prychnął.

– Gbur, jak większość jemu podobnych. Nie rzucił mi ani miedziaka za to, że zająłem się jego koniem, chociaż stajenni żyją z napiwków. I kiedy Jej Księżęca Mość oznajmiła, że chce ze mną porozmawiać o psie, popatrzył na mnie spode łba, jak gdybym zamierzał coś ukraść.

Poczułem ukłucie niepokoju. Courtenay wydawał się nieufny, co było mało obiecującym znakiem.

– Dobrze się spisałeś – pochwaliłem chłopaka. – Teraz Elżbieta wie, że jesteśmy na dworze, i nie będzie zaskoczona, gdy mnie ujrzy. Wolałbym jednak, byś trzymał się z daleka od tego Courtenaya. Nie podoba mi się to, co o nim słyszę.

Peregrine przytaknął skinieniem głowy. Podszedłem do skrzyni, wyjąłem z niej mój nowy cynobrowy kaftan i kawałek płótna, w które owinięty był ozdobny łańcuch naramienny. Gdy spomiędzy fałd materiału wychynęły grube złożone ogniwa, Peregrine gwizdnął:

– Ładne! Musiało kosztować kilka dukatów.

– Nie ma się czym gorączkować. To imitacja. Tobie również sprawiłem coś ładnego, nowa kamizela i koszula.

– Zapewne nie z aksamitu. I bez łańcucha.

Roześmiałem się.

– Robi się z ciebie prawdziwy rozkapryszony giermek! – Klepnąłem go po plecach. – Teraz do dzieła, bierz mydło i wodę. Dziś wieczorem ucztujemy na dworze, przyjacielu.

Podczas gdy Peregrine szorował się w miednicy, ja doprowadzałem siebie do porządku. W końcu dobiegł mnie pełen udręki jęk chłopaka. Obróciłem się i zobaczyłem go w nowym odzieniu. Stał sztywno wyprostowany, zielony kolor wełnianej kamizeli podkreślał szmaragdową barwę jego oczu, a włosy, zwykle niesforne, po napomadowaniu opadały wilgotnymi puklami na ramiona.

– Ogarnąłeś się i wyglądasz jak człowiek – zauważyłem.

Popatrzył na mnie gniewnie.

– Wszystko mnie swędzi. Czuję się, jakby oblażyły mnie pchły.

– Cóż, cały ranek spędziłeś w stajni. – Obróciłem się do lusterka ręcznego, które stało na stołku oparte o ścianę. Gdy poprawiałem łańcuch na ramionach, przypomniałem sobie o broni. Wsunąłem sztylet za cholewę buta, a wtedy Peregrine zapytał: – Czy nam również grozi niebezpieczeństwo?

Namyślałem się przez chwilę.

– Gdybyś powiedział mi, panie, co się dzieje, mógłbym pomóc...

Uniosłem rękę.

– Obiecałeś, pamiętasz? Żadnych pytań. – Złagodziłem ton. – Muszę porozmawiać z Jej Księżącą Mością na osobności. Być może twoja pomoc okaże się potrzebna.

Twarz młodzieńca rozjaśniła się, dokładnie tak, jak się tego spodziewałem. Sięgnąłem do torby po pióro, papier i atrament. Oderwałem kawałek kartki i szybko skreśliłem parę słów.

„Stajnie. Jutro w południe”.

Nie odważyłem się napisać więcej z obawy, że wiadomość ta może dostać się w niepowołane ręce. Złożyłem kartkę w kwadrat nieco mniejszy od dłoni, po czym wsunąłem ją za kaftan, a następnie spojrzałem na Peregrine’a.

– Chcesz, panie, żebym ją dostarczył? – spytał z przejęciem.

– Zobaczymy – ostudziłem jego zapał. – Wpierw przekonajmy się, co przyniesie nam ten wieczór. Chodź. Lepiej żebyśmy się nie spóźnili na naszą pierwszą na dworze biesiadę.

W olbrzymiej sali tronowej było zaskakująco ciepło dzięki dwóm ogromnym kominkom wykonanym z przywiezionego z Normandii wapienia. Do buzującego w nich ognia dosypywano wonne zioła, których aromat przesycił powietrze. Podtrzymywane przez belki sklepienie zawieszono tak wysoko, że razem ze zdobiaczami je malowidłami ginęło w chmurze dymu



unoszącego się z połączonych kandelabrow i lamp olejnych zawieszonych na ścianach.

Na posadzce z płyt tworzących czarno-białą szachownicę tłoczyli się goście, sala rozbrzmiewała głosami dworzan i dwórek przechadzających się niespiesznie z kielichami w dłoniach, wymieniających się plotkami i spoglądających w stronę podium, na którym stał okryty aksamitem stół i kilka obitych materiałem krzeseł. Dostrzegłem, że wielu z obecnych paradowało z wysadzanymi klejnotami krzyżami i medalionami z podobiznami świętych, które dumnie zdobiły ich piersi. Ponieważ tego rodzaju bałwochwalstwo było zakazane za panowania zmarłego króla, interesy londyńskich złotników zapewne przeżywały obecnie rozkwit. Dojrzałem również trzymającą się z boku grupkę ponurych mężczyzn ubranych w czarne wysokie nakrycia głowy i krótkie peleryny – wszyscy byli brodaci, nieustannie lustrowali salę i ani razu nie przewinął się po ich ustach choćby cień uśmiechu; domyśliłem się, że byli to Hiszpanie z cesarskiego poselstwa.

– Nie oddalaj się – przykazałem Peregrine’owi, gdy lawirując między służącymi roznoszącymi na tacach kielichy, zmierzaliśmy w kierunku ustawionych przed podium stołów.

Przy nich kłębili się już pierwsi goście, głośno domagając się miejsc; pachołkowie w liberiach ustawili ich w kolejkę. Miałem nadzieję usiąść tak, by widzieć

wejście i dostrzec Elżbietę, gdy przybędzie na ucztę. Przepatrzywszy uważnie gwarny tłum, upewniłem się, że nie ma jej jeszcze na sali.

Gdy razem z Peregrine'em staliśmy w kolejce, odniosłem nagle wrażenie, że ktoś mnie obserwuje. Uczucie to było tak silne, iż włoski na karku stanęły mi dęba. Obróciłem się gwałtownie i zlustrowałem najbliższe otoczenie. Kątem oka dostrzegłem ciemną plamę wśród feerii szat barwnych niczym ogon pawia, smugę cienia przemykającą między dworzanami – jakąś zwalistą postać i coś, co mogło być starą peleryną. Mimo że wyteżczałem wzrok ze wszystkich sił, stanąłem nawet na czubkach palców i spojrzałem ponad morzem rozkołysanych głów, nie zdołałem dojrzeć, kim był ów cień i w jakim kierunku się oddalił. Niemniej nie miałem wątpliwości, że przed chwilą tu był, blisko mnie.

Stojący obok Peregrine zapytał:

– O co chodzi?

– Nie wiem.

Usiłowałem przepchnąć się przez gęstniejący tłum, ale postać zniknęła. Chwilę później heroldowie zapowiedzieli przybycie królowej i wszyscy zaczęli przeć do przodu, aby szybciej zająć miejsca. Gniewne uwagi skierowane do mnie uzmysłowiły mi, że opóźniam ruch kolejki. Pospiesznie ruszyłem w stronę stołu wskazanego przez podenerwowanego służącego, który wyrwał mi z rąk zaproszenie. Przypadło mi miejsce nieopodal podium, na tyle blisko królowej i jej świty,

abym mógł obserwować ich ruchy, samemu nie rzucając się w oczy.

Peregrine przyjrzał się jednemu niezajętemu krzesłu, na którym miałem usiąść.

– Czy ja będę stał?

– Jak przystało na giermka. Będziesz podawał mi serwetkę i napełniał puchar.

– Wyśmienicie. A ty, panie, rzucisz mi kawałek pieczeni, jak psu.

– Zjesz, gdy tylko... – urwałem, ponieważ zobaczyłem Simona Renarda zmierzającego w stronę podium w towarzystwie monarchini.

Maria miała na sobie ciężką aksamitną suknię w kolorze sjeni o obszytych futrem rękawach, a jej rozpuszczone i uczesane z przedziałkiem włosy częściowo zakrywał kaptur. W dłoniach ścisnęła bukiet fiołków. Zawieszony na szyi wysadzany szafirami krucyfik kołysał się w rytm kroków, gdy w asyście dam dworu mijała zgiętych w ukłonie gości. Jane Dormer prowadziła swojego pieska Blackiego, który szarpał się na smyczy. Za nią kroczyła Sybilla Darrier ubrana w suknię ze szkarłatnego aksamitu, której wysoki nabijany granatami kołnierz mienił się w świetle świec.

Damy dworu usiadły przy pobliskim stole. Paru członków cesarskiego poselstwa zajęło miejsca na podium, nieopodal królowej. W ich gronie znalazł się Renard, który siedział krzesło dalej od monarchini. Po

lewej stronie Marii – na honorowym miejscu –zasiadła wychudła kobieta w niemodnym już stroju z wzorzystego adamaszku i nakryciu głowy przypominającym dwuspadowy dach. Miała wydatny nos i wąskie niebieskie oczy o świdrującym spojrzeniu. Obok niej miejsce zajął młody urodziwy mężczyzna w krzykliwym atłasowym czarno-białym odzieniu i krótkiej pelerynie zapiętej wyszukany galonem na francuską modłę przez jedno ramię.

– To on – szepnął mi Peregrine na ucho. – Uroczy kuzyn.

Po raz pierwszy miałem okazję przyjrzeć się Edwardowi Courtenayowi, hrabiemu Devon. Zapewne cieszy się powodzeniem wśród dam, pomyślałem: dobrze zbudowany, o szerokich ramionach i klatce piersiowej, gęstych płowych włosach przyciętych równie modnie jak wąsy i rozwidlona kozia bródka. Zaskoczył mnie jego wygląd; nie spodziewałem się, że ktoś, kto tyle lat spędził w więzieniu w Tower, będzie okazem zdrowia i krzepy, chociaż urody odejmował mu jego nadąsany wyraz twarzy. Gdy długonosa dama siedząca u jego boku uniosła kielich, aby napełniono go winem, Courtenay rzucił jakąś uwagę, najwyraźniej dowcipną, którą ona skwitowała kwaśnym uśmiechem. Zdawało się, że dobrze się znają, chociaż z drugiej strony wszyscy na dworze wydawali się pozostawać ze sobą w bliskich stosunkach, zwłaszcza wśród osób piastujących najwyższe funkcje. Nawet obcy sobie ludzie zdolni byli

udawać zażyłość, jeśli mogło im to przysporzyć korzyści.

Paziowie z dzbanami krążyli wokół gości, napełniając nasze puchary ale. W pewnym momencie Renard nachylił się do królowej. Szeptał jej coś do ucha, ona zaś utkwiała wzrok w pustym krześle oddzielającym ją od hiszpańskiego ambasadora i wyraźnie spochmurniała.

– Co? – mruknęła z niezadowoleniem, a do tego wystarczająco głośno, aby posłyszeli ją zasiadający poniżej podium biesiadnicy. –Ponownie mamy znosić to przekraczające wszelkie granice nieposłuszeństwo?

Zapadła pełna napięcia cisza. Renard wymienił krótkie, porozumiewawcze spojrzenie z damą o skwaśniałej minie, podczas gdy Maria przeniosła wzrok na Courtenaya. Zacisnęła pięści, zgniatając trzymane w dłoni fiołki.

– Milordzie, czy przekazał pan jej wiadomość, tak jak prosiliśmy?

Courtenay pobladł.

– Wasza Królewska Mość, zapewniam, że przekazałem waszą prośbę...

Maria wyciągnęła w jego stronę palec.

– To nie była prośba. Proszę natychmiast udać się do jej komnat i powiedzieć naszej siostrze lady Elżbiecie, że jako królowa nakazuję jej przybyć na wydaną przez nas ucztę!

Courtenay zaczął podnosić się z krzesła, ale w tym

momencie Maria zamarła, wpatrując się w przeciwległy koniec sali. Przez chwilę wydawało się, że wszyscy obecni wstrzymali oddech. Nie musiałem obracać głowy, aby wiedzieć, iż na uczcie pojawiła się w końcu moja pani, Elżbieta Tudor – jak zwykle spóźniona.

Miała na sobie prostą suknię z czarnego aksamitu luźno opływającego jej szczupłą figurę i sprawiającego, że wydawała się wyższa niż w rzeczywistości. Rozpuszczone miedziane włosy sięgały wąskiej talii i połyskiwały niczym ściana ognia, gdy księżniczka w drodze do podium mijała wpatrzonych w nią dworzan. Hiszpanie z kolei czynili znak krzyża i odwracali wzrok od Elżbiety, jak gdyby w obawie, że rzuci na nich urok. Gdy obserwowałem ich kątem oka, dobiegło mnie gorączkowe ujadanie i zobaczyłem pieska Jane Dormer, który skakał i szarpał się na smyczy, jak gdyby poznał Elżbietę. Księżniczkę łączyła ze zwierzętami wyjątkowa więź; słuchały jej nawet nieufne koty ze stajni w Hatfield. Zastanowiłem się przez chwilę. Ten zaczepny spaniel mógł okazać się dobrym sposobem na odwrócenie uwagi...

Zerknąłem na królową, podczas gdy Elżbieta składała głęboki ukłon pod złowrogim spojrzeniem siostry. Widok zaciśniętych szczęk monarchini i jej kamiennego wzroku mroził krew w żyłach.

Maria Tudor przyglądała się siostrze z nieskrywaną nienawiścią.

Elżbieta powiedziała cicho:

– Proszę wybaczyć zwłokę, Wasza Królewska Mość, ale... zaniemogłam.

– Nie na tyle, aby zrezygnować z porannej przejażdżki z kuzynem – odparowała Maria. – Byłaś również zaproszona na mszę świętą, w której uczestniczyliśmy, i ponownie na próżno oczekiwaliśmy twojego przybycia.

Odpowiedź Elżbiety wydawała się łagodna; jedynie ci, którzy dobrze ją znali, wiedzieli, jak starannie księżniczka dobiera słowa.

– Wasza Królewska Mość, obawiałam się, że podczas porannej przejażdżki nabawiłam się przeziębienia. Nie chciałam narażać was na...

– Dość tego – Maria przerwała jej niecierpliwym gestem. – Słyszałam już to wszystko wcześniej, i do tego wielokrotnie. Zdaje się, że za każdym razem, gdy masz uczestniczyć we mszy, nachodzi cię nagła niemoc. – Urwała, wpatrując się w siostrę, jak gdyby pragnęła siłą woli sprawić, aby Elżbieta zniknęła. – Gdzie jest poświęcony medalik Najświętszej Dziewicy, który ci podarowałam? – spytała.

Księżniczka znieruchomiała, po czym uniosła rękę do szyi.

– Zostawiłam go w bezpiecznym miejscu w swoich komnatach –oznajmiła ostrożnie, ale głos miała przy tym niezwykle opanowany. – Podarunek ten jest dla mnie tak cenny, że obawiałam się go zgubić.

– A może obawiałaś się, że jeśli go nałożysz, stracisz

poparcie swoich przyjaciół heretyków. – Maria pochyliła się do przodu i spiorunowała siostrę wzrokiem. – Masz giętki język, moja pani, jak zwykle, ale my nie jesteśmy ślepcami, którzy nie widzą, co się wokoło dzieje, chociaż może ci się wydaje, że jest inaczej. Nie sądz, iż będziesz mogła igrać z nami bez końca. Wkrótce nadejdzie kres twoich podstępów.

Nawet jeśli Elżbieta czuła, że oczy wszystkich biesiadników zwrócone są na nią, uginającą kolana przed królową niczym uniżona sługa, nie okazywała tego. Unosząc brodę, oznajmiła:

– Proszę wybaczyć, jeśli moje postępowanie uraziło Waszą Królewską Mość. Jestem gotowa, mimo że napełniłoby to mnie ogromnym smutkiem, powrócić za waszym pozwoleniem do swojego domu w Hatfield...

– Wykluczone! – Maria uderzyła pięścią w stół z taką mocą, że podskoczyły leżące na nim sztucce. – Zostaniesz tutaj, pod moim okiem. Nie waż się prosić o to ponownie, o ile nie chcesz, aby wyczerpała się moja cierpliwość. Istnieją gorsze miejsca, do których mogłabym się posłać. – Wskazała puste miejsca na podium. – Usiądziesz obok naszej kuzynki lady Lennox, której lojalność powinna stać się dla ciebie wzorem do naśladowania.

Elżbieta wkroczyła na podium ostrożnie, jak gdyby stąpała po potłuczonym szkłe. Teraz wiedziałem, kim była długonosa dama: Margaret Douglas, hrabina Lennox. Podobnie jak Edward Courtenay ona także miała



prawa do tronu. Z zakłopotaniem uzmysłowiłem sobie również, że jestem z nią spokrewniony – moja matka była ciotką jej matki.

Lady Lennox zerknęła z ukosa na Elżbietę, której kielich napełniano winem, jednak księżniczka nawet go nie tknęła. Podczas pobytu w Hatfield dowiedziałem się, że rzadko piła nierozcieńczone wino, ponieważ zazwyczaj miała po nim bóle głowy. Na czole księżniczki wystąpiła niebieska żyłka, jedyna oznaka świadcząca o trawiącym ją niepokojem.

Rozpoczęła się uczta. Jadłem niewiele, obserwowałem Elżbietę, która również ledwie skubnęła podawane potrawy. Przeraziłem się na widok jej chorobliwie smukłej figury i wystających kości policzkowych. Ostatnie miesiące na dworze musiały dać się jej mocno we znaki i na myśl o tym dłonie pod stołem zacisnęły mi się w pięści. Nie mogłem jednak ulegać emocjom. Potrzebne były jasność umysłu i zdecydowane działania, aby pomóc jej wyjść z opałów.

Cały czas zastanawiałem się także, czy mnie dostrzegła, skoro siedziałem kilka stołów dalej, zaledwie rzut kamieniem od niej. Jeśli nawet, nie zdradziła się z tym. Omiotła salę spojrzeniem bez wyrazu, jak gdyby patrzyła na taflę mętnej wody jeziora i nie zauważała ukradkowych spojrzeń rzuconych w jej stronę. Gdy uczta dobiegła końca i Peregrine rzucił się na mój talerz, aby spałaszować resztę jedzenia, Elżbieta wstała. Przez ułamek chwili nasze oczy spotkały się, a siła jej

spojrzenia razła mnie niczym wypuszczona z cięciwy strzała. Pachołkowie zaczęli rozkładać stoły, na których biesiadowaliśmy, dworzanie dźwigali się z miejsc, zostawiając półmiski i zabierając ze sobą jedynie kielichy, wszystko po to, aby przygotować salę na wieczorny bal. W krążanku dla minstreli grajkowie stroili instrumenty. Chociaż ciałem znajdowałem się w samym środku powstałego zamieszania, myślami byłem przy księżniczce i niemej, błagalnej prośbie, którą wyczytałem w jej oczach.

Elżbieta obróciła się i ruszyła za królową i jej gośćmi w kierunku olbrzymiego kominka, wokół którego stały krzesła. Księżniczka zajęła jedno z nich, usiadła jednak z boku, sama, niczym banitka. Ona i Maria zachowywały się tak, jak gdyby przestały dla siebie nawzajem istnieć. Królowa, którą zabawiali Renard i Hiszpanie, raz po raz wybuchała głośnym, przesadnie żywiołowym śmiechem.

– Pamiętaj, rób, co ci każe – napomniałem Peregrine'a. Nie mógł odpowiedzieć, ponieważ usta miał pełne jedzenia, przytaknął więc skinieniem głowy.

Powoli przesuwalem się w stronę królowej i jej świty. Courtenay flirtował z jedną z dam, ignorując Elżbietę, mimo że siedziała zaledwie parę kroków od niego. Zwróciłem uwagę na jego postawę i w świetle tego, co już o nim wiedziałem, uznałem, iż zarówno on, jak i księżniczka woleli nie afiszować się z więzią, która ich łączyła.

Szukając sposobności, by przeprowadzić swój plan,

przystanąłem przy grupce plotkujących dworzan. Okazja nadarzyła się już wkrótce, gdy Jane Dormer, cały czas wiodąc na smyczy nieposłusznego pieska, śpiesznym krokiem podeszła do stołka. Usiłowała nakłonić spaniela, aby usiadł, przyciskając tylną część jego tułowia do posadzki i łając go, ale piesek tylko zaskowytał i nie spuszczał oczu z księżniczki, nadal zawzięcie merdał ogonem. Chwilę później do Jane podeszła Sybilla i zaczęła z nią rozmawiać, jednak młoda dwórka, zajęta przyuczaniem czworonoga do posłuszeństwa, ledwo rzuciła okiem na swoją towarzyszkę.

Wzięłem głęboki oddech i pomału zbliżyłem się do nich, po czym zdejmując czapkę, nachyliłem się, aby pogłaskać pieska. Spaniel podskoczył, chcąc polizać mnie po twarzy.

– Blackie – zawołała Jane – przestań! – Zarumieniła się i spojrzała na mnie przepraszająco. – Proszę o wybaczenie. Nie mam pojęcia, co z nim począć! Nieusłuchane stworzenie.

Piesek nie przestawał okazywać mi sympatii, ja zaś dyskretnie obejrzałem węzeł przytwierdzający smycz do obroży. Zdawało się, że jest słaby i łatwo będzie go poluzować.

– Biedactwo – powiedziałem. – Taki gwar, tyle ludzi – nic dziwnego, że jest niespokojny.

– Ma pan podejście do psów – zauważyła Jane.

– Lubię psy – odpowiedziałem z uśmiechem. – Czasami bardziej niż ludzi.

Jane zmarszczyła brwi.

– Ogrzewają nam łoża w zimne dni i chronią przed pchłami, ale to stworzenia bez duszy. Jak pan może lubić je bardziej od nas?

Usłyszałem szelest spódnic, gdy Sybilla odwróciła się w naszą stronę.

– Niektórzy twierdzą, że ludzie przedkładający towarzystwo zwierząt nad towarzystwo innych ludzi są szczerzy – powiedziała. – Czy tak właśnie jest w pana wypadku, panie Beecham? Jej Królewska Mość zdaje się tak sądzić. Wyrażała się bardzo pochlebnie na pana temat, uznaje pana za człowieka prawego i mężnego.

Nie potrafiłem oderwać od niej spojrzenia. Wyglądała, o ile to w ogóle możliwe, jeszcze piękniej w świetle świec, gdy w jej oczach o kolorze przydymionego lazurytu i po karminowych wargach przewijały się na zmianę rozbłyski i cienie. Jej tajemniczy półuśmiech również nie pozostawiał żadnych wątpliwości. Wiedziałem, co on oznacza. Widywałem go wcześniej na twarzach innych kobiet – było to uwodzicielskie zaproszenie.

Wyprostowałem się.

– Czuję się zaszczycony pochwałą Jej Królewskiej Mości – powiedziałem ostrożnie.

– Bardzo słusznie – odrzekła. – Słyszałam również, że wkrótce może pan otrzymać posadę u ambasadora Renarda. On również cieszy się dość dużymi względami królowej.

Wyczułem w jej głosie coś, co sprawiło, że stałem się jeszcze bardziej czujny. Czy Sybilla chciała mnie ostrzec, czy też zaledwie prowadziła zwykłą towarzyską rozmowę? Druga możliwość wydała mi się mało prawdopodobna. Panna Darrier sprawiała wrażenie kobiety, która nie robi nic przez przypadek, a gdy zauważyłem, jak jej spojrzenie wędruje w stronę siedzącej sztywno na krześle Elżbiety, poczułem, że napina się we mnie każdy mięsień.

Sybilla ciągnęła:

– Różnice w wyznawanej wierze mogą oddalić nawet tych, którzy powinni być sobie najbliżsi.

Jej słowa zaskoczyły mnie, podobnie jak ostra odpowiedź Jane.

– Nie zasługuje na naszą litość. Wszyscy wiedzą, że jest heretyczką, która nie zamierza się nawrócić, mimo że królowa wiele razy nakazywała jej, aby się podporządkowała. – Młoda dwórka utkwiała wzrok w Sybilli. – Gdyby nie była siostrą królowej, przypuszczam, iż od dawna mieszkałaby w Tower. A pani powinna bardziej uważać, chociażby przez wzgląd na historię pani rodziny. Z pewnością akurat pani nie pragnęłaby przeciwstawić się naszej monarchini.

Wstrzymałem oddech, słysząc te zaprawione złośliwością słowa. Sybilla wydawała się jednak nieporuszona.

– Moja droga – odparła – prędzej mówisz, niż myślisz. Taka żarliwość może być godna podziwu,

jednak u damy dworu jest niepożądana, zwłaszcza jeśli owa dama pragnie wyjść za mąż.

Na twarzy Jane odmalowało się wahanie. Stojący u jej boku Blackie znów zaczął szczekać. Nie zdradziłem się z niczym, gdy schyliłem się, żeby pogłaskać pieska, ale prawdą było, iż zaintrygował mnie spór między Jane i Sybillą. Przeszło mi również przez myśl, że długi pobyt Sybilli za granicą mógł mieć jakiś związek z hańbą, jaką najprawdopodobniej okryła się jej rodzina.

– Ach – mruknęła Sybilla – najwyraźniej zwróciliśmy na siebie uwagę don Renarda.

Zerknąłem w tym samym kierunku co ona i zobaczyłem, że ambasador przeszywa nas wzrokiem, widząc, jak blisko Sybilli stoję. Wciąż pochylałem się nad Blackiem i drapałem go za uchem. Przeniosłem wzrok na Sybillę, która tym razem rzuciła mi ukradkowe, a jednocześnie porozumiewawcze spojrzenie.

– *Audentes fortuna iuvat* – szepnęła z błyskiem w oku.

Fortuna sprzyja śmiałkom.

Widziała, jak dyskretnie przesuwam dłoń od ucha spaniela w stronę obroży i odwiązuję smycz. Z donośnym jazgotem Blackie pomknął przed siebie. Jane krzyknęła z przerażeniem i zerwała się na nogi; serce łomotało mi w piersiach, gdy patrzyłem za pieskiem pędzącym zgodnie z moim przewidywaniem w stronę Elżbiety. Dworzanie, widząc biegnącego

swobodnie czworonoga – co było surowo zabronione na dworze, a w sali tronowej wręcz niedopuszczalne – wybuchali śmiechem i tupali nogami. Wystraszony nagłym poruszeniem i stukotem obcasów, spłoszony Blackie ze spuszczonego uszami i podkulonym ogonem skręcił w kierunku odpoczywających przy kominku szlachciców.

Jane krzyknęła.

– Nie! Łapać go! Ogień!

Słyszając wybuch swojej damy dworu, Maria zmarszczyła brwi, uniosła się w krześle i spojrzała na stworzenie, które przemknęło obok niej. Z powodu słabego wzroku nie była w stanie rozpoznać przyczyny powstałego zamieszania i wydała stłumiony okrzyk:

– Na Boga, to szczur!

Mały, ciemny, zwinnie Blackie rzeczywiście mógł przypominać spasionego gryzonia.

Pożałowałem, że spuściłem go ze smyczy. Najwyraźniej przeliczyłem się, sądząc, że piesek przebije się przez tłum do księżniczki, dzięki czemu miałbym sposobność zbliżyć się do niej. Dostrzegłem Renarda, który skrzywił się z obrzydzeniem i odsunął, przepuszczając zwierzę w stronę ognia, rzuciłem się więc do przodu, aby odciąć Blackiemu drogę, zanim dotrze do malowanej osłony przed kominkiem i znajdzie się między królową a paleniskiem. Blackie ponownie skręcił – jednak tym razem ku mojej uldze Elżbieta wstała, aby zawołać pieska.

Spaniel nastawił uszu, jak gdyby usłyszał anielskie trąby zwiastujące zbawienie, po czym smyrnął do księżniczki. Ta wzięła go na ręce i zaczęła cicho do niego przemawiać, piesek zaś uspokoił się w jej ramionach i wywiesił język. Wśród rechotu dworzan szybko pomaszerowałem w stronę Elżbiety, wiedząc, że Jane Dormer zaraz również dopadnie księżniczki. Miałem zaledwie krótką chwilę. Idąc, wyjąłem z kaftana złożoną kartkę.

Wyciągnąłem ręce. Elżbieta podała mi psa; nasze palce zetknęły się. Oczy księżniczki rozszerzyły się lekko, gdy wsunąłem jej kartkę w dłoń, zaraz jednak przejęła wiadomość. Ściskając dyszącego psa, ukloniłem się i cofnąłem o krok.

Podeszła do nas Jane.

– Och, dziękuję! Proszę o wybaczenie! Nie wiedziałam, że Blackie zerwie się ze smyczy. Gdyby nie Wasza Książęca Mość... – Zdawało się, iż zapomniała o swoich wcześniejszych pogardliwych uwagach w stosunku do księżniczki, która przyglądała się młodej dwórcie obojętnie. Oddałem Blackiego Jane, ta zaś mocno przytuliła pieska, a z jej oczu potoczyły się łzy ulgi. – Niegrzeczny pies! – wymamrotała zwierzęciu do ucha. – Jesteś bardzo niegrzecznym pieskiem! Wystraszyłeś mnie na śmierć.

Elżbieta milczała. Przeniosła wzrok na mnie, na jej twarzy malowała się jednak zwykła uprzejmość, jaką równie dobrze mogła okazać pierwszemu lepszemu



nieznajomemu, po czym wróciła na swoje miejsce.

Jane mruknęła do mnie:

– Jestem panu wielce zobowiązana. Jeśli kiedykolwiek będę mogła służyć panu pomocą, z radością się odwdzięczę.

– Nic mu nie groziło – odpowiedziałem. Serce powoli przestawało mi łomotać. Udało się. Elżbieta dostała wiadomość ode mnie.

Nie usłyszałem królowej, kiedy się zbliżała, dlatego wzdrygnąłem się, gdy jej głos rozległ się tuż obok mnie.

– Cóż to za niestosowny rozgardiasz?

Jane i ja odwróciliśmy się. Zobaczyłem Marię, która patrzyła nie na nas, ale wbijała lodowate spojrzenie w Elżbietę, stojącą bez ruchu przy krześle.

– Może nas pani opuścić – oznajmiła królowa oziębłe. – Nie chcemy, aby to poruszenie osłabiło twoje i tak już nadwątlone siły lub, Boże broń, wpędziło cię w kolejną chorobę. Proszę również zastanowić się nad tym, o co wielokrotnie cię prosiliśmy. Mimo że jesteś naszą siostrą, pani, pamiętaj, nasza cierpliwość wobec ciebie również ma swój kres.

Rysy Elżbiety stwardniały. Na chwilę wstrzymałem oddech. Obawiałem się, że w odpowiedzi księżniczka wygłosi płomienne słowa, którymi przypieczętuje swój los. Ona jednak dygnęła niezbyt dbale i ściskając w dłoni wiadomość ode mnie, wyszła bez słowa z sali, a jej smukła, przyobleczona w czerń postać przemknęła niczym kosa wśród szepczących dworzan.

Stojąca obok mnie Jane próbowała wybąkać przeprosiny.

– Panno Dormer – przerwała jej Maria – nie interesują mnie żadne wyjaśnienia. Proszę odtąd się upewniać, że smycz jest dobrze przywiązana. Pozwoliłam ci przybyć na dzisiejszą ucztę z psem, ponieważ bardzo się martwiłaś, iż będzie musiał zostać sam. Pamiętaj, że zarówno ja, jak i panna Darrier, od której dostałaś swojego pupila, ostrzegaliśmy, iż posiadanie zwierzęcia jest dużym obowiązkiem. Jeśli nie potrafisz o nie zadbać, powiedz nam o tym, a znajdziemy kogoś, kto wyręczy cię w tym obowiązku.

– Och, nie – odparła szczerze przejęta Jane – potrafię o niego zadbać, Wasza Królewska Mość. Obiecuję, że to się nigdy więcej nie powtórzy.

– Niech zatem tak będzie. – Maria zmierzyła ją spojrzeniem. – Teraz możesz wracać na swoje miejsce.

Jane przytuliła Blackiego do piersi. Posłała mi jeszcze jedno pełne wdzięczności spojrzenie, po czym pomknęła w stronę stołka. Miałem zaledwie chwilę, aby zastanowić się, dlaczego Sybilla Darrier podarowała psa dziewczynie, która najwyraźniej nie darzyła jej sympatią, bowiem w następnym momencie Maria przeniosła świdrujące spojrzenie na mnie.

– Błagam o wybaczenie, Wasza Królewska Mość – powiedziałem. – Nie chciałem zakłócić spokoju Waszej Królewskiej Mości.

Na jej twarzy malował się nieprzenikniony wyraz.

– Panie Prescott, jest pan szybki i zwinny. To godne podziwu cechy, które osobiście bardzo doceniam, pozwalają one bowiem zapobiegać nieszczęściom. Wydaje się jednak, że należy panu przypomnieć, gdzie jest pana miejsce. Jest pan moim sługą. Proszę zatem słuchać bacznie: oczekuję od swoich sług, aby trzymali się z dala od mojej siostry. Czy moje słowa są zrozumiałe?

Nie czekała na odpowiedź. Uniosła głowę, po czym wróciła na miejsce, lekceważąc mnie, jak gdybym w chwili, gdy skończyła do mnie mówić, przestał istnieć.

## Rozdział 6



Karły zaczęły fikać koziołki, otwierając wieczorne widowisko. Maria rozchmurzyła się na ich widok. Klaskała z zachwytem w dłonie, podczas gdy niewyrośnięci akrobaci ubrani w ozdobne kostiumy i czapki zakończone dzwoneczkami siłowali się zapamiętane, wymierzali sobie siarczyste klapsy i przrzucali się sprośnymi żartami. Nie przypuszczałem, że przypadnie jej do gustu to hałaśliwe przedstawienie, królowa wyglądała jednak na niezmiernie uradowaną, okrzykami zachęcała artystów do dalszych popisów i rzucała im monety z trzymanej przez lady Clarencieux sakiewki, mimo że ubrani na czarno Hiszpanie, którzy zbili się w posępną gromadkę nieopodal monarchini, krzywo patrzyli na tak niegodne zachowanie.

Skryłem się w półmroku w dalszym kącie sali i chwyciłem kielich z tacy niesionej przez służącego. Ręka mi drżała, gdy podniosłem puchar do ust, aby opróżnić go duszkiem. Elżbieta dostała moją wiadomość; teraz musiałem jedynie przetrwać spotkanie z Renardem. Tego wieczoru zrozumiałem, że cokolwiek dzieje się na dworze, księżniczka w rzeczywistości jest więźniem. Maria nie zgadzała się na jej wyjazd

i traktowała ją z wyraźną pogardą. Nie miałem pewności, czy winę za to wszystko ponosi Renard, widziałem jednak, jak szepcze coś do królowej na chwilę przed przybyciem Elżbiety. Zwrócił uwagę Marii na nieobecność jej siostry, wiedząc, że doprowadzi to monarchinię do wściekłości.

Oderwałem się od myśli o księżniczce i skoncentrowałem na obecnych na sali gościach, a zwłaszcza na Sybilli. Podeszła ona do lady Lennox, z którą nawiązała kurtuazyjną rozmowę, Jane została zaś ze swoim pieskiem mocno przywiązanym do smyczy i ze zmęczenia zwiniętym w kłębek pod stołkiem pani. Sybilla wydawała się czuć swobodnie w towarzystwie damy o skwaśniałej minie, spokrewnionej z Tudorami, a przez to znaczącej figurze na dworze. Sybilla musiała zatem cieszyć się łaskami samej królowej, bowiem lady Lennox nie sprawiała wrażenia osoby gotowej trwonić swój czas na rozmowy z byle szlachciankami.

Mimo to Sybilla przed chwilą mi pomogła. *Audentes fortuna iuvat*, powiedziała. Fortuna sprzyja śmiałkom.

Pałała mnie ciekawość. Panna Darrier współczuła Elżbiecie i jakimś cudem domyśliła się, co zamierzałem zrobić, tego byłem pewien. Wiedziała, że chciałem wywołać zamieszanie, aby móc zbliżyć się do Elżbiety, dlatego zwróciła moją uwagę na zazdrosne spojrzenia, które Renard rzucał w naszym kierunku, i tym samym ostrzegła mnie, iż nie mam zbyt wiele czasu.

Czyżby wiedziała, z jakimi zamiarami wobec

księżniczki nosi się ambasador?

Czy mogłem widzieć w niej sprzymierzeńca?

Rozważania przerwał mi Courtenay. Szlachetnie urodzony młodzieniec wcześniej cały czas stał przy kominku z kielichem w dłoni i opierał się niedbale o nadproże, teraz jednak podszedł do królowej i ukłonił się jej nisko, jak gdyby prosił o pozwolenie, aby się oddalić. Wyprostowałem się. Umyślnie zostałem na sali, aby nie budzić żadnych podejrzeń, kiedy jednak hrabia przemaszerował obok mnie z nachmurzoną miną, poczułem, że nadszedł czas na kolejny ruch.

Skinąłem na Peregrine'a.

– Wracaj do naszych komnat. Muszę wypełnić jeszcze parę obowiązków.

Wpatrywał się we mnie z otwartymi ustami.

– Obowiązków?

– Tak. Rób, co ci każę. – Obróciłem się i ruszyłem przed siebie, jednak chłopak chwycił mnie za ramię. Spojrzałem na niego.

– Wiem, co zamierzasz uczynić, panie – oznajmił. – Chcesz śledzić Courtenaya, nieprawdaż? Nie powinieneś tego robić. To niebezpieczne.

– Peregrine, puść mnie...

– Nie rozumiesz, panie! Kiedy uganiałeś się za tym głupim psiakiem, widziałem kogoś!

Znieruchomiałem, zerknąłem za Courtenayem. Zniknął w tych samych drzwiach, którymi wcześniej wyszła Elżbieta.

– Kogo? – spytałem, przenosząc wzrok z powrotem na chłopaka. – Kogo widziałeś?

– Jakiś człowiek stał w rogu, między tamtymi filarami, i obserwował cię, panie. Miał na sobie czarną pelerynę i kaptur. Był wielki. Nie dostrzegłem jego twarzy, ale nie wyglądał na życzliwego.

Przeszedł mnie dreszcz. Cień, który zauważyłem na początku wieczoru: jednak byłem obserwowany. Czy ten ktoś działał na polecenie Renarda? Czyżby ambasador już teraz nakazał mnie śledzić?

Czyżby mnie przejrano?

– Gdzie on jest teraz? – Uwolniłem się z uchwytu Peregrine'a. –Przestań się gorączkować, inaczej wszyscy zwrócą na nas uwagę. Udawaj, że się rozglądasz, jak gdybyś czegoś zapomniał.

Peregrine zerknął na boki.

– Nie, nie widzę go. Zniknął. Ale na pewno tu był! – Głos mu drżał. – Przymierzam, panie, nie spuszczał z ciebie oka.

– Wierzę ci. Naprawdę. Niemniej to nie może poczekać. Dlatego rób, co ci każę. Wracaj do komnat i nie wychodź. Nie otwieraj drzwi. Wrócę najszybciej, jak mi się uda. – Popchnąłem go w stronę przeciwległego wyjścia. – Idź. No, już.

Ruszył przed siebie z ociąganiem, parę razy odwrócił się i spojrzał na mnie przez ramię. Wino, które wypłem tego wieczoru, zaczynało ciążyć mi na żołądku. Naciągnąłem czapkę na głowę, wyszedłem z sali

tronowej i pomknąłem ciemnymi korytarzami pachnącymi zwietrzałymi perfumami oraz dymem świec. Narazając się, aby zbliżyć się do Elżbiety, zaryzykowałem i sprawiłem, że podejrzliwość Renarda wobec mnie jeszcze wzrosła, ale nie zamierzałem pozwolić, aby to lub jakiś wysłany przez ambasadora pacholek powstrzymali mnie od działania. Na początku uczty królowa postanowiła wysłużyć się Courtenayem i kazała właśnie jemu pójść po Elżbietę, jednak później zarówno on, jak i księżniczka zachowywali się, jak gdyby się nie znali. Samo to, że trzymali się z dala od siebie w sali tronowej, potwierdzało przypuszczenie, że ów hrabia jest kimś więcej niż towarzyszem konnych przejażdżek. Łączyło ich coś więcej i zamierzałem się dowiedzieć, co dokładnie to było.

W długim krużganku minęli mnie obwieszeni klejnotami dworzanie. Udałem pijanego i zatoczyłem się, na co kobieta zachichotała, mężczyzna zaś zawołał gniewnie:

– Z drogi, łachmyto!

Gdy tylko zniknęli mi z oczu, przyspieszyłem.

Courtenay również musiał tędy przejść, kiedy jednak zbiegłem z krużganka schodami i skręciłem w węższe przejście, zacząłem się zastanawiać, czy nie pobłądziłem. Whitehall był niczym labirynt, w którym zaczynałem się dopiero orientować, i w pewnym momencie zdałem sobie sprawę z tego, że zmierzam w głąb pałacowych czeluści, gdzie kamienne posadzki



i mury przenikała coraz większa wilgoć.

Zakląłem pod nosem. Odwróciłem się, usiłując odtworzyć w pamięci drogę. Z pewnością zgubiłem już Courtenaya i...

Dobiegło mnie słabe echo głosów.

Pomału przesunąłem się w stronę najbliższego zakrętu korytarza. Dojrzałem dwie postacie oblane mroźnym światłem wpadającym przez koślawą furtę w murach obronnych. Wyższa postać stała plecami do mnie, rozpoznałem jednak charakterystyczną czarno-białą szatę, której rękawy zakończone były zwisającymi srebrnymi ozdobnikami. Druga postać była smuklejsza, niższa o głowę i owinięta czarną opończę. Rozszerzyłem oczy ze zdumienia, gdy nagle poznałem alabastrową owalną twarz, częściowo zasłoniętą kapturem obszytym futrem.

Cofnąłem się, czując, jak łomocze mi serce.

To była Elżbieta, sam na sam z Courtenayem.

– Musimy być ostrożni – usłyszałem jej głos niosący się daleko w nisko sklepionym korytarzu. – Ta gra stała się bardzo niebezpieczna.

– Gra? – Courtenay parsknął. – To już dawno przestało być grą. Walczymy o życie, odkąd tej twojej wiedzmołowej siostrze zachciało się sprowadzić tu Hiszpanów.

– Zapominasz, że moja siostra niczego jeszcze nie ogłosiła – odparowała księżniczka. – Być może zaręczyny z księciem Hiszpanii Filipem nigdy nie dojdą

do skutku. Takie ustalenia długo trwają. Po drodze mogą się pojawić dziesiątki przeszkód i...

– Jedyłą rzeczą, której nie wiadomo na pewno, jest to, czy skróci cię o głowę przed swoim ślubem, czy dopiero po nim – wtrącił Courtenay bezlitośnie, a ja poczułem, że krew ścięła mi się w żyłach. – Nie słyszałaś, co powiedziała w sali tronowej? Ostrzegła cię na oczach całego przeklętego dworu! Elżbieto, nie możesz dłużej pozwalać sobie na wahanie. Maria występuje przeciwko tobie. Wyśle cię na szafot, nawet jeśli wpierw będzie musiała stracić każdego protestanta stąd do Dover.

– Uważaj, kuzynie. – Głos Elżbiety zabrzmiał twardo. – Mówisz o mojej siostrze. Poza tym nic mi jeszcze nie zrobiła. Nadal jestem z woli ojca kolejna w linii sukcesji do tronu.

Courtenay rozeźmiał się.

– A po tobie z woli Henryka są twoje ciotki i ich dzieci. Maria zetnie cię albo pozbawi praw do korony i twoje miejsce zajmie ta zgorzkniała jędza Lennox, dopóki Filip nie spłodzi następcy. Ty o tym wiesz i ja o tym wiem. Zamierzasz jej ulec? Poświęcisz swoje święte prawo do tronu, aby Maria mogła zawrzeć nikczemny sojusz z Habsburgami?

– Na Boga, dość już usłyszałam! – zawołała Elżbieta. Urwała, po czym zniżyła głos i wysyczała: – A co mam zrobić twoim zdaniem? Dzień i noc obserwują mnie jej szpiedrzy, damy dworu, które mi przysłała, nawet

praczka, która pierze moją bieliznę! Odkąd przybyłam na dwór, stoję na krawędzi przepaści. Nie zamierzam ulec. Ale nie zamierzam także kłaść głowy pod topór. Jeśli dojdzie do najgorszego, zrobię, co muszę, żeby przetrwać.

– Czyli co? Będziesz całowała pierścień papieża i Filipa, księcia Hiszpanii?

W jego głosie było tyle szyderstwa, że zdobyłem się na odwagę, aby raz jeszcze spojrzeć na rozmawiającą parę. Courtenay wyciągnął rękę, jak gdyby chciał ująć dłoń Elżbiety, ona jednak cofnęła się.

– Najchętniej nakłoniłbyś mnie do tego, abym sama sobie wzniosła szafot.

– Nie nakłaniam cię do niczego – odparł. – Słyszałaś jednak, co powiedziała twoja siostra: skończył się czas twoich wybiegów. Zaufaj Dudleyowi i mnie, jeśli nie możesz już zaufać nikomu i niczemu innemu. Sprawimy, że będziesz bezpieczna.

Zamarłem. Dudley: mowa o Robercie Dudleyu, moim byłym panu, ukochanym synu Northumberlanda i przyjacielu Elżbiety z lat dziecięcych, którego Maria zamknęła w Tower razem z pozostałymi jego braćmi – o Robercie Dudleyu skazanym na śmierć za zdradę.

Elżbieta również znieruchomiała. Chwile, które mijały, dłużyły się niczym lata naznaczone pełnym skupienia milczeniem księżniczki. W końcu dał się słyszeć jej głos:

– Weź to, proszę. – Rozsunęła poły peleryny i ze

skrytej w jej wnętrzu kieszeni wyjęła niewielki pakunek, który podała Courtenayowi. Ponownie owinęła się opończą, po czym ruchem głowy wskazała wybitą w murze furtę. – Teraz każ swojemu słudze odprowadzić mnie do komnat. Czuję, że zaczyna boleć mnie głowa. Muszę odpocząć.

Myśli jedna za drugą przelatywały mi bezładnie przez głowę, podczas gdy młody hrabia szybko schował paczuszkę pod peleryną. Stałem jak sparaliżowany, usiłując pojąć znaczenie wszystkiego, co właśnie zobaczyłem, i w pierwszym momencie prawie nie zwróciłem uwagi na postać, która wyłoniła się z furty. Człowiek ów pewnym ruchem podniósł obleczoną w rękawicę dłoń, czym zatrzymał Elżbietę. Następnie wskazał załom, za którym się czaiłem. Księżniczka odwróciła się do Courtenaya i zmarszczyła brwi. Raptem wróciły do mnie słowa Peregrine’a. „Miał na sobie czarną pelerynę i kaptur. Był wielki. Nie dostrzegłem jego twarzy, ale nie wyglądał na życzliwego”.

Omiotłem spojrzeniem zwalistą figurę, bezkształtną pelerynę i kaptur, które zakrywały całą postać od stóp do głów, i zrozumiałem, że się pomyliłem. To nie Renard posłał za mną swojego człowieka. Cień, który obserwował mnie w sali tronowej, mężczyzna stojący teraz obok Elżbiety i pokazujący na mnie, był na usługach Courtenaya. Księżniczka wydała stłumiony okrzyk, hrabia zaklął pod nosem, ja tymczasem odwróciłem się na pięcie i rzuciłem się do ucieczki,

a odgłosy moich kroków rozbrzmiewały w pustych korytarzach niczym huk piorunów.

Długi krużganek był pogrążony w mroku, samotna płonąca z sykiem pochodnia zatknięta wysoko na odległym murze rzucała więcej cienia niż światła. Z trudem łapałem powietrze, zmuszałem się, by oddychać przez nos, i gdy tylko dostrzegłem wykusz, bez zastanowienia dałem w niego nura.

Kilka chwil później pojawił się Courtenay, tuż za nim Elżbieta z kapturem naciągniętym na głowę.

– Jesteś pewien? – spytała z niepokojem.

– Tak, on tam był! – Courtenay rozglądał się na boki i rzucał pełne wściekłości spojrzenia w głąb krużganku.

– Do wszystkich diabłów, podsłuchiwał nas, a teraz go zgubiliśmy!

– O kim mówisz? – chciała wiedzieć Elżbieta. – Nikogo nie widziałam.

Głos hrabiego stwardniał.

– Mówię o tym szlachciurze z sali tronowej, tym, który tak demonstracyjnie ratował pieska Jane Dormer. Zapewne nas śledził. – Nie czekając na odpowiedź księżniczki, odwrócił się do swojego pachołka, który dopiero przyczłapał, wyraźnie utykając na jedną nogę, w dłoni zaś trzymał obnażony sztylet. Wyglądało na to, że hrabia miał na usługach najemnika. – Ty głupcze – fuknął Courtenay – miałaś stać na straży! – Uniósł rękę, jak gdyby zamierzał uderzyć mężczyznę, ale Elżbieta stanęła między nimi.

– Dość tego – oznajmiła. – Kazałeś mi czekać za furta, abyśmy mogli porozmawiać na osobności, pamiętasz? Jak zatem miał stać na straży?

– Nędzny próżniak – warknął Courtenay. Wyciągnął rękę w stronę pacholka, jak gdyby chciał dźgnąć go wysuniętym palcem. – Wracaj na salę tronową i znajdź go. Jeśli usłyszał wystarczająco wiele i pójdzie z tym do Renarda lub, Boże broń, do królowej, księżę Hiszpanii Filip nie zdąży posłać nas na stos. Uprzedzi go w tym Maria. – Skrzywił usta, obnażając zęby w pełnym goryczy grymasie. – Odprowadzę Jej Księżęcą Wysokość do jej komnat. Ty rób to, za co ci płacę, i pozbądź się tego przybłądy, zanim zniweczy wszystkie nasze plany!

Oddech uwiązał mi w gardle, gdy usłyszałem, że Elżbieta znów zaczyna protestować, jednak jej głos stopniowo zamierał, w miarę jak oddalała się w towarzystwie Courtenaya. W ciszy, która zapadła po ich odejściu, dobiegły mnie odgłosy kroków zbliżających się w moją stronę. Nie powinienem był chować się w pierwszym napotkanym wykuszu. Do sali tronowej prowadził właśnie ten korytarz, w którym się ukryłem. Człowiek hrabiego będzie musiał przejść obok mnie.

Wysunąłem sztylet zza cholewy buta, jednak cały czas trzymałem go ostrzem ku sobie, aby nie odbiło się w nim wątłe światło pochodni. Nie łudziłem się. Mężczyzna był tak potężnej budowy, że złamałby mnie jak suchy patyk, nawet jeśli jakimś cudem udałoby mi się uniknąć jego sztyletu. Niemniej chciałem sprawić się

jak najlepiej. Może jeśli wszczęłaby się między nami prawdziwa bójka i gdybym krzyczał wystarczająco głośno, nie zdążyłby mnie zabić. Hrabia z pewnością nie życzyłby sobie, aby jego człowiek wpłatał się w sytuację, która doprowadziłaby go przed sąd pod zarzutem zabójstwa.

Poczułem, że przechodzą mnie dreszcze, gdy ciemna sylwetka zatrzymała się kilka centymetrów ode mnie. Mężczyzna nie był tak ogromny, jak początkowo mi się zdawało, chociaż z pewnością na tyle potężny, abym żałował, że nie mam przy sobie rapiera. Nie widziałem jego twarzy, zdołałem jedynie dostrzec zniekształcony nos wystający spod kaptura. Czas się zatrzymał. Serce waliło mi jak młotem. Mężczyzna przystanął tak blisko mnie, że gdybym wyciągnął rękę, dotknąłbym jego peleryny. Powoli odwrócił głowę w moją stronę. Dłoń zacisnęła mi się na rękojeści sztyletu, gdy szykowałem się do zadania ciosu...

Mężczyzna ruszył przed siebie.

Wstrzymałem oddech, ciało miałem naprężone, gotowe do wykonania gwałtownego skoku. Nie mogłem uwierzyć w to, co się stało. Jako to możliwe, że mnie nie zobaczył? Nie było aż tak ciemno. Czyżby cierpiał na kurzą ślepotę? Nie ważyłem się drgnąć, dopóki nie usłyszałem, że odgłos jego kroków niknie w oddali. A może zamierzał złapać mnie w chwili, gdy będę myślał, iż mu się wymknąłem? Może gdy tylko się poruszę, rzuci się na mnie niczym rozjuszony byk,

zaatakuję mnie od tyłu i udusi... mijały kolejne minuty, które były dla mnie niczym najgorsza tortura, jednak nic takiego się nie stało. Jedyne dźwiękami, jakie mnie dobiegały, były syk pochodni, której płomień skakał wysoko na ścianie, strzępki melodii oraz gwar rozmów dochodzących z sali tronowej.

W końcu ośmieliłem się rozejrzeć. Krużganek nikał w mroku.

Pusto.

Wychylnąłem z za żałomu, schowałem sztylet i pomknąłem do swojej izby.

Peregrine czekał na mnie, Urian leżał na łożu, w kącie płonęła łojowa świeca. Kiedy wszedłem, Urian warknął, zaraz jednak mnie poznał i zamerdał ogonem.

– Dobry pies. – Schyliłem się, aby go pogłaskać. Dopiero teraz, gdy znalazłem się w bezpiecznej izbie, dotarło do mnie, co mogło się stać, i poczułem w żołądku ucisk, od którego zrobiło mi się niedobrze.

– Znalazłeś hrabiego, panie? – Peregrine spojrział na mnie i rozszerzyły mu się oczy. – Wyglądasz strasznie.

– Tak, to nie była łatwa noc. – Odpiąłem pas. – Znalazłem go, ale potem prawie że wpadłem w łapy jego pachołka.

– Pachołka?

– Tak. Zdaje się, że człowiek, który obserwował mnie w sali tronowej, to najemnik na usługach hrabiego. – Niecierpliwym ruchem zdarłem z siebie kaftan, po czym przeczesalem palcami wilgotne włosy. Mimo że panował



chłód, byłem zlany potem i jak zwykle zgubiłem gdzieś czapkę. Peregrine w milczeniu sięgnął po mój kaftan i zaczął go składać. – Nie mam pojęcia, co się tu, do diabła, dzieje. Widziałem, jak Jej Księżęca Mość daje coś Courtenayowi, i słysząc, o czym mówili, o czym on mówił, odniosłem wrażenie, że cokolwiek się szykuje, hrabia tkwi w tym po uszy, a do tego jest to o stokroć bardziej niebezpieczne, niż przypuszczaliśmy. – Podszedłem do skrzyni. – Może powinienem cię odesłać.

– Odesłać? – Peregrine drgnął. – Dokąd? Do Hatfield?

– Po tym, co wydarzyło się tego wieczoru, tak byłoby najbezpieczniej. Nie chcę cię narażać, a zdaje się, że teraz zaczniesz się polowanie na mnie. Renard mi nie ufa, Courtenay chce mnie uśmiercić. Na szczęście raczej nie wejdą razem w zмовę przeciwko mnie.

– W takim razie pozwól, panie, że ci pomogę! – Spojrzał na mnie błagalnie. – Znam ten pałac jak własną kieszeń. Mogę dowiedzieć się wszystkiego, co potrzebujesz wiedzieć. Nie możesz robić wszystkiego sam, skoro stało się tak niebezpiecznie, jak mówisz, a ja... – urwał, widząc wyraz mojej twarzy. Zacisnął usta z uporem. – Nie.

Przyjrzałem mu się uważnie.

– Jeśli każę ci wyjechać, wyjedziesz.

– A jeżeli tego nie zrobię?

– To przywiążę cię do konia i odeślę pod eskortą.

– Do Hatfield? – prychnął. – Nie sądzę, o ile nie

chcesz, panie, żeby wszyscy się dowiedzieli, skąd przyjechaliśmy. Poza tym nie mogę wrócić... Obiecałem to panie Kate.

Serce mi się ścisnęło.

– Obiecałeś jej?

– Tak. Tylko dlatego pozwoliła mi z tobą jechać, panie. Obiecałem, że będę nad tobą czuwał. Ale jak mam dotrzymać słowa, skoro mi na to nie pozwalasz?

– Tak czy inaczej nie możesz dotrzymać słowa. Kate nie powinna była cię o to prosić.

– Nie prosiła. Sam jej obiecałem. – Jedną nogą szurał po podłodze. – Pewnego wieczoru usłyszałem rozmowę panny Kate z panią Ashley. Panienka wydawała się bardzo zmartwiona. Powiedziała, że niebezpieczeństwo wisi nad Elżbietą niczym kłątwa, ale że księżniczka sama też rzuca na innych kłatwę i ludzie, którzy raz zaczną jej służyć, już zawsze pragną to robić. A ty, panie, masz najgorzej, powiedziała. Zrobisz wszystko, żeby ochronić Elżbietę.

– Kate powiedziała ci to wszystko?

– Nie mnie. Nie wiedziała, że to usłyszę. Byłem właśnie w spiżarni. Poza tym jaka to różnica? Panienka ma rację, nieprawdaż? Kocha pan księżniczkę najbardziej na świecie.

Leżący pod łóżem Urian zaskomlał, wyczuwając napięcie między nami. Podszedłem do Peregrine'a i położyłem mu rękę na ramieniu. Znieruchomiał.

– Peregrine, spójrz na mnie. – Kiedy mnie nie

posłuchał, ujął go pod brodę. Oczy miał pełne łez. – To nieprawda – powiedziałem. – Owszem, kocham Jej Książęcą Mość i przyrzekłem, że będę jej służył, ale darzę ją inną miłością niż Kate czy ciebie. Wy jesteście moją rodziną. – Nie mówiłem całej prawdy, ale nie czułem się winny z tego powodu. Nie mogłem przecież wyznać, że jestem z księżniczką związany nie tylko ślubowaniem; łączyły nas również więzy krwi, chociaż Elżbieta o tym nie wiedziała. Nie wiedziała, że jesteśmy rodziną.

– Jestem... jestem dla ciebie jak rodzina, panie? – wyszeptał Peregrine.

– Jak brat. – Zmierziłem mu włosy. – A teraz wytrzyj nos. Nie rękawem. Masz na sobie nową koszulę, pamiętasz? – Peregrine przeszukał torbę i wyciągnął szmatkę, którą otarł twarz. Usiadłem na posłaniu i zacząłem drapać Uriana za uchem. – Przekazałem jej wiadomość, że będę czekał na nią jutro w południe w stajni – powiedziałem – ale miałem wrażenie, że dziś wieczorem wyczuła moją obecność podczas spotkania z Courtenayem. Mam nadzieję, iż będzie mogła mi wyjaśnić, co on właściwie knuje.

– A jeśli nie? – spytał chłopak. – Do tej pory niczego nie ułatwiała, nieprawdaż? Nie poprosiła nikogo o pomoc, chociaż groziło jej niebezpieczeństwo.

Zamilkłem. Peregrine miał rację. Elżbieta powiedziała Courtenayowi, że stoi nad przepaścią, jednak żadna z tych osób, dla których była ważna – ani

ja, ani Kate, pani Ashley czy Cecil – nie otrzymała od niej wiadomości, w której prosiłaby o pomoc. Wiedziałem, że jest dumna i przesadnie skryta, ale teraz wiedziałem również, iż w całą sprawę zamieszany jest Robert Dudley, a ja nie ufałem mu ani odrobinę.

Czyżby Elżbieta chroniła mężczyznę, który mógł doprowadzić ją do upadku?

– Jeśli nie wyjawi ci prawdy, panie – odezwał się Peregrine – mogę przyszpilić Courtenaya.

– Co powiedziałeś?

Chłopak z pośpiechem wyrzucił z siebie słowa.

– Dziś rano, gdy księżniczka wyszła ze stajni, Toby – ten stajenny, od którego dowiedziałem się o jej przejażdżkach z Courtenayem, pamiętasz panie? – przyznał, że hrabia płaci mu za to, żeby nocą jeden z pałacowych koni był dla niego gotowy. Mógłbym się dowiedzieć po co. Większość szlachciców raczej nie każe siodłać cudzych koni, żeby pojeździć sobie w środku nocy, nieprawdaż?

– Masz rację – potwierdziłem. – Ten twój Toby to cenne źródło informacji. Podejrzewam, że wie również, u kogo Courtenay szyje koszule.

Peregrine spojrział na mnie z irytacją.

– Myślisz, panie, że stajenni żyją tylko za te psie pieniądze, które dostają, o ile w ogóle je dostają? Prawie wszyscy chłopcy mają się różnych zajęć, żeby przeżyć. Sam tak robiłem. Parę miedziaków więcej i można zjeść porządny posiłek, a nie żebrać po ulicach o resztki

z pańskiego stołu.

Skrzywiłem się. Przez cały czas traktowałem go jak nieodpowiedzialnego młodzika, podczas gdy on przeszedł w swoim krótkim życiu więcej, niż mogłem sobie wyobrazić.

– Na Boga, ależ ze mnie osioł – westchnąłem.

Peregrine wzruszył ramionami.

– Skąd możesz wiedzieć, panie, jak to jest być na świecie samemu jak palec? – Ta uwaga dotknęła mnie do żywego, gdyż natychmiast przypomniały mi się moje własne szczenięce lata. Zanim jednak zdążyłem powiedzieć, że wiem, jak to jest, Peregrine dodał: – Pozwolisz mi zatem sobie pomóc, panie? Potrzebujesz pomocy, nawet jeśli nie chcesz się do tego przyznać. Nie dasz rady zrobić tego wszystkiego sam.

Byłem zdumiony, że w ogóle rozważam propozycję Peregrine'a, skoro przed chwilą gonił mnie najemnik rozmiarów wołu, chłopak jednak miał rację. Nie wiedziałem kiedy ani jak, ale wiedziałem, że w końcu pacholek Courtenaya mnie dopadnie. Musiałem rozgryźć hrabiego, zanim to nastąpi. Nie widziałem innego sposobu. Po wydarzeniach tego wieczoru niczego nie byłem już pewien, nawet współdziałania ze strony Elżbiety, zwłaszcza jeśli coś ukrywała. Ponadto nie potrafiłem przekonać Peregrine'a, żeby wrócił do Hatfield. Musiałbym go zakneblować i związać, ale on pewnie i tak w końcu znów przypałałby się do mnie. Dobrze znałem to jego spojrzenie. Był gotów zrobić

wszystko, aby stać się użytecznym, i lepiej, żebym to ja wyznaczał mu zadania. W ten sposób przynajmniej będę miał go na oku.

– Nie podoba mi się to – oświadczyłem niechętnie – ale dobrze, przez jakiś czas możesz mi jeszcze pomagać. – Sięgnąłem do sakiewki i rzuciłem mu parę dukatów. – Zobacz, czego uda ci się dowiedzieć. Weź również to. – Wysunąłem sztylet zza cholewy. – Nie chcę, żebyś wałęsał się tu bez broni. – Chłopak skwapliwie przytaknął skinieniem głowy, ostrze i monety schował do torby. – Tylko pilnuj się, żeby nie usłyszeli was inni stajenni. Nie trzeba nam... – urwałem, widząc, że Peregrine przewraca oczami. W tym momencie pomyślałem, jak bardzo się cieszę, że jest moim giermkim. – Dobrze, teraz trochę odpocznijmy – zachichotałem. – Jutro muszę stawić czoła Renardowi, a ty wyciągnąć, co się da, z Toby’ego.

Peregrine wyszczerzył zęby w uśmiechu, po czym zaczął szykować sobie prowizoryczne posłanie na podłodze. Gdy patrzyłem, jak rozbiera się do koszuli i opatula peleryną, aby położyć się na podłodze, stwierdziłem:

– Trzeba zdobyć dla ciebie łożo.

Zdmuchnąłem świeczkę. Chłopak w odpowiedzi jedynie mruknął.

Ledwie ułożyłem się na swoim posłaniu, dobiegło mnie ciche pochrapywanie. Peregrine zasnął w mgnieniu oka i spał kamiennym snem młodzieńca wyczerpanego

wrażeniami minionego dnia.

Zapatrzyłem się w mrok. Wydarzenia z ostatnich kilkunastu godzin przewijały mi się przed oczami, w głowie zaś słyszałem głos Peregrine'a: „Zrobisz wszystko, żeby ochronić Elżbietę”.

Choć z całych sił pragnąłem temu zaprzeczyć, obawiałem się, że rzeczywiście jestem w stanie zrobić wszystko.

## Rozdział 7



Sala urzędowa Simona Renarda – o ile tak można nazwać to miejsce – znajdowała się w wysuniętym najdalej na północ skrzydle pałacu, wciśnięta między ciemny, zapuszczony dziedziniec i kordegardę wychodzącą na park. Nie urządzono jej z przepychem ani choćby starannie, z pewnością była skromniejsza, niż się spodziewałem po gabinecie wpływowego ambasadora reprezentującego na dworze cesarza Karola V i interesy Habsburgów. Izba poczekalna, w której pracowali zatrudnieni przez Renarda urzędnicy, cuchnęła tanim łojem i stęchlizną. W każdym możliwym miejscu stały skrzynie zapchane zwojami dokumentów i ułożone w chwiejne wieże, które sprawiały wrażenie, iż lada chwila mogą runąć. Przy dwóch pulpitych umieszczonych naprzeciwko siebie garbili się ponurzy urzędnicy. Wyglądali tak, jak gdyby od lat nie wychodzili na światło słoneczne; w poplamionych atramentem dłoniach ściskali takie same gęsie pióra, a na ich twarzach odmalowała się jednakowa niechęć, gdy oświadczyłem, że przybyłem na umówione spotkanie z ambasadorem.

– Zaczekać – burknął jeden z nich, wskazując coś na



kształt stołka zawalonego księgami.

Drugi skryba podniósł się niespiesznie, niemalże obojętnie, i powlókł się w stronę drzwi, do których zapukał przed wejściem i które po chwili zamknęły się za nim ze skrzypnięciem.

Nie usiadłem, stanąłem najdalej, jak się dało, od niebezpiecznie przechylonych stosów papierów i uśmiechnąłem się do urzędnika, który pozostał w izbie. Ten rzucił mi gniewne spojrzenie, po czym pochylił głowę nad pulpitem. Jego nieco grubszy, ale równie niemiły kompan stanął w drzwiach kilka chwil później i zwrócił się do mnie:

– Zostawić broń u nas.

Odpiąłem pochwę od pasa i położyłem ją na pulpicie.

– To cenna rzecz – powiedziałem. – Proszę się nią zaopiekować.

Urzędnik chrząknął. Ciekawe, co by pomyślał, gdyby wiedział, że ten rapier należał niegdyś do świętej pamięci króla Edwarda; wykuto go ze stali toledańskiej i wart był małą fortunę. Choć nie zdziwiłbym się, gdyby go to w ogóle nie zainteresowało. Poświęcał mi tyle uwagi, że równie dobrze mógłbym wnieść arkebuzę pod pelerynę i pewnie nawet by nie mruknął.

Przekroczyłem próg i znalazłem się w schludniejszej komnacie szczycącej się nie lada zbytkiem, jakim było wielodzielne okno, z którego roztaczał się zamglony widok na oprószone śniegiem park. Powietrze wydało się tu świeższe. Renard zapewne mógł sobie pozwolić na

świecie z wosku pszczelego. Ustawiony w rogu piecyk promieniował ciepłem.

– Ach, pan Beecham. – Simon Renard wyszedł zza pulpitu i wyciągnął dłoń. Po raz kolejny spore wrażenie zrobiła na mnie jego pewność siebie. – Jest pan punktualny. Dobrze. To mi się podoba.

Tradycyjnie ubrany był na czarno, kaftan miał utkany z wełny najwyższej jakości, spod niego zaś wystawała delikatna batystowa koszula obramowana charakterystyczną hiszpańską koronką. Tym razem nie założył czapki i zauważyłem, że jego rudawe włosy rzedną na czubku głowy, a wysokie gładkie czoło przydaje mu dystynkcji. Rankiem widział się z golibrodą. Wyczuwałem owiewającą go nikłą woń mydła, a jego broda była przystrzyżona krócej niż poprzedniego dnia.

Wskazał mi krzesło. Gdy zaproponował mi kielich wina, odmówiłem.

– Zbyt wcześnie? – spytał. – Punktualny i niepijący. Niezwykle jak na Anglika, jeśli mogę pozwolić sobie na szczerłość.

– Jest pan bardzo łaskaw, milordzie – powiedziałem.

Zwiększyłem czujność, gdy patrzyłem, jak precyzyjnie nalewa do pucharu miarkę wina, po czym rozcieńcza je wodą. Zachowywał się tak, jak gdyby nasze wczorajsze spotkanie nie miało żadnego znaczenia. Była to cecha godna pozazdroszczenia, a także wiele mówiąca.

Ludzie jego pokroju nie byli skorzy do puszczenia urazy w niepamięć.

Przemierzył komnatę i podszedł do okna.

– Cóż za ponura aura. – Westchnął. – Śnieg przypomina mi Kastylię, tam jednak jest wilgotniej, a zima trwa dłużej. Tutejszy chłód przenika mnie do kości.

Nie odrywałem od niego spojrzenia.

– Długo bawi pan w Anglii, milordzie?

– Chwilami wydaje mi się, że od zawsze. – Wrócił do pulpitu. – Tymczasem minęło nieco ponad osiem miesięcy. Wcześniej przebywałem w Paryżu, ale moja żona i dzieci mieszkają w Brukseli. Miałem nadzieję, że ich odwiedzę w tym roku, ale niestety... – szerokim gestem wskazał oprawne w skórę księgi i inne dokumenty zalegające na pulpicie – obowiązkom ambasadora nie ma końca.

Nie dałem się zwieść jego narzekaniom ani przypadkowej wzmiance o życiu osobistym. Wiedziałem, że nie spotkał się ze mną po to, aby porozmawiać o pogodzie czy też trudach sprawowania wysokiego stanowiska.

– Zima bywa surowa. W tym roku może być jeszcze ciężiej – odpowiedziałem.

– Ponoć. Słyszałem, że Tamiza niemal zamarzła. Rzadka rzecz, z tego, co mówią. – Usiadł, a z jego twarzy nie zniknął uśmiech. Kielich z winem pozostawał nietknięty.

Renard pozwolił, aby cisza, która zapadła, przedłużała się. Kolejna sztuczka, którą z powodzeniem stosował również Cecil. Przeciągające się milczenie wywoływało delikatne napięcie, które często sprawiało, że mniej wytrzymała osoba zaczynała mówić. Na mnie jednak nie robiło większego wrażenia. Już nie.

Uśmiech ambasadora przygasł.

– Długo rozmawialiśmy z Jej Królewską Mością po pana wyjściu. Królowa zapewnia mnie, że jest pan godny zaufania. – Odstawił puchar. Zatem on również nie pił. Wobec tego poczęstował mnie winem, aby wystawić na próbę moje umiarkowanie, lub też pragnąc rozwiązać mi język. – Szczegółowo opisała wysiłki, które podjął pan w jej obronie. Godne podziwu, zwłaszcza jeśli podjął je ktoś, kto nie miał większego interesu w ostatecznym obrocie sprawy.

– Moje interesy być może nie były oczywiste – odrzekłem – ale miały ścisły związek z moim honorarium.

– Och, tak. Jej Królewska Mość wspominała, że jest pan człowiekiem do wynajęcia, bez żadnych afiliacji. Dlatego pozostaje pytanie, z jakiego powodu w ogóle podjął się pan tamtych zadań. W owym czasie Northumberland trzymał królestwo w garści; powszechnie sądzono, że powiedzie mu się jego plan osadzenia na tronie swojej synowej Jane Grey.

– Nie wiedziałem o tym – oznajmiłem, a Renard przyjrzał mi się baczniej. – Nie byłem wtajemniczony

w zamierzenia księcia. Wynajęto mnie do przekazania listu od rady, co też uczyniłem, i Jej Królewska Mość w swej łaskawości powierzyła mi kolejne zadanie. Z pewnością jednak Jego Ekscelencja zdążył już to wszystko ustalić.

Ambasador rozsiadł się wygodniej na krześle.

– Niestety nie. Nikt z członków rady nie przypomina sobie pana osoby, ani tym bardziej tego, aby zatrudniano pana w jakimkolwiek charakterze.

– Zapewne dlatego, że nikt z członków rady tego nie uczynił. Zatrudnił mnie Cecil. Ponadto biorąc pod uwagę wszelkie okoliczności, bezpieczniej mnie chyba nie pamiętać.

Niespodziewanie ambasador wybuchł śmiechem.

– Jest pan, o dziwo, fascynującym człowiekiem. Muszę przyznać, że poza domowymi wygodami najbardziej brakuje mi tutaj interesującej konwersacji. W Paryżu to chleb powszedni. Niestety w Anglii bardzo o niego trudno; Anglicy są zbyt pochłonięci nużącymi sprawami religijnymi. Nikt nie przejawia ochoty do szermierki, ani tradycyjnej, ani słownej.

– Chyba że w grę wchodzi nużące sprawy religijne – stwierdziłem, na co Renard podniósł kielich i pociągnął łyk wina.

Widząc to, poczułem się pewniej. Przekonał się do mnie może nie na tyle, aby mi zaufać, ale na tyle, by pozwolić sobie na odprężenie. Po chwili zapytał:

– Czy pociąga pana szermierka, panie Beecham?

Ja z kolei pozwoliłem sobie na uśmiech.

– Czy jest to jeden z warunków, które muszę spełnić, aby uzyskać u pana posadę?

– Pytam, żeby zaspokoić swoją ciekawość.

– Jeśli ciekawi pana, czy gotów jestem przelewać krew w obronie jednej lub drugiej religii, odpowiedź brzmi: nie.

Ambasador uniósł brew.

– Kwestie religijne są panu obojętne?

– Tego nie powiedziałem. Wolę po prostu nie przelewać za nie krwi. Jestem człowiekiem do wynajęcia, jak słusznie stwierdziła królowa. Moje motto brzmi: „Kto płaci, ten ma rację. Dusza poradzi sobie sama”.

Renard zamilkł i przyglądał mi się z wystudiowaną obojętnością. Przeszło mi przez myśl, że przez cały czas sprawdza, czy nadaję się do zadania, które trzymał dla mnie w zanadrzu.

– Można by zatem powiedzieć, że wierzy pan w sakiewkę – odezwał się w końcu.

– Można by, chociaż wolałbym, żeby nie przytaczano tego zbyt szeroko.

– Rozumiem. Co pan powie na to, na początek? – Zamoczył gęsie pióro w kałamarzu, nabazgrał coś na skrawku papieru, po czym przesunął go w moją stronę.

Spojrzałem na zapisaną kwotę, odczekałem kilka chwil, a następnie odrzekłem:

– Hojnie, jak na początek. Chociaż to zależy od

zadania, które będę miał wykonać. Nie zwykłem godzić się na oferowane pieniądze, póki się nie dowiem, za co dokładnie je otrzymam.

– Naturalnie. – Znów pociągnął łyceczek. – Jak zapewne domyślił się pan, widząc tych dwóch głupców w izbie poczekalnej, w rzeczywistości przydałby mi się dobry urzędnik. Prawdę mówiąc, nawet kilku, jednak wczoraj w komnatach Jej Królewskiej Mości oznajmił pan, że taka posada pana nie interesuje. Zapewne również nie zadowoliliby pana posada, którą chciała wyznaczyć panu Jej Królewska Mość.

Poczułem ucisk w trzewiach.

– Posada, którą Jej Królewska Mość chciała mi wyznaczyć? Czy Jego Ekscelencja mógłby wyrazić się jaśniej?

– Mógłbym, choć to, co powiem, musi pozostać w ścisłej tajemnicy. – Urwał; skinąłem głową na znak zgody i dopiero wtedy podjął: – Jej Królewska Mość i ja uważamy, że może dojść do spisku przeciwko niej. Królowa nie kryje się ze swoim potępieniem dla herezji, która rozprzestrzeniła się na terenie Anglii, ani z tym, że jest zdecydowana ową herezję wyplenić. Jednak nie wszyscy członkowie rady podzielają jej determinację. Naturalnie przeciwnicy są w mniejszości, niemniej istnieją. Od pewnego czasu mam na oku tych niezadowolonych, ale jeszcze do niedawna Jej Królewska Mość nie chciała przyjąć do wiadomości, że poddani mogą chcieć wyrządzić jej krzywdę.

Zwróciłem uwagę na to, iż nie wspomniał słówkiem o cesarzu ani księciu Filipie, choć nie było wątpliwości, że działa nie tylko w imieniu królowej, ale i w imieniu Habsburgów. Prawdę mówiąc, niezadowolenie przeciwników Marii mogło brać się właśnie stąd, iż monarchini zaledwie parę miesięcy po objęciu tronu rozważała małżeństwo z katolickim księciem.

– Pan jednak sądzi, że poddani chcą wyrządzić jej krzywdę? – powiedziałem ostrożnie.

– Ja to wiem. – Położył rękę na pulpicie. – Królowa ma wrogów nie tylko na swojej własnej ziemi, ale i na swoim własnym dworze! Pragną oni zaburzyć jej spokój i pozbawić ją korony, jeśli tylko okaże się to możliwe. Pograżą Anglię w chaosie dla własnych korzyści.

– Rozumiem. Czy mogę zapytać, kim są owi wrogowie?

– Chce pan, abym podał ich imiona? – odpowiedział.  
– Gdybym je znał, nie potrzebowalibyśmy pana usług, nieprawdaż?

– Niemniej wspomniał pan, że od pewnego czasu ma pan na oku tych niezadowolonych. Z pewnością musi pan wiedzieć, kogo obserwować?

Zamilkł i przyglądał mi się tak, jak gdyby zastanawiał się, czy nie wyrzucić mnie za drzwi. Po chwili odparł krótko:

– Niestety mam jedynie przypuszczenia. – Znów urwał, milczenie przedłużało się. Nie dałem po sobie poznać, że narasta we mnie niepokój, i czekałem



cierpliwie, jak gdybym miał cały dzień. Renard dźwignął się raptownie z krzesła i pomaszerował w stronę okna. Stojąc plecami do mnie, oznajmił: – Jeśli uda się panu odnaleźć tych zdrajców, Jej Królewska Mość okaże swoją hojność. Niewykluczone jest oficjalne stanowisko na dworze; być może tytuł szlachecki i nadanie ziem, jeśli tak będzie pan wolał. Jednak w zamian musi pan dostarczyć niepodważalne dowody. Nic innego jej nie zadowoli.

– Brzmi to tak, jak gdyby poddawano próbie moją lojalność – oznajmiłem.

Odwrócił się do mnie. Mimo że jego zachowanie i postawa nie zmieniły się, w jego tonie wyczułem groźbę.

– Królowa pokłada w panu ufność. Naturalnie muszę poddać się jej mądrym sądom. Niemniej człowiek do wynajęcia, nieposiadający zadeklarowanej przynależności religijnej, niegdyś będący na usługach Cecila i służący temu, kto da więcej – cóż, z pewnością nie dziwi pana moja troska.

– Owszem. – Skłoniłem się. – Dziękuję za czas, który mi pan poświęcił. Nie chcę być utrudnieniem. Mogę poszukać posady gdzie indziej i oszczędzić panu... trosk.

Nie odezwał się, kiedy wstałem. Dopiero gdy ruszyłem w kierunku drzwi i położyłem dłoń na klamce, oznajmił:

– Jej Królewska Mość chce to zadanie powierzyć tylko i wyłącznie panu. To jej życzenie i rozkaz.

Przełknąłem ślinę, wróciłem i ponownie usiadłem na krześle. Przez głowę przelatywały mi dziesiątki myśli. Wyglądało na to, że Maria nie ma jednak do mnie całkowitego zaufania. Wdepnąłem w gniazdo żmij. Tym razem miałem się sprawdzić w wyznaczonym przez nią zadaniu i coś mi mówiło, iż wcale mi się ono nie spodoba.

Renard poczekał, aż jego słowa wybrzmiały, po czym rzekł:

– Gdyby to zależało ode mnie, nie zatrudniłbym pana. Nie uważam, że jest pan odpowiednim człowiekiem do wykonania tak ważnego i delikatnego poruczenia, i uprzedziłem Jej Królewską Mość o swoich wątpliwościach. Niemniej wydała rozkaz i muszę go wykonać. – Zawiesił głos; to, co powiedział po chwili, uderzyło we mnie obuchem: – Podejrzanymi, których poczynaniom ma się pan przyjrzyć, są Edward Courtenay, hrabia Devon, i lady Elżbieta.

Poczułem, że skręcają mi się wnętrzności. Słowa te, choć nie były niespodzianką, wypowiedziane na głos zabrzmiały strasznie, a do tego potwierdzały podejrzenia Cecila, który uważał, iż Maria pozostaje pod wpływem Renarda.

– Skoro wiadomo, kto jest podejrzany – zauważyłem, a całe moje ciało napięło się, jak gdybym szykował się do odparcia ataku – dlaczego odpowiednie osoby nie zostaną aresztowane i przesłuchane?

Renard prychnął z niecierpliwością.

– Jej Królewska Mość jest osobą ufną. Nie lubi myśleć źle o nikim, zwłaszcza o własnej siostrze i kuzynie. Nie podejmie żadnych działań, dopóki nie będzie miała wystarczających dowodów.

– I pan oczekuje, że ja...?

– Skądże. Nigdy nie uda się panu zbliżyć do lady Elżbiety bardziej, niż zrobił pan to zeszłego wieczoru podczas awantury z psem. Ukrywa swoje prawdziwe oblicze jak nikt inny; ponadto jest niezwykle przebiegła i ostrożna. Przypuszczam, że można by z niej cokolwiek wydobyć, jedynie łamiąc ją kołem. – Uśmiechnął się, wyjątkowo szczerze. – My jednak nie możemy łamać jej kołem, nieprawdaż? Na razie nie odważymy się również jej uwięzić; w ten sposób ostrzeglibyśmy jedynie jej zauszników, którzy natychmiast zmieniliby swoje nieczne plany, aby uniknąć wykrycia knowań.

– Zauszników? – powtórzyłem. – Sądzi pan, że Jej Księżęca Mość ma zauszników?

– Zdrajcy zawsze ich mają. I chociaż lady Elżbiety i hrabiego Devon nie można przesłuchać w sprawie spisku, który moim zdaniem knują, niechybnie muszą istnieć dowody na ich intrygi. Potrzebne nam są listy, które pisywali do swoich popleczników i otrzymywali od nich, a także daty i miejsca ich spotkań. Wymagam od ciebie, żebyś dotarł do tych informacji. Naturalnie zanim spisek dojdzie do skutku. – Urwał, po czym dodał z naciskiem: – Królowa jest osobą ufną, ale ja, panie Beecham, wręcz przeciwnie. Człowiek na moim

stanowisku nie może sobie na to pozwolić.

Zmusiłem się do tego, aby spokojnie usiedzieć na miejscu. Oparłem się wygodniej i pogładziłem brodę. Elżbieta powiedziała mi niegdyś, że Maria nie potrafi nikomu zaufać, gdyż odziedziczyła najgorsze cechy ojca; i teraz zrozumiałem, co miała na myśli. Nie chodziło o to, że Maria była nieufna; raczej o to, iż łatwo było zasiać w niej wątpliwości, co skutecznie wykorzystywał teraz Renard, pragnąc osiągnąć własne cele.

Mimo to Maria nadal miała sumienie; obstawała przy tym, żeby mnie zatrudnić, ponieważ nie chciała potępiać siostry tylko i wyłącznie na podstawie oskarżeń Renarda. To stawiało go w sytuacji bez wyjścia. Ciężko było dłużej utrzymać w tajemnicy sekretny plan dotyczący zamążpójścia królowej; czasu było coraz mniej. Wieść o tym, że Maria zamierza poślubić hiszpańskiego księcia, mogła wywołać oburzenie większe, niż ambasador przypuszczał; gdyby inne wysoko postawione osobistości na dworze wyraziły swój sprzeciw, trudno byłoby wskazać Elżbietę jako jedyne zarzewie buntu. Aby zatem zniszczyć księżniczkę, Renard musiał zdobyć dowody na jej zdradę, zanim zaręczyny królowej zostaną oficjalnie ogłoszone.

To oznaczało, że mogłem wygrać. Mogłem pokonać ambasadora w jego własnej grze.

– A jeżeli niczego nie będzie można znaleźć? – spytałem. – Raz jeszcze proszę mi wybaczyć, że zadaję proste pytania, niemniej rzecz dotyczy dwóch tak

znamienitych osób, że, cóż, zapewne jest pan w stanie zrozumieć moją troskę. Cieszę się obecnie dobrą reputacją, milordzie, a lady Elżbieta jest przecież następczynią tronu.

Renard spojrział na mnie oziębłe.

– To dość pochopne stwierdzenie. Istnieją poważne zastrzeżenia co do tego, czy jest odpowiednią kandydatką. Niektórzy utrzymują, że w ogóle nie jest córką króla. Sama królowa ma w tej sprawie wątpliwości. Powiedziała mi swego czasu, że Elżbieta w niczym nie przypomina ich ojca, jest za to nad wyraz podobna do tej ladacznicy, swojej matki.

Poczułem, jak zaciskają mi się pięści. W innych okolicznościach wybiłbym mu zęby za wygłaszanie takich potwarzy.

– Nie do mnie należy wydawanie sądów w takich sprawach – zdołałem wykrztusić. – Jednak nawet jeśli nie uda się dotrzeć do dowodów przemawiających przeciwko lady Elżbiecie, wolałbym nie zostać postrzegany jako człowiek, który chciał doprowadzić do jej zguby.

– Proszę się nie obawiać – zapewnił Renard. – Jak już wspomniałem, zadanie to zostanie utrzymane w ścisłej tajemnicy. Wiemy o nim jedynie ja i królowa. Może być pan pewien, że Jej Królewska Mość nie powierzałaby panu tej misji, gdyby wątpiła w jej celowość. Czy dobrze się rozumiemy?

Owszem. Rozumiałem wszystko aż nazbyt dobrze.

Wiedziałem, że nie mam żadnej gwarancji, iż ambasador nie każe mnie zabić w chwili, gdy dostarczę to, czego żądał. Byłem również pewien, że choć zasłaniał się poleceniami królowej, za wszystkim stał on. To on zaplanował przejęcie władania nad Anglią przez obce mocarstwo dzięki zaręczynom monarchini z księciem Filipem i nie zamierzał spocząć, dopóki nie doprowadzi Elżbiety pod topór kata. Był bezwzględny i niezwykle groźny.

Aby ocalić księżniczkę, musiałem go pokonać.

– Rozumiemy się doskonale, milordzie – odrzekłem.

Stał bez ruchu i przeszywał mnie lodowatym spojrzeniem. Jednak po chwili wyraz jego twarzy zmienił się błyskawicznie i w mgnieniu oka on sam ponownie przeistoczył się w życzliwego mocodawcę.

– Cieszę się, że to słyszę, Jej Królewska Mość również będzie rada. Zapewne nie muszę dodawać, że powinien pan się starać nie rzucać się w oczy na dworze, inaczej niż miało to miejsce wczoraj wieczorem. I jeśli prześle mi pan listę wydatków, dopilnuję, aby je pokryto. Choć czuję się w obowiązku ostrzec pana, iż mam ograniczone środki. Niemniej mogę oddać do pana dyspozycji jednego człowieka, jeżeli...?

Albo mnie prowokował, albo zapomniał, z kim ma do czynienia. Naprawdę sądził, że poproszę, aby wysłał za mną szpiega?

Z trudem powstrzymałem uśmiech.

– Wolę działać sam, zważywszy na delikatną naturę

tego zadania. Jednakże byłbym wdzięczny, gdybym otrzymał zawczasu trzecią część mojego wynagrodzenia. Och, a także nowy sztylet, jeśli to możliwe. Zdaje się, że stary gdzieś mi się zawieruszył.

Renard zapisał coś na kartce, a następnie zadzwonił małym srebrnym dzwonkiem, który stał na pulpicie. Do komnaty wtoczył się pulchny urzędnik, ocierając palce o pumpy i strzepując z nich okruchy.

– Zajmij się tym – polecił ambasador, przesuwając papier w jego stronę – zanim skończysz obiad. – Urzędnik nachmurzył się i począpał z powrotem do swojej izby. Renard spojrział na mnie z rozdrażnieniem i powiedział: – Niezmiernie trudno w obecnych czasach o porządną służbę. Nawet pan nie wie, jak miłą odmianę stanowi praca z kimś, kto zna się na swoim fachu. Spodziewam się pierwszego raportu za, powiedzmy, trzy dni. Ufam, że jest to wystarczająco dużo czasu, aby zebrać...?

– Zrobię, co w mojej mocy – oznajmiłem.

Wstałem i uściśnąłem mu rękę, tłumiąc odrzę wywołaną dotykiem jego suchej dłoni.

Polowanie czas zacząć.

## Rozdział 8



Głęboko odetchnąłem zimowym powietrzem, które oczyszczało umysł i płuca. Przemierzałem główny dziedziniec, kierując się w stronę zabudowań stajennych, za cholewą buta czułem nowy hiszpański sztylet ze stali toledańskiej, u boku miałem przypasany rapier, w kieszeni zaś ciążyła mi pękata sakiewka.

Dzień był rześki; daleko na horyzoncie gromadziły się chmury białe niczym śnieg zalegający na ziemi. Niecierpliwość sprawiła, że przyspieszyłem kroku. Modliłem się, by Elżbieta pojawiła się na umówionym spotkaniu – musiała się dowiedzieć, iż Renard zastawia na nią sidła. Na razie wyprzedzałem go o krok. Uzyskałem posadę u człowieka, któremu miałem pokrzyżować plany, ale nadal dybał na mnie pacholek Courtenaya. Elżbieta mogła powiedzieć hrabiemu, by jego najemnik zostawił mnie w spokoju, zanim jednak to nastąpiło, byłem narażony na atak, dlatego co chwilę oglądałem się za siebie i nasłuchiwałem, spodziewając się, że jeśli ktoś mnie śledzi, ostrzeże mnie śnieg skrzypiący pod butami ewentualnego napastnika.

Gdy zbliżałem się do stajni, naciągnąłem na głowę kaptur i szerokim łukiem ominąłem kilku młodych



stajennych, którzy zbici w gromadkę pod okapem dachu oddawali się grze w kości i raz po raz po kryjomu pociągali wino z bukłaka. Najwyraźniej niewiele mieli dzisiaj pracy. Przyjrzałem im się spod kaptura, ale nie dostrzegłem wśród nich Peregrine'a. Przy odrobinie szczęścia odciągnął na bok swojego przyjaciela Toby'ego, aby wziąć go na spytki.

Stałem w progu pobielonego i ozdobionego zieloną farbą budynku, jednego z wielu, w których trzymano dworskie konie i ogary. Przywitał mnie wystraszony czarny kot, który syknął, po czym smyrnął na dwór. Swojski zapach skóry, gnoju i siana sprawił, że nagle wróciły do mnie wspomnienia z dzieciństwa, kiedy to zajmowałem się zwierzętami w majątku Dudleyów.

W ostatniej chwili usłyszałem, jak się zbliża. W jednej chwili wdychałem duszne, stojące powietrze; w drugiej wyczułem ruch i obróciłem się raptownie, dzierżąc w dłoni obnażony sztylet.

– Ostrożnie – powiedziała, ja zaś obniżyłem ostrze. Serce zaczęło mi bić szybciej, gdy spojrzałem prosto w lwie oczy Elżbiety spoglądające na mnie spod czarnego aksamitnego kaptura miękko okalającego jej twarz. Głos miała lodowaty. – Sądziłam, że wyraziłam się jasno, mówiąc, iż jeśli będę was potrzebowała, wyślę do Hatfield wiadomość.

Uważnie dobierałem słowa:

– Owszem, pani. Niemniej przyjechałem, żeby ci pomóc.

– Doprawdy? – Uniosła brew. – Musiałam przekupić stajennych; na szczęście nie trzeba wiele, aby ich wywabić. Nie pomyślałeś o tym, kiedy przekazywałeś mi liścik, nieprawdaż? O tym, że ktoś może nas tu zobaczyć?

Zakląłem pod nosem. To prawda, nie pomyślałem. Tak bardzo pragnąłem z nią porozmawiać, iż nie przewidziałem, jakie konsekwencje może mieć nasze spotkanie.

– Mamy niewiele czasu – ciągnęła. – Powiedziałam, że potrzebuję zaczerpnąć świeżego powietrza, przespacerować się i zajrzeć do konia. Odesłałam Blanche Parry po rękawiczki i mufkę, razem z nią poszły te wszystkie jędze, którymi otoczyła mnie moja siostra, jednak niedługo wróca, a zatem – przeszła mnie spojrzeniem – mów, po co przybyłeś.

Zawahałem się. Co ja właściwie czyniłem? Urodziła się i wychowała w tym świecie; dawno nauczyła się żeglować po jego zdradliwych wodach. Ja nie. Niemniej teraz już nie miałem wyjścia, nie mogłem się cofnąć. Przypomniałem sobie, co powiedział Renard na temat mojego zadania, i oznajmiłem bez ogródek:

– Przed chwilą miałem spotkanie z ambasadorem Renardem. Polecił mi znaleźć dowody na to, że Wasza Książęca Mość i hrabia knujecie spisek przeciwko królowej. – Zniżyłem głos, niespokojne konie w boksach za nami poczęły cicho rzeć. – Chce pojmać panią za zdradę!

Słaby rumieniec, który okraszał jej policzki, zbladł zupełnie. Gdy się odezwała, głos jej drżał.

– Zatem w końcu się stało. Maria pozwoliła temu nikczemnikowi wystąpić przeciwko mnie.

– Tak, ale nadal dręczą ją wątpliwości. Renard podsyca jej podejrzenia. Pragnie wykorzystać upadek Waszej Księżęcej Mości do własnych celów i...

Roześmiała się śmiechem, który wcale nie był wesoły.

– Nie potrzeba żadnych zabiegów ambasadora, żeby moja siostra miała o mnie jak najgorsze zdanie.

Przyjrzałem się jej uważnie.

– A ma ku temu powody? Byłem wczoraj wieczorem w korytarzu; słyszałem wszystko. Courtenay bardzo się zaniepokoił, że mógłbym donieść o tym Renardowi albo królowej. – Postąpiłem krok w jej stronę. – W co się Wasza Księżęca Mość uwikłała? Co od Waszej Księżęcej Mości dostał Courtenay podczas wczorajszej rozmowy i dlaczego wspomniał o Robercie Dudleyu?

– Nie muszę ci się opowiadać – odparła szorstko – ale dałam mu księgę. To niczego nie dowodzi. – Urwała, jej głos nabrał głębi. – Ostrzegam: tobie również może grozić poważne niebezpieczeństwo, jeśli nie zejdziesz z tej drogi. Nie chcę, żebyś ryzykował dla mnie, nie tym razem. Cenię lojalność, ale to nie twoja walka.

– Pozwól, pani, że sam będę decydował za siebie – odparłem.

Księżniczka gwałtownie wciągnęła powietrze, ja zaś

uczyniłem coś, na co nie ważyłem się nigdy wcześniej: ująłem ją za dłoń. Palce miała zimne, a gdy poczuła mój dotyk, coś w jej twarzy drgnęło. Wiedziałem, że to wszystko jest dla niej bardzo trudne. Była śmiała, pewna swego i zawsze robiła to, co uznała za stosowne. Niewielu potrafiło dojrzeć wrażliwość, którą skrywała głęboko na dnie duszy.

– Dla kogo była ta księga? – spytałem cicho, choć znałem odpowiedź.

Cofnęła dłoń.

– Dla Roberta.

Uniosła brodę, jak gdyby chciała uprzedzić wybuch z mojej strony, a ja przypomniałem sobie gwałtowną namiętność, która łączyła ją z Dudleyem, równie niewytłumaczalną, co przerażającą. Ich pożądanie przeczyło wszystkiemu, co wiedziałem o Elżbiecie, było niczym wszechogarniający przypływ, który odsuwał na bok rozsądek, choć dzięki Bogu nie instynkt samozachowawczy.

Odwołałem się do tej właśnie cechy.

– Zapomniałaś, pani, że Robert i jego ojciec robili wszystko, co w ich mocy, żeby pozbawić ciebie i twoją siostrę prawa do władzy? Usiłowali osadzić Jane Grey i Guilforda Dudleya na tronie. Gdyby im się powiodło, twoja siostra, pani, zostałaby ścięta lub uwięziona; a ty sama byłabyś zmuszona do posłuszeństwa wobec nich. Wątpię, czy gdyby sytuacja się odwróciła, Robert zrobiłby to samo dla ciebie, pani.

Jej oczy zaiskrzyły.

– Zdaje się, iż zapominasz, czego Robert tak naprawdę pragnął.

– Nie, pamiętam doskonale. Pragnął cię poślubić i władać razem z tobą. – Nasze spojrzenia skrzyżowały się. – Teraz jednak on i jego bracia są skazańcami. Jeżeli Renard odkryje, że utrzymujesz z nim stosunki, pani, z Dudleyem, ze zdrajcą, wykorzysta to przeciwko tobie.

Pobladła, rysy jej twarzy wyostrzyły się.

– Przekazałam nie tylko księgę – powiedziała. – Włożyłam do niej list. Courtenay ma ją przemycić do Tower. Zapewnia mnie, iż zna bezpieczny sposób.

Poczułem, że żołądek podchodzi mi do gardła.

– List?

– Tak – potwierdziła. – Jeżeli moja siostra poślubi Filipa, księcia Hiszpanii, wszystko legnie w gruzach – nasza religia, nasza przyszłość, nasze życia. Trzeba ostrzec Roberta. Zaręczyny mogą oznaczać dla niego śmierć; Filip będzie się tego domagał. Będzie się domagał, aby Maria ścięła wszystkich zdrajców osadzonych w Tower, zanim jego noga postanie na tej ziemi.

Zaparło mi dech. To było coś więcej, niż obawiał się Cecil; więcej niż to, na co liczył Renard: list od samej Elżbiety do nikogo innego jak Roberta Dudleya skazanego za zdradę. Nie chciałem zadać pytania, które cisnęło mi się na usta; nie chciałem poznać całej prawdy o kobiecie, której służyłem. Niemniej musiałem mieć

pewność. Musiałem wiedzieć, jak daleko Elżbieta gotowa jest się posunąć, zanim oddam się w pełni jej rozkazom.

– Czy wiesz, pani, co planują Dudley i Courtenay? – spytałem. – Proszę mi powiedzieć, albo przyrzekam, opuszczę pałac jeszcze dziś. Nie mogę ci służyć, pani, jeśli nie obdarzysz mnie zaufaniem.

Dostrzegłem, że przygryza dolną wargę, waha się. Odwróciłem się na pięcie i ruszyłem w stronę wyjścia ze stajni. Mówiłem poważnie. Nie zamierzałem stać się przedmiotem manipulacji, nawet w jej rękach.

– Brendan, zaczekaj. – Niespodziewane drzenie w jej głosie sprawiło, iż stanąłem. Obejrzałem się przez ramię. – Nic więcej nie wiem – oznajmiła. – Przyrzekam.

W głowie zabrzmiały mi słowa Cecila: „Możemy dopomóc, by spełnił się jej los – ty i ja. Ale wpiery musimy ustrzec ją przed śmiercią”, a przed oczami stanęła mi komnata królowej zarzucona skrawkami tkanin, znaczące uśmiechy dam dworu, oparty o ścianę zasłonięty do połowy portret. Stałem przed straszliwym wyborem. Mogłem obrócić się i zniknąć równie niepostrzeżenie, jak się pojawiłem. Mogłem wrócić do świata, który porzuciłem. Nagle zatęskniłem za prostym życiem, w którym Kate i ja pobralibyśmy się i oczekiwali narodzin dzieci; w którym nie musiałbym nieustannie mieć się na baczności i wypatrywać cieni czających się w zakamarkach korytarzy; w którym nie plątałbym się w sieci ukrytych zamiarów i kłamstw.

W tym nieskomplikowanym świecie nie dźwigałbym brzemienia, jakim była ochrona Elżbiety.

Jednak już w chwili, gdy sobie to wszystko wyobrażałem, czułem, że sam siebie oszukuję. Wyboru dokonałem dawno temu. Tego dnia, gdy zgodziłem się służyć księżniczce. Uczyniłem to z własnej woli, znając cenę, jaką być może przyjdzie mi zapłacić.

W moich i Elżbiety żyłach płynęła ta sama krew. Mój los związany był z jej losem.

– Wciąż mamy trochę czasu – powiedziałem, ona zaś spojrzała na mnie ze zdumieniem. – Żeby odzyskać twój list, pani – wyjaśniłem – i dowiedzieć się, co planują Dudley i Courtenay, zanim będzie za późno. Renard żąda dowodów, zatem jeśli będę mógł, dostarczę ich.

Przyjrzała mi się uważnie, z mojej twarzy nie schodziła powaga.

– Ale to będzie wyrok śmierci dla nich obydwu...

– Jeśli nie dostarczę dowodów, będzie to wyrok śmierci dla ciebie, pani – odparłem. – Musisz to przetrwać. Nic więcej nie czyn, Wasza Księżęca Mość; nic więcej nie mów. Pozwól, że przechwycę twój list i wykonam wszystkie niezbędne kroki, nawet jeżeli jednym z nich będzie wydanie Dudleya i Courtenaya.

Zacisnęła pięści.

– Nie. Nie godzę się na to. Musi istnieć jakieś inne wyjście.

– Nie istnieje. Twój list, pani, może oznaczać twoją śmierć. Nie można sprawować władzy zza grobu.

Rozdarcie, które przeżywała, odbiło się w jej udręczonym spojrzeniu. Jej oczy pełne były pogmatwanych uczuć targających nią zapewne od przyjazdu na dwór, gdy tylko spostrzegła się, jaką drogę obrała jej siostra – drogę prowadzącą do położenia kresu religii, którą Elżbieta wyznawała, oraz do odebrania jej praw do tronu. Walczyła, aby ocalić siebie i tych, których kochała; teraz zaś musiała dokonać tragicznego wyboru.

– To jedyne rozwiązanie – powiedziałem. – Ty, pani, albo Dudley. Nie dasz rady uratować was obojga.

– Muszę pomyśleć!

Uniosła rękę, odwróciła się. Z zewnątrz dobiegły nas głosy i stukot drewnianych chodaków uderzających o bruk. Gdy rozległy się gwizdy stajennych, po nich zaś zadziorne odpowiedzi dwórek, Elżbieta wyprostowała ramiona. Odwróciła się i spojrzała na mnie nieobecny wzrokiem.

– Niech zatem tak będzie – powiedziała cicho. – Czyń, co należy.

Kobiet stały niemalże u wejścia; nie mieliśmy więcej czasu. Wśliznąłem się do najbliższego boksu, opadłem na kolana obok zaskoczonych klaczy i owinałem się peleryną, żeby wtopić się w panujący w stajni półmrok. W tej samej chwili usłyszałem ostry, zniecierpliwiony ton Elżbiety:

– Gdzie byliście? Niemal zamarzłam na śmierć. Na Boga, ileż można czekać na rękawiczki i mufkę?



Dwórki wymamrotały przeprosiny, a następnie potulnie wyszły za księżniczką.

Wypuściłem powietrze, czując, że w środku cały drzę. Do tej pory Elżbieta nie cofnęła się przed niczym, aby ocalić Dudleya i bronić swoich praw do tronu.

Jednakże, tak jak przypuszczałem, gdy nadeszła pora wybrać między jednym a drugim, wybrała siebie.

# SOUTHWARK

## Rozdział 9



Minęło kilka chwil, zanim pozbierałem myśli. Słyszałem, jak Elżbieta woła do stajennych:

– Lepiej wracajcie do pracy, zanim masztalerz zobaczy, że trwonicie dukaty, które ode mnie dostaliście. Pamiętajcie, że chcę najlepszej paszy, nie tego podłego siana, które dajecie pozostałym dworskim wierzchowcom. I w nocy kilka derek – mój Cantila to delikatne stworzenie urodzone do życia w cieplejszych krajach. Odbiorę to jako osobistą zniewagę, jeśli coś mu się stanie.

Gdy stajenni wybuchli śmiechem i obiecali wykonać wszystkie polecenia księżniczki, ja również nie mogłem powstrzymać się od uśmiechu. Nawet w obliczu niebezpieczeństwa Elżbieta nie przestawała myśleć o swoim koniu, Cantili, cennym arabie, którego rozpieszczała niczym dziecko. Na dodatek nie traciła przytomności umysłu i na każdym kroku zjednywała sobie przychylność ludzi: ci stajenni od tej chwili będą jej wiernie służyć, gdyż dzięki jej hojności mogą za dnia pić wino i grać na pieniądzu.

Rozleniwieni pachołkowie, powłócząc nogami, wrócili do stajni, żeby zająć się pracą. Żaden nie zwrócił

na mnie uwagi, gdy strzepując słomę z pończoch, ruszyłem w stronę boksu, w którym stał Cinnabar. Wierzchowiec prychnął na powitanie, po czym zaczął trącać nosem moją pelerynę, szukając resztek suszonych jabłek, które zwykle mu przynosiłem. Tym razem jednak zapomniałem zajrzeć do kuchni. Rozczarowany rumak niespokojnie odrzucił łeb do tyłu, przeprosiłem go więc, a następnie przyjrzałem się ranie na czole, o której wspominał Peregrine. Goiła się, było to zaledwie draśnięcie. Mogłem bezpiecznie dosiąść Cinnabara.

Usłyszałem radosne ujadanie i po chwili dopadł mnie Urian, a gdy się obróciłem, zobaczyłem trzymającego smycz Peregrine'a. Oczy mu błyszczały, włosy miał zmierzwione. Niezależnie od tego, jak bardzo się starałem, po kilku godzinach spędzonych samopas chłopak zawsze wyglądał tak, jak gdyby napotkał na swojej drodze wicher.

– I jak? – spytał z przejęciem. – Widziałeś się z nią, panie? Co mówiła?

– Mniejsza o to. – Zmierzyłem go spojrzeniem. – Dowiedziałeś się czegoś?

Skinął głową, głos ściszył do szeptu.

– Na tym koniu, którego Toby trzyma na podorędziu, Courtenay wyprawia się na drugą stronę rzeki do Southwark, do lupanaru o nazwie Jastrzębie Gniazdo nieopodal ulicy Bankside. Zadurzył się tam w kimś i dziś w nocy znów chce jechać. Rano zapłacił Toby'emu.

Przytaknąłem ponuro, po czym sięgnąłem po czaprak

i uzdę.

Peregrine zmarszczył czoło.

– Co takiego? Nie jesteś zadowolony, panie?

Zacząłem siodłać Cinnabara i starałem się nadać swojemu głosowi lekkość.

– Dobrze się spisałeś, ale o nic więcej nie pytaj. Zostaw mi całą resztę.

Nachmurzył się.

– Nie rozumiem dlaczego. Dowiedziałem się wszystkiego, o co prosiłeś, panie, i...

Obróciłem się i wytargałem go za ucho, czym wywołałem stłumiony okrzyk protestu. Powiedziałem cicho:

– Dlatego że tak każe. – Puściłem, chłopak roztałał ucho. – Nie robisz już nic bez mojego rozkazu. Pojmujesz?

– Tak, panie – burknął.

Wróciłem do siodłania wierzchowca. Gdy chwyciłem za wodze, Urian zaskowytał.

– Księżniczka lubi tego psa – oznajmiłem. – Daj mu jeść, zanim zamkniesz go w psiarni. Czekam na zewnątrz.

Wyprowadziłem Cinnabara ze stajni. W czasie gdy byłem w budynku, na dworze zrobiło się jeszcze zimniej. Znów zaczął padać śnieg. Natrętny wiatr kąsał mnie w policzki. Dygocząc na całym ciele, przeprowadziłem wierzchowca naokoło dziedzińca, aby się rozgrzał, sam zaś owinąłem się szczelnie peleryną, naciągnąłem

głęboko kaptur. Zdecydowanie przydałaby mi się nowa czapka.

Gdy Peregrine wyszedł ze stajni, posadziłem go na siodle, po czym sam dosiadłem konia.

– Jedźmy odnaleźć to Jastrzębie Gniazdo – mruknąłem.

Chłopak objął mnie w pasie, ja zaś pokierowałem Cinnabara w stronę parku otaczającego pałac, po czym, kiedy wyjechaliśmy poza labiryntowe ścieżki ogrodów Whitehall, puściłem się cwałem. Nagie drzewa uginały się pod czapami świeżego śniegu; upajałem się widokiem pogrążonej w zimowym śnie otwartej przestrzeni, która swym niezmaconym spokojem przypominała mi Hatfield.

Cecil mylił się. Nawet jeśli miałem do tego dar, nigdy nie zdecyduję się na życie szpiega.

Skręcając w ulicę Grace Church, zagłębiliśmy się w skupione wokół Tamizy miasto. Wkrótce naszym oczom ukazała się monumentalna sylwetka London Bridge spoczywającego na dwudziestu olbrzymich kamiennych filarach. Nigdy wcześniej nie przejeżdżałem przez ten most i teraz nie mogłem się nadziwić, jakim cudem jest on w stanie tyle udźwignąć. Pod nami powleczone lodem rzeka wydawała się stać nieruchomo, pokrywa lodowa na płycznach zrobiła się na tyle gruba, że ślizgały się na niej dzieci, które zamiast łyżew do nóg przywiązywały kawałki kości. Między nimi uganiał się wychudzony pies, wzdłuż poszarpanych brzegów

przechadzały się pary młodzieńców z dziewczętami oraz handlarze sprzedający ciepłe pierogi. Ten niespodziewany, niemalże świąteczny widok poprawił mi humor.

Przy północnej wartowni ustawiała się kolejka ludzi pragnących uiścić opłatę drogową i czym prędzej zanurzyć się w uliczki mieszczące setki straganów, które niczym nastroszone ptaki przycupnęły po obu stronach mostu. W powietrzu unosiły się głośnie nawoływania sprzedawców i gwar ludzi załatwiających najrozmaitsze sprawunki. Trzymałem Cinnabara na krótkiej wodzy; nie był przyzwyczajony do ulicznego zgiełku i tłoku. Zaprzężone w muły i woły, załadowane towarami furmanki potęgowały hałas, przetaczając się po bruku i nie zwracając przy tym uwagi na przechodniów. Przez most wiódł jedyny szlak kupiecki, którym można było przewozić towary na handel z jednego brzegu rzeki na drugi, i wszędzie dookoła unosił się odór zwierzęcych odchodów.

Gdy przejeżdżaliśmy pod okazałą pozłacaną budowlą wznoszącą się na wysokość kilku pięter, spojrzałem w górę i z podziwem patrzyłem na wystające balkony przystrojone sztandarami.

– Niektórzy żyją i umierają, nigdy nie opuściwszy mostu – powiedział mi Peregrine na ucho. – To ponoć najbezpieczniejsze po pałacu miejsce w całym mieście, ponieważ po zapadnięciu ciszy nocnej zamykają bramy, a do tego jest tu wszystko, czego dusza zapagnie, poza

piwem. Nie ma piwnic, w których można by je przechowywać.

– Cisza nocna? – Zmarszczyłem brwi. – To pewna niedogodność. Jak mam wrócić przez most, skoro w nocy będzie zamknięty? Nie jestem arystokratą, który wystarczy, że pomacha wartownikom przed nosem listami uwierzytelniającymi, a ci wszędzie go wpuszczą.

– Zawsze można przejść na piechotę. Rzeka po zmroku powinna zamrznąć na dobre i... – urwał, gdy zerknąłem na niego przez ramię i posłałem spojrzenie pełne niedowierzania.

– Prawda – wymamrotał. – Zapomniałem, panie, że lubisz wodę jak, nie przymierzając, kot. Ale tak będzie bezpieczniej, a do tego szybciej. Proszę mi wierzyć. Będziemy jechać z godzinę, zanim się przebijemy.

Z początku nie dowierzałem chłopakowi, ale w miarę upływu czasu zauważyłem, że chociaż nie ma tu oberż, wzdłuż ulicy stoją stragany z jedzeniem i napitkiem, kusząc przechodniów, aby zatrzymali się i posilili, przez co ci, którzy szli za nimi, również musieli zwalniać, młąc przy tym w ustach przekleństwa. Torowanie drogi w tłumie przelewającym się między budynkami przypominało błędzenie w labiryncie, gdyż mimo że wąska główna ulica była podzielona na dwie jeszcze węższe alejki – jedną kierował się ruch na północ, drugą na południe – nikt nie przejmował się zbytnio porządkiem na drodze i ludzie wałęsali się w różnych kierunkach, dreptali tam i z powrotem między

straganami, które wpadły im w oko, nagle skręcali lub wyrastali nie wiadomo skąd tuż przed nadjeżdżającymi furmankami, dwukółkami lub jeźdźcami.

Ku uciezce Peregrine'a co chwilę musiałem pochyłać głowę, aby nie uderzyć nią w zawieszane nad drzwiami sklepików kolorowe szyldy w kształcie towarów sprzedawanych w danym składzie. Zaczynało się ściemniać. Najwyższe piętra budynków wyrastających po obu stronach mostu często były połączone przejściami, które tworzyły nad ulicą coś w rodzaju sklepienia. Od czasu do czasu udało mi się dojrzeć prześwit między budowlami, z którego rozciągał się wspaniały widok na częściowo zamarzną rzekę i iglice Londynu, nie zatrzymywałem się jednak, aby je podziwiać, choć bardzo tego chciałem. Mimo wszystko wolałem dotrzeć do końca mostu, nie powodując zderzenia z jakimś nieszczęsnym przechodniem.

Zanim dotarliśmy do potężnej zwodzonej części znajdującej się na południowym końcu mostu, byłem zmordowany, a Cinnabar drżał ze zdenerwowania. Gdy wyjeżdżaliśmy spod ufortyfikowanej wartowni, spojrzałem na jej szczyt; sterczały na niej nabite na szpice ugotowane w smole głowy zdrajców. Na myśl, że być może znajduje się wśród nich głowa księcia Northumberland, przeszedł mnie dreszcz.

Poprowadziłem Cinnabara w stronę zgiełku panującego w Southwark, gdy nagle kątem oka dostrzegłem charakterystyczną czarną opończę. Ostro



osadziłem konia i począłem obracać się w siodle, aby przepatrzyć tłum. Przez te gwałtowne ruchy wczepiony we mnie Peregrine niemalże zsunął się z grzbietu wierzchowca.

– Co się stało? – wyszeptał.

– Ciii.

Sięgnąłem po szpadę. Potężna ubrana na czarno postać powoli wtapiała się w zwartą ciżbę ludzi znikających pod wartownią; nie miałem wątpliwości, że był to nikt inny jak najemnik Courtenaya. Nagle znieruchomiał, jak gdyby wyczuł moje spojrzenie. Obszerny kaptur zasłaniał jego twarz, poczułem jednak, że nasze spojrzenia skrzyżowały się, zanim skrzył i zanurkował między ludzi zmierzających na północ.

Odetchnąłem głęboko.

– Ktoś nas śledzi. Nie. Nie rozglądaj się.

– Naprawdę? – W głosie Peregrine’a pobrzmiwało radosne podniecenie. – Czy nadal...?

– Nie, spostrzegł się, że go zobaczyłem, i zawrócił. Ale na pewno wie, co robimy; służy Courtenayowi. Jak daleko do tego przybytku?

– Nie wiem. Musi być gdzieś w tej dzielnicy. – Chłopak zawahał się. – Dlaczego ten zbir nie ruszył za nami?

– Być może uznał, że to niezbyt dobre miejsce na skrytobójstwo – powiedziałem.

W rzeczywistości jednak dla znajdującego się na fachu najemnika most był miejscem wręcz idealnym do

dokonania morderstwa. W całym tym harmidrze i tłoku jednym umiejętnym pchnięciem noża można było rozpruć ofierze brzuch i nikt by się nawet nie zorientował, dopóki któryś z przechodniów nie potknąłby się o ciało.

Poczułem, jak wzbiera we mnie gniew na własną nieudolność. Powinienem był wiedzieć, że Courtenay każe mnie wyśledzić; ów najemnik mógł czaić się przy stajniach, mógł widzieć wychodzącą z nich Elżbietę i domyślić się, że się z nią spotkałem. Teraz jednak nie martwiło mnie to nadmiernie; księżniczka wiedziała już, iż ma się trzymać z daleka od Courtenaya. O wiele bardziej przejmowałem się własnym bezpieczeństwem.

– Zobaczymy, na ile jest wytrwały – oznajmiłem. – Przepłuczemy gardła w oberży i zaczekamy.

Przywiązałem Cinnabara przed wejściem do karczmy, poleciłem kręcącemu się tam pachółkowi przypilnować mi konia, po czym stanęliśmy w progu obskurnej, cuchnącej wilgocią i trunkiem oberży chętnie odwiedzanej przez schodzących z mostu podróżnych. Zamówiłem dwa kufle wodnistego ale i tłustego pieroga. Patrząc, jak szynkarz wyjmuje potrawę z kredensu, postanowiłem zaryzykować i zapytać go o drogę do Jastrzębiego Gniazda. Mężczyzna wyglądał szpetnie, jedno oko miał pokryte bielmem, czaszkę oblepioną pasmami tłustych włosów; a gdy obrzucił mnie nieufnym spojrzeniem zdrowego, choć nabiegłego krwią oka, dostrzegłem łązącą po jego brwi wiesz.

– Jastrzębie Gniazdo? – powtórzył. – Pan z tych, co to lubią te uciechy, co?

– Te uciechy? – zmarszczyłem brwi. – Nie jestem pewien, czy dobrze się rozumiemy. Szukam...

Uśmiechnął się oblesnie, odsłaniając gnijące dziąsła. Już sam jego oddech mógł powalić zdrowego wołu.

– Wiem, czego pan szukasz – łypnął okiem. – Ładnego chłoptasia. Idź pan dalej w dzielnicę i znajdź ulicę Dead Man's. Gniazdo będzie obok. Ale uważaj pan, nie wpuszczają byle kogo. Otwierają po zmierzchu, więc trochę się pan naczekasz, jeśli pan na to nie za delikutaśny. – Zarechotał rozbawiony własnym dowcipem. – Delikutaśny, to ci dopiero! Ale wam, panowie, nie wadzi, że jesteście delikutaśni, co?

Uśmiechnąłem się przez zaciśnięte zęby.

– Dziękuję. – Podeszedłem do chwiejnego stołu, przy którym siedział Peregrine i wlepił we mnie wzrok spłoszonego zwierzęcia gotowego w każdej chwili rzucić się do ucieczki.

– Wiedziałeś, co to za miejsce, to Jastrzębie Gniazdo? – warknąłem.

Pokręcił głową, nieco zbyt skwapliwie.

– Na pewno?

Znów zaprzeczył, tym razem trochę mniej pewnie.

– To dom schadzek z chłopcami. – Nachyliłem się nad nim. – Przybytek rozkoszy dla mężczyzn, którzy lubią innych mężczyzn, nieprawdaż?

– Tego się dowiedziałeś, panie? Niesłychane – odparł

nerwowo.

– Owszem, niesłychane. Dowiedziałem się również, iż nie wszystkich wpuszczają. Co to może znaczyć?

– Pewnie chcą zachować tajemnicę. Może trzeba znać jakieś hasło... – Odchylił się, zanim zdążyłem zdzielić go w ucho. – Co by to zmieniło, gdybym wcześniej wiedział? – zaczął się bronić, podczas gdy ja piorunowałem go spojrzeniem. – I tak musisz, panie, dostać się jakoś do środka.

– Choć wolałbym nie. – Opróżniłem kufel duszkiem. – I po co to hasło? Myślałem, że właścicielom lupanarów zależy na tym, aby do ich przybytku trafiało jak najwięcej klientów.

– Cóż – mruknął Peregrine – jeśli mają klientów o niezwykłych gustach, że tak to ujmę, chyba muszą być ostrożni, nieprawdaż? Muszą uważać, kogo wpuszczają.

Miał rację. Miłość między mężczyznami była uważana w Anglii za przestępstwo, groziła za nią kara grzywny, więzienia, a nawet śmierci, choć nigdy nie słyszałem, żeby kogoś z tego powodu ścięto. Z drugiej strony nigdy wcześniej się tym nie interesowałem. Pamiętałem jedynie zasłyszane z dzieciństwa historie, chore opowieści o mnichach i o jednej z przyczyn, dla których zamykano opactwa. Ja sam uważałem, że jeżeli dwoje ludzi na coś się zgadza, nic mi do tego, co robią w zaciszu własnego domu. Na świecie jest wystarczająco dużo zła, żeby zajmować się tego typu występkami, o ile w ogóle można było to uznać za występki. Niemniej

nigdy wcześniej nie przyszło mi do głowy, że będę zmuszony odwiedzić przybytek zaspokajający potrzeby mężczyzn o nietypowych upodobaniach.

Peregrine, który chyba czytał w moich myślach, dodał:

– Nie będziesz musiał nic robić, panie, tylko wejść do środka. Choć zapewne nie zaszkodzi trochę dopasować się do roli.

– Wspaniale. A ja myślałem, że opanowanie sztuki fechtunku jest najtrudniejszą częścią zadania. O czymś jeszcze zapomniałeś mi powiedzieć? Lepiej zrób to teraz. Nie chcę już więcej niespodzianek.

Chłopak wybuchł śmiechem i spojrzał na mnie błyszczącymi oczami, ja zaś – zdecydowanie nie w humorze – zatopiłem zęby w pierogu. Gdy zjedliśmy, wyszliśmy na zewnątrz. Odwiązałem Cinnabara, zapłaciłem pachołkowi i rozejrzałem się wokoło. Człowiek Courtenaya mógł się czaić właściwie wszędzie; przez most nadal przewalały się tłumy pieszych i jeźdźców, ale zrobiło się zimniej, słońce opadało coraz niżej i chłód przechodził w przenikający do kości mróz, postanowiłem więc, że tego dnia poprzestaniemy na odnalezieniu tego cholernego lupanaru, abyśmy mogli powrócić do pałacu bez dodatkowych przygód. Nie zamierzałem zapuszczać się w niebezpieczną płataninę lupanarów, placów, na których urządzano walki psów, oraz tanich oberż i karczm.

Gdy wjechaliśmy w kręte zaułki Southwark, cmoknąłem na Cinnabara, aby przyspieszył. Nigdy wcześniej nie widziałem takiej nędzy. Brud panoszył się w każdym zakątku, nieczystości zalegały w stertach; pod murami przemykały chude jak szkielet psy z żebrami na wierzchu, odziane w łachmany dzieci z otwartymi ranami na stopach siedziały bez ruchu w zamarznętym błocie, czekając na matki, zabawiające klientów w obskurnych szopach nadających się na mieszkanie jedynie dla szczurów – których całe gromady bezczelnie biegały po dachach i rynsztokach.

– To niemożliwe – oznajmiłem. – Courtenay nigdy by tutaj nawet nie zajrzał. – Wyjąłem dukata i pomachałem nim. Natychmiast obskoczyła nas piątka dzieci o olbrzymich oczach, patykowatych nogach i skołtunionych włosach, a każde z nich wyciągnęło usmarowaną rączkę. – Którędy do Dead Man's? – spytałem i poczułem, że rozluźniają mi się ramiona, gdy jeden z chłopców wskazał uliczkę biegnącą w kierunku rzeki, po czym chwycił w powietrzu rzuconą mu monetę. W oczach pozostałych dzieci dojrzałem dziki błysk, położyłem więc dłoń na rękojeści szpady i omiotłem je spojrzeniem. Cofnęły się niczym wystraszona wataha.

Ruszyliśmy w dół zrytej drogi, którą od biedy jedynie można było nazwać uliczką, minęliśmy kilka nieco mniej zaniedbanych przybytków, aż dotarliśmy do dwupiętrowego budynku o drewnianej konstrukcji. Z początku uznałem go za gościniec, po chwili jednak

dojrzałem kołyszący się nad dębowymi drzwiami szyld przedstawiający prymitywnie namalowanego drapieżnego ptaka, który z rozpostartymi skrzydłami unosił się nad ułożonymi w krąg gałązkami: JASTRZĘBIE GNIAZDO.

Na dole budynku nie było okien ani żadnych innych występow, na które można by się wspiąć, aby dosięgnąć wąskiego parapetu biegnącego pod oknami na piętrze zabezpieczonymi okiennicami. Patrząc na dom, nie odnosiło się wrażenia, że wita się tu gości z otwartymi ramionami. Bardziej przypominał on fortecę niż przybytek zakazanej rozkoszy.

– Zamknięte niczym pas cnoty – mruknąłem, a Peregrine parsknął śmiechem.

– Jak dostaniemy się do środka? – zapytał.

Przez chwilę jeszcze przyglądałem się budynkowi, starając się zapamiętać jak najwięcej szczegółów, po czym rozejrzałem się po okolicy. Czekałem. Po paru kolejnych chwilach zawróciłem Cinnabara.

– My? – Dopiero teraz odpowiedziałem na pytanie chłopaka. – Nie ma żadnych „nas”. Masz już dość przygód jak na jeden dzień.

Spochmurniał i dąsał się przez całą drogę powrotną. Przeprawa przez most na północ okazała się mniej uciążliwa, zmierzch coraz bardziej spopielał niebo i tłum rzedł z każdą minutą. Jechaliśmy powoli między rozchodzącymi się do domów ludźmi, handlarze ryglowali stragany przed nocą, ja zaś dobyłem sztyletu

i cały czas dzierżyłem go w dłoni. Zatrzymałem się przy jednym ze straganów, żeby kupić nową ciemną wełnianą czapkę, oglądałem towary dłuższą chwilę, nie dostrzegłem jednak człowieka Courtenaya. Jego nieobecność była niepokojąca. Najemnicy nigdy nie poddają się tak łatwo. Mógł przecież dalej nas śledzić i doprowadzić do starcia, jeśli taki był jego zamiar, jednak nie zrobił tego. Z jakiego powodu?

Jedyne wytłumaczenie, które przychodziło mi do głowy, nie rozwiewało moich obaw. Być może polecono mu obserwować nas i donieść o tym, co widział.

Jeżeli rzeczywiście tak było, oznaczałoby to, iż Courtenay chciał, abym go odnalazł.

Po napojeniu i nakarmieniu Cinnabara pospieszyliśmy do pałacu. Palce miałem tak zdrętwiałe z zimna, że gdy dotarliśmy do naszej izby, z trudem wyjąłem z kaftana klucz i otwarłem drzwi.

Znieruchomiałem. Ktoś splądrował pomieszczenie, skrzynia stała otworem, moja sakwa leżała na podłodze wywrócona do góry dnem, dookoła walały się rzeczy, które z niej wypadły, łoże zaś stało oparte o ścianę. Wyjąłem szpadę, zatrzymałem Peregrine'a.

– Chyba jednak się nie poddał – powiedziałem. – Wygląda na to, że podczas gdy my sprawdzaliśmy lupanar, nasz przyjaciel wrócił nas sprawdzić.

– Czego mógł chcieć? – Peregrine wślizgnął się przede mną, ostrożnie stąpając po zawalonej rupieciami posadzce. – Zdaje się, że niczego nie ukradł; nie wziął



nawet twojego łańcucha, panie. Proszę. Leży tam, obok skrzyni.

– Nie mam pojęcia, czego chciał – mruknąłem, ale gdy schyliłem się po torbę, przyszło mi do głowy, że ta dziwna próba rabunku została zrobiona tylko na pokaz – ktoś usiłował mnie zastraszyć.

Ta myśl przyprawiła mnie o dreszcze.

Peregrine chciał podnieść mój łańcuch, zatrzymał się jednak w połowie ruchu. Kiedy się wyprostował, w dłoniach trzymał złożony kawałek pergaminu.

– Co to takiego? – spytał i zanim zdążyłem go powstrzymać, złamał szarą woskową pieczęć.

– „Nie ocalisz jej” – przeczytał na głos. Spojrzał na mnie zdumiony.

Skoczyłem do przodu.

Chłopak odruchowo się cofnął, wypuszczając wiadomość z rąk. Wpatrywał się we mnie, a oczy rozwierały mu się coraz szerzej.

– To... to piecze – wykrztusił. – Moje palce... pieką mnie...

Zerknąłem na pergamin, na poszarpane brzegi przełamanej pieczęci. Żołądek podszedł mi do gardła. Kopnięciem odsunąłem wiadomość na bok, ująłem Peregrine'a za nadgarstki. Koniuszki palców miał obrzmiałe, jak gdyby poparzone.

Trucizna. Pieczęć na pergaminie była zatruta.

Chłopak krzyknął z przerażeniem, zatoczył się i osunął się w moje ramiona. Podprowadziłem go do

dzbana, który stał nieopodal, wylałem wodę na jego ręce i zacząłem gorączkowo ocierać je o mój kaftan. Peregrine pobierał na twarzy; na usta wystąpiła mu piana zmieszana z kropelkami krwi. Wczepił się we mnie kurczowo, nogi odmówiły mu posłuszeństwa.

Cała izba zawirowała mi przed oczami, gdy dźwignąłem go, aby nie upadł. Zaczął drżeć, wymachiwać rękami i wierzgać, wypluł z siebie resztki tłustego posiłku, który zjedliśmy po południu. Gdy przewrócił oczami tak, że widać mu było jedynie białka, wziąłem go na ręce, pchnąłem drzwi i wygramoliłem się na korytarz. Zbiegłem po schodach, przebrnąłem przez mroźny dziedziniec i wtoczyłem się do oświetlonego pochodniami krużganku. Nie słyszałem nic prócz własnego głosu – brzmiał niczym ryk ranionego zwierzęcia.

Parę osób znajdujących się na drugim końcu krużganka przystanęło; gdy chwiejnym krokiem ruszyłem w ich stronę, niosąc bezwładne ciało Peregrine'a, dobiegły mnie zaniepokojone głosy. Szybkim krokiem podszedł do mnie chudy, ubrany na czarno brodaty mężczyzna.

– Mój giermek – wysapałem. – Został... został otruty. Proszę... pomóżcie.

Mężczyzna zatrzymał się, rysy jego jastrzębiej twarzy wyostrzyły się, szczęki zacisnęły. Był to Hiszpan z cesarskiego poselstwa; zapamiętałem go z uczy, należał do grona szacownych jegomości trzymających

się blisko królowej i krzywo patrzących na wszystko i wszystkich. Spojrzałem na pozostałych, którzy stali nieco dalej i obserwowali całą scenę. Nikt się nie poruszył. Byłem niemalże zaślepiony rozpaczą, dojrzałem jednak między nimi znajomą twarz, choć dopiero gdy owa postać ruszyła w moją stronę, poznałem ją – Sybillę. Hiszpan wyciągnął rękę, aby ją zatrzymać:

– Dice que han envenuendo el joven. No le toques<sup>2</sup>.

Kobieta odsunęła jego ramię i podeszła do mnie.

– Wiem, jakie zioła mu podać – powiedziała. – Pomogę mu, zanim przyjdzie medyk. Szybko, proszę go zanieść...

Ciałem Peregrine'a znów zaczęły wstrząsać dreszcze. Chwyciłem go mocniej, widząc, jak z ust sączy mu się płyn, ciemny i cuchnący, plamiąc spieczone wargi. Sybilla obróciła się, zaczęła wydawać krótkie, urywane polecenia, a wtedy wysoki Hiszpan krzyknął coś do zbitych w kupkę dworzan. Jak przez mgłę zobaczyłem, że jeden spośród gapiów wyłamuje się i spieszy w stronę korytarza. Kaptur zsunął mu się z głowy, odsłaniając jasne włosy, a w powietrzu rozbrzmiał gorączkowy głos oraz jazgotliwe ujadanie czarnego pieska, który za nią podreptał.

Osunąłem się na kolana. Obejmując Peregrine'a, kołysałem się w przód i w tył, szepcząc:

– Nie, Boże, proszę, tylko nie to, tylko nie on...

Sybilla przyklękła obok mnie, szeroka falbaniasta

suknia rozlała się wokół niej. Poczułem jej dłoń na swoim ramieniu, gdy Peregrine znów drgnął, tym razem słabiej. Otworzył szeroko oczy. Spojrzał na mnie. Chciał coś powiedzieć, ale w jego ustach znów zebrał się płyn, gęsty i ohydny.

Z jego gardła wydobył się straszliwy charkot.

Powieki zatrzepotały i opadły.

Znieruchomiał.

## Rozdział 10



Nie miałem siły się ruszyć. Tuliłem go do piersi i czułem, że mój świat się rozpada. Naokoło zbierali się ludzie: Rochester z serwetką w dalszym ciągu wetkniętą za kołnierz; dwóch wartowników i kilku ciekawskich dworzan zwabionych powstałym zamieszaniem. Jane Dormer, która pospieszyła zawiadomić Rochestera, rzucała teraz zza jego pleców spojrzenia pełne troski i niepokoju. Gdy dostrzegła Peregrine'a, krzyknęła z przerażeniem, po czym zaniósła się szlochem.

– Święci pańscy, cóż to takiego? – Rochester pochylił się nade mną. – Czy chłopak...

– Nie żyje – szepnąłem.

Gdy powiedziałem to na głos, coś wewnątrz mnie pękło. Poczułem, że otwiera się we mnie mroczna otchłań bez dna, która jeśli na to pozwolę, pochłonie mnie na zawsze.

– Nie żyje? – powtórzył Rochester, ja zaś przytaknąłem tępo.

Pragnąłem ryknąć na stojącego nieruchomo Hiszpana, na którego wytwornej twarzy malował się niesmak, i na innych gapiów przyglądających się z boku, jak Bogu ducha winny chłopak umiera na moich rękach,

nie zdołałem jednak wydobyć z siebie głosu.

Peregrine nie żył. Nie mogłem zrobić nic, aby przywrócić go do życia.

– Jak to się stało? – Rochesterowi zadrżał głos. – Zjadł coś zatrutego? Wypił? Co mu się stało? – Omiótł zgromadzonych spojrzeniem pełnym oburzenia, jak gdyby podejrzewał, że celowo ukrywają przed nim odpowiedź na te wszystkie pytania.

Usłyszałem ciche słowa Sybilli Darrier:

– To, zdaje się, nie ma w tym momencie znaczenia, nieprawdaż? Należy zająć się ciałem chłopca. Mógłbyś tego dopilnować, panie? Pan Beecham przeżył ogromny wstrząs. Z pewnością można by go w tym odciążyć.

– Tak, oczywiście. – Rochester zwrócił się do mnie. – Proszę przyjąć moje kondolencje. Doprawdy nie wiem, co powiedzieć. Jestem wysoce zaniepokojony tym, że w pałacu doszło do tego, iż ktoś postradał życie. Należy przeprowadzić dochodzenie. Powiadomię Jej Królewską Mość i...

– Milordzie – przerwała mu Sybilla. Jej głos był spokojny, opanowany, pobrzmiwała w nim jednak jakaś nieokreślona twardość, która powstrzymała Rochesterą. – Sądzę, że najlepiej będzie, jeżeli zajmiesz się chłopcem, ja zaś odprowadzę pana Beechama do jego komnaty. O pozostałe sprawy będzie można się zatroszczyć, kiedy pan Beecham będzie na to gotowy.

Rochester uniósł rękę do kołnierza i przygładził poplamioną jedzeniem serwetkę.

– Tak – wymamrotał.

Przywołał skinieniem dłoni wartowników, ci zaś zbliżyli się, aby wziąć ode mnie Peregrine'a.

Przez chwilę opierałem im się. Przyłgnałem do ciała chłopca, jak gdyby był to ostatni filar podtrzymujący moje życie przed zawaleniem, wreszcie jednak pozwoliłem, żeby go zabrali. Kiedy go wynosili, patrzyłem jak otępiały na jego zwisającą bezwładnie głowę, na spocone włosy przyklejone pasmami do czoła.

Palce Sybilli wydały mi się chłodne w dotyku, kiedy ujęła mnie za rękę.

– Chodźmy – powiedziała, ja zaś posłuchałem jej.

Szedłem w milczeniu, czułem się, jak gdybym błądził w nieprzeniknionej mgle.

Na dziedzińcu przy klatce schodowej przystanęła, spojrzała na mnie.

– Którędy? – spytała.

Poprowadziłem ją schodami na górę, pod otwarte na oścież drzwi mojej izby. Zachwiałem się na nogach. Położyła mi dłoń na plecach, pomagając odzyskać równowagę. Nagle wszędzie wokół poczułem zapach śmierci Peregrine'a.

– Nie wiem, czy dam radę... – wyszeptalem.

– Nie musisz – odpowiedziała. – Jeśli zajdzie taka potrzeba, poprosimy Rochestera, żeby przydzielił ci inną komnatę.

Nie mogłem skupić na niczym wzroku. Musiałem kilka razy zamrużyć, zanim znów moim oczom ukazał

się panujący w izbie bałagan. Otaczająca mnie rzeczywistość wydawała się nierealna, jak gdybym nagle znalazł się w koszmarze, z którego nie mogę się obudzić.

– Wejdę pierwsza.

Sybilla przekroczyła próg, a wtedy moje spojrzenie padło na leżącą w rogu zmiętą wiadomość, którą kopnięciem odsunąłem na bok, gdy rozpaczliwie próbowałem uratować chłopaka.

– Uważaj – ostrzegłem ją. – Pieczęć na pergaminie jest zatruta.

Zbladła.

– Czy twój giermek... czy dotknął jej...?

W odpowiedzi przykucnąłem, aby podnieść z podłogi rękawice. Naciągnąłem je, po czym ująłem wiadomość i zbliżyłem się do migoczącej świecy łożowej. Spojrzałem na pergamin.

„Nie ocalisz jej”.

– Była przeznaczona dla mnie. – Mój głos zabrzmiał głucho, jak gdyby należał do kogoś innego. – Peregrine ją znalazł, ale to mnie chcieli uśmiercić.

Sybilla stała bez ruchu.

– Chcieli? Kto? Dlaczego ktokolwiek miałby pragnąć twojej śmierci?

Przełknąłem ślinę.

– Nie mogę ci powiedzieć.

Przytrzymałem wiadomość nad łożówką i patrzyłem, jak zajmuje się ogniem. Niebieskawy płomień zawinął się do góry, wpierw osmalając pergamin, a w następnej



chwili żartocześnie go pochłaniając. Zanim ogień sięgnął moich palców, rzuciłem wiadomość na podłogę i zmiażdżyłem obcasem, zostawiając na posadzce czarną smugę.

– Nie podaruję im tego. – Podniosłem wzrok i spojrzałem Sybilli w oczy. – Dopadnę ich, choćbym miał ich ścigać do końca swoich dni. Zapłacą za to, co uczynili.

Postąpiła krok w moją stronę.

– Dokąd idziesz? Nie, zaczekaj... – Uniosła dłoń na wysokość moich piersi i zatrzymała mnie. – Nie możesz. Jesteś cały w... Chodź, pomogę ci.

Nie czekając na moją odpowiedź, chwyciła dzban i wyszła. Zacząłem powoli układać rzeczy, moje ruchy były dokładne, oszczędne, oczy piekły mnie z wściekłości i żalu. Zanim zdążyłem doprowadzić izbę do porządku, Sybilla wróciła z dzbanem.

– Woda do mycia – oznajmiła, napełniając miednicę. – Zimna, ale nie szkodzi. Potrzebne ci będą także świeże ubrania – nowa koszula, pończochy, bielizna. Nie możesz się nikomu pokazać w takim stanie.

Wskazałem na odzienie, które położyłem na łożu. Zerknęła na pognieciony odświętny kaftan i jedyną zapasową parę pończoch, po czym powiedziała cicho:

– Chcę ci pomóc. Powiedz, co zamierzasz zrobić.

– Już ci mówiłem, to niebezpieczne.

Odwróciłem się od niej, zdjąłem zabrudzony kaftan i koszulę. Wodą z miednicy zwilżyłem szmatkę, szybko

obmyłem nią tors. Nie obchodziło mnie, że Sybilla stoi parę kroków dalej i patrzy. Kiedy podeszła, wzięła ode mnie szmatkę i zaczęła przecierać moje ramiona i plecy, nie opierałem się. Wypłukała ścierkę w wodzie, wyżeła ją, po czym odwróciła mnie twarzą do siebie, aby umyć mi czoło, policzki oraz posklejaną brodę. Staliśmy tak blisko siebie, że owionął mnie jej odurzający liliowy zapach i poczułem się jak podróżnik, który po długiej wędrówce przez pustynię dotarł do oazy. W półmroku jej niebieskie oczy nabrały niemal turkusowego odcienia, a przysłaniające je długie gęste rzęsy wyglądały niczym uczernione sadzą.

– Wiem, że nie jesteś tym, za kogo chcesz uchodzić – powiedziała. – Wiedziałam to od chwili, kiedy cię zobaczyłam. – Jej dłoń razem z trzymaną w niej ścierką wędrowała w dół, po mojej szyi, wzdłuż obojczyków, do klatki piersiowej. Sybilla stała tak blisko, że czułem na skórze jej palący oddech. – Chcę ci pomóc.

Uniosłem rękę i chwyciłem Sybillę za nadgarstek.

– Jeżeli rzeczywiście tak jest – oświadczyłem – możemy porozmawiać później. Teraz jednak, wybaczy pani, jestem umówiony na ważne spotkanie.

Rozchyliła wargi, między którymi błysnęły białe zęby, a w następnej chwili upuściła szmatkę do miednicy i otarła dłonie o spódnicę. Na jedwabiu wykwitły wilgotne plamy.

– Nie pozwól, panie, aby gniew wziął górę nad rozsądkiem – powiedziała. – Wielu poniosło porażkę,

gdyż uległo afektom. Zemsta przynosi przyjemność tylko wtedy, gdy dokonuje się jej, w pełni przewidując spustoszenie, jakie poczyni.

Uśmiechnąłem się chłodno.

– Wezmę te słowa pod uwagę, pani.

Gdy obróciła się do drzwi, rzuciłem:

– Panno Darrier. – Przystanęła. – Proszę dopilnować, żeby o niego zadbano. – Głos mi się załamał. – Proszę dopilnować, żeby go nie pochowano, zanim się z nim nie pożegnam. Proszę mi to obiecać. On... on był moim przyjacielem. Nie zasłużył na taki los.

– Nikt nie zasługuje na taki los – odparła, po czym zatrzasnęła za sobą drzwi.

Podszedłem do zwierciadła, wyjąłem brzytwę i przyciąłem brodę tuż przy skórze. Następnie przypiąłem szpadę, wsunąłem sztylet za pas i narzuciłem pelerynę.

W sercu rozgorzał mi czarny płomień.

Mniejsza o spustoszenie, nie odmówię sobie zemsty.

# Rozdział 11



Snułem się po Londynie niczym widmo. Mróz zmieniał mój oddech w obłoczki dymu, przeganiał z ulic włóczęgów, złodziejasków i wszelkiej maści hołotę. Mimo że cisza nocna miała chronić miasto i jego mieszkańców, gdy lawirowałem między kamienicami i oberżami położonymi na południe od pałacu, wiedziałem, że zamknięcie bram było zaledwie sygnałem, na który budził się do życia inny świat, w większości świat występku.

Jednak tego wieczoru było inaczej. Tego wieczoru wyglądało tak, jak gdyby cały Londyn przywdział żałobę po śmierci mojego giermka.

Nie zważając na własne bezpieczeństwo, skręcałem w ciemne uliczki i zmierzając w stronę schodów prowadzących do rzeki, nie zdejmowałem dłoni z rękojeści szpady. Uradowałbym się, gdybym został napadnięty; pragnąłem rozlewu krwi, pragnąłem dać upust wściekłości i niedowierzaniu, które – byłem pewien – miały dręczyć mnie już zawsze.

Niedługo potem zatrzymałem się nad brzegiem rzeki i omiotłem spojrzeniem szeroką wstęgę pomarszczonego granatu. Spowity chmurami księżyc ledwo rysował się na

nocnym niebie, jednak jego lodowata poświata była zbyt duża. Zamarznięta Tamiza emanowała własnym światłem, unosił się nad nią niesamowity poblask, w którym strzępy mgły sunęły po nieruchomej tafli niczym poszarpane pasma jedwabiu. Na drugim brzegu dostrzegłem nikły blask ognia.

„Zapomniałem, panie, że lubisz wodę jak, nie przymierzając, kot...”

Obróciłem się, wydając stłumiony okrzyk. Usłyszałem jego słowa tak wyraźnie, że spodziewałem się zobaczyć tuż za sobą tego uśmiechniętego nicponia, mojego wiernego towarzysza, który nie chciał siedzieć beczynnym w izbie.

Nie zobaczyłem nikogo.

Ponownie spojrzałem na nabrzeże, z trudem powstrzymując wzbierający w piersiach, pełen bezradności szloch. Dostrzegłem rzędy opuszczonych łodzi, przy takiej aurze bezużytecznych. Dopóki lód na rzece nie odtaje, przewoźnicy muszą szukać innych sposobów na zarobkowanie. Peregrine zapewniał, że tędy będzie najbezpieczniej i najszybciej, a ja nie miałem czasu do stracenia. Mimo to gdy stanąłem nad brzegiem Tamizy, wyobraźnia podsunęła mi przerażający obraz: w połowie przeprawy przez zamarznięty nurt słyszę delikatny trzask, a na łodzi pod moimi stopami zaczynają się pojawiać pęknięcia przypominające pajęczynę. Wiedziałem, że ukryta pod zimną taflą rzeka wciąż żyje; połknęłaby mnie szybko i niechybnie. Kiedyś

już wpadłem w jej objęcia. Nie miałem ochoty tego powtórzyć, choć w tym momencie śmierć wydawała się oferować upragnioną chwilę wytchnienia.

Zerknąłem na swoje buty. Wyjąłem nóż, delikatnie naciąłem podeszwy, po czym wtarłem śnieg w powstałe wyżłobienia. Być może dzięki temu uda mi się nie poślizgnąć.

Zsunąłem się na oszronioną lodową pokrywą. Strach zapierał mi dech. Powtarzałem sobie w myślach, że mam się skupić, iść powoli, ostrożnie stawiać nogę za nogą, jak gdybym poruszał się po świeżo wypolerowanej posadzce. Gdy znalazłem się dalej od brzegu, miasto za mną zniknęło we mgle, a gwar niosący się od południowego nabrzeża jeszcze nie docierał. Chmury rozeszły się, na chwilę ukazując księżyc; widoczna przez moment srebrzysta aureola oślepiła mnie, rozrzucając na rzece odłamki diamentów. Widok czarnego nieba przetykanego tysiącami iskrzących się gwiazd i Tamizy mieniącej się niczym niesamowite morze urzekł mnie i sprawił, że zastygłem w bezruchu. Przeszła mi przez głowę myśl, jak bezduszny jest ten świat – nawet gdy umiera dziecko, przyroda potrafi się stroić, obojętna na los wszystkich i wszystkiego.

Znów ruszyłem przed siebie. Parę razy niemal straciłem równowagę, ślizgałem się i dalej brnąłem w stronę brzegu. Chłód, który przestałem odczuwać kilka chwil wcześniej, powrócił ze zdwojoną siłą. Naciągnąłem kaptur peleryny głębiej na oczy, poczułem,

że zamiast stóp mam w butach dwie bryły lodu, ale uparcie posuwałem się w kierunku nabrzeża Southwark.

Ominąłem porzucone pławnice i w pewnym momencie wyłonił się przede mną dziwny obraz: rozpalone w dołach ogniska z sykiem wyrzucały w górę rozżarzone węgle, doleciała mnie woń pieczonego boczku. Dostrzegłem tłum ludzi i w miarę jak się do niego zbliżałem, ku swojemu zdumieniu ujrzałem nocny jarmark w całej okazałości.

Wzdłuż krętych, wąskich drózek rozstawione były stoły, na nich zaś pod obwisłymi, zawieszonymi na sznurkach płachtami leżały sterty zmatowiałych półmisków, piramidy kielichów, stosy wytartych chodników, poblakłych gobelinów, wyszczerbionych noży i starych ubrań. Między straganami w przydymionym blasku ognisk kręcili się przekupnie i karczmarze, oferując pierogi z mięsem, nadziewane kluski i inne potrawy, podczas gdy przechodnie – przeważnie mężczyźni, z tego co udało mi się ustalić, patrząc na opatulone kilkoma warstwami ubrań sylwetki, ale również kobiety, odważne i poruszające się pewnym krokiem – przeglądali wyłożone na kramach towary. Handlarze z niestrudzonym zapałem zachwalali swoje dobra, choć ich ciche namowy bardziej przypominały rozmowę prowadzoną półgłosem na cmentarzu niż wrzaskliwe zachęty zwykle słyszane na targu. Wyglądało na to, że nikt nie chciał, aby o nocnym rynku dowiedziały się władze.

Ja również starałem się nie zwrócić na siebie niczyjej uwagi, pochyliłem głowę i wmieszałem się w tłum. Z początku srebrne przedmioty leżące bezładnie na pobliskim stoisku wziąłem za skradzione towary, zaraz jednak pomyślałem, że gdyby pochodziły one z grabieży, z pewnością doniesiono by o tym strażom i skonfiskowano kosztowny dobytek. Po chwili dostrzegłem obity materiałem klęcznik ozdobiony rzeźbionymi złożonymi aniołkami i wykończony poprzecieraną aksamitną wyściółką pod kolana. Przystanąłem. Obok leżała sterta wydartych klamer na księgi, na wielu widniała częściowo złuszczone emalia z religijnymi motywami. Dalej stało drewniane koryto dla świń wypełnione splątanymi różańcami.

Był to targ oferujący przedmioty ze złupionych klasztorów.

Przyczłapał do mnie właściciel straganu – brzuchaty, brodaty mężczyzna o dziobatej twarzy. Zaczął bełkotać niezrozumiałym językiem; dopiero gdy dźgnął mnie palcem w klatkę piersiową i powtórzył wypowiedziane słowa, nagle dotarło do mnie, że mówi po angielsku.

– Kupuje czy nie? – wymamrotał. – Niech się tak nie gapi.

Przez chwilę nie mogłem się poruszyć. Gdy patrzyłem w jego pożółkłe oczy, mimo woli myślami wróciłem do minionych już czasów, których nie pamiętałem, ale o których słyszałem; do czasów, kiedy chorzy, znużeni i biedni szukali schronienia w murach



rozsianych po całym królestwie opactw, zanim padły one ofiarą króla Henryka i jego rozbratu z Rzymem.

Nagle załała mnie fala gorąca, poczułem palące pragnienie, aby chwycić tego człowieka za kołnierz i przypomnieć mu, iż coś, co teraz sprzedawał bez najmniejszego szacunku jako zwykłe rupiecie, niegdyś stanowiło świętość dla setek mnichów i zakonnic, którzy zostali wyrzuceni ze swoich domów i pozbawieni dziedzictwa. Gdzieś w głębi duszy czułem, że powoduje mną żałość i że nie powinienem pozwolić, aby zapanowała nade mną. Nie mogłem wdawać się teraz w bezsensowne awantury, nie w chwili, gdy miałem do wykonania jasno określoną misję. Ze wszystkich sił starałem się uspokoić emocje i myśli, ale mimo to odezwało się we mnie współczucie wobec królowej. Maria trwała przy starej wierze wbrew wszelkim przeciwnościom, nie zdając sobie sprawy z tego, iż porządek świata, który pragnęła uratować, dawno już został skazany na zagładę.

Mężczyzna opuścił rękę, dotknął pasa. Zanim zdążył wyciągnąć broń, odmaszerowałem, zostawiając za sobą targowisko i zagłębiając się między rzędy ruder przyklejonych jedna do drugiej niczym gnijące grzyby. Dobiegło mnie ujadanie psów i pełen udręki, mrozący krew w żyłach ryk zaszczutego niedźwiedzia; w progach mijanych chałup stały młodziutki kobiety, czasami może jeszcze dziewczynki, odziane w obszarpane suknie i umalowane, a ich wychudłe twarze zamiast uwodzić,

przerażały. Padły pierwsze lubieżne propozycje, poruszyło się pierwsze kościste biodro, czyjś palec przywoływał mnie skinieniem...

Dotarłem do lupanarów

Zatrzymałem się, nie wiedząc, w którą stronę się zwrócić. Nocą wszystko wyglądało tu tak samo – brudne, popadające w ruinę i przeżarte cierpieniem. Miażdżący ból związany ze śmiercią Peregrine'a i nagła świadomość tego, jak ogromną szkodę wyrządzi Renard, aranżując małżeństwo Marii i tym samym wystawiając ją do walki z jej protestanckimi poddanymi, sprawiły, że poczułem, iż chcę już mieć to zadanie za sobą. Chcę wykonać swoją misję i uciec najdalej jak można od dworu i Londynu.

Kiedy wreszcie dojrzałem uliczkę Dead Man's, wyostrzyłem zmysły i trzymałem się najmroczniejszych zakątków. Moim oczom ukazało się Jastrzębie Gniazdo, zupełnie inne teraz, pod osłoną nocy, niż za dnia – okiennice na górnym piętrze były otwarte, wielodzielne okna rozświetlał migotliwy blask świec, a w mroźnym powietrzu unosiły się śmiechy i strzępy melodii.

Drzwi wejściowe stanęły otworem. Wytoczyło się z nich dwóch mężczyzn, ich sylwetki ciemniały na tle światła wydobywającego się z wnętrza budynku. Zobaczyłem, że przynajmniej jeden z nich nie jest mieszkańcem tej zapuszczonej dzielnicy. Był wysoki, dobrze zbudowany, na plecach miał narzuconą obszytą futrem oponczę: wyglądał na dworzanina, i to dość

zamożnego. Jego towarzysz był smuklejszy i niższy. Gdy chwiejnym krokiem ruszyli w dół uliczki, chłopak zachichotał lubieżnie.

Ująłem sztylet. Podeszli bliżej, potykając się o siebie i zaśmiewając. Stałem przyczajony w bramie, ale nawet z tej odległości wyczułem otaczającą ich woń trunków. Nagle chłopak krzyknął, ponieważ dworzanin popchnął go na ścianę i zaczął obmacywać z pijackim zniecierpliwieniem. Młodzieniec protestował piskliwie i niezbyt przekonująco.

Wtedy skoczyłem.

Dworzanin zamarł, gdy poczuł ostrze na gardle.

– Jest dość młody, nie sądzisz, panie? – wysyczałem mu do ucha, zaś przyciśnięty do muru chłopak rozwarł usta gotowy podnieść wrzask.

Sporunowałem go wzrokiem.

– Nie chodzi mi o ciebie. Zmykaj, już!

Nie musiałem powtarzać dwa razy. Młodzieniec wyśliznął się z uścisku starszego towarzysza i rzucił się do ucieczki.

Dworzanin szykował się, aby wymierzyć mi cios łokciem w brzuch, ale przycisnąłem sztylet na tyle mocno, aby zrezygnował z tego zamiaru.

– Ty złodziejska kanalio – wymamrotał. – Zabij mnie, jeśli wola, ale nic ode mnie nie dostaniesz. Chłoptaś oskubał mnie ze wszystkich pieniędzy.

– Nie chcę pieniędzy – powiedziałem. – Wystarczy mi hasło. Czy może wolisz, panie, abym wydał cię straży

za przestawanie z nieletnim chłopcem?

Zarechotał, po czym zachwiał się. Z trudem trzymał się na nogach. Gdybym nie obejmował go od tyłu ręką, nadziałby się na mój sztylet.

– Dobrze sobie. Oni wszyscy są nieletni, głupcze. To specjalność Gniazda.

– Hasło – powtórzyłem. Docisnąłem ostrze na tyle mocno, aby wydał z siebie stłumiony jęk.

– Pisklę – wysapał, ja zaś odsunąłem nieco sztylet. Wtedy on raptownie się obrócił, bardziej przytomnie, niż mogłem się spodziewać. Nie miałem wyjścia, musiałem uderzyć go w skroń rękojęścią.

Zwalił się na ziemię niczym kłoda.

Chwyciłem go za rękawy, zaciągnąłem do bramy i zerwałem mu z ramion opończę. Była kosztowna, uszyta z ciemnozielonego adamaszku podbitego i wykończonego futrem z rysia. Zarzuciłem ją na swoją pelerynę. Miałem nadzieję, że łajdak mimo wszystko nie zamarznie na śmierć.

Naciągnąłem na głowę ciepły kaptur, który zakrywał mi niemal całą twarz, wsunąłem sztylet za cholewę buta i pomaszerowałem w stronę wejścia do lupanaru.

Chmury nade mną rozstały się, lodowaty księżyc powlekał domy bezbarwnym światłem. Zastukałem do drzwi i czekałem, odliczając po cichu kolejne sekundy.

Szurnęła zasuwa, przez niewielki otwór w drzwiach padła szorstka komenda:

– Wstęp.

– Piskłę – odpowiedziałem.

Usłyszałem zgrzytnięcie rygli, po czym otworzyły się drzwi. Uderzył mnie zapach palonego drewna i podmuch ciepła; gdy usłyszałem brzęk metalowych kufli i śmiechy, zorientowałem się, że stanąłem w sieni oświetlonej umieszczonymi na ścianach lampami olejnymi. Na końcu korytarzyka znajdowały się kolejne drzwi, zza których dobiegały odgłosy zabawy.

Drzwi wejściowe zatrzasnęły się za mną. Czyjaś ręka zdarła mi kaptur z głowy. Usłyszałem warknięcie:

– Dawajcie broń. I pelerynę.

Mężczyzna nie rozpoznał opończy, którą mu podałem, i nie podejrzewał, że przed chwilą zmieniła właściciela. Mimo to mógł stanowić problem – olbrzym o pomarszczonej twarzy przypominającej pysk mastiffa hodowanego specjalnie do walki i o dłoniach rozmiarów wieprzowych udźców. Na dodatek zza szerokiego, nabijanego ćwiekami pasa wystawał mu pistolet kołowy; widok ów wzbudzał respekt, ale i podziw. Broni tego kalibru nie spotykało się codziennie.

Mężczyzna rzucił mi gniewne spojrzenie. Powoli odpiąłem pochwę i owinąłem ją swoimi pelerynami.

– Proszę mieć na nią baczenie – powiedziałem.

Ukrytego w bucie sztyletu nie zamierzałem się pozbywać. Olbrzym, ściskając w dłoni moją najwyższej jakości klingę z tolekańskiej stali, zmierzył mnie spojrzeniem.

– Wstęp – ponownie rzucił tę samą komendę.

Zmarszczyłem brwi, sięgnąłem do sakiewki po dukaty.

– Wstęp! – ryknął.

Na Boga, czyżby istniały dwa hasła? Odparłem usłużnie:

– Jestem tu pierwszy raz, przyjaciel nakazał mi...

Mężczyzna chwycił mnie za poły kaftana, zbliżył swoją twarz do mojej. Gdyby doszło do starcia, nie miałbym najmniejszych szans, chyba że zdołałbym dobyć sztyletu.

– Jaki przyjaciel? – zagrzemiał, ja zaś odpowiedziałem spokojnie:

– Jego lordowska mość hrabia Devon. Wyznaczył mi tutaj spotkanie. Zachwalał ten przybytek, mówiąc, że jest najprzedniejszy.

– Hrabia, powiadacie? – Mocniej zacisnął pięść na kaftanie i przypatrzył mi się uważnie.

Już zacząłem myśleć, że będę musiał użyć jakiegoś niesmacznego wybiegu, aby wydostać się z tej opresji, ale w tej samej chwili olbrzym chrząknął i puścił mnie, wskazując drzwi na końcu sieni.

– W środku jest człowiek hrabiego. Zgłóście się do niego. Nie lubię obcych, którzy nie znają zasad wstępu, i a on nie lubi gości, którzy rozpytują o jego pana.

Skłoniłem głowę i chciałem go wyminąć, a wtedy niespodziewanie poczułem jego rękę między nogami. Chwycił mnie za saczek i zacisnął na nim dłoń z mocą imadła.

– Niczego sobie – chuchnął mi prosto w twarz. – Przyjdźcie do mnie później, jeśli macie ochotę, piękniśiu.

– Będę o tym pamiętał – wykrztusiłem, czując się tak, jak gdybym właśnie został wykastrowany.

Zacisnął dłoń raz jeszcze, a ja znów z trudem zdławiłem okrzyk bólu. Gdy siłą woli powstrzymałem się, aby nie zgiąć się wpół i nie chwycić za krocze, mężczyzna sięgnął do pudełka stojącego ponad półkami, na których leżały stopy szpad i peleryn klientów. Wyjął cienką szmacianą maskę i wepchnął mi ją do ręki.

– W salonie zakrywamy twarze. Taka zasada.

Wybełkotałem podziękowanie, założyłem białą batystową maskę i zawiązałem wstążkę z tyłu głowy. Krocze pulsowało mi bólem; obawiałem się, że już nigdy nie odzyskam sprawności w tej części ciała.

Mój niepokój wzmógł się dodatkowo, gdy pchnąłem kolejne drzwi i stanąłem w progu obszernego salonu. Był on urządzony podobnie jak każdy inny wytworny przybytek tego typu. Pod nogami chrzęściło posypane ziołami sitowie, dzięki któremu nie ciągnęło chłodem od drewnianej podłogi, zaś na szerokich stołach migotały łojowe świece. W ich blasku siedzieli mężczyźni, popijając z kufli, grając w karty lub kości.

Wszystko to wydało mi się dość zwyczajne i dopiero po chwili dotarło do mnie, że stojące przy kominku i zalecające się do siebie postacie to mężczyźni, podobnie zresztą jak smukli służący, którzy krążyli

między stolikami, roznosząc dzbany i półmiski. Nie dostrzegłem ani jednej kobiety.

Każdy klient, który odwrócił głowę, aby na mnie spojrzeć, miał zamaskowaną twarz.

Dwóch siedzących przy pobliskim stole mężczyzn w rozpiętych wzorzystych kaftanach okazało mi swoje zainteresowanie; jeden uśmiechnął się zachęcająco, zaś jego towarzysz szepnął mu coś na ucho. Odwzajemniłem uśmiech, minąłem ich jednak i wszedłem głębiej, rozglądając się za człowiekiem hrabiego. Zastanawiałem się, w jaki sposób poradzić sobie z tą niespodziewaną trudnością. Courtenay kazał swojemu najemnikowi zrobić ze mną porządek; nie łudziłem się, że teraz dla odmiany okaże mi życzliwość.

Dojrzałem go przy stoliku ustawionym nieopodal wąskich schodów. Siedział sam, zgarbiony, z kapturem naciągniętym na głowę, przed nim stała lampka łojowa i metalowy kufel. Czy on również musiał przestrzegać zasady o nakładaniu maski? Najwyraźniej z zasady dotyczącej oddawania wierzchnich okryć i broni nic sobie nie robił.

Uniósł głowę, gdy wyczuł, że się do niego zbliżam, i odrzucił kaptur na plecy. Zacisnąłem zęby, aby stłumić gwałtowny wdech. Na jego twarzy w miejscu, gdzie powinno być lewe oko, widniała obrzęknięta dziura. To tłumaczyło, dlaczego nie dostrzegł mnie wtedy w krużganku, gdy przyczałem się w wykuszu. Pozostała część jego oblicza była równie szpetna, pokrywały ją



rozległe blizny ciągnące się od brwi po szczękę i zniekształcające rysy. Jego skóra była tak pobrużdżona i pomarszczona, że nie przypominała już ciała. Okaleczenie widoczne było nawet pod przyprószoną siwizną brodą. Wyglądało to tak, jak gdyby ktoś obił mu twarz pałą, oblał wrzącą oliwą, a na koniec założył prymitywne szwy.

– Czego chcesz? – warknął.

Mowę miał bełkotliwą, ale ów bełkot nie był wynikiem wypicia zbyt dużej ilości trunku. Patrzył prosto na mnie i ani drgnął. Nie musiał. Nie wątpiłem, że ów człowiek zna się na swoim fachu. Jeden fałszywy ruch z mojej strony i w mgnieniu oka poczułbym ostrze jego sztyletu w swoich wnętrznościach. Mimo to gdy przypominałem sobie wiadomość, którą zostawił w mojej izbie, z trudem się powstrzymałem, aby nie rzucić się na niego i nie wyrwać mu z piersi czarnego, cuchnącego serca.

Wydawało się, że mnie nie rozpoznał. Maską zakrywała mi twarz i sprawiała, że wyglądałem jak każdy inny bywalec Gniazda. Wysunąłem biodro i przybrałem swawolny ton:

– Słyszałem, że jesteś człowiekiem hrabiego. Pomyślałem, że może chciałby spędzić wieczór w miłym towarzystwie.

Przeniósł wzrok na kielich, który podniósł do warg, aby wychylić jego zawartość. Dopiero wtedy rozumiałem, dlaczego tak dziwnie wymawia słowa;

brakowało mu górnej wargi, usta miał zdeformowane, jak gdyby zostały rozszczepione, a następnie niezdarnie zszyte. Zapewne stracił również większość zębów, pomyślałem, patrząc na strużkę ale, która spłynęła po jego brodzie.

– Jego Lordowska Mość nie jest zainteresowany – odrzekł. – Poszukaj innego towarzystwa, koguciku.

Doskonale. Dał się nabrać. Uznał mnie za jednego z pracujących w Gnieździe chłopców.

– Jestem bardzo utalentowany – nie dawałem z wygraną.

– Też mi coś. – Szerokim gestem wskazał zapełniony klientami salon. – Zatem ktoś inny na pewno doceni twój talent. Hrabia lubi tylko tych nieowłosionych jak oskubane kurczaki. – Zarechotał rozbawiony własnym dowcipem.

Po raz kolejny musiałem zapanować nad przemożnym pragnieniem, aby udusić go gołymi rękami. Był tylko posłańcem, nie on wydawał zlecenia.

– Trudno. – Westchnąłem z udawanym żalem i schyliłem się, jak gdybym chciał poprawić but, po czym momentalnie obróciłem się i skoczyłem w stronę schodów. Tak jak liczyłem, najemnik dopadł mnie w okamgnieniu i chwycił za kaftan.

– Nie tak szybko, kochanku. Czy ja cię już gdzieś nie widziałem? – Urwał. – Dobrze czuję, że przystawiłeś mi do bebeczków nożyk? Jeśli tak, strzeż się, mam coś większego i z przyjemnością wypatroszę cię jak zająca.

Zajrzałem w jego jedyne oko.

– A może to ja wypatroszę ciebie? – Docisnąłem ostrze. – Nie myśl, że się zawaham. – Dostrzegłem, że zmienia się na twarzy, gdyż dotarło do niego, kim jestem, a wtedy dodałem: – Możemy również załatwić tę sprawę, jak na ludzi honoru przystało, i powiesz mi, gdzie go znajdę.

Mógł wrzasnąć, wezwać pomoc. Zamiast tego rzekł z rozbawieniem:

– Doprawdy? Zatem niech ci będzie. Spotkamy się, kiedy będziesz wracał. – Wskazał schody prowadzące na górę. – Ostatnie drzwi po lewej stronie. Uwaga na koty. – Zarechotał i wrócił do kufla.

Zacząłem się wspinać po skrzypiących schodach, w dłoni ścisnąłem sztylet. Sklepienie coraz bardziej opadało. Nie znosiłem zamkniętych przestrzeni prawie tak samo jak głębokiej wody. Kiedy stanąłem na podeście, zerknąłem przez ramię. Najemnik nie siedział już przy stole. Wiedziałem jednak, że nie odszedł daleko. Będzie na mnie czekał, jak zły sen nocą.

Zdjąłem maskę i wetknąłem ją w kieszeń pumpów. Korytarz leżący przede mną był ciasny i słabo oświetlony. Widać było w nim szereg drzwi, które zapewne nie były zbyt grube, ponieważ słychać było dobiegające zza nich jęki i plaśnięcia. W powietrzu unosił się odór, kwaśna mieszanina zapachu starego sitowia, kocich szczyn i spólkowania.

Postąpiłem krok w przód. Coś czarnego smyrnęło

obok mnie i zniknęło w mroku korytarza. Kot. Gdy mijiałem kolejne drzwi, moje oczy powoli przyzwyczajały się do ciemności i dostrzegłem inne koty skulone przy ścianach, syczące lub obserwujące moje ruchy matowymi oczami. Sklepienie zdawało się opadać mi na barki; szedłem niemalże na palcach, jak gdybym obawiał się rozdrażnić zwierzęta.

Zanim dotarłem do ostatnich drzwi po lewej stronie, pot ściekał mi po czole i plecach; było tu gorąco jak w piekle, na piętro dochodziło ciepłe powietrze rozgrzane kominkiem w salonie oraz Bóg wie iloma blaszanymi piecykami zamontowanymi bez pozwolenia w izbach. Cały budynek przypominał jeden wielki piec; nic dziwnego, że ściągały tu koty z całej okolicy, choć nie miałem pojęcia, dlaczego ich stąd nie wyrzucano, może miały przeganiać szczury.

Przeczesałem palcami wilgotne włosy i przyłożyłem ucho do drzwi. Nic nie usłyszałem. Nacisnąłem klamkę. Zaczęła ustępować, i wtedy drzwi nagle stanęły otworem. Dobiegł mnie okrzyk:

– Czekam na ciebie i czekam! – powiedział hrabia, po czym złapał mnie w objęcia i próbował przycisnąć do siebie.

Odepchnąłem go. Courtenay otworzył szeroko oczy. Zatrzasnął drzwi i odwrócił się do mnie. Miał na sobie rozsznurowaną koszulę, która obnażała jego szczupłą białą pierś; jego twarz wykrzywiona była wściekłością i zarumieniona od, jak przypuszczałem, sporej ilości

wypitego wina. Ruszył na mnie z zaciśniętymi szczękami, ale zatrzymał się, kiedy zobaczył w mojej dłoni sztylet.

Zwęził oczy.

– Kim, do diabła, jesteś?

Teraz, gdy stałem twarzą w twarz z hrabią Devon, człowiekiem, który spiskował przeciwko królowej i który próbował otruć mnie, a zamiast tego pozbawił życia Peregrine’a, poczułem, że pragnienie zemsty pali moją duszę niczym rozgrzane do białości żelazo. Wpiłem w niego wzrok. Było w jego sposobie bycia to coś, co mają tylko dobrze odżywieni, przyzwyczajeni do zbytku arystokracji, choć zauważyłem, że po zdjęciu wymyślnego odświętnego stroju o wiele bardziej przypominał człowieka, który wiele lat spędził w lochach Tower. Miał na sobie jedynie luźną koszulę i pumpy, co podkreślało jego szczupłą niczym u подростka sylwetkę, a długie nogi i ramiona wydawały się pozbawione mięśni; a pomimo arogancji bijącej z całej jego postawy miałem wrażenie, że gdyby doszło do walki, okazałyby się słabszy ode mnie.

– Zatem rozpoznajesz mnie – wycedziłem.

Uśmiechnął się chłodno.

– Jesteś tym przybłądą, któremu Renard kazał za mną węszyć. Masz nosa, skoro mnie tu znalazłeś. Jaka szkoda, że nie będziesz mógł się tym pochwalić przed nim.

– Doprawdy? Znów będziesz usiłował mnie zabić?

Ryknął śmiechem – zamilkł jednak, gdy postąpiłem krok w jego stronę i zobaczył w moich oczach nieugiętość. Znieruchomiał, ja zaś powiedziałem:

– Niespodzianka, którą zostawiłeś w mojej izbie, zamiast mnie zabiła mojego giermka. To był jeszcze chłopiec. Dopilnuję, żebyś za to zapłacił.

Hrabia pobladł, zerknął na ostrze, którym celowałem w jego brzuch.

– Zapewniam cię – odrzekł powoli – że nie mam pojęcia, o czym mówisz.

W ciszy, która zapadła po jego słowach, zajrzałem mu w oczy. Albo był najlepszym aktorem, jakiego w życiu spotkałem, albo był szczerze zdumiony oskarżeniem, które rzuciłem. Mój gniew osłabł. Czyżbym się pomylił? Czyżby on mówił prawdę?

– Pozwól zatem, iż odświeżę ci pamięć. Kazałeś uciszyć mnie tamtej nocy, gdy spotkałeś się z księżniczką, a ja was zobaczyłem. Posłałeś za mną najemnika. – Gwałtownie wciągnął powietrze, ja zaś przysunąłem się do niego. Stał plecami do drzwi; aby uciec, musiałby obrócić się i je otworzyć. – On jednak nie dopadł mnie wtedy – ciągnąłem – poleciłeś więc śledzić mnie. Widziałem twojego człowieka na moście; nie silił się zbytnio na dyskrecję. Choć gdy zorientował się, że go dostrzegłem, zniknął. Niedługo potem wróciłem do pałacu, gdzie znalazłem wiadomość od ciebie. Teraz już sobie przypominasz? Jeżeli nie, radzę, abyś jeszcze raz poszperał w zakamarkach pamięci.

Zależy od tego twoje życie.

– Za kogo się masz, żeby mi grozić, niegodziwcze!

Ku mojemu zaskoczeniu ucznił coś, co na jego miejscu uczyniłby każdy szlachetnie urodzony, którego śmiałyby oskarżać i straszyć człowiek o niższej pozycji społecznej. Nie zważając na to, że trzymam w dłoni sztylet, z wściekłością postąpił krok w przód, popełnił jednak błąd, gdyż rzucił ukradkowe spojrzenie na kaftan leżący na łożu. Jeżeli miał broń, ukrył ją właśnie tam. Musiałby mnie wyminąć, gdyby zamierzał po nią sięgnąć. Dałem mu czas, aby zdążył oszacować sytuację, nawet jeśli oburzenie, z jakim zareagował na moje oskarżenia, wynikało z wyrachowania. Niemniej przeszło mi przez myśl, że człowiek, który miałby coś na sumieniu, zachowałby więcej rozwagi. Prócz tego nic w jego zachowaniu nie wskazywało na to, aby był zdziwiony tym, iż nadal żyję.

Jeżeli zatem nie Courtenay usiłował mnie otruć, to kto?

Odsunąłem na bok te rozważania, obniżyłem ostrze. Tymczasem wyraz twarzy Courtenaya zmienił się; hrabia uniósł brew i wskazał dzban na stoliku.

– Czy mogę? Zaschło mi w gardle.

Przytaknąłem i nie spuszczałem z niego oczu, podczas gdy on podszedł do stołu, napełnił puchar, po czym spojrzał na mnie znad jego brzegu:

– Przykro mi z powodu twojego... giermka, jeśli się nie mylę? – Pociągnął łyk. – Skoro jednak już wiesz, że

nie miałem nic wspólnego z jego śmiercią, ale nadal tu jesteś, to znaczy, iż nosisz się jeszcze z innymi zamiarami wobec mnie. Czyżby chodził ci po głowie szantaż?

– Dość dobry pomysł – oznajmiłem ozięble.

– Zatem marnujesz swój czas. Co prawda zastałeś mnie w tym przybytku, ale to nie oznacza, że gustuję w chłopcach. – Uśmiechnął się złośliwie. – Znam jednak wielu dworzan, którzy gustują. Chcesz wydobyć ode mnie ich nazwiska?

Nie dałem się zwieść jego żartobliwemu tonowi.

– Nie dbam o twoje gusta. Chcę wydobyć z ciebie odpowiedzi na parę pytań.

– Och. To zabrzmiało prawie jak groźba. – Opróżnił kielich do dna i odstawił go na stół z rozdrażnieniem człowieka zmuszonego ciągnąć nużącą rozmowę. – Odpowiedzi powiadasz? Komu one potrzebne? Może twojemu panu, Renardowi?

– Królowa się z nim liczy – odrzekłem i zanim zdążyłem drgnąć, Courtenay rzucił się na mnie, w dłoni zaś ścisnął długi cienki sztylet, który niepostrzeżenie wziął ze stołu.

Wycelował ostrze w mój brzuch; odskoczyłem w bok, aby uniknąć ciosu, a wtedy hrabia podciął mi nogi, ja zaś zwałem się na kolana. Sztylet wypadł mi z ręki. Opuściłem się na czworaki, aby po niego sięgnąć, a jednocześnie próbowałem odsunąć się jeszcze dalej od Courtenaya, on jednak wskoczył na mnie, chwycił za



włosy i zadarł mi głowę. Gdy przyłożył ostrze do gardła, poczułem, jak stal przecina mi skórę.

– Nie lubię być nagabywany przez zwykłych szubrawców takich jak ty – wyszeptał, a pełna okrucieństwa radość, która pobrzmiwała w jego głosie, zaniepokoiła mnie bardziej niż ciepła strużka krwi spływająca po mojej szyi. – Zapytam cię raz jeszcze, a jeśli nie spodoba mi się twoja odpowiedź, poderżnę ci gardło: kto cię tu przysłał?

Bez wahania wycharczałem:

– Elżbieta. Ona mnie przysłała.

## Rozdział 12



Wciąż trzymał mnie za włosy, ale gdy poczułem, że na dźwięk jej imienia rozluźnia uchwyt, z trudem udało mi się stłumić nagłą chęć zrzucenia go z siebie i przypuszczenia ataku. Miałem za sobą lata chłopięcych doświadczeń, kiedy to najmłodszy potomkowie rodu Dudleyów pomiatali mną i sprawiali mi cięgi. Wszyscy ci dobrze urodzeni byli tacy sami: zakładali, że ludzie mojego pochodzenia zawsze im ulegną.

Postanowiłem, iż nie będę wyprowadzał Courtenaya z błędu, przynajmniej na razie.

– Elżbieta? – powtórzył. – Na twoim miejscu bardziej bym się wysilił. Niby z jakiego powodu księżniczka miałaby powierzać swoje sprawy takiemu parszywemu kundlowi jak ty?

Coraz trudniej było mi zachować korną postawę. Hrabia wypił swoje tego wieczoru; po ruchu ostrza na mojej grdyce czułem, że ręka mu drży, a ja nie zamierzałem dokonać żywota w jakimś obskurnym lupanarze tylko dlatego, iż Courtenayowi nóż wyśliznie się z dłoni. W myślach nakazywałem sobie spokój, powtarzałem, że rana, którą mi zadał, to tylko draśnięcie, a skaleczenia na szyi zawsze mocno krwawią. Wiele razy

zaciąłem się przy goleniu i były to rany mniej więcej takie same jak ta. Mimo to narastała we mnie wściekłość. Hrabia przedstawiał sobą wszystko, czego znienawidziłem – był fircykiem, który całe swoje życie bezkarnie pomiatał innymi, traktował pogardliwie wszystkich, których uznał za nierównych sobie. Nawet jeśli nie on podrzucił zatrutą wiadomość do mojej izby, to tylko dlatego, że zabrakło mu wyobraźni, ponieważ gdyby zaszła taka potrzeba, zabiłby mnie bez mrugnięcia.

Miałem dość takich jak on.

– Po raz drugi nazwałeś mnie kundlem. A ja bardzo lubię psy – powiedziałem, po czym wbiłem mu łokieć między żebra, a jednocześnie uniosłem plecy, aby zrzucić z siebie napastnika.

Gdy ten runął na ziemię, obróciłem się na kolanach, chwyciłem go za ramię i wykręciłem mu rękę, odsuwając trzymany przez niego sztylet jak najdalej od siebie. Zdumiałem się, gdyż hrabia okazał się silniejszy, niż myślałem, choć dał się zaskoczyć. Szamotał się, usiłując odzyskać utraconą przewagę, ja jednak szarpnąłem go w górę za wykręcone do tyłu ramię i zmusiłem, aby wstał i wypuścił z dłoni sztylet, który z brzękiem upadł na posadzkę u moich stóp.

– Mogę złamać ci rękę – wycedziłem mu do ucha i wzmocniłem uścisk. Courtenay krzyknął. Kopnięciami rozsunałem mu nogi, aby pewniej na nich stanął. – Możemy też dojść do porozumienia. Wybieraj.

Znów szarpnąłem go za ramię, a jednocześnie stopą przysunąłem swój sztylet. Żeby go podnieść, musiałbym puścić hrabiego, a wtedy on bez wątpienia wykorzystałby chwilę mojej nieuwagi. Zaryzykowałem jednak, policzyłem w myślach do czterech, po czym skoczyłem po sztylet, a następnie natychmiast się wyprostowałem i kilkakrotnie przeciąłem powietrze, aby powstrzymać atak Courtenaya. Hrabia cofnął się, tuląc do siebie uwolnioną rękę; nawet nie próbował odzyskać swojego noża. Najwyraźniej uszkodziłem mu nadgarstek.

Skrzywił się i ruchem głowy wskazał stolik.

– Muszę... muszę napić się wina. Boli mnie ręka.

– Tym razem – oznajmiłem – ja ci naleję.

Ściągnąłem jego kaftan z łoża, rzuciłem go w kąt, po czym wskazałem Courtenayowi stołek obok posłania i nie spuszczałem z niego oka, napełniając kielich winem. Ostrożnie ujął puchar, gdyż nadgarstek zaczynał mu puchnąć. Za niespełna godzinę będzie z nim marnie.

– Trzeba to opatrzyć – powiedziałem. – Najlepiej przyłożyć lód. Na szczęście go nie brakuje. – Przerwałem. – Opowiedz mi o swojej przyjaźni z Robertem Dudleyem. – Zesztywniałem, czekając na jego reakcję na tę zaczepkę; on jednak rzucił mi tylko gniewne spojrzenie.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Na twoim miejscu przemyślałbym tę odpowiedź. Podśluchałem was, pamiętasz? W korytarzu, gdy rozmawiałeś z księżniczką. Wiem, że działasz

z Dudleyem. Wiem też, że królowa nie przyjęła twojej propozycji małżeństwa, dzięki czemu masz wszelkie powody po temu, by przeciwko niej spiskować. Chcę wiedzieć, co knujecie.

Na jego twarzy odmalował się popłoch.

– Jesteś szalony. Niczego nie knujemy.

– Nie? Jak zatem wytłumaczysz to, że masz dostarczyć Dudleyowi księgę z ukrytym w niej listem od księżniczki Elżbiety?

Nie zdołał powstrzymać okrzyku zdumienia.

– Skąd... skąd o tym wiesz?

– Od księżniczki. Przy okazji, Jej Księżęca Mość życzy sobie odzyskać ową wiadomość. A właściwie – żąda tego.

Wzdrygnął się, mimo że w jego głosie pobrzmiwała wojowniczość.

– Żąda? Sądzi, że może tak po prostu zmienić zdanie, a ja tak po prostu odzyskam list od Dudleya?

Znieruchomiałem.

– Co przez to rozumiesz?

Uśmiechnął się złośliwie.

– To, że list został dzisiaj przekazany, Dudley go oczekiwał i nie zamierza zmienić swojego planu tylko dlatego, że księżniczka nagle pożałowała swojej decyzji. On dobrze wie, co go czeka. Wie, że ogłoszenie zaręczyn królowej z księciem Hiszpanii Filipem będzie oznaczało koniec dla niego i jego braci. Renard zażąda głowy każdego osadzonego w Tower zdrajcy jako prezentu

ślubnego.

Zamarłem.

– Do czego mu potrzebny list od niej? Co on knuje?

Courtenay wzruszył ramionami.

– Skąd mam wiedzieć. Jestem tylko posłańcem...

Rzuciłem się do przodu, przystawiłem mu ostrze do gardła, chwyciłem za opuchnięty nadgarstek i kopnięciem rozsunałem nogi. Wykręciłem mu rękę na tyle mocno, aby wydusić z niego kolejny okrzyk bólu.

– Jeśli sądzisz, że teraz cię boli – syknąłem – wyobraź sobie, jak wygląda łamanie kołem. Zostałeś obrany za cel, milordzie, choć jeszcze o tym nie wiesz. Jestem na usługach księżniczki, ale prócz tego zatrudnił mnie don Renard, abym dotarł do dowodów, które pošlą cię z powrotem do lochów Tower. I w tej chwili mam ochotę spełnić jego rozkazy.

Courtenay wybałuszył oczy.

– Renard? Obrał... mnie za cel?

– Uważa, że spiskujesz przeciwko królowej. Ale my wiemy swoje, nieprawdaż? Wiemy, że za wszystkim stoi twój kompan Dudley. Zatem, milordzie, proszę pomóc mnie, a wtedy ja pomogę tobie.

Oddech mu się spłycił. Na szarych brwiach zatrzymały się kropelki potu. Ponad moim ramieniem rzucił rozpaczliwe spojrzenie w kierunku drzwi, jak gdyby spodziewał się, że w ostatnim momencie ktoś uratuje go z opresji. Sam również się dziwiłem, że ów budzący postrach służący nie wpadł jeszcze na górę

choćby po to, aby sprawdzić, czy jego mocodawca żyje. Najwyraźniej Edward Courtenay nie potrafił zaskarbić sobie lojalności własnych ludzi.

Mocniej ścisnąłem jego nadgarstek.

– Nie będę czekał całą noc.

– Już ci mówiłem – wycedził przez zęby. – Nic nie wiem...

Znów wykręciłem mu rękę; tym razem wrzasnął przesywajaco.

– Pytam po raz ostatni: co knuje Dudley?

– Nie. Boże, proszę. Przestań. Przyrzekam, nic nie wiem. – Z trudem łapał oddech, z bólu przebierał nogami. – On nie zwierza mi się ze swoich planów. Po prostu robię to, o co prosi.

– A o co cię prosi?

– Żebym zdobył zaufanie Elżbiety, to wszystko.

Przyjrzałem mu się uważnie.

– Łżesz.

– Nie. Mówię prawdę!

Choć trzymałem go za nadgarstek, a ostrze mojego noża znajdowało się zaledwie centymetr pod jego brodą, ból najwidoczniej okazał się silniejszy od strachu, gdyż hrabia odchylił się do tyłu i poleciał na posadzkę. Musiałem go puścić i uskoczyć, żeby nie upaść razem z nim. Nie spuszczałem z niego oczu, on zaś kulił się u moich stóp, jednak gdy się odezwał, w jego głosie nie słychać było skruchy.

– Ty głupcze – syknął. – Zabij mnie, jeśli chcesz, ale

nic więcej ci nie powiem. Tylko Dudley wie, co mu chodzi po głowie. Ja jedynie przekazuję listy!

Rozpacz pobrzmiwająca w jego tonie sprawiła, że się zawahałem. Nie ufałem mu ani odrobinę. Potrafił łączyć jak z nut i prawdopodobnie teraz również to robił, był jednak moim jedynym łącznikiem z Dudleyem, dlatego musiałem dojść z nim do porozumienia, o ile nie chciałem uciekać się do tortur.

– Wstawaj – poleciłem.

Dźwignął się na nogi, nadgarstek zwisał mu pod dziwnym kątem.

– Opowiedz o tych listach. Przypuszczam, że przemycasz je Dudleyowi oraz przekazujesz wiadomości od niego. Ile ich było? Do kogo pisze Dudley? Kto mu odpisuje?

Zachwiał się na nogach, wciągnął policzki. Pobladł. Wystraszyłem się, że za chwilę zemdleje.

– Niewiele – wysapał. – Sześć albo siedem w jedną i drugą stronę, tak mi się zdaje. Nie pamiętam. Ukrywamy je w różnych rzeczach; mój człowiek dostarcza i odbiera przesyłki. Wszystkie listy były opieczętowane. Nie było na nich adresu, jedynie nazwy hrabstw. Nie otwierałem i nie czytałem ich. Robiłem, co polecił, i czekałem o wyznaczonych porach nocy na posłańców, którzy po nie przyjeżdżali.

Nie czytał listów Dudleya? Jeśli mówił prawdę, albo był największym głupcem, jakiego przyszło mi spotkać, albo był najbardziej naiwny.



– Które hrabstwa? – spytałem krótko. – Przypomnij sobie: dokąd trafiły te listy?

Oddychał z trudem; ból na pewno zrobił się już nieznośny.

– Jeden do Sussex. Drugi do Surrey. Chyba jeszcze Oxfordshire i Bershire. I Suffolk. Wszystko było wcześniej przygotowane; nie pytałem o nic. Dlaczego miałbym pytać? Posłańcy mi płacili. Połowę pieniędzy przekazywałem Dudleyowi, drugą zostawiałem dla siebie. Życie na dworze nie jest tanie; to, co dostaję od królowej, ledwo starcza na pokrycie najpilniejszych wydatków.

Niemalże przewróciłem oczami.

– Nie wątpię. Zatem nie masz pojęcia, do kogo trafiły wiadomości, ale skoro Dudley dostarczał je bez twojej pomocy, musiał korzystać z usług jeszcze innej osoby, która powiadamiała odbiorców, że ty masz listy. Kto to był?

Courtenay jęknął, zatoczył się w stronę łoża, usiadł na nim i skrzywił się.

– Skąd mam wiedzieć? Myślisz, że brakuje mu sługusów? Każdy nisko urodzony wartownik czy posługacz sprzątający w lochach Tower wykona polecenia uwieszonego arystokraty, jeśli ten odpowiednio dobrze zapłaci.

Uzyskane wiadomości uporządkowałem w myślach niczym fragmenty chaotycznej łamigłówki. Robert Dudley nie tylko otrzymywał listy, ale i wysyłał je do

różnych osób, którym tak bardzo zależało na dyskrecji hrabiego, że gotowe były płacić mu za milczenie. Pieniądze przekazywane przez Courtenaya z pewnością umożliwiały Dudleyowi opłacanie człowieka, który pomagał przekazywać listy między spiskowcami. To wszystko wcale mnie nie uspokajało. Wymienione przez Courtenaya hrabstwa otaczały Londyn ze wszystkich stron; Dudley najpewniej knuł spisek. Wyglądało to na coś poważnego.

Co to było? I jaką rolę miała w tym wszystkim odegrać Elżbieta?

– Muszę z nim porozmawiać – stwierdziłem nagle.

Hrabia otworzył szeroko oczy.

– Postradałeś zmysły? Jesteś dla niego nikim! Dlaczego miałby ci cokolwiek zdradzać?

– Jestem kimś więcej, niż przypuszczasz – odrzekłem, on zaś drgnął. – Wprowadzisz mnie do Tower. Czy może wolisz, aby doniósł o tym, czego się przed chwilą dowiedziałem od ciebie?

– Nie. – Postąpił krok w moją stronę. – Zrobię to. Pomogę ci. Ale trzeba trochę poczekać. Mój służący... wie, kogo trzeba przekupić. Musi wszystko przygotować.

– Masz na to dzień i noc. Niech twój człowiek znajdzie mnie i powiadomi. – Urwałem na chwilę, aby moje słowa dobrze zapadły mu w pamięć. – Jeśli przyjdzie ci do głowy, żeby mnie wydać, pamiętaj, że Renard zawsze może dostać to, czego chce. Pojmujesz, milordzie?

Obróciłem się do drzwi. Courtenay zawołał za mną drżącym głosem:

– Pamiętaj, co przyrzekłeś! Jeśli wywiążę się z umowy, nie napuścisz na mnie psów Renarda.

Zerknąłem na niego.

– Przyłóż lód. I co najmniej przez tydzień nie dosiadaj konia, inaczej ręka może ci zeszywnieć i stracisz w niej władanie. Przyślę twojego służącego, żeby ci pomógł.

Szarpnięciem otworzyłem drzwi i podczas gdy Courtenay opadł na posłanie, wyszedłem.

Pachołek hrabiego czekał na dole schodów. W salonie zrobiło się tłoczno, pełno w nim było zamaskowanych mężczyzn, mniej lub bardziej rozebranych, tańczących, całujących się i przypierających się do ścian w mrocznych zakamarkach.

– Zajęło wam dłużej, niż przypuszczałem – mruknął olbrzym. Zerknął na plamy krwi znaczące mój kołnierz.

– Spodobałeś mu się. Kaleczy tylko swoich ulubieńców.

– Wzywa cię – rzuciłem, po czym minąłem go i wyszedłem z salonu.

Odebrałem rapier i pelerynę od odźwiernego, który zerknął na mnie pożądliwie i znacząco, uchyliłem się jednak, gdy ponownie usiłował złapać mnie za saczek, i wypadłem na zewnątrz.

W nocnym mroku delikatnie prószył śnieg. Kilka razy głęboko odetchnąłem zimnym powietrzem, jak

gdybym chciał wypłukać z siebie brud po spotkaniu z hrabią. Gdy ruszyłem w stronę zamarznętej rzeki, której powierzchnia wydała mi się teraz zdecydowanie bardziej krucha niż wcześniej, zorientowałem się, że ktoś mnie śledzi, i położyłem dłoń na rękojeści. Jednak podobnie jak wcześniej na moście służący Courtenaya na pokrytym śniegiem lodzie poruszał się hałaśliwiej, niż fachowcowi przystało. Gdy dotarłem do brzegu, obróciłem się gwałtownie i obnażyłem rapier.

Pustą przestrzeń, którą przed chwilą przebyłem, wypełniał jedynie wirujący śnieg.

Na ulicy King zrzuciłem z ramion skradzioną opończę i drżąc z zimna, pospieszyłem do pałacu. Przemierzyłem lodowate korytarze, wspiąłem się po schodach i gdy stanąłem przed swoją izbą, poczułem, że coś ścisnęło mnie za gardło.

Zmusiłem się, aby otworzyć drzwi.

Wydawało się, że wszystko wygląda tak samo jak przed moim wyjściem. Kiedy jednak wszedłem do środka i zapaliłem łojową świeczkę, zorientowałem się, że musiała tu być Sybilla; wróciła, aby poukładać moje rozrzucone rzeczy, podniosła skrzynię i stołek, starannie złożyła pelerynę Peregrine'a i zostawiła ją na moim łóżu.

Kolana ugięły się pode mną. Opadłem na podłogę, sięgnąłem po opończę Peregrine'a, ukryłem twarz w materiale, który wciąż jeszcze delikatnie nim pachniał, i rozpłakałem się.



## Rozdział 13



Obudziłem się z przemożnym poczuciem straty oraz, bardziej prozaicznie, z burczeniem w brzuchu. Poniewczasie przypomniałem sobie, że od tłustego posiłku, który zjadłem w oberży przy moście, nie miałem w ustach ani kawałka chleba.

Podszedłem w samych pończochach do miednicy, rozbiłem cienką skorupę lodu i ochlapałem twarz wodą. Kątem oka dojrzałem w lusterku swoje odbicie i znieruchomiałem. Świeżo przystrzyżona broda nie zdołała zamaskować mojego wynędzniałego wyglądu. Oczy miałem zaczerwienione i podkrążone, cera przybrała odcień starego pergaminu. Wyglądałem, jak gdybym postarzał się o kilkanaście lat.

Obróciłem się w stronę posłania. Wieczorem zasnąłem, ściskając pelerynę Peregrine'a. Teraz musiałem ją z powrotem złożyć i schować. Z trudem opanowałem zalewający mnie żal, gdy ponownie powąchałem materiał i okazało się, że zaczyna już tracić zapach. Wepchnąłem oponczkę do skrzyni, przygryzając wargę, aby powstrzymać napływające łzy, po czym zacząłem szukać świeżych pończoch i koszuli. Zabrałem ze sobą zaledwie parę zmian ubrań, upierając się, że

zostanę na dworze nie dłużej, niż zamierzyłem Teraz nie pozostawało mi nic jak uprać zabrudzoną bieliznę i...

Kate.

Zakołysałem się na piętach. Tyle się wydarzyło w tak krótkim czasie, że ostatnio nie poświęciłem jej ani jednej myśli. Co robiła w tej chwili? Była już w stajni doglądać koni? Czy może zajmowała się zimowym ogrodem ziołowym, który pielęgnowała równie troskliwie jak pierwsze wiosenne pędy mające się w nim pojawić? Gdy zamknąłem oczy, widziałem ją owiniętą w pelerynę, dotykającą ukrytą w rękawiczce dłonią ziemi pokrytej szronem...

Musi się dowiedzieć. Kochała Peregrine'a. W jakiś sposób musiałem przekazać jej tę wiadomość.

Wyjąłem przybory do pisania, po czym ułożyłem list, korzystając z prostego, choć wymagającego mrówczego wysiłku szyfru, który opracował dla mnie Cecil. Z przywiezionego ze sobą poradnika o trzymaniu zwierząt wybierałem pierwsze i trzecie litery w wierszach na nieparzystych stronach książki. Tak przygotowaną wiadomość z łatwością mógł odczytać ktoś, kto posiadał identyczny egzemplarz poradnika; w tym wypadku Cecil. Kiedy skończyłem, złożyłem kartę. Nie miałem pieczęci.

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi. Skoczyłem po rapier, wysunąłem go z pochwy. Wtedy usłyszałem głos Rochester'a:

– Pan Beecham? Nie śpi pan?

Odłożyłem broń. Rochester stał przed drzwiami z naręczem złożonych ubrań. Uśmiechnął się do mnie smutno.

– Panna Darrier wspominała, że może pan potrzebować świeżego odzienia po... – Przełknął ślinę. – Ufam, że to będzie pasowało. Jej Królewska Mość życzy sobie, aby po porannym posiłku dołączył pan do niej w kaplicy. – Pokręcił głową. – Taka okropna rzecz. Jej Królewska Mość była bardzo poruszona, kiedy się o tym dowiedziała. Poleciała, aby gruntownie zbadano to wydarzenie. To niesłychane, aby tak młody chłopiec...

– Jej Królewska Mość jest jak zwykle niezmiernie łaskawa – przerwałem delikatnie – ale nie ma potrzeby badania tej sprawy. Peregrine i ja zjedliśmy wczoraj posiłek na moście. Najwyraźniej mięso było zepsute. W drodze powrotnej skarżył się na ból w trzewiach.

– Ach. – Mimo że Rochester starał się to ukryć, w jego głosie wyczułem ulgę. Miał wystarczająco wiele problemów na dworze, aby myśl o badaniu okoliczności zdarzenia, które mogło okazać się morderstwem, napawała go radością. – To doprawdy niefortunnie. Strawa z targu bywa niebezpieczna. Nigdy nie wiadomo, skąd biorą mięsiwo. Koty, psy, szczury – w trudnych czasach ludzie potrafią włożyć do garnka wszystko. Biedny chłopak.

Przytaknąłem skinieniem głowy. Chciałem, żeby wyszedł. Nie byłem pewien, czy uda mi się zapanować nad sobą, jeśli nie przestanie o tym mówić.



– Powiniennem się przebrać? – podsunąłem.

Skwapliwie pokiwał głową.

– Będę na pana czekał w królewskim krużganku.

Gdy wyszedł, przycisnąłem knykcie do skroni, usiłując powstrzymać napływ obezwładniającej rozpacz. Przejrzałem przyniesione przez Rochesterę odzienie i znalazłem prosty, ale dobrze skrojony wełniany kaftan, pumpy, pończochy i bieliznę.

Zanim się ubrałem, umyłem się dokładnie, rozczesałem również splątane włosy. Pomyślałem, że wkrótce muszę się wybrać do golarza. Odarłem z butów warstwę zaschniętego śniegu i błota, wsunąłem list do Kate za pazuchę, po czym wyruszyłem na umówione spotkanie. Czekający w krużganku Rochester zaprowadził mnie do izby czeladnej, żebym mógł się posilić chlebem, serem, piwem i suszonymi owocami. Byłem wdzięczny, że nie wspominał już o Peregrinie, a niezręczną ciszę wypełnialiśmy rozmowami o pogodzie oraz niecodziennemu wydarzeniu, jakim było zamarznięcie Tamizy.

Gdy nadeszła pora, aby udać się do królowej, wspięliśmy się na górną łodzie wychodzącą na ogołoczone zimą ogrody, następnie zaś zagłębiliśmy się w ciąg krużganków, w których dla zabicia czasu konferowali dworzanie. Po drodze spytałem Rochesterę o Hiszpana, którego spotkałem poprzedniego dnia.

Ściągnął usta.

– To książę Feria. Szanowany arystokrata i zaufany

powiernik... –urwał. – Surowy człowiek – mruknął – jak wszyscy ci Hiszpanie. Rozumiem, że nie był panu zbyt pomocny.

– Był zaskoczony. – Zorientowałem się, że niemal przyznał na głos, iż Feria jest zaufanym człowiekiem księcia Filipa. – Nie jestem pewien, jak ja postąpiłbym na jego miejscu.

– Z pewnością o niebo przyzwoiciej niż on – oznajmił Rochester. – To panna Dormer, śmiertelnie przerażona, wezwała mnie na pomoc, podczas gdy on stał... – Westchnął. – Nie ma się jednak co żołądkować o to, na co nie mamy wpływu.

– Jest pan dobrym człowiekiem – przyznałem.

– Ktoś musi być – odrzekł. – Obawiam się, że coraz mniej nas w dzisiejszych czasach.

Przez chwilę biłem się z myślami. Nagle przyszło mi do głowy pewne przypuszczenie na temat Rochester'a i postanowiłem, że muszę je sprawdzić. Wiązało się to z dużym ryzykiem, niemniej było go warte. Najwyżej odmówi.

– Mam do wysłania pewną wiadomość. – Wyjąłem z kaftana list. – Znajoma mi osoba powinna się dowiedzieć o śmierci mojego giermka. Czy byłby pan tak uprzejmy...?

Zatrzymał się.

– Domyślam się, że chciałby pan ów list opieczetować i przekazać przez posłańca?

– Tak, jeśli to możliwe. Czy mogę prosić

o dostarczenie go do Theobalds House w Hertfordshire?

Nie wyjaśniałem nic więcej – widząc, jak Rochester czerwienieje na twarzy, wiedziałem, że poznał nazwę majątku Cecila. Pomimo ponurych okoliczności miałem ochotę się uśmiechnąć.

Rochester spojrział na mnie. Bez słowa wziął ode mnie pismo i wetknął je do obszernej sakiewki zawieszanej u pasa.

– Tylko ten jeden raz – oświadczył, po czym znów ruszył przed siebie. – Bardzo proszę zachować to w dyskrekcji. Nie jestem upoważniony do używania naszych posłańców bez pozwolenia.

– Jestem niezmiernie wdzięczny – powiedziałem cicho.

W przestronnej komnacie, w której wcześniej wybrałem dla Marii aksamitny materiał w śliwkowym kolorze, królowa i jej dwórki siedziały wokół kominka. Ukłoniłem się, stając w progu; monarchini wstała i podeszła do mnie. Miała na sobie czarną suknię, wysoki spiczasty kołnierz okalał jej wychudzoną twarz; wyglądała na zmęczoną, gdy matczynym gestem ujęła moje dłonie i rzekła:

– Jestem głęboko poruszona pana stratą, panie Beecham. Żadnego dziecka nie powinna spotkać taka śmierć. – Głos jej zadrżał. – Żadnego dziecka w ogóle nie powinna spotykać śmierć.

– Wasza Królewska Mość – szepnąłem. – Jestem zaszczycony.

Gdy mówiłem, podniosłem spojrzenie i dostrzegłem przy palenisku lady Clarencieux oraz młodą Jane Dormer. One również były ubrane na czarno i spoglądały na mnie smutnym wzrokiem. Nieco dalej stała Sybilla, jej alabastrowa cera odcinała się wyraźnie na tle żałobnego odzienia. Lekko skłoniła głowę, jak gdyby witała zupełnie obcą osobę.

Maria ciągnęła:

– Poleciałam pochować pańskiego giermka w kościele All Hallows. Jego ciało zostało tam wystawione; może pan udać się do niego i pożegnać się z nim, jeśli pan sobie życzy. Pochówek odbędzie się po południu. Ta prywatna msza jest dla nas.

Doceniłem okazaną mi łaskawość. Monarchowie nigdy nie uczestniczą w pogrzebach, a już w szczególności ludzi z gminu; postanowienie Marii, aby pojawić się na mszy odprawianej za duszę Peregrine'a, było wyjątkiem i świadczyło zarówno o szacunku, jakim mnie darzyła, jak i o dobroci jej serca.

Gdy ruszyliśmy w stronę kaplicy, poczułem dławienie w gardle. W niewielkim świątynnym pomieszczeniu panowała atmosfera szczególnej poufałości. Zastaje powietrze przenikała ciężka woń kadzidła. Słabe zimowe światło nieśmiało przebijało się przez zdobione klejnotami okna witrażowe osadzone wysoko w kamiennych murach, prześlizgiwało się po malowanych kolumnach nawy krzyżowej i rzeźbionych aniołach unoszących się nad ołtarzem okrytym

fioletowym aksamitem.

Chociaż nigdy wcześniej nie uczestniczyłem w katolickim nabożeństwie, gdy zająłem miejsce w ławie i ksiądz zaczął odmawiać litanię, rytmiczna kadencja łacińskich zwrotów niespodziewanie przyniosła mi spokój ducha. Przez chwilę pozwoliłem, aby wściekłość i rozpacz uleciały, a ja zatopiłem się w rozmyślaniach o chłopcu, który na zawsze pozostanie w mej pamięci, o nieustraszonym przyjacielu i towarzyszu, którego nie ceniłem tak wysoko, jak powinienem.

– Dobry Boże w niebiosach – zaintonował kapłan – ci, którzy umierają, będą żyli wiecznie u Twego boku. Modlimy się do Ciebie i Twego Syna, naszego Zbawiciela Jezusa Chrystusa, który umarł za nasze grzechy i żyje w wiecznej chwale. Niech dusze naszych ukochanych zmarłych zaznają radości w Twoim królestwie, gdzie nie słycać płaczu, ale hymny wznoszone ku Twojej chwale na wieki wieków. Amen.

Przeżegnałem się i zdumiało mnie, że zrobienie znaku krzyża przyszło mi odruchowo. Nauczyłem się tego w dzieciństwie od pani Alice, która pozostała wierna tradycyjnym katolickim rytuałom, niemniej od wielu lat nie wznosiłem modłów. Mimo że religia ściśle splatała się z losami naszego świata – często stanowiąc zarzewie nienawiści oraz źródło sporów – rzadko mogłem pozwolić sobie na luksus rozważania zagadnień związanych z życiem pozagrobowym; za bardzo pochłaniało mnie utrzymanie się przy życiu na tym

świecie. Mimo to, gdy patrząc na podnoszącą się z klęczek królową, dostrzegłem na jej twarzy wyraz żarliwego rozmodlenia, pozazdrościłem jej tego, iż potrafi znaleźć pocieszenie w zakurzonych, uświęconych zwyczajem obrządkach. Choć brakowało mi wiary, wiedziałem, że nigdy nie zapomnę tego, co Maria tego dnia dla mnie uczyniła.

Gdy wyszliśmy przed kaplicę, ponownie skłoniłem się przed monarchinią, która podała mi dłoń.

– Niech pana giermek jak najrychlej odnajdzie drogę z czyścica do bram Królestwa Niebieskiego – powiedziała Maria, po czym ruszyła razem z orszakiem dam z powrotem w stronę swoich komnat.

Odprowadziłem je spojrzeniem, przez dłuższą chwilę stałem bez ruchu. W chwili gdy miałem odejść, drzwi prowadzące do apartamentów królowej znów się otwały. W progu stanęła Sybilla. Szybko i delikatnie zamknęła za sobą drzwi, a jej ukradkowe ruchy świadczyły o tym, że wymknęła się z komnat niepostrzeżenie.

– Udamy się na przechadzkę? – zaproponowała.

Weszliśmy do krużganka, w którym sączący się przez ściany chłód powstrzymywały ozdobne gobeliny, pociemniałe od dymu obrazy oraz świece zatknięte w oblanych kaskadami stopionego wosku ściennych kandelabrach z kutego żelaza. Zapalane po zmierzchu świece, z których o tej porze zostawały niewielkie ogarki, były sumiennie zbierane przez służbę, a następnie przetapiane i ponownie odlewane, gdyż

zakup świec stanowił jeden z największych wydatków na dworze. Mroźne światło słoneczne wpadało przez wykuszowe okna wychodzące na ogrody; za wielodzielnymi szybami połyskiwała kopuła bezchmurnego nieba – takiego, które sprawiało, że surowy zimowy krajobraz przemieniał się w roziskrzone чудо i przez które niemal się zapominało o długich, mających jeszcze nadejść przenikliwie zimnych miesiącach.

Sybilla pierwsza przerwała ciszę.

– Zdążył pan na spotkanie?

– Tak. – Zawahałem się. – Choć nie ułożyło się do końca po mojej myśli.

– Niewiele rzeczy tak się układa. – Spojrzałem w jej fiołkowoniebieskie oczy. Zmarszczyła brwi. – Wydaje się pan zdenerwowany. Dowiedział się pan czegoś, co pana zaniepokoiło?

Teraz, gdy zostaliśmy sami, przypomniałem sobie, jak dotknęła mnie, kiedy w chwilę po śmierci Peregrine’a znaleźliśmy się w mojej izbie; zatroszczyła się wtedy o mnie i zaoferowała pomoc. Przed chwilą przekonałem się, że Rochester był kimś więcej, niż wydawał się na pierwszy rzut oka, i choć kochał królową i dbał o jej dobro, najwyraźniej nie chciał, aby Elżbieta padła ofiarą sztuczek Renarda.

Czy ta tajemnicza kobieta również mogła okazać się kimś cennym dla mnie?

– Chciałbym podziękować pani za pomoc, której

udzieliła mi pani wczoraj – powiedziałem. – To, że pomogła pani nieznanemu, świadczy o pani dobroci. – Mówiąc to, wracałem myślami do chwili, gdy przesuwała ścierką po moich nagich ramionach, do jej chrapliwego szeptu: „Powiedz, kim jesteś...”.

– Proszę nie dziękować. Wiem, co to znaczy stracić kogoś bliskiego. – Zatrzymała się przed wnęką w pałacowym murze. – I mam nadzieję, że nie jesteśmy już dla siebie nieznanymi. Choć przypuszczam, iż ja wiem o tobie znacznie mniej niż ty o mnie. Bez wątpienia ktoś zdążył już zaznaczyć cię z moją przeszłością.

– Nie – odrzekłem zaskoczony. – Zapewniam cię, że nie.

– Jednak Renard zatrudnił ciebie. Z pewnością wspominał coś o mnie?

– Owszem, ale nie mówił nic o... Cóż, jedno powiedział jasno. Oznajmił, że jesteś przyrzeczona. Potraktowałem to jako ostrzeżenie, iż mam się trzymać od ciebie z daleka.

– Doprawdy? – Na jej twarzy pojawił się pełen napięcia uśmiech. Usiadła na ławie pod oknem, a gdy ja zająłem miejsce obok niej, poprawiła spódnice. – Simon Renard jest moim dobroczyńcą – powiedziała. – Zlitował się nad moją matką, siostrą i nade mną, gdy opuściłyśmy Anglię. – Podniosła oczy i spojrzała na mnie. Niemalże fizycznie odczułem siłę jej wzroku; nigdy wcześniej nie znałem, poza Elżbietą, żadnej kobiety, którą



odznaczałaby taka siła i nieugiętość. – Mój ojciec i trzech braci zostali ścięci za udział w Pielgrzymce Łaski. Król nazaczył całą naszą rodzinę haniebnym mianem zdrajców.

Oczywiście słyszałem o Pielgrzymce Łaski. Powstanie to wybuchło w hrabstwie Yorkshire i było aktem sprzeciwu wobec przejęcia przez króla Henryka zwierzchnictwa nad Kościołem i konfiskaty kościelnych dóbr. Anna Boleyn nie żyła, monarcha poślubił Jane Seymour, ale nie powstrzymało to zakusów jego i lorda Cromwella, aby przejąć majątek duchownych. Henryk udobruchał odszczepieńców z Yorkshire, obiecując, że wysłucha ich prośb, kiedy zaś spełnił swoją obietnicę, kazał Cromwellowi wysłać do niepokornego hrabstwa wojsko.

Ponad dwieście mężczyzn i kobiet zostało zgładzonych z rozkazu króla.

– Byłam wtedy dzieckiem – ciągnęła Sybilla – ale przekonałam się na własnej skórze, do czego może prowadzić nieposłuszeństwo. Król nie ukarał nas śmiercią, ponieważ byłyśmy kobietami, niemniej pozbawił nas wszelkich praw, co niemalże równało się ze śmiercią. Zostałyśmy bez środków do życia i bez nadziei na lepsze jutro. Dlatego matka wyjechała z nami za granicę, najpierw do Francji, następnie do Hiszpanii.

Przypomniała mi się złośliwa uwaga Jane Dormer wypowiedziana podczas biesiady: „A pani powinna bardziej uważać, chociażby przez wzgląd na historię pani

rodziny...”.

– Czy to tam poznałaś Renarda? – spytałem. – Wspominał, że pełnił funkcję ambasadora na francuskim dworze.

– Tak. Pomógł nam osiedlić się w Hiszpanii. – Urwała, jak gdyby to wspomnienie bolało ją. – Nie miałyśmy żadnych listów polecających, ale Renard słyszał o losie mojego ojca i braci. Ci, którzy zginęli w Yorku, tutaj zostali uznani za zdrajców, ale za granicą, na katolickich dworach, widziano w nich męczenników. Renard zapewnił mojej matce posadę na hiszpańskim dworze, została damą dworu cesarzowej; ja i moja siostra znalazłyśmy się pod jego kuratelą. Gdy kilka lat później cesarzowa zmarła, służyłyśmy córkom Karola, infantkom. Na życzenie Renarda wróciłam tu, aby podjąć służbę u Jej Królewskiej Mości.

– Rozumiem. – Nie zdradziłem się z dręczącą mnie ciekawością. Sybilla była podopieczną Renarda: to wyjaśniało, dlaczego tak zazdrośnie jej strzegł. Dlaczego jednak ona postanowiła mi się zwierzyć?

Uznałem, że mimo wszystko zaryzykuję grę w otwarte karty.

– Nie jestem pewien, dlaczego mówisz mi to wszystko.

Odchyliła głowę w zamyśleniu, po czym nachyliła się do mnie. Charakterystyczny zapach jej perfum odurzył moje zmysły.

– Wspominałam już, że chcę ci pomóc.

Nawet nie drgnąłem.

– Obawiam się, iż nie pojmuję.

– Och – powiedziała cicho – sądzę, że pojmujesz. Niemalże cię otruto z tego powodu. Zapewne domyśliłeś się już, iż człowiek, który zostawił tamtą wiadomość w twojej izbie, to ten sam, który stał się twoim mocodawcą. Jakkolwiek by było, ostatecznym celem Renarda jest... – Nagle cofnęła się, gdyż dobiegł nas wybuch śmiechu i rozbawione głosy dworzan wchodzących do krużganku.

Między nimi, z kapturem opadającym fałdami na ramiona, z włosami niczym wilgotny płomień, kroczyła Elżbieta.

Urian szarpał się na smyczy, którą trzymała w ręku. Jej żywiołowy śmiech przeszywał powietrze. Gdy zbliżała się do nas, odwróciła się na pięcie, aby pogrozić palcem wysokiemu mężczyźnie odzianemu w ciemnoróżowy strój i dużą ozdobioną piórem czapkę.

– Dość tego, milordzie. Przysięgam, pewnego dnia posunie się pan za daleko. Uważa mnie pan za pszczołę, która złapie się na lep pańskich słodkich jak miód słówek?

Dopiero wtedy spostrzegłem się, że ów mężczyzna nosi rękę na czarnym jedwabnym temblaku.

Edward Courtenay.

Zastygłem, wpatrując się w nich z niedowierzaniem. Nie wyglądało na to, aby hrabiemu doskwierało coś więcej niż skręcenie nadgarstka, o które przyprawilem

go poprzedniego wieczoru; ten nedorzeczny temblak wydawał się bardziej zwykłym dodatkiem do ubioru, gdy Courtenay zdrową ręką wykonał gest w stronę Elżbiety, ona zaś odrzuciła głowę i z gracją usunęła się na bok. Pozostałe osoby z towarzystwa również były młode, pełne arystokratycznego wdzięku i elegancji. Całą świątę zamykały damy dworu Elżbiety sunące za pozostałymi z mniejszym entuzjazmem.

Sybilla zerwała się na równe nogi.

– Wstań! – syknęła.

Wykonując jej polecenie, usiłowałem zapanować nad narastającą we mnie wściekłością. Plotki szerzą się na dworze szybciej niż wszawica, niemniej do Elżbiety z pewnością nie doszły jeszcze słuchy o losie Peregrine'a. Nie dowcipkowałyby i nie przechadzała się z Courtenayem, gdyby знаła prawdę. Jednak mimo to poczułem gorycz. Nawet jeżeli nic jeszcze nie wiedziała, jak to możliwe, że nadal bawiła się w towarzystwie Courtenaya? Czyżby celowo usiłowała doprowadzić do katastrofy?

Zachowywała się tak, jak gdyby nie dostrzegła dwóch postaci stojących niczym posągi w mijanej przez nią wnęce, dopóki Urian, poznając mnie, nie zaszczekał radośnie i nie pociągnął za smycz, skacząc w moim kierunku.

Elżbieta zatrzymała się. Odwróciła się do nas. Usiłując głaskaniem uspokoić psa, wymamrotałem:

– Wasza Księżęca Mość.

Tymczasem stojąca obok mnie Sybilla złożyła głęboki ukłon.

Courtenay podszedł do nas, a gdy zobaczył, że drapię Uriana po łbie, odwrócił się gwałtownie w stronę Elżbiety i wycedził gniewnie:

– Czy to on?

Księżniczka krótko skinęła głową. Głaszcząc chłodną, srebrzystą sierść psa, odważyłem się spojrzeć na Elżbietę. Jej wzrok stwardniał; znałem to spojrzenie. Ostrzegła mnie, abym nie odezwał się ani słowem.

– Niesłychane – zarechotał hrabia. – Zatem parszywy kundel nie kłamał. Ale doprawdy, kuzynko, powinnaś lepiej dobrać swoją sforę. Ten tu jest wściekły.

Jedynie szybkie spojrzenie księżniczki rzucone na Sybillę zdradziło niepokój Elżbiety. Nagle pojąłem. Courtenay zapewne wypytał księżniczkę o mnie, chciał sprawdzić, czy rzeczywiście jej służę, zanim spełni moją prośbę. Musiałem przyznać, że nie brakuje mu odwagi. Przystawiłem mu nóż do gardła, niemal złamałem rękę i groziłem, iż doniosę na niego, jeśli nie postąpi zgodnie z moim oczekiwaniem, a mimo to zaryzykował.

Teraz Elżbieta czyniła, co w jej mocy, aby mnie ochronić.

Szarpnęła za smycz:

– Urian, chodź! – powiedziała, po czym ruszyła przed siebie krążankiem.

Courtenay odwrócił się do mnie z szyderczym uśmiechem.

– Niesłychane. Zamierzałem tak się z toba rozprawić, żeby własna matka cię nie poznała. Teraz jednak zdaje się, że muszę przystać na twoje zamysły. Jutro przy stajennej bramie o pierwszej. –Przeniósł wzrok na Sybillę. – Panno Darrier – powiedział cicho – na pani miejscu byłbym bardziej uważny w doborze towarzystwa, w którym trwoni pani swój czas. Nie warto, by ktokolwiek pomyślał, że przestaje pani z wrogiem, nieprawdaż?

Cmoknął językiem z udawaną przyganą, po czym pomaszzerował za Elżbietą. Gdy mijaly nas dwórki księżniczki, dostrzegłem między nimi jej ukochaną matronę, Blanche Parry. Wyglądała mizernie.

Dłonie zacisnęły mi się w pięści. Niemal zapomniałem, że obok mnie stoi Sybilla, dopóki nie usłyszałem jej głosu:

– Jest równie zuchwała jak jej matka Anna Boleyn, i tak samo nie zważa na niebezpieczeństwa. Jednak jeśli nie przestanie wikłać się w te intrygi, odwaga jej nie uratuje. Hrabia jest pozbawiony skrupułów; doprowadzi ją do zagłady.

Wziąłem głęboki wdech, usiłując zapanować nad emocjami. Pojąłem, że ja również mogę się znaleźć w poważnym niebezpieczeństwie, gdyż właśnie zostałem zdemaskowany przez hrabiego, jednoznacznie nazwany zausznikiem Elżbiety na oczach kobiety, którą ledwo znałem i która, jak sama przyznawała, miała zobowiązania wobec Renarda.

– Dlaczego tak mówisz? – Spojrzałem na nią. – Znasz hrabiego osobiście? Wyrażał się tak, jak gdyby on ciebie znał.

Uśmiechnęła się.

– Znam go ze słyszenia; któż na dworze o nim nie słyszał? Nie krył się ze swoimi aspiracjami, rozpowiadając na wszystkie strony, że uważa się za najodpowiedniejszego kandydata na małżonka królowej, a popierał go w tych dążeniach jego sprzymierzeniec z rady, biskup Gardiner. Wiem również, choć jest to szczególnie znany już niewielu osobom, iż Maria nie wykluczała tej możliwości, dopóki nie przybyło hiszpańskie poselstwo. Wtedy natychmiast odrzuciła Courtenaya. On nie wybacza zniewag; sądzę, że wykorzystuje księżniczkę Elżbietę, aby wzbudzić w królowej obawę przed wybuchem powstania, która spowoduje, iż Maria ponownie zacznie rozważać jego kandydaturę.

Nie mogłem już dłużej udawać, że nie widzę pewnych spraw. Sybilla wykazała się zbyt gruntowną znajomością dworskich intryg, aby dalej uchodzić za zwykłą dwórkę.

– Jesteś dobrze poinformowana – stwierdziłem. – Teraz rozumiem, dlaczego myślałaś, iż Renard opowiadał mi o tobie. Na jego polecenie szpiegujesz królową, nieprawdaż?

Nie wzdrygnęła się, nawet nie próbowała zaprzeczać.

– Nie jestem z tego dumna, ale owszem, szpieguję

dla niego. – Urwała i przez chwilę patrzyliśmy sobie prosto w oczy. – To, że nie powiedział ci o mnie, znaczy więcej, niż ci się zdaje. Najwyraźniej nie ufa ci. Prawdę mówiąc, sądzę, iż to on chce cię uśmiercić.

Przypomniałem sobie wiadomość zawartą w zatrutym liście: „Nie ocalisz jej”. Czyżby te słowa pochodziły od Renarda? Czyżby postanowił zatrudnić mnie tylko dlatego, że taki był rozkaz królowej, po czym uznał, iż trzeba się mnie pozbyć? Jeżeli rzeczywiście tak było, musiał podejrzewać, iż pozostaję na usługach Elżbiety.

– Nie wątpię, że ktoś chce mnie uśmiercić – odparłem. – Jednak w tej chwili bardziej jestem ciekaw, dlaczego ostrzegasz mnie przed swoim mocodawcą.

Choć ton jej głosu się nie zmienił, zaciśnięte usta zdradzały głęboko skrywaną zaciekłość.

– Ponieważ go nienawidzę. Od dzieciństwa musiałam być posłuszna jego woli. Gdy tylko z dziecka zmieniałam się w podlotka, polecił mi szpiegować na dworze Habsburgów; nie masz pojęcia, do czego jest zdolny. Wkupuje się w łaski cesarza za wszelką cenę, dlatego obawia się Courtenaya. Kandydatura hrabiego na małżonka królowej cieszyłaby się o wiele szerszym poparciem niż zaręczyny monarchini z jakimkolwiek zagranicznym księciem i jeśli otoczenie będzie o tym Marię na każdym kroku informować, może ona dojść do tego samego wniosku. Gdyby tak się stało, Renard utraci względy cesarza i do końca swoich dni będzie wiódł



niewdzięczny żywot podrzędnego ambasadora. Dlatego polecił mi donosić o wszystkim, co usłyszę i zobaczę w apartamentach królowej.

Jej wyznanie wzburzyło mnie, ale nie zaskoczyło. Tłumaczyło pragnienie Renarda, aby zdobyć dowody przemawiające przeciwko hrabiemu – rywalowi w walce o rękę Marii – oraz chęć uzyskania jak największego wpływu na królową. Apartamenty Marii stanowiły jej azyl; tylko tam mogła czuć się swobodnie. Bez wątpienia omawiała w zaciszu swoich komnat obawy dotyczące Filipa oraz złe przeczucia związane z Elżbietą i Courtenayem.

Renard o wszystkim wiedział. Dzięki Sybilli czytał w sercu i myślach Marii jak w otwartej księdze.

– Doceniam twoją szczerość – powiedziałem po chwili – i zapewniam cię, że nie zawiodę twojego zaufania. Jeżeli jednak to, co mówisz, jest prawdą, nie powinnaś narażać się na niebezpieczeństwo z mojego powodu.

Sybilla roześmiała się.

– Pochlebiasz mi, jeśli posądzasz mnie o bezinteresowność. Renard nie kłamał, kiedy informował cię, że jestem przyrzeczona. Postanowił wydać mnie za księcia Ferię, tego samego granda, który patrzył, jak giermek kona w twoich ramionach. Zostanę zesłana do Hiszpanii, gdzie dokonam żywota jako żona Ferii – chyba że podejmę jakieś działania. Wciąż pozostało mi trochę czasu; moje zaślubiny z księciem

odbędą się jedynie pod warunkiem, że Renard spełni wszystkie oczekiwania cesarza. Tylko wtedy Feria zgodzi się pojąć mnie za żonę. Nie zamierzam na to czekać bezczynnie.

Po plecach przeszedł mnie dreszcz strachu.

– Jakie oczekiwania ma spełnić Renard?

– Zapewne się domyślasz. Jego Cesarskiej Mości nie zadowoli samo to, że jego syn poślubi starszą królową, której młodsza siostra heretyczka jest następczynią tronu i może pokrzyżować jego plany wobec Anglii, jeżeli królowa umrze bezdzietnie. Nie wystarczy, aby Renard wprowadził Filipa i Marię do małżeńskiej łóżnicy; musi dopilnować, by Elżbieta nie przeżyła.

Nie odpowiedziałem. Wpatrywałem się w nią w milczeniu, dobrze wiedząc, że może chcieć mnie zwieść, namówić do współpracy, a następnie wydać Renardowi. Jednak w jej oczach znalazłem jedynie szczerłość i nic poza tym, jak gdyby pozostawała obojętna wobec druzgocących faktów, które przede mną odsłoniła. Wiedziałem jednak, że obojętność ta była jedynie pozorna. W sercu owej wyważonej, wytwornej kobiety płonął ogień zemsty zdolny pochłonąć wszystko i wszystkich, którzy staną jej na drodze do wolności. Taki ogień potrafi być najpotężniejszą bronią.

– Wydaje się, że znasz sekrety każdego na tym dworze – odezwałem się wreszcie.

– Nie każdego – odparła – ale znam sekrety Renarda. Wiem, w jaki sposób działa. Nie cofnę się przed niczym,

żeby go zniszczyć. Chcę, aby ugrzązł w jakiejś zapadłej dziurze na marnym stanowisku do końca swoich dni. Nie zamierzam zależeć od niego ani od jakiegokolwiek mężczyzny, jeśli tylko zdołam tego uniknąć.

Moja nieufność wobec niej znikła, a jej miejsce zajął podziw. Może i nie znaliśmy się zbyt dobrze, ale rozumiałem ją, ponieważ ja sam czułem niegdyś podobną bezsilność. Odkąd podrosłem na tyle, aby się spostrzec, że świat nie jest łaskawy dla ubogich i pozbawionych wpływów ludzi, tak samo jak Sybilla walczyłem o przetrwanie. Chciała wyrwać się na wolność po latach życia pod jarzmem Renarda i ja wiedziałem, co to znaczy, gdyż sam wiele lat spędziłem zdany na łaskę Roberta Dudleya. Renard był okrutny, wyrachowany i bezwzględny – podobnie jak człowiek, któremu kiedyś służyłem. Uważał, że zasługuje na lepszy los i gotów był zrobić wszystko, aby dopiąć celu.

Czułem, iż reszta mojego oporu wobec niej kruszeje. Sybilla, zdawało się, również to wyczuła, gdyż postąpiła krok do przodu, zmniejszając dzielącą nas odległość. Nasze ciała niemalże się stykały i nie potrafiłem się odsunąć, mimo że na krótką chwilę stanęła mi przed oczami Kate. Znieruchomiałem pod spojrzeniem Sybilli, czując bijący od niej żar

– Nie pojmujesz? – spytała. – Muszę się od niego uwolnić. Pragniesz ochronić księżniczkę, a ja pragnę uratować siebie, możemy więc się sobie przydać. Jeżeli pozwolisz, pomogę ci znaleźć dowód, którego

potrzebujesz.

– Nie – odpowiedziałem z namysłem. Spróbowałem się cofnąć. – Nie mogę cię o to prosić...

– Nie musisz prosić.

Nachyliła się i odebrała mi oddech. Jej wargi były aksamitne i rozpalone; gdy musnęły moje usta, wybuchło we mnie pożądanie, gwałtowne i niepohamowane.

Bez słowa odwróciła się i odeszła, rąbek jej czarnej sukni omiółł moje stopy. Pomknęła krużgankiem, aby po chwili skręcić za róg i zniknąć, ja jednak długo jeszcze stałem bez ruchu, czując przy sobie jej obecność, jak gdyby jej dotyk naznaczył mnie, przez co nie miałem już innego wyjścia, jak poddać się temu, co nie do pomyślenia.

Wróciłem do izby, w głowie wirowały mi tysiące myśli. Chwyciłem pelerynę i czapkę, udałem się do stajni, osiodłałem Cinnabara, po czym puściłem się cwałem przed siebie. Cały czas przed oczami miałem Sybillę; zmuszałem się, aby odegnać od siebie wspomnienie uczucia, które mną owładnęło, gdy stała tuż przy mnie. Nie mogłem stracić panowania nad sobą. Nie teraz. Nie w grze o tak wielką stawkę. To była chwilowa słabość: opłakiwałem Peregrine'a, doskwierało mi napięcie związane z przedłużonym pobytem na dworze. Do tego byłem człowiekiem z krwi i kości, podatnym na pokusy czyhające na każdego mężczyznę; nie oznaczało to jednak, że stałem się wiarołomny. Nie okłamywałem się i nie wpierałem sobie, iż nie uległem

urokowi Sybilli, nie zamierzałem jednak zdradzić Kate ani wykorzystać kobiety będącej niewolnicą sytuacji, w której się znalazła.

Mimo to jechałem przez Londyn jak zamroczony, tak bardzo pochłonięty kłębiącymi się myślami, że niemal minąłem kościół All Hallows. Gwałtownie ściągnąłem cugle, osadzając w miejscu Cinnabara, który prychnął z niezadowoleniem, gdy poczuł ostre szarpnięcie wędzidła.

Nie miałem jednak czasu poświęcić temu uwagi. Czekало mnie rozdzierające serce zadanie.

Okazały kościół wzniesiony z kamieni, ze starości pokrytych porostami, chlubił się iglicą ozdobioną wieżyczkami. Sprzed wejścia rozciągał się niepokojący widok na pobliską twierdzę Tower. Patrzyłem na ukrytą za murem obronnym masywną fortecę przypominającą zaciśniętą pięść i zastanawiałem się, który z wąskich łukowatych otworów należy do celi Dudleya.

Wkrótce miałem się tego dowiedzieć i na myśl o tym wzdrygnąłem się, po czym obróciłem się, aby przez niewielkie drzwi wejść do przepaścistego wnętrza. Nie spodziewałem się tego, co zastałem w środku. Kościół All Hallows był miejscem pochówku więźniów Tower skazanych na stracenie; tutaj spoczywał sir Thomas More, który umarł śmiercią męczennika z powodu rozłamu króla Henryka z Rzymem. Mury świątyni były przesiąknięte wspomnieniami niegdysiejszych okrucieństw, a mimo to wzbudzały podziw, zachwycając

malowanymi łukowato sklepieniami przejściami, połączanymi posągami i cudownymi witrażami. Świątynia rzymskiego wyznania nigdy nie utraciła tutaj mocy i kiedy wyjaśniłem pulchnemu księdzu, który wyszedł mi na powitanie, cel mojej wizyty, kapłan wymruczał słowa pocieszenia, a następnie poprowadził mnie wytartymi kamiennymi schodami do lodowatej krypty.

Gdy dojrzałem małą drewnianą trumnę na ociosanym katafalku, ścisnęło mnie w gardle.

– Jej Królewska Mość za wszystko zapłaciła – oznajmił ksiądz z wyraźną dumą. – Mimo iż z tego, co wiem, chłopak nie miał tytułu, królowa nalegała, aby złożono go tutaj, dopóki ziemia nie odtaje. Zapewniła mu również miejsce na cmentarzu, z daleka od grobów zdrajców. Jest niezwykle szczodrobliva, skoro honoruje kogoś...

Podniosłem głowę.

– Proszę. Czy mogę zostać na chwilę sam?

Urażony kapłan wyduł usta, po czym skinął głową i wyszedł.

Wpatrywałem się w woskową twarz Peregrine'a, jedyną część ciała nieowiniętą całunem. Nigdy wcześniej nie widziałem go w takim bezruchu; gdy wyciągnąłem drżącą rękę, aby dotknąć loków spoczywających na jego martwym czole, niemalże spodziewałem się, iż chłopak roześmieje się i usiądzie. Słaby zapach ziół, w których obmyto jego ciało, był jedyną oznaką życia w kamiennej

izbie. Gdy wreszcie to pojąłem i dopuściłem do siebie myśl, że Peregrine odszedł na zawsze, z mojej piersi wyrwał się szloch.

Przez chwilę, która wydawała mi się wiecznością, stałem nad ciałem przyjaciela, dopóki nie ocknąłem się, słysząc szuranie nóg księdza. Kapłan odchrząknął z wymuszonym szacunkiem.

– Robi się późno, niedługo muszę zamykać. Jeśli nic więcej nie pozostało, trumna zostanie zamknięta i przechowana tu do wiosny.

Przytaknąłem skinieniem głowy i zmusiłem się, aby odejść na bok. Przeszło mi przez myśl, że powinienem był coś ze sobą przynieść; coś, co mógłbym mu zostawić, jakąś pamiątkę na nadchodzący dla Peregrine’a mrok.

– Do widzenia, młody przyjacielu – szepnąłem. – Pomszczę cię.

Nad miastem rozpościerał się zmierzch. W milczeniu pojechałem w stronę Whitehall, zaprowadziłem Cinnabara do stajni i zapłaciłem stajennemu, aby dobrze się zajął wierzchowcami moim i Peregrine’a. Zwlekałem z odejściem, usiłując znaleźć pociechę w cichym towarzystwie zwierząt, które wachały mnie i trącały miękkimi chrapami, wyczuwając przepełniającą mnie bezbrzeżną rozpacz.

Tamtej nocy nie mogłem usnąć. Siedziałem ze skrzyżowanymi nogami na podłodze w izbie, łożowa świeca powoli się dopalała, ja zaś ostrzyłem rapier tak

wytrwale, że aż każdy mięsień mojej ręki rwał, a palce krwawiły, jednak kara cielesna nie przyniosła ulgi.

    Nie potrafiłem już zapanować nad obcym, którym się stawałem.



# TOWER

## Rozdział 14



Pachołek Courtenaya czekał na mnie przed furką, gdy wyjechałem z Cinnabarem ze stajni równo z uderzeniem zegara wybijającego pierwszą godzinę. Od razu poznałem siedzącą na olbrzymim siwym ogierze zwalistą postać owiniętą czarną opończę i z głęboko naciągniętym kapturem, aby ukryć oszpeconą twarz.

– W samą porę – powiedział szorstko, po czym skręcił w drogę wiodącą do Tower.

Stwardniały, oblodzony śnieg chrząścił pod końskimi kopytami. Dzień był bezchmurny, choć przenikliwy wiatr sprawiał, że cieszyłem się, iż mam na sobie kaftan i pelerynę, chustę, którą owinąłem twarz po same oczy, i czapkę naciągniętą na uszy.

Zauważyłem, że ziąb równie mocno doskwiera mijanym po drodze mieszkańcom Londynu, gospodyniom, kupcom i innym mieszczanom, którzy z grymasem niezadowolenia na twarzy brnęli przez śniegową breję, starając się stąpać po rozrzuconych tu i ówdzie deskach, podczas gdy włóczędzy i żebracy, dygocząc, kulili się w bramach. Odwróciłem wzrok od rozebranych do naga leżących na kupie gnoju i zamarzniętych zwłok, ale w tym momencie dojrzałem

parchatą suczkę przeganiającą z drogi cztery wychudzone na kość szczenięta. Woźnica nadjeżdżającej furmanki strzelił z bata, suka zaskomlała, po czym chwyciła zębami dwójkę szczeniaków, a pozostałe z miotu rzuciły się za nią w stronę kilku przyklejonych do siebie rozpadających się chałup. Szarpnąłem Cinnabara, aby nie stratować skulonych zwierzaków, i kiedy obejrzałem się przez ramię, odetchnąłem z ulgą, widząc, że całe i zdrowe w kilku susach dopadły matki.

– Mają szczęście, kundle. – Najemnik odwrócił głowę w moją stronę. – Inne już dawno skończyły w jakimś garnku.

Utkwiłem w nim lodowate spojrzenie. Nie wątpiłem, że on również nieraz raczył się mięsem szceniąt, prosto z garnka. Dobrze rozumiałem, dlaczego Courtenay go wynajął; z taką bestią u boku hrabia mógł włóczyć się po najbardziej zakazanych dzielnicach Londynu i mieć pewność, że włos mu z głowy nie spadnie.

Choć teraz to nie troska o życie hrabiego zaprzętała moje myśli.

Niecałe dwa dni wcześniej jadący ze mną zbir śledził mnie. Groziłem mu podczas wizyty w lupanarze i prześladowałem jego mocodawcę. Teraz przemierzaliśmy miasto i choć do tej pory zachowywał bezpieczną odległość, doskonale zdawałem sobie sprawę z tego, że w każdej chwili może się zwrócić przeciwko mnie. Courtenay mógł mu przecież rozkazać, aby dopilnował, bym nigdy nie dotarł do celu.

W pewnej chwili ku mojemu zaskoczeniu najemnik burknął:

– Mówią na mnie Dziobaty. Chyba masz przy sobie sakiewkę?

Przytaknąłem, z trudem powstrzymując się, aby nie wybuchnąć śmiechem. Naprawdę tak się nazywał? Niemal zrobiło mi się żal tego szkaradnego prostaczka.

Jak gdyby czytał w moich myślach, skrzywił się z pogardą, ukazując czarne poszczerbione zęby.

– Nie trap się. Znam swoje rozkazy. Ale musisz zapłacić żołnierzowi przy bramie i wartownikom w środku. – Wskazał na przytroczoną do końskiego grzbietu sakwę. – Weźmiesz to ze sobą. Ci, którzy dobrze płacą, mają przywileje, dlatego z łaski mojego pana Dudleyowie co tydzień dostają świeżą bieliznę. Zaniesiesz im torbę do celi. Będę czekał do zamknięcia bram o zmierzchu. Jeśli nie wrócisz do tej pory, odprowadzę twojego konia do stajni, ale ty będziesz musiał radzić sobie sam.

Mówił wyraźniej niż wtedy w lupanarze, z pewnością dlatego, że był trzeźwy, mimo to nadal brzmiało to tak, jak gdyby wypluwał z ust nie słowa, ale kamyki. Niemniej dodało mi nieco otuchy zapewnienie, iż nie nosi się z zamiarem podejrzenia mi gardła. Oczywiście niewiele to zmieniało, jeśli chodziło o moje bezpieczeństwo. Miałem dobrowolnie wejść na teren najbardziej osławionego i pilnie strzeżonego więzienia w królestwie. Niezliczona ilość skazańców, którzy raz

przekroczyli jego bramy, nigdy więcej nie ujrzała światła dziennego. Jeśli nie wydobanę stąd się na czas, mogę skończyć tak samo jak oni.

Dotarliśmy do grobli prowadzącej przez fosę okalającą Tower. Nad nami górowały kopulaste wieżyczki, które wyrastały niczym zwapniałe palce z olbrzymiej rozwartej dłoni nieprzenikniętych murów obronnych wzmocnionych wartowniami i niższymi wieżami.

Ciarki przeszły mi po plecach. Nie przypuszczałem, że kiedykolwiek przyjdzie mi ponownie znaleźć się w tym straszliwym miejscu.

– Lepiej zdejmij chustę. Żołnierze nie lubią tych, którzy zasłaniają twarz. – Powiedziawszy to, Dziobaty rzucił kaptur, odsłaniając swoje paskudne jednookie oblicze. Widząc jego okaleczenia w świetle dziennym, pomyślałem, że musiał ich doznać podczas niezwykle zażartej bitwy.

Odwróciłem od niego wzrok i rozwiązałem przyprószoną śniegiem wełnianą chustę, która chroniła mi twarz. Policzki miałem zdrętwiałe od przejmującego wiatru znad rzeki, choć Tamiza w tej okolicy była głębsza i miejscami zaczynała topnieć – na ciemnej wodzie podskakiwały kawałki kry.

W kolejce przed bramą stały różne osoby, czekając, aż zostaną wpuszczone do środka. Ich przytłumione głosy zagłuszał od czasu do czasu żałosny ryk dobiegający ze zwieńczonego blankami barbakanu.

– Stare lwy Henryka – powiedział Dziobaty. – Nie lubią siedzieć w klatce.

Wzdrygnąłem się. Nie wyobrażałem sobie, jak można trzymać dzikie zwierzę za kratami, choć w tym mieście codziennie dochodziło do o wiele większych potworności. Zebrałem się w sobie, gdy zatrzymaliśmy konie. Dziobaty zsiadł, przeszedł przez zwodzony most swym koślawym krokiem, nie zwracając uwagi na zdumione spojrzenia ludzi czekających w kolejce. Stał przed żołnierzem strzegącym wejścia; dwóch innych sprawdzało listy polecające osób pragnących wejść do twierdzy. Wydawało się, że wartownik poznał Dziobatego, przyjrzał mu się uważnie, a następnie szorstko skinął głową.

Dziobaty wrócił do mnie i odpiął sakwę.

– Pamiętaj, jesteś teraz człowiekiem hrabiego, więc zachowuj się jak przystoi. Dudleyowie są w wieży Beauchampa nieopodal wewnętrznego dziedzińca. Zwykle o tej porze zażywają ruchu, ale lord Robert zostanie powiadomiony, że ma gościa. Będę czekał w oberży Gryf przy ulicy Tower. Odjadę o zmierzchu po zamknięciu bramy – z tobą lub bez ciebie.

Dziobaty chwycił za cugle, a ja cmoknąłem na konia, aby go uspokoić. Zdziwiło mnie, że Cinnabar, zwykle nieufny wobec nieznanomych, posłusznie dał się poprowadzić najemnikowi. Gdy zarzuciłem torbę na ramię i ruszyłem w stronę bramy, niespodziewanie wróciły mi obrazy sprzed wielu miesięcy – po raz ostatni

widziałem tę samą spuszczaną kratę, jak spadała niczym najeżona kłami paszcza na ogarnięty paniką tłum. Zarządca Dudleyów Shelton zniknął tamtego wieczoru w kłębowisku ludzi usiłujących umknąć przed wartownikami, którzy ruszyli na uciekających, wymachując obuchami i pikami...

Odepchnąłem od siebie te rozmyślenia i otwarłem sakwę, aby żołnierz mógł ją przejrzeć. Z pakunku, w którym znajdowała się bielizna, dobiegł zapach lawendy. Żołnierz utkwił we mnie spojrzenie. Z początku myślałem, że będzie mnie o coś pytał, ale zaraz sobie przypomniałem, o co może mu chodzić. Gdy wyjąłem z zawieszanej u pasa sakiewki kilka dukatów, mruknął:

– Minąć wieżę Bell i skręcić w lewo w stronę dziedzińca.

Mogłem zatem wejść. Za mną ludzie marznący w kolejce podnieśli wrzawę rozwścieczeni tym, że potraktowano mnie lepiej od nich.

Obcasy stuknęły głucho o kamienną posadzkę. Mijali mnie wartownicy odziani w zielone stroje ozdobione herbem Tudorów – czerwoną różą, ubrani na czarno sekretarze i inni ludzie wyglądający na urzędników, a wszyscy pochłonięci swoimi sprawami. Przypomniałem sobie, że w Tower mieści się nie tylko więzienie; w murach twierdzy znajdowały się również zbrojownia, skarbiec, menażeria i królewskie komnaty. Jak w każdej innej królewskiej fortecy, także w Whitehall, tętniło tu urzędnicze życie, kiedy jednak

przeszedłem obok wodnej bramy, przez którą wwożono skazańców na łodziach, odniosłem wrażenie, że mury zamykają się nade mną, i poczułem się jak szczur uwięziony w labiryncie korytarzy.

Spiesznym krokiem wspiąłem się po schodach prowadzących w stronę wewnętrznego dziedzińca. Potężny donżon White Keep wznosił się po mojej prawej stronie. Przede mną rozciągał się wyłożony kocimi łbami plac otoczony wieżami i murami, pod którymi przycupnęły różnorakie stragany – był to prowizoryczny targ, na którym rzemieślnicy przyjmowali zamówienia, handlarze zaś sprzedawali jedzenie, dzięki czemu w powietrzu roznosiło się ciepło i zapachy gotującej się w kociołkach stawy. W zagrodach ryczało bydło; wszyscy krzatali się wokół swoich sprawunków, bez trudu omijając pusty, ustawiony parę kroków od kaplicy szafot przypominający o tym, czym tak naprawdę jest Tower.

Zatrzymałem się. Matka Elżbiety dokonała żywota właśnie w tym miejscu. Chociaż na szafocie nie stał pień katowski, nie leżało na nim siano, w które miała wsiąkać krew, w myślach zobaczyłem te wszystkie szczegóły i całą scenę, jak gdyby rozgrywała się na moich oczach – szczupła Anna Boleyn z oczami przewiazanymi opaską powoli opada na kolana, francuski kat unosi miecz, po czym szybkim, nieuniknionym ruchem opuszcza go w dół...

Przetarłem oczy i pospieszyłem do wieży

Beauchamp.

Stojący przy wejściu strażnik od niechcienia obrzucił mnie obojętnym spojrzeniem kogoś, kto nie musi za bardzo się napracować, aby zarobić na chleb. Siedział rozparty na stołku, wielki brzuch wylewał mu się nad szerokim nabijanym ćwiekami pasem, obok stała oparta o ścianę halabarda. Na chwiejnym stoliku przed strażnikiem leżały resztki pieroga z mięsem i otwarta księga. Zanurzając w atramencie końcówkę zaostzonego pióra, wartownik wymamrotał bezbarwnym głosem:

– Imię. Zawód. Cel wizyty.

Imię. O tym nie pomyślałem.

– Głuchyś? – Spojrzał na mnie gniewnie. – Imię. Zawód. Cel wizyty.

– Beecham – powiedziałem szybko, uznając, że nie ma sensu używać innego pseudonimu. – Służący Edwarda Courtenaya, hrabiego Devon. Z polecenia swojego pana przynoszę bieliznę dla więźniów.

– Och. Znowu ta bielizna, co? – Parsknął strażnik, gryzmołąc coś w księdze. – Ci Dudleyowie mają szczęście jak diabli. Ze stu innych łajdaków gnije w lochach albo izbie tortur, pije własne szczyny i opędza się od szcurów, które jedzą ich żywcem, ale ta banda dzięki sakiewce hrabiego ma się tu po królewsku i nic nie szkodzi, że ich ojca skrócono o głowę. – Z ciekawością pogrzebał otłuszczonymi od pieroga palcami w sakwie. Podejrzywałem, że zrobił to specjalnie, aby pobrudzić bieliznę. W końcu przesunął



torbę w moją stronę. – Ich cele są na górze, trzeba iść schodami – pouczył, ale nie usunął się z drogi, dopóki nie wręczyłem mu wymaganej łapówki.

Gdy wchodziłem po schodach, rękojeść sztyletu ukrytego za cholewą buta wbijała mi się w łydkę. Dudleyowie z pewnością cieszyli się przywilejami, ale równocześnie byli narażeni na niebezpieczeństwo, jeśli tak łatwo można było dotrzeć do ich kwater. Równie dobrze mogłem być najemnym zabójcą – wartownikowi nie zrobiłoby to wielkiej różnicy. Nic dziwnego, że Courtenay z łatwością przemycał księgi i listy. Sam zdołałbym wnieść kilka tomów.

Mógłbym również pomylić więzienie z komnatą w rezydencji ziemskiej, pomyślałem, gdy przez drzwi prowadzące ze schodów wszedłem do sklepionego pomieszczenia. Ściany pokoju obwieszane były grubymi, choć wypłowiałymi wełnianymi gobelinami; zamiast wszechobecnych nędznych chodniczków z sitowia na posadzkach leżały dywany, zaś na wbudowanym w ścianę kominku trzaskał ogień. Niskie łukowate przejście po lewej stronie wiodło do komnaty sypialnej i garderoby. Kilka porysowanych krzeseł o wysokich oparciach, stołki, pulpit oraz długi stół nadawały komnacie wrażenie domowej przytulności, podobnie jak promienie słońca wpadające przez szerokie, ukryte w glistowanej wnęcie okno oraz wirujące w snopach dziennego światła pyłki kurzu. Sterty ksiąg leżące na podłodze oraz wgniecenie na pokrytej futrem poduszce

obok kominka wskazywały, że Dudleyowie mieli wszystko, czego trzeba, aby się nie nudzić; najwyraźniej opłacało się urodzić w odpowiednio usytuowanej rodzinie, nawet jeśli najbliższym krewnym zdarzało się kończyć na szafocie.

W komnacie nikogo nie było. Odpiąłem pelerynę, powiesiłem ją na krześle i postawiłem torbę na stole. Omiotłem wzrokiem stos książek i choć w pierwszym odruchu chciałem je przejrzeć i poszukać tomu, który Elżbieta przekazała Courtenayowi, powstrzymałem się od tego. Ukryty w księdze list z pewnością został już zabrany.

Podszedłem do wielodzielnego okna. Poniżej na wale obronnym łączącym najbliższą wieżę z kolejną spacerowała grupa owiniętych pelerynami postaci. Znieruchomiałem, gdyż poznałem jasną czuprynę Guilforda Dudleya oraz rude włosy jego niższego i znacznie mniej miłego w obejściu brata Henry'ego. Za nimi włókł się postawny Ambrose i najstarszy z braci, John, który z wyglądu najbardziej przypominał zmarłego ojca. Brakowało jedynie Roberta, jednak nie poświęciłem jego nieobecności zbytnej uwagi, bowiem mój wzrok przykuła szczupła kobieca sylwetka. Kaptur damy zsunął się na tył głowy, odsłaniając kręcone rudozłote pukle starannie zaplecione wokół głowy i tylko odrobinę jaśniejsze od włosów Elżbiety.

Czterem braciom towarzyszyła lady Jane Grey, żona Guilforda, kuzynka księżniczki.

John potknął się. Gdy Jane położyła mu dłoń na plecach, aby łatwiej odzyskał równowagę, na pomoc rzucił się również stojący nieopodal sługa, który wiódł na smyczy teriera. John z ulgą oparł się o służącego, natomiast Jane przejęła smycz. Ze wszystkich pięciu braci Johna Dudleya znałem najmniej. Jako pierworodny syn odebrał wykształcenie na dworze, z dala od zamku, w którym dorastałem. Z tej przyczyny rzadko go widywałem i dopiero teraz przypomniałem sobie zasłyszane niegdyś pogłoski, że często miewał wysoką gorączkę i niedomagał na płuca z powodu...

– Kim jesteś?

Obróciłem się. W wejściu stał lord Robert.

– Nie poznasz mnie, milordzie? – Odrzuciłem kaptur. – Nie minęło znów aż tak wiele czasu.

Wpatrywał się we mnie z namysłem, po czym syknął:

– Prescott!

Kopnięciem zatrzasnął za sobą drzwi. Postąpił krok w moim kierunku. Na jego widok – był wyższy, niż zapamiętałem, i znacznie chudszy, kruczoczarne włosy miał ostrzyżone do samej skóry, przez co charakterystyczne dla Dudleyów wystające kości policzkowe i lśniące czarne oczy stały się jeszcze bardziej wyraziste – wróciły do mnie obrazy z przeszłości, kiedy to byłem nic nieznającym giermkim, nieświadomym płynącej w moich żyłach królewskiej krwi, zdany na łaskę Roberta Dudleya.

– Proszę, proszę. – Podparł się pod boki i zmierzył mnie spojrzeniem. – Wyobraź sobie moje zdumienie, gdy oznajmiono mi, że mam gościa. – W jego głosie pobrzmiwała znajoma szydercza nuta i miałem wrażenie, że rozstaliśmy się zaledwie parę godzin wcześniej. – Zastanawiałem się, co się z tobą stało, i jak by to było ujrzeć cię tu ponownie, niczym psa wracającego do swoich wymiocin. Jednakże nigdy nie myślałem, że rzeczywiście to zrobisz. Nie sądziłem, że będziesz na tyle głupi. Och, wartownik na dole? Nie kiwnie nawet palcem, żeby ci pomóc, więc nawet się nie sil, żeby wzywać pomocy. Niezależnie od tego, ile mu zapłaciłeś, ja zapłacę podwójnie.

Nie wątpiłem w to. Niemniej nie dałem po sobie poznać, że pogróżka wywarła na mnie wrażenie, choć serce zaczęło mi bić szybciej. Wskazałem torbę leżącą na stole.

– Przyniosłem bieliznę.

– Ach tak? Zatem jemu teraz służysz? Jesteś najnowszym kochankiem Courtenaya? Nie tracisz czasu, trzeba ci przyznać. Wypuścili go zaledwie dwa miesiące temu. Pętałeś się pod bramami i czekałeś na pierwszego lepszego arystokratę, któremu będziesz mógł lizać buty?

Mój niepokój z każdą chwilą słabł. Powinienem rozkoszować się tym momentem. Koło fortuny się obróciło. Niegdyś to ja byłem bezbronny, on zaś miał nade mną przewagę, którą mógł do woli wykorzystywać, mimo to pokonałem go. Wygrałem. Czas, żeby się o tym

dowiedział.

– Służę teraz księżniczce Elżbiecie. Przyszedłem odebrać coś, co do niej należy.

Skrzywił usta, jak gdyby moje słowa niewiele dla niego znaczyły, ale dostrzegłem, że napina mięśnie barczystych ramion. Gdyby zdecydował się na mnie rzucić, miałbym się z pyszna. Mógł wyglądać na wychudzonego i być zaledwie cieniem dawnego olśniewającego mężczyzny, ulubionego syna Dudleya, jednak drzemała w nim siła arystokraty latami doskonalącego się w sztuce jeździectwa, łucznictwa, walki na kopie, fechtunku i korzystającego z rozrywek dostępnych jedynie dla najzamożniejszych. Natura nie poskąpiła mu ani urody, ani męskości. Sześć miesięcy spędzonych w zamknięciu musiało doprowadzić jego rozbuchany temperament do wrzenia. Robert Dudley przyzwyczajony do zbytku, pełen oczekiwań i najwyższych aspiracji rozbudzonych w czasie, gdy jego ojciec sprawował władzę nad królestwem, znalazł się w ślepym zaułku, przyparty do muru.

Tacy ludzie zawsze są niebezpieczni.

Jego usta wykrzywiły się w uśmiechu.

– Zatem służysz teraz Elżbiecie. Kiedy wstąpiłeś do niej na służbę? Zanim mnie zdradziłeś czy już później?

– Czy to ważne?

– Dla mnie owszem. Nie powinienem był ci ufać. Powinienem być się domyślić, że takie pomiotło jak ty nie wie, czym jest lojalność.

Ruszył w stronę kredensu i sięgnął po zaśniedziałą dzban. Nalewając wino do kielicha, stał obrócony plecami do mnie. Jeśli zamierzał w ten sposób uspić moją czujność, nie udało mu się. Zbyt dobrze go znałem.

– Rozjaśnijmy tę sprawę. – Odwrócił się i zmarszczył brwi, jak gdybym poruszył szczególnie irytujący temat. – Służysz jej i ona przysłała cię tutaj, do mnie? Zaskakujące, biorąc pod uwagę to, że podczas naszej ostatniej rozmowy rzuciła mi obelgę prosto w twarz. Cóż ona wtedy powiedziała? – Wpatrywał się we mnie. – Z pewnością pamiętasz. Choć nie widziałem cię wtedy, taki szcur jak ty musiał czaić się w jakiejś dziurze.

– Zdaje się, że powiedziała, iż prędzej umrze, niż wpuści byle szlachciurę do swojej łóżnicy – odparłem i napiąłem mięśnie, szykując się do odparcia ataku.

Rysy Dudleya stwardniały, szczęki zarysowały się jeszcze mocniej pod naprężoną skórą.

– Zatem byłeś przy tym. Jestem pod wrażeniem. Ograłeś mnie jak gołowąsa. Spójrz tylko – zatoczył ręką koło, rozlewając wino z kielicha – możesz służyć, komu ci się podoba, ja zaś gniję tu i czekam, aż na mój kark spadnie ten sam topór, spod którego potoczyła się głowa mojego ojca. – Jego ton zrobił się groźniejszy. – A wszystko dlatego, że moja rodzina zlitowała się nad tobą, zamiast wrzucić cię do studni, jak należało.

– Winisz mnie za to? – Uniosłem brew. – Jeżeli tak, to umniejszasz sobie. Nie ja posłałem twoich braci do Tower. Ty sam do tego doprowadziłeś.

Kielich, który podnosił do ust, zamarł w połowie drogi. Dotknąłem Dudleya do żywego – nie mógł zaprzeczyć, że do upadku rodu Dudleyów bardziej niż chciwość i ambicja przyczyniła się ich niezachwiana wiara we własną nieomylność.

– Prawda – odezwał się po chwili głucho. – Ty nie zrobiłeś nic poza tym, że szukałeś korzyści dla siebie. Elżbieta zawsze miała słabość do ludzi wykazujących się służalczością; niczego tak nie lubi jak pochlebstw. – Łyknął wina. – Wspomniałeś, że przyszedłeś po coś, co do niej należy. Co to takiego? – Uniósł rękę. – Nie, nie mów. – Uśmiechnął się. – List.

Pogarda pobrzmiewająca w jego głosie rozwścieczyła mnie. Z trudem powstrzymałem się, aby nie rzucić się na niego.

– Z powodu tego listu grozi jej poważne niebezpieczeństwo. Ambasador Renard szuka dowodów przeciwko niej. Podejrzewa ją i Courtenaya o spisek przeciwko królowej. Twoja głowa również poleci, jeżeli mi nie pomożesz. Dobrze wiem, że stoisz za tym wszystkim.

– Doprawdy? Nie pojmuję, jakim sposobem mogę być o to podejrzewany. Przecież już jestem więźniem.

– Skazańcy mają najmniej do stracenia. Również Courtenay powiedział mi wszystko. – Dostrzegłem, że udawana obojętność odkleja się od jego twarzy niczym źle dopasowana maska. – Wiem o innych listach, które wysyłałeś do różnych osób w królestwie. Pomyliłeś się

co do Courtenaya. Może wydawać się godny zaufania, ale zbywa mu na męstwie. Jak myślisz, jak długo będzie dotrzymywał tajemnicy, gdy wkrótce za namową Renarda królowa każe go pojmać? Przypuszczam, że wystarczy jeden rzut oka na katowskie koło, aby język hrabiemu się rozwiązał. A kiedy powie już Renardowi wszystko, co tamten chce usłyszeć, przyjdą tu – po ciebie. – Gdy szczęki Roberta zacisnęły się jeszcze mocniej, upewniłem się, iż moje słowa dosięgły celu. – Niemniej będą potrzebowali dowodów – dodałem. – Królowa nie zgodzi się podpisać wyroku śmierci, dopóki nie będzie miała ich w ręku. Oddaj mi list, a oni nigdy go nie znajdą.

– Spodziewasz się, że uwierzę ci na słowo po tym, co zrobiłeś? – warknął. – Zdradziłeś moją rodzinę!

– Jeżeli mi nie uwierzysz, Renard najmie kogoś innego. A jeśli następny zausznik ambasadora dotrze tak daleko jak ja, zginiesz. – Nie odwróciłem wzroku, choć wpatrywał się we mnie uporczywie. – Daj mi wszystkie listy, a niczego nie znajdą. Żadnych dowodów. O co będą mogli cię oskarżyć? Tylko hrabiemu będzie groziło pojmanie

Dudley namyślał się dłuższą chwilę. Następnie podniósł ręce i zaczął w prześmiewczy sposób bić brawo.

– Gratuluje! Wyrósł z ciebie mężczyzna. Zapomniałeś jednak wziąć jedno pod rozwagę. – Obnażył zęby. – A jeżeli najdroższa Elżbieta nie jest tak niewinna, jak ci się zdaje? Jeżeli chcesz uratować ją



przed czymś, co ona sama wprawiła w ruch?

Zacisnąłem dłonie.

– Choć raz mów jasno.

Zachichotał.

– Nie omieszkać. Z przyjemnością. Ambasador Renard nie myli się co do jednego: istnieje spisek przeciwko królowej. Tylko w ten sposób możemy ocalić królestwo przed piekielnym hiszpańskim księciem i złudnym przekonaniem Marii, że ma obowiązek przywrócić nas na łono papizmu i zabobonu. W odpowiednim czasie ludzie, do których wysyłałem listy, zbiorą wojsko, powstaną i ogłoszą, iż królowa Maria jest niezdolna do rządzenia. Będzie miała wybór: jeśli z własnej woli zrzecze się korony, ocali życie. Elżbieta nalegała, aby tak to przeprowadzić; uważa, że jej siostra w obliczu powstania posłucha głosu rozsądku. – Zniżył głos do szeptu. – Jednak obaj wiemy, iż Maria nigdy nie posłucha rozsądku, nieprawdaż? Wiemy, że będzie walczyć do ostatniej kropli krwi, tak samo jak walczyła z moim ojcem. Dlatego czeka ją śmierć, wierz mi. Jej głowa będzie sterczeć obok głowy mojego ojca na moście, a wtedy, mój wiarołomny przyjacielu, ja dokonam własnej zemsty.

Nie odezwałem się. Stałem w milczeniu, pozwalając, aby jego bolesne słowa wsiąknęły w mój umysł niczym atrament. Trudno było mi pojąć to wszystko, niemniej nie czułem się wstrząśnięty: Elżbieta nigdy nie unikała walki, a Maria od dawna jej groziła. Według Renarda

królowa swego czasu podważała nawet prawowitość urodzenia siostry. Być może księżniczka nie wyjawiała mi, jak bardzo uwikłana jest w owe intrygi, ale ona z kolei nie zdawała sobie sprawy z tego, z jakim wyrachowaniem Dudley wykorzystuje jej obawy do swoich własnych nikczemnych celów. Toczyła bój o prawo do sukcesji i to przesłaniało jej całą resztę. Dlatego właśnie napisała do Dudleya, dlatego pomimo ostrzeżeń przestawała w towarzystwie Courtenaya. Uważała, że mimo wszystko uda jej się nakłonić siostrę do poniesienia ofiary wpisanej w los królowej – do odrzucenia propozycji małżeństwa z potomkiem Habsburgów dla dobra królestwa i poddanych.

Nie znała zatem Marii i niezależnie od tego, jakie motywy stały za jej postępowaniem, w świetle prawa dopuściła się zdrady. Mogło to kosztować ją – oraz mnie – życie. Jednak świadomość tego nie była w stanie mnie powstrzymać. Ja toczyłem własną walkę: zmierzałem pomścić Peregrine’a, który zginął z ręki Renarda.

Musiałem zniszczyć ambasadora, bez względu na wszystko.

– Nie obchodzi mnie ani twoje życie, ani twoja śmierć – oznajmiłem Robertowi. Zbliżyłem się do niego o krok i wyciągnąłem rękę. –Chcę listy i oddasz mi je.

Roześmiał się.

– Nie sądzę. Elżbieta nie powiedziała ci prawdy, gdyż mimo że lubuje się w posyłaniu cię tam, gdzie nie twoje miejsce, wie, iż brak pochodzenia znaczy

mężczyznę na całe życie. Wie, że jesteś zaledwie niegodnym zaufania bękartem bez nazwiska. – Skrzyżował ręce na piersiach. – A teraz wracaj do dziury, z której wypelzłeś, Prescott, zanim się rozmyślę i dopilnuję, abyś pożałował, że tu przyszedłeś.

Nie spodziewałem się, iż jego słowa tak na mnie podziałają. Mawiał przecież gorsze rzeczy, jednak w tym momencie wezbrały we mnie wszystkie wspomnienia z udręczonego dzieciństwa i zalały mnie niczym gwałtowna fala, która zagłuszając wszystko inne, sprowadziła moje życie do tego jednego momentu. Opuściłem głowę i runąłem na Roberta, przygważdżając go do kredensu.

Usłyszałem metaliczny brzdęk spadającego dzbana, po czym Dudley wrzasnął dziko i zaczął okładać mnie pięściami. Trzymałem go mocno w pasie, pociągnąłem go w dół, na podłogę i wydobyłem sztylet zza cholewy buta. Mój przeciwnik próbował chwycić mnie za szyję, ale ja jednym zręcznym ruchem wskoczyłem na niego, usiadłem na nim okrakiem i przyłożyłem mu ostrze do gardła.

– Proszę ostatni raz – wycedziłem. – Dawaj listy. Czy może mam upuścić ci trochę krwi?

– Spróbuj! – syknął, a następnie przekręcił się gwałtownie, uniósł kolano i wbił mi je między nogi.

Poczułem, jak gdyby coś wybuchło mi w kroczu, oślepił mnie błysk setek gwiazd. Straciłem przewagę. Uderzyłem go najmocniej, jak potrafiłem, w twarz; on

oddał cios, a po chwili tarzaliśmy się po dywanie, szamocząc się, młóćąc pięściami i wyginając sobie palce, gdy próbowaliśmy raz ja, raz on odsunąć od siebie ostrze sztyletu i zanurzyć je w ciele przeciwnika. Nie czułem nic – ani bólu, ani strachu, nawet gdy Dudley grzmotnął mnie pięścią w skroń i pociemniało mi przed oczami. Ryknąłem niczym raniony zwierz – nie poznając swojego głosu – po czym zacząłem okładać go rękojeścią sztyletu, dopóki nie usłyszałem trzasku miażdżonych mięśni i kości.

Wtedy moje dłonie odnalazły jego gardło; wiotczał pode mną, ja zaś zaciskałem palce na jego szyi, wyciskając z niego resztki powietrza. Zaczął się dusić. Gniew – bezgraniczny, nieokiełznany gniew, który tlił się na dnie mojej duszy podsycany przez lata cierpień, zwątpień, pragnień i bezradności – wybuchł płomieniem gotowym strawić wszystko, całą moją ostrożność i miłosierdzie.

Cały rozsądek.

– Przestań! Proszę!

Rozpaczliwy niewieści jęk oraz szalone ujadanie psa ledwo do mnie dotarły, gdyż ja skupiałem się jedynie na głuchym dudnieniu obcasów Roberta, który spazmatycznie wierzgając i ryjąc butami o podłogę, usiłował nabrać powietrza. Obejrzałem się przez ramię i między strugami krwi zalewającej mi oczy dojrzałem kilka postaci wpadających do komnaty i pędzących w moją stronę.

Przyłożyłem ostrze do gardła Dudleya.

– Jeśli ktoś się zbliży, przyrzekam, zabiję go.

Bracia Roberta zatrzymali się. Na ich czele stał poszarzały z przerażenia John, który omiótł wzrokiem pole walki: porzucane z kredensu rzeczy, poprzewracane krzesła i stołki.

Pierwszy poznał mnie Guilford.

– To ten podrzutek! – zawołał, na co Henry Dudley prychnął:

– Kurwi syn. Poszczujcie go psem. Potem rozerwę go gołymi rękami.

– Niczego takiego nie zrobisz! – rozległ się drżący głos, należący do tej samej kobiety, która kazała nam zaprzestać walki.

Jeszcze mocniej przygniotłem Roberta do podłogi i czując, że moje zamroczenie wściekłością powoli mija, spojrzałem na zamarłą w progu Jane Grey.

Patrzyła na mnie z niedowierzaniem.

– Co... co ty tu robisz?

– Lord Robert knuje zdradę – odpowiedziałem jej. – Jesteś tu, pani, ponieważ jego ojciec zmusił cię do objęcia tronu, a teraz on wyśle was wszystkich na szafot.

Niewiasta przyłożyła dłoń do piersi, jak gdyby zaparło jej dech, po czym zwróciła się niepewnie do Johna:

– Wierzę, że mówi prawdę. Znam go.

– My też go znamy! – odparował Guilford. – Wychowaliśmy tę gnidę pod własnym dachem, a on

obrócił się przeciwko nam i nas zdradził...

Przycisnąłem czubek ostrza do grdyki Roberta. Dudley wydał stłumiony jęk.

– Ma listy, które wszystkiego dowodzą – oznajmiłem. – Chcę je dostać. Teraz. Inaczej go zarżnę.

John Dudley przeniósł wzrok na Roberta, ja zaś przyjrzałem się Johnowi. Widać było, że niedobrze z nim, miał zapadnięte policzki i ziemistą cerę schorowanego człowieka. Mówił powoli, wyważonym tonem, jak gdyby wypowiedzenie każdego kolejnego słowa stanowiło wysiłek.

– Listy? Czy to prawda, Robercie?

Robert usiłował zaprzeczyć, ale ja mu przerwałem.

– Prawda, choć on będzie łągał do ostatniego tchu. Gdzie one są? Gdzie są listy?

Na twarzy Johna odmalowało się zdumienie.

– Nie mam...

W tym momencie Jane przeszła mimo niego, mijając po drodze męża, Guilforda, który stał, zaciskając i rozwierając pięści. Henry odpiął smycz i spuścił z niej teriera; pies skoczył w moją stronę, obnażając kły.

– Sirius, siad! – zawołała Jane.

Zwierzę posłusznie opadło na zad, choć nie przestawało warczeć, natomiast Jane zbliżyła się do kominka, po czym sięgnęła pod gzyms. Wyjęła stamtąd walcowatą skórzaną tubę, którą przez chwilę trzymała w zamyśleniu, zanim się odwróciła.

Guilford wydał stłumiony okrzyk.

– Skąd wiedziałaś?

Uśmiechnęła się gorzko.

– Nadal macie mnie za niemądre dziecko? Przychodzę tu co tydzień spacerować z wami i spożywać posiłek; widzę, co się dzieje. Widzę przysyłane i odsyłane książki. Liczę je. Jedną chciałam nawet przeczytać, ale nie było z niej pożytku. Strony zostały wycięte. – Kopnęła swą drobną stopą stertę ksiąg leżących obok poduszki psa przy kominku, a opasłe tomy powoli zsunęły się na podłogę. – Twój brat Robert sprowadzi na nas śmierć, żeby tylko zaspokoić swoje ambicje. Nawet teraz nie chce uznać, że nasz los zawsze leżał w rękach Boga.

– Przeklęty Bóg! – warknął Henry Dudley. – I ty również bądź przeklęta, wielce szlachetna wiedźmo!

Ruszył w stronę Jane, ale zasłonił ją John, który stanął przed nią i wyciągnął rękę.

– Nie. – Mimo że był słabowity, w jego głosie pobrzmiwało echo niepodważalnego autorytetu, którym cieszył się kiedyś jego ojciec. – Dość tego. – Spojrzał na mnie. – Puść Roberta. Masz moje słowo, że ujdiesz stąd cały.

Zawahałem się. Pokój pełen Dudleyów i jedno wyjście: urzeczywistnił się mój najgorszy koszmar, ale musiałem zaryzykować. Dźwignąłem się na nogi i cofnąłem, uwalniając Roberta. Mój były pan wciągał haustami powietrze, twarz miał obitą, wargę rozciętą i zakrwawioną. Ja nadal nic nie czułem, ale wiedziałem,

że wkrótce odzyskam czucie. Musiałem wyglądać niemal równie potwornie jak on.

– Nie możecie go stąd wypuścić – odezwał się Robert. – Wie o wszystkim. Przekaze to królowej. Nie kto inny, ale ta przybłąda pośle nas na szafot!

John obrzucił brata gniewnym wzrokiem, po czym zwrócił się do mnie:

– Niegdyś służyłeś naszej rodzinie. Oszukałeś nas jednak i, jak twierdzi Robert, pomogłeś królowej nas uwięzić. Czy teraz doprowadzisz do naszej zguby?

Pokręciłem głową, usiłując nie patrzeć na stojącą za nim smukłą Jane, która trzymała w rękach tubę.

– Pragnę jedynie pomóc mojej pani, księżniczce Elżbiecie.

Zza pleców dobiegł mnie chrapliwy głos Roberta:

– Nie wiercie mu. To łgarz. Chce się zemścić. Jeżeli dasz mu te listy, wykorzysta je przeciwko nam. Przez niego wszyscy zginiemy, każdy z nas.

John zawahał się. Nagle ogarnął mnie strach. Mogłem nie wyjść stąd żywy.

– Przyrzekam na własne życie – powiedziałem, nadal patrząc na Johna. – Nie wykorzystam listów przeciwko wam. – Mocniej ścisnąłem rękojeść sztyletu, czując, że pozostali bracia obserwują mnie, gotowi na choćby jedno skinienie najstarszego z nich rzucić się na mnie niczym wataha wygłodniałych wilków.

John jednak odsunął się na bok.

– Podaj mu listy.



Jane wyciągnęła tubę. Kiedy ją brałem, w niebieskoszarych oczach niewiasty dostrzegłem spokój i rezygnację. Z trudem powstrzymałem się, aby nie przygarnąć jej do siebie, pragnąłem zabrać ją i wywieźć jak najdalej od tego okropnego miejsca. Była tak niska, że ledwo sięgała mi brody, i krucha niczym dziecko; zapadnięte policzki, cienie pod oczami i udręczone spojrzenie świadczyły o tym, jak bardzo przebywanie w odosobnieniu dało jej się we znaki.

– Uważam pana za człowieka honoru – oznajmiła. – Ufam, że dotrzyma pan danego słowa.

– Pani – szepnąłem. – Prędzej skonam, niż pozwolę, aby spotkała panią krzywdą.

Skłoniłem się nad jej ręką, po czym wetknąłem tubę do sakwy, wziąłem torbę ze stołu i chwyciłem pelerynę, aby skierować się do wyjścia.

– Prescott!

Przystanąłem i obejrzałem się przez ramię. Z pomocą Johna Robert dźwignął się na nogi. Opierając się o chude ramię starszego brata, rzucił ostatnie słowa niczym rękawicę:

– To jeszcze nie koniec – wydyszał. – Cokolwiek powiesz i uczynisz, nie powstrzymasz tego. Być może dziś zwyciężyłeś, ale ostatecznie to ja będę triumfował. Odzyskam dobre imię, na początek. I popamiętaj sobie: w dniu, gdy Elżbieta zasiądzie na tronie, ja będę u jej boku. Do mnie będzie zwracać się we wszystkim. A wtedy, Prescott – pożałujesz. Dzień jej chwały będzie

dniem twojej zagłady.

Nie odpowiedziałem. Nie chciałem dać mu tej satysfakcji. Obróciłem się i wyszedłem, zostawiając go w więzieniu, gdzie powinien doczekać końca swoich dni, jeśli istnieje na tym świecie sprawiedliwość.

Tylko w ten sposób można było uchronić przed nim Elżbietę.

## Rozdział 15



Na zewnątrz przywitało mnie odległe bicie dzwonów. Było późne popołudnie i zimowe niebo poczyniło ciemnieć. Zarzucając pelerynę na ramiona, pospieszyłem z powrotem przez dziedziniec, zatrzymując się na krótko przy końskim żłobie, aby nawilżyć opończę i zmyć krew z twarzy. Bramy zamykano o zmierzchu; musiałem się wydostać, zanim zapadnie zmrok. Przełożyłem tubę spod opończy w bezpieczniejsze miejsce – za pazuchę – po czym przybrałem obojętny wyraz twarzy i ruszyłem w stronę wartowni.

Żołnierz spojrział na mnie z zaciekawieniem. Nasunąłem kaptur na głowę, spiesznie przeszedłem przez bramę i dopiero gdy zostawiłem Tower daleko za sobą, poczułem, że ucisk w piersiach niknie.

Udało się. Miałem listy Dudleya. Renard nie mógł wykorzystać ich przeciwko Elżbiecie: dowód, którego potrzebował, znajdował się w moich rękach. Teraz pozostało jedynie obmyślić dla Renarda wymówkę, która pozwoli mi zyskać na czasie, abym zdążył powiadomić księżniczkę i...

Zastanowiłem się. I cóż dalej? Porozmawiać z nią? Zapytać, dlaczego postępuje tak nierozważnie, dlaczego

okłamała mnie, choć wiedziała, co zamierza Robert? A może powinienem zniszczyć listy i nie wydać się z tym, że odkryłem, iż spiskowała przeciwko siostrze; zachowywać się tak, jak gdybym wierzył w jej udawaną niewinność? Kiedy nad tym rozmyślałem, nagle przypominało mi się ostrzeżenie, którego udzieliła mi w tajni: „Tobie również może grozić poważne niebezpieczeństwo, jeśli nie zejdziesz z tej drogi. Nie chcę, żebyś ryzykował dla mnie, nie tym razem. Cenię lojalność, ale to nie twoja walka”.

Wspomnienie to wstrząsnęło mną na tyle, że zatrzymałem się na środku drogi. Ostrzegła mnie. Gorliwość, z jaką usiłowałem ją ochronić, sprawiła, iż nie pojąłem tego, co rzeczywiście pragnęła mi przekazać. To nie moja walka, powiedziała, i dobrze wiedziała, co mówi.

Z własnej woli zaplątała się w sieć intryg Dudleya.

Światło dnia powoli gasło, wydłużając cienie wokół mnie. Skręciłem w ulicę Tower i zacząłem się przyglądać malowanym tablicom zawieszonym nad drzwiami kolejnych przybytków, usiłując odnaleźć wśród nich szyld oberży Gryf. Owinięci po same uszy przechodnie gorączkowo się krzątali, pragnąc jak najszybciej załatwić swoje sprawunki, aby wrócić do domów, zanim zapanuje mrok. Wszyscy trzymali się ode mnie z daleka. Na ich miejscu czyniłbym podobnie. Czułem, że lewy policzek mam mocno opuchnięty i że zaczyna pulsować bólem. Na jednej skroni miałem

paskudną ranę, na reszcie twarzy zapewne kilka brzydkich siniaków. Mimo to byłem lżejszy, jak gdybym rzucił z pleców ciężkie, dźwigane od lat brzemię. Stawiłem czoła Robertowi Dudleyowi. Nie musiałem już dłużej uciekać przed wstydem z przeszłości, ponieważ tym razem oddałem tyle samo, ile dostałem. A może nawet z nawiązką

Przed sobą dostrzegłem szyld przedstawiający czarnoskrzydłego gryfa. Przecisnąłem się wąskimi drzwiami do środka, tupiąc nogami, aby przywrócić czucie w zdrętwiałych od mrozu stopach. Oberża dusiła się od woni tłustej strawy, taniego piwa oraz dymu unoszącego się z ognia na kominku i łojowych świec, dudniła od wrzaskliwych głosów; ale poza tym było w niej cudownie ciepło. Nigdy wcześniej nie czułem się tak szczęśliwy, trafiając wśród pospólstwo trawiące czas na pospolitych zajęciach. Nikt nie zwrócił na mnie uwagi, gdy przepychałem się obok szynkwasu, między obleganymi stolikami i skrzyniami. Najwyraźniej podbite oko i spuchnięta twarz były częstym widokiem w tego typu przybytkach położonych w pobliżu doków, będących miejscem częstych awantur, i nadbrzeżnych domów gry.

Dziobaty zdawał się zażywać błogiego odpoczynku przy dymiącym palenisku, nogi wyciągnął daleko przed siebie, u jego stóp leżał wynędzniały biały mastiff, na stoliku obok stał metalowy kufel. Broda najemnika opadła na piersi jak u człowieka pogrążonego

w głębokim śnie. Dostrzegłem, że podeszwa jego prawego buta podbita jest koturnem, prawdopodobnie przymocowanym specjalnie, aby wyrównać różnicę w długości nóg wynikającą być może z jakiejś dawnej rany. Widząc, że wypoczywa, zbliżałem się do niego pomału, jednak gdy znalazłem się dziesięć kroków od niego, jego głowa nagle się podniosła i skierowała w moją stronę z tym samym niepokojącym wyczuciem, którym wykazał się już w lupanaru – jak gdyby zwietrzył moje nadejście.

Przyjrzał mi się.

– Chryste Panie – mruknął. – Wygląda, że nieźle się zabawiałeś.

Nieoczekiwanie dla samego siebie uśmiechnąłem się szeroko i zdałem sobie sprawę, że na widok najemnika poczułem niewytłumaczalną ulgę. Może i był opryszkiem, który potrafiłby równie skwapliwie wbić mi sztylet pod żebra i porzucić gdzieś w rynsztoku, co odstawić mnie bezpiecznie do Whitehall, ale jego przynajmniej rozumiałem – był łotrem służącym temu, kto zapłaci więcej, a nie podstępny arystokratą zepsutym do szpiku kości.

– Lord Robert i ja poróżniliśmy się nieco – odparłem.  
– Zgadnij, czyje w końcu było na wierzchu.

Parsknął śmiechem i zatrzymał posługującą w oberży dziewczynę, która nas mijiała.

– Nan, przynieś jeszcze piwa! – Wziął od niej dzban, napełnił kufel po brzegi i posunął mi go, rozlewając

spieniony płyn. – Pij. Przyda ci się.

Piwo smakowało ohydnie, drożdżowa mikstura oblepiła mi przętyk niczym wilgotna mąka, ale gorąco, które po chwili rozlało się po moim ciele, rozjaśniło mi myśli. Dziobaty położył dłoń na łbie mastiffa, podczas gdy zwierzę spojrzało na mnie z umiarkowanym zainteresowaniem. Najemnik wydawał się dobrze znać psa, który nosił na ciele niemal tyle samo blizn co on – bez wątpienia był to cudem ocalały pies do walk.

Weteran, jak Dziobaty.

Skinąłem głową, jednym haustem dopijając zawartość kufła. Nie mogłem oderwać wzroku od najemnika. W drgającym świetle płomieni rozjaśniającym wnętrze oberży wyglądał jeszcze bardziej złowrogo. Zniekształcone usta i rosnąca kępkami siwiejąca broda niknęły w cieniu, jednak pusty oczodół i poskręcana skóra okaleczonej twarzy uwydatniły się jeszcze bardziej. To, że nie zakrywa miejsca po oku przepaską, pomyślałem, świadczy o odwadze; chciałem zapytać go, co się wydarzyło, czemu zawdzięcza swój wygląd, on jednak uprzedził mnie, jak gdyby przewidział wścibskie pytanie z mojej strony:

– Powinieneś wrzucić coś na ruszt przed powrotem – mruknął, po czym warknął na Nan, aby podała pieróg z mięsem i chleb. Następnie zwrócił się do mnie, a w jego tonie wyczułem powagę: – Niewielu uchodzi z Tower bez szwanku. Szczęściarz z ciebie; rany się zagoją. – Jego rechot zazgrzytał mi w uszach niczym

piasek na brukowanej ulicy. –Dudleyowie mają większego pecha, im głowy nie odrosną.

Zaskoczył mnie. Oprych miał poczucie humoru. Kto by pomyślał?

Zjawiała się Nan z parującym półmiskiem; w pierogu znalazłem kawałki rozgotowanego mięsa, postanowiłem jednak nie przyglądać się im bliżej. Byłem zbyt wygłodniały, aby obchodziło mnie ich pochodzenie, i czym prędzej zanurzyłem w potrawie palce i ostrze noża.

Dziobaty rozparł się na krześle. Był to duży obdrapany mebel o usmarowanych, wyrobionych poduszkach i przysadzistych nogach, najemnik jednak rozsiadł się na nim niczym lord w zamku. Pies obwąchał głośno moją strawę, po czym zwinął się z powrotem w kłębek w nogach Dziobatego. Bez wątpienia była to oberża Dziobatego. Jego ulubione miejsce. Na pewno często tu zaglądał. Prawdopodobnie czuł się jak w domu wśród żeglarzy – cudzoziemców i posługaczy portowych, wśród ladacznic o twarzach naznaczonych dziobami po ospie i okolicznych łotrzyków; z pewnością pasował do tego miejsca bardziej niż do cudacznego upatrzonego przez Courtenaya przybytku w Southwark.

Gdy otarłem usta, uśmiechnął się do mnie szyderczo, odsłaniając wyszczerbione zęby.

– Dobrze, co?

– W życiu nie jadłem większego świństwa – odpowiedziałem. Gdy jedzenie ułożyło mi się w brzuchu,



pamiętki po spotkaniu z lordem Robertem poczęły dawać mi się we znaki; bolał mnie każdy miesiąc. –Ruszajmy, zanim całkiem zeszywnieję – dodałem.

– Gdzie cię tak goni? Masz, jeszcze jeden na drogę. Zimno tam jak w pustym łożu; trzeba jakoś ogrzać kości.

Znów nalał nam piwo z dzbana. Wydawało się, że może wlać w siebie nieograniczone ilości tego święstwa; w czasie gdy pałaszowałem pieróg, on opróżnił trzy kufle. Ja wypilem jeden i normalnie na tym bym poprzestał. Trunek był tak mocno sfermentowany, że następnego dnia bez wątpienia przyprawiał o tragiczny ból głowy, a do tego ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowałem, było zatracenie się w pijaństwie. Zapadła noc, mieliśmy przed sobą długą drogę przez miasto; poza tym nie byłem do końca przekonany, czy za nagłą zyczliwością Dziobatego nie kryją się nieczne pobudki. Nie zdziwiłbym się, gdyby Courtenay polecił mi zrobić ze mną porządek w drodze do Whitehall, jeśli udałoby mi się opuścić Tower cało. Mimo to po chwili stuknęliśmy się z najemnikiem kuflami i wypiliśmy jeszcze cztery kolejki, dopóki nie poczułem, że piwo chlupocze mi w żołądku, a wewnątrz oberży wiruje przed oczami.

W końcu rzuciłem na stół parę dukatów, Dziobaty dołożył jeszcze kilka, płacąc za swój udział w pijatyce. Uszczypnął Nan w obfite pośladki, ona zaś swawolnie klepnęła go w policzek; nałożył pelerynę i obszerną czapkę, po czym nachylił się, aby podrapać mastiffa po

pysku. Usłyszałem, jak mruczy do zwierzęcia:

– Dobry pies, czekaj, aż wrócę. – Następnie przeniósł wzrok na mnie i powiedział: – W drogę, nocą będzie już tylko zimniej.

Wyszedłem za nim do zagród znajdujących się z tyłu oberży. Cinnabar zarżał cicho na powitanie i trącił mnie chrapami. Aby go dosiąść, wspiąłem się na podstawkę – uda paliły mnie z bólu, jak gdybym naderwał wszystkie ścięgna – po czym sprawdziłem rapier. Był na miejscu, zawieszony u siodła. Dziobaty zapłacił pacholce, który doglądał koni, po czym wskoczył na swego ogromnego ogiera.

Jechaliśmy w bladej poświacie spowitego mgłą księżycyca, mróz wgryzał się w każdy odsłonięty skrawek skóry. Owinąłem chustę ciasniej wokół nosa i ust. Przenikliwy ziąb sprawił, że częściowo wyparował mi z głowy spożyty trunek; czułem się przyjemnie zaprawiony, ale nie zamroczony. Dziobaty wysforował się naprzód, prosty jak tyka i nieporuszony, jak gdyby przez cały wieczór pił jedynie wodę. W pewnym momencie zerknął na mnie przez ramię; zimowa mgła rozstała się, ostrze księżycowego blasku oświetliło pokiereszowaną twarz najemnika, ja zaś dojrzałem błysk w jego oku.

Nie odwróciłem spojrzenia. Sięgnąłem po rapier.

Wtedy na nas runęli.

Było ich dwóch, obydwaj mieli na sobie peleryny i maski. Pędzili na czarnych wierzchowcach, które

uderzeniami kopyt rozłupywały twardą skorupę lodu pokrywającą drogę. Przestraszony Cinnabar szarpnął łbem, gdy wypadli na nas z ciemności. Chwyciłem mocniej cugle, niemal zsuwając się z siodła. Dziobaty wprawnym ruchem pokierował swoim koniem tak, że ten odskoczył na bok, dzięki czemu uniknął jednego z napastników, który usiłował chwycić jego uzdę. Wierzchowiec najemnika okazał się wyjątkowo zwinny jak na swoją posturę. W tym momencie dobiegło mnie wołanie drugiego napastnika, który pędził w moją stronę:

– >¡No, ese no! El joven! Agárrelo!<sup>3</sup>

A wtedy Dziobaty ryknął:

– Uchodź, chłopcze! Już!

Przeszło mi przez myśl, że najemnik zaplanował to wszystko, kiedy jednak usłyszałem, jak wyszarpuje rapier z pochwy – ostrza często przymarzały, najwyraźniej dbał o to, aby jego było dobrze naoliwione – stwierdziłem, iż nie będę czekał, by się o tym przekonać. Spiałem Cinnabara obcasami, zamachnąłem się, chcąc uderzyć na odlew człowieka, który mnie ścigał, a gdy ten uchylił się, aby uniknąć ciosu, zyskałem przewagę, dzięki której wybiłem się naprzód.

Nie musiałem namawiać konia do galopu. Od kilku dni, jeśli nie liczyć paru przejażdżek, próżnował w stajniach Whitehall, i jego ochoczy zryw zaskoczył napastnika, który ledwo zdołał usunąć się nam z drogi. Niemniej mknąc przed siebie, wiedziałem, że

zamaskowani mężczyźni ruszą w pościg, dlatego podniosłem się z siodła, aby ponaglić Cinnabara.

– Szybciej, przyjacielu – powiedziałem mu do ucha, które położył po sobie. – Zależy od tego moje życie.

Mówiłem prawdę. Napastnicy rozmawiali po hiszpańsku; zapewne służyli Renardowi i bez wątpienia śledzili mnie przez cały czas, czekając na odpowiedni moment, aby przechwycić to, co zdobyłem. Straciłem czujność, niepotrzebnie zająłem się podejrzeniami wobec Dziobatego. Nie przyszło mi do głowy, że Renard każe mnie pilnować.

Tętent kopyt za nami z każdą chwilą robił się głośniejszy. Obejrzałem się przez ramię. Obydwaj mężczyźni doganiali mnie; ten, na którego się zamachnąłem, pędził z przodu, był nieco drobniejszy od towarzysza, a jego ciemna peleryna wydymała się na wietrze niczym szeroko rozpostarte skrzydła. Zawieszony na niebie srebrny rogał odbijał się jasnym blaskiem od metalowych części uprzęży konia i stroju jeźdźca, również od obnażonego rapieru, który mężczyzna trzymał w jednej ręce, podczas gdy w drugiej ścisnął wodze.

Obróciłem głowę i wyteżyłem wzrok. Musiałem być już blisko. Jeszcze kilka mil i powinny zamajaczyć przede mną oświetlone pochodniami zabudowania Whitehall. Po pałacowych terenach powinni przechadzać się wartownicy, dworzanie i urzędnicy; pomimo zmroku w królewskiej siedzibie życie jeszcze tętniło. Hiszpanie

nie odważą się zaatakować mnie w sąsiedztwie Whitehall. Renard dobrze wiedział, co robi, wybierając późną porę i odosobniony skrawek gościńca. Wiedział, że po śmierci Peregrine'a nie może pozwolić sobie na to, aby jego osoba wzbudzała w królowej choćby cień wątpliwości. Wszystko zatem musiało zostać urządzone tak, abym wydał się ofiarą nieszczęśliwego, choć dość powszedniego wypadku – napaści rabusiów, którzy zasadzili się w ciemnościach przy trakcie, podczas gdy ja wracałem z powierzonej mi przez ambasadora misji...

Nagle Cinnabar drgnął i gwałtownie skręcił, zrzucając mnie na bok. Szarpnąłem za lejce i potrząsając prawą stopą, która zaplątała się w przekręcone strzemię, usiłowałem uspokoić wierzchowca, on jednak zeskoczył z gościńca i pomknął przez otwarte przestrzenie parku Świętego Jakuba. Choć ciągnąłem wodze ze wszystkich sił, nie potrafiłem go zatrzymać, a kiedy zerknąłem przez ramię, zrozumiałem dlaczego.

Hiszpanie deptali nam po piętach. W blasku księżycy dostrzegłem mokrą ciemną smugę znaczącą zad Cinnabara w miejscu, gdzie jeden z napastników zranił go czubkiem rapiera.

Ogarnęła mnie wściekłość. Chciałem zatrzymać się i stawić opryszkom czoła, ale oszalały z piekącego bólu koń, który na dodatek wyczuwał mój niepokój, galopował szybciej niż wcześniej, jak gdyby urosły mu skrzydła. Co chwila obracałem się przez ramię, aby ocenić odległość dzielącą mnie od Hiszpanów.

Zwiększała się, mimo iż napastnicy rozpaczliwie poganiali swoje wierzchowce, wbijając im obcasy w boki. Spojrzałem przed siebie. Zbliżyliśmy się do zagajnika. Za nim migotały światła pałacu Świętego Jakuba. Jeśli tylko udałoby się nam przebrnąć przez zagajnik, mógłbym...

Uniosłem się w siodle, gdy Cinnabar skoczył, aby przesadzić leżący na ziemi konar. W następnej chwili nisko rosnąca gałąź smagnęła mnie prosto w twarz.

Runąłem na kamienisty grunt, od uderzenia zadzwoniło mi w głowie. Zębami rozciąłem sobie wargę i poczułem w ustach smak krwi. Oszołomiony spojrzałem w górę. Zobaczyłem, że Hiszpan osadza wierzchowca, spod którego kopyt pryskają grudy zamrożonego torfu. Mężczyzna zeskoczył z siodła, w dłoni ścisnął rapier, drugi napastnik również nas już dochodził.

Dźwignąłem się na nogi, w głowie łomotało mi od upadku i zupełnie nierozsądnej pijatyki w oberży. Sięgnąłem po rapier.

Hiszpan uniósł rękę, aby zatrzymać towarzysza. Był szczupły, od stóp do głów odziany w czerń i dość niski, choć jego niezbyt okazała postura nie była dla mnie wielkim pocieszeniem. Przyglądał mi się beznamiętnie zza czarnej maski, jak gdyby nigdzie mu się nie spieszyło, i dopiero po dłuższej chwili przyjął postawę. Każdy jego ruch świadczył o tym, że ma za sobą lata doświadczeń i nie wątpi w zwycięstwo. Rzucił się na

mnie z oszałamiającą prędkością, rapierem zakreślił w powietrzu łuk. Gdy odparowałem sztych, siła zderzenia naszych kling sprawiła, że zadrżało mi ramię i przewróciły mi się wnętrzności. Pojąłem, iż chce się ze mną trochę pobawić. Atakując mnie, parł do przodu, ja zaś niezdarnie, krok za krokiem cofałem się i jedynie broniłem. Dotarło do mnie, w jak rozpaczliwej sytuacji się znalazłem. Pomijając to, że zaledwie kilka godzin wcześniej mocowałem się z Dudleyem i jedno oko miałem niemal zamknięte opuchlizną, trudno powiedzieć, bym był mistrzem fechtunku po zaledwie kilku miesiącach żmudnych ćwiczeń w bezpiecznych murach Hatfield. Byłem nowicjuszem; nie miałem najmniejszych szans w starciu z kimś tak doskonale wyszkolonym.

Po kilku minutach oblewał mnie pot, dyszałem ciężko, zaś Hiszpan wyprowadzał kolejne sztychy z niemalże nonszalancką precyzją. Gdy potykałem się o leżący na ziemi chrust, kamienie oraz ułamane konary, którymi park był usiany, i z trudem unikałem ciosów sypchających mnie coraz bardziej w stronę gęstego mroku pod drzewami, przeszło mi przez myśl, że tego wieczoru mogę umrzeć. Hiszpan co prawda nie zadał mi jeszcze śmiertelnego cięcia, ale bynajmniej nie dlatego, iż sprawiałoby mu to jakikolwiek kłopot. Igrał ze mną, czekał na właściwy moment, aż opadnę z sił i albo popełnię błąd, którego nie będzie mógł nie wykorzystać, albo poddam się, uznając jego przewagę. Tak czy inaczej

wynik był przesądzony i niezbyt wesoły dla mnie. Pozostawało tylko jedno pytanie: chcę umrzeć na nogach czy na klęczkach?

Nagle wszystko inne wydało się zupełnie nieważne. Myśl, że nadal mam jedną jedyną rzecz, która może ocalić Elżbietę, oraz gniew płynący ze świadomości, iż po raz kolejny moje życie jest w niebezpieczeństwie przez bezwzględne intrygi wielmożów, pobudzały mnie do walki tak zaciętej, że niemalże ponad moje siły. Ręka mi drętwiała, piersi paliły bólem od nieustannego odpierania kolejnych ataków. Tylko raz udało mi się zaskoczyć przeciwnika i końcówką rapiera drasnąłem go w rękaw.

Zęby Hiszpana zalśniły w uśmiechu. W następnej chwili ruszył na mnie ze zdwojoną energią, porzucając wreszcie pozory i w pełni ukazując wachlarz swoich szermierczych możliwości. Zanim zdążyłem mrugnąć, poczułem smagnięcie ostrza na nadgarstku, ból promieniujący na całe ramię i zobaczyłem swój rapier, który wyleciał w powietrze, gdy odruchowo cofnąłem dłoń, aby nie dać jej sobie odrąbać.

Sapiąc niczym zziajane źrebię, zacząłem się gramolić po rapier, jednak przeciwnik zastąpił mi drogę. Chciałem sięgnąć po sztylet schowany za cholewą buta, ale wtedy poczułem końcówkę ostrza, które przeniknęło wełnianą chustę i oparło się na moim gardle, przecinając skórę. Spojrzałem w stronę Cinnabara. Drżał, jego chrapy rozszerzały się, lejce zwisały luźno. Miałem



nadzieję, że nie skrzywdzą go ani nie zabiorą, że będzie na tyle sprytny, aby odnaleźć drogę do pałacu. Kiedy pojawi się w stajni sam, pacholkiwie się zaniepokoją. Powiadomią kogo trzeba i wieści o moim zniknięciu w którymś momencie dotrą do Rochestera, a wtedy on wyśle paru ludzi na poszukiwania. Przy odrobinie szczęścia pochowają mnie z Peregrine'em – jeżeli zostanie ze mnie cokolwiek.

Na myśl o tym parsknąłem zadziwiająco głośnym śmiechem, który wydobył się ze mnie pomimo zadyszki. Cóż za znakomity sposób na zakończenie mojego nie tak znowuż wspaniałego życia szpiega – zostaną zakłuty przez nieznanych morderców podczas powrotu ze spotkania ze swoim byłym panem w twierdzy Tower! Tu spoczywa Brendan Prescott, przez krótki czas znany również jako nieudolny Daniel Beecham.

– Regístrele<sup>4</sup> – nakazał Hiszpan niskim, potężnym głosem. Nie odrywał ode mnie spojrzenia. Tak przynajmniej mi się zdawało; pod maską mogłem dostrzec jedynie błysk białek, nie widziałem jednak ani koloru, ani wyrazu oczu napastnika.

– Nie ruszaj się – polecił jego towarzysz łamaną angielszczyzną, zbliżając się do mnie i wykręcając mi rękę za plecy.

Owiązał mi dłonie sznurem, następnie zaczął mnie przeszukiwać. Po krótkiej chwili wymacał wsuniętą za kaftan tubę; nie siliłem się nawet, by go powstrzymać,

gdy oderwał mi jeden z rękawów i wyjął pakunek.

Uniósł go i pomachał nim.

– Aquí está<sup>5</sup> – oznajmił szermierzowi. – Ahora mátale<sup>6</sup>. Zabij go.

Przyszykowałem się na cios, ale Hiszpan z rapierem w dłoni nawet nie drgnął, wpatrywał się tylko we mnie bacznie, świdrował mnie wzrokiem, a jednocześnie ruchem ręki dawał znać towarzyszowi, by wsiadł z powrotem na konia. Najwyraźniej on tu dowodził; drugi mężczyzna zaczął zrzędzić, ale wykonał polecenie. Przez chwilę, która zdawała się wiecznością, staliśmy naprzeciwko siebie bez ruchu. Następnie Hiszpan postąpił krok w moją stronę. Mimowolnie wydałem stłumiony jęk, gdy czubkiem rapieru przejechał po moich piersiach i brzuchu, aby zatrzymać się w okolicy krocza. Choć nie widziałem jego ukrytej pod maską twarzy, wiedziałem, że rozciągnęła się w uśmiechu. Drugą ręką wykonał gest nakazujący mi klęknąć. Nagle zaparło mi dech. Pokręciłem głową.

– Nie – zdołałem wyszeptać. – Nie w ten sposób...

Przycisnął ostrze. W obawie, że pozbawi mnie męskości i zostawi, bym wykrwawił się na śmierć, opadłem na kolana. Uniósł rapier. Zetnie mi głowę, pomyślałem, doznając przerażającego olśnienia. Umrę jak Anna Boleyn, z ręki cudzoziemskiego kata...

Zamknąłem oczy. Po udzie spłynęła mi ciepła strużka moczu. Poczuję, że coś z głuchym tąpnięciem

uderza w ziemię tuż obok mnie.

Kiedy odważyłem się otworzyć oczy, zobaczyłem leżący nieopodal rapier. Szermierz obrócił się i zmierzał w kierunku wierzchowca, wokół niego wirowała peleryna. Gdy wskoczył na siodło, zatrzymał się, aby spojrzeć na mnie. Nadal klęczałem z rękami skrepowanymi na plecach, obok nęcił błyskiem ostrza mój rapier.

Hiszpan spiął konia i pomknął za towarzyszem.

## Rozdział 16



Mróz w końcu zmusił mnie do tego, by wstać – mróz oraz trącający mnie chrapami zaniepokojony Cinnabar. Wciągnąłem powietrze do płuc i postarałem się dźwignąć ciężar własnego ciała. Skroń, w którą uderzyła mnie gałąź, pulsowała; mogłem jedynie wyobrazić sobie, jak będę wyglądał, gdy w końcu dotrę do izby. Nadal nie mogłem uwierzyć w to, że żyję.

Podszedłem do rapieru, położyłem się na boku i próbowałem wsunąć ostrze między więzy. Ocierając sznurek o rapier – podstawy moich dłoni boleśnie ocierały się o klingę i modliłem się, abym przez przypadek nie pokaleczył sobie rąk ani nie przeciął żył – rozważałem swoją sytuację. Najwyraźniej szermierza najęto do przechwycenia listów; wiedział, co ukrywałem. Jeżeli był on człowiekiem Renarda – co wydawało się prawdopodobne – darowanie życia zawdzięczałem ambasadorowi. Renard dostał to, czego chciał; uniemożliwił mi też próbę uratowania Elżbiety przed nią samą. Ze mną mógł się rozprawić później, gdy już przekaże dowody królowej i pošle swoje ofiary do Tower. Moja śmierć nie miała aż tak dużego znaczenia. Mogło do niej dojść w stosowniejszej dla Renarda

chwili.

Gdy w pewnym momencie poczułem, że węzeł się poluzował, odsunąłem się od rapieru. Napiąłem mięśnie, z całej siły starając się rozerwać nadgarstkami sznurek, który powoli zaczął puszczać, i po chwili uwolniłem jedną rękę. Zdjąłem więzy z drugiej, pokrwawiona skóra piekła i szczypała. Podniosłem rapier, powlokłem się do Cinnabara, po czym utykając, podprowadziłem go do pniaka. Stałem na nim chwiejnie, aby wgramolić się na grzbiet konia. Cinnabar czekał cierpliwie, a kiedy wyczuł, że się usadowiłem, stępem skierował się w stronę gościńca.

Rozglądałem się bacznie po okolicy, choć już wiedziałem, że nie napotkam Dziobatego. Nie przybył mi na ratunek. Pewnie umknął, kiedy się zorientował, na kogo tak naprawdę dybią Hiszpanie; nie opłacało mu się nadstawiać karku. Bez wątpienia siedział teraz z powrotem w Gryfie, popijał z kufła i głaskał szkaradnego psa. Nie należał do ludzi, którzy mają sentymenty, zwłaszcza w chwili, gdy sytuacja wymyka się spod kontroli. Sam powiedział, że pilnuje swoich rozkazów.

Pałac wyłonił się z nocnego mroku niczym miraż. Gdy zbliżyliśmy się do wartowni, Cinnabar przyspieszył chodu, nie mogąc się doczekać uporządzenia i żłobu, na które ani chybi zasłużył. Wprowadziłem go na pogrążone w ciemnościach podwórze stajenne. Ledwie zacząłem odpinać uprząż, a podbiegł do nas pacholek czający się

wcześniej gdzieś między boksami.

Serce mi zamarło. Na widok stajennego przypomniał mi się Peregrine. Chłopak również się zawahał, przyjrzał mi się, a ja dostrzegłem, że nie jest wcale taki młody, ma krosty, kościstą budowę i potarganą strzechę niemytych włosów.

– Czy jest pan panem Peregrine’a? – spytał niepewnie.

– Tak. Ty pewnie jesteś jego kompanem, Tobym – odpowiedziałem ochryple.

Przytaknął skinieniem głowy.

– Przykro mi z powodu Peregrine’a. Wszystkim stajennym przykro. Był miły. Dawał nam parę dukatów więcej i mówił, że przyjaźni się z księżniczką. Jeśli mogę coś dla pana zrobić...

– Możesz. – Pogrzebałem w sakiewce i wyjąłem monetę. – Dopilnuj, proszę, żeby dobrze oporzędzono mojego konia. Mieliśmy ciężką noc.

Toby skwapliwie zabrał się do pracy, uwalniając Cinnabara od ciężaru siodła, uprząży i uzdy, ja natomiast zająłem się sobą. Byłem cały ubłocony, pelerynę miałem pogniecioną i podartą od upadku. Bóg jeden wiedział, jak wyglądałem poza tym. Nie mogłem wejść do pałacu w tym stanie i liczyć, że nie zwrócę na siebie niczyjej uwagi. Poprosiłem Toby’ego o wiadro wody. Obmyłem się najdokładniej, jak się dało, i gdy upewniłem się, że Cinnabar trafił do swojego boksu, przekradłem się tylnymi korytarzami do swojej izby.

Zdejmowanie odzienia było istną torturą. Gdy zrzuciałem z siebie kolejne warstwy brudnych ubrań, zacisnąłem zęby i przez przypadek ponownie otworzyłem skaleczenie na wardze. Największą udręką okazało się ściąganie koszuli, gdyż przepocone płótno przylgnęło do ran i piekło niczym włosienica obsypana solą. Rozebrałem się prawie do naga, zostałem w samych tylko porozciąganych pończochach przyjrzałem się swojemu okropnie posiniaczonemu torsowi, a następnie sięgnąłem po lustro. Wystarczył jeden rzut oka na odbicie wydobyte z mroku przez płomień łojowej świeczki, abym odłożył zwierciadło. Na nic się nie zda rozpamiętywanie tego, jak wyglądam. Jakkolwiek źle by było, powiedział Dziobaty, w końcu się zagoi.

Woda w miednicy była lodowata; jęknąłem głucho, gdy ostrożnie przytknąłem namoczoną szmatkę do ciała, aby choć z grubsza obmyć brud i krew. Poczułem, że znów ogarnia mnie fala rozpacz. Oddałbym wszystko, by znów zobaczyć Peregrine'a, usłyszeć, jak gwizdże z udawanym podziwem i stwierdza, że koniec końców zawsze muszę albo topić się w rzece, albo szamotać ze zbirami. Połykając łzy – sól na pokiereszowanej twarzy z pewnością nie zrobiłaby mi dobrze – podszedłem do skrzyni i drżącą ręką ująłem dzban, aby nalać sobie piwa. Jednym haustem opróżniłem kufel, nie bacząc na to, iż trunek stał tu już drugi dzień i niemalże skwaśniał.

Czując, jak piwo rozgrzewa mi wnętrzności, usiadłem na łożu.

Przygniotło mnie poczucie klęski.

Straciłem listy, czasu nie zostało mi zbyt wiele. Renard posłał swoich ludzi, aby przygotowali na mnie zasadzkę; wiedział, że bez dowodów nie mogłem zrobić nic, co by go powstrzymało, chyba że posunąłbym się do morderstwa. Ta myśl zatrzymała się w mojej głowie na dłużej, choć powtarzałem sobie, że jeśli jego śmierć zostałaby połączona ze mną, mnie również czekałby marny koniec. Mimo wszystko czułem, iż moje własne życie obchodzi mnie coraz mniej. Pragnąłem zobaczyć twarz Renarda w chwili, gdy wydaje ostatnie tchnienie; pragnąłem, aby wiedział, że ja również potrafię uczynić, co trzeba. Jego poplecznik darował mi tej nocy życie nie z litości; ambasador polecił mnie oszczędzić, gdyż moja śmierć nie była mu w tym momencie na rękę. Gdyby mógł zrobić to, co tak naprawdę chciał, leżałbym w parku martwy. W końcu zatem każe ze mną skończyć, chyba że wpierw ja skończę z nim.

Rozważyłem różne możliwości. Miałem się spotkać z Renardem następnego dnia; mogłem pójść do jego gabinetu i zrobić to tam, za zamkniętymi drzwiami, ale po wszystkim musiałbym stawić czoła jego sekretarzom. Być może lepiej byłoby przycziąć się gdzieś w pobliżu i zaskoczyć ambasadora w drodze do gabinetu, dopaść go na jednym z opuszczonych dziedzińców, a wszystko upozorować na przypadkową napaść, nieudaną próbę rabunku, w podobny sposób, w jaki on zaplanował zasadzkę na mnie przy gościńcu. Cokolwiek bym



zdecydował, musiałem działać szybko.

Musiałem zabić go, zanim przekaże listy królowej.

Nie miałem czasu do stracenia, wstałem więc gwałtownie i od razu się zatoczyłem. Izba wokół mnie zawirowała. Odzyskałem równowagę, uspokoilem żołądek, który podszedł mi do gardła, po czym narzuciłem kaftan, wciągnąłem buty i z rapierem zawieszonym u pasa chwiejnym krokiem ruszyłem do drzwi. Czułem się tak, jak gdybym poruszał się pod wodą. Wołałem nie myśleć, że w obecnym stanie prawdopodobnie nie uda mi się dotrzeć do schodów, a co dopiero przemierzyć pogrążone w mroku pałacowe korytarze dzielące mnie od gabinetu Renarda. Nie zastanawiałem się, czy dam radę utrzymać w ręku sztylet, którym zamierzałem zadać mu śmiertelny cios. Wiedziałem tylko jedno – musiałem działać.

Chwyciłem klamkę i szarpnięciem otworzyłem drzwi. Na zewnątrz stała owinięta peleryną postać. Cofnąłem się, dobyłem rapiera. Postać wynurzyła się z atramentowego mroku; jedna ręka podniosła się, uprzedzając mój atak.

– Ciii! Nie rób hałasu.

Poczułem zapach lilii. Nie mogłem się poruszyć, mogłem tylko patrzeć. W migoczącym świetle łojowej świecy jej oczy wydawały się ogromne, a kaskada jasnych włosów okalających twarz mieniła się niczym złotogłów. Zrzuciła kaptur z głowy; opadł miękko na jej ramiona. Gdy obróciła się, aby zamknąć drzwi, peleryna

rozsunęła się, ukazując jej szczupłą sylwetkę odzianą w prostą czarną suknię z wysokim kołnierzem.

– Co... co ty tu robisz? – wyszeptałem ochryple.

– Szukam ciebie. – Sybilla przyjrzała mi się z niepokojem, marszcząc brwi. – Wiedziałam, że coś musiało się stać. Czekałam kilka godzin, obserwując schody prowadzące do twojej izby.

– Ty... czekałaś?

– Tak. Chciałam ci coś wyznać. Renard spędził z królową całe popołudnie; spożyli wieczerzę w jej komnatach. Lady Clarencieux i ja usługiwałyśmy im i usłyszałam, jak Renard mówi, że nie można ci ufać. Królowa nie była tym zachwycona; powiedziała, że jeszcze dowiedziesz, ile jesteś wart. Ale on odrzekł, iż wkrótce dostarczy dowody, które będą świadczyć przeciwko tobie. Dlatego przyszedłam najszybciej, jak mogłam, aby ci o tym powiedzieć. Czekałam w krużganku, ukryłam się w niszy; kiedy zapadł zmrok, zaczęłam się obawiać, że doszło do najgorszego.

Stałem bez ruchu niczym kamienny posąg, w dłoni nadal ścisnąłem rękojeść rapieru.

– A czy Renard... czy dostarczył te dowody? – Spokój, który pobrzmiwał w moim głosie, zaskoczył mnie samego.

– Nie. Wracając do komnat królowej, przypadkiem zerknęłam na dziedziniec i dostrzegłam dwóch mężczyzn spieszących do gabinetu Renarda. Poznałam ich; to ludzie, którym Renard poleca wykonywać różne

potajemne zadania. Wiedziałam też, że nie zastaną go w gabinecie; po wieczery wraz z królową opuścił pałac. Wynajmuje posiadłość przy ulicy Strand, nie mieszka w niej, ale często tam jeździ, zapewne utrzymuje metresę. Śledziłam tych dwóch mężczyzn. Przekazali sekretarzowi Renarda – temu ponuremu, który zdaje się nie potrzebować snu – tubę, taką, jakich używają posłańcy. Powiedzieli mu, że ranili zdrajcę, ale zostawili go przy życiu, zgodnie z rozkazem. Sekretarz obiecał dostarczyć tubę. Widziałam wszystko z korytarza, gdyż zostawili drzwi szeroko otwarte.

Z trudem łapałam oddech, całym sobą skupiałem się tylko na niej.

– Czy ty jesteś tym zdrajcą, o którym mówili? – spytała.

Przytaknąłem skinieniem głowy.

– Odebrali mi tubę. Jeden z nich, ten drobniejszy, bez trudu mógł mnie pozbawić życia. Przypuszczałem, że to wszystko sprawka Renarda, i najwyraźniej nie myliłem się.

Rysy jej twarzy stwardniały.

– Popełnił poważny błąd przy podrzuceniu zatrutego listu; nie może sobie pozwolić, aby coś po raz kolejny poszło nie po jego myśli. – Sięgnęła pod połę peleryny i wyjęła skórzaną tubę. – Czy to ta?

Serce zaczęło mi łomotać. Nie mogłem w to uwierzyć. Wpatrując się w niepozorny przedmiot poplamiony sadzą z komina i noszący ślady dotyku

licznych brudnych palców, z trudem się powstrzymałem, aby nie wyrwać go jej z rąk.

Sybilla spojrzała na mnie, a w jej wzroku wyczułem chłód.

– Nadal mi nie ufasz?

– Nie jestem pewien. – Popatrzyłem jej w oczy. – To niemal zbyt piękne.

– Rozumiem. – Wykrzywiła usta w uśmiechu. – Sądysz, że cię zwodzę?

– Nie to miałem na myśli...

– Owszem. Właśnie to. – Drgnęła, jak gdyby zamierzała wyjść; bezwiednie chwyciłem ją za nadgarstek. Był szczupły, ale nie kruchy; drzemała w niej ukryta siła.

Znieruchomiała.

– Bądź łaskaw mnie puścić.

Posłuchałem. Nie roztarła nadgarstka.

– Mówiłam ci, zrobię wszystko, co będzie trzeba. Jeśli Renard zwycięży, na zawsze będę miała wobec niego zobowiązania, jak wcześniej moja matka.

Nagle pojałem.

– Twoja matka była jego...?

Sybilla uśmiechnęła się gorzko.

– Nie sprzedawała się w domu publicznym, ale na jedno wychodziło. Kiedy opuściliśmy Anglię, byliśmy bez grosza; nie miała do zaoferowania nic prócz swoich usług. Renard jasno dał do zrozumienia, że jej usługi to cena, którą musi zapłacić, jeżeli chce uzyskać posadę na

dworze Habsburgów i stworzyć nam, córkom, szansę na lepszą przyszłość. Matka nie miała wyboru. Niemniej ja go mam. Podobnie jak moja siostra. – Rzuciła tubę na łożo. – Czy to wystarczy, by go powstrzymać?

– Przysuń światło – odpowiedziałem, odkładając rapier.

Gdy przyniosła świeczkę i postawiła ją przy łożu, zdjęła z ramion płaszcz, czekając, aż rozplącę sznurek, którym była obwiązana tuba. Po rozłożeniu okazało się, że wewnątrz znajdują się dwie komory chronione usztywnianym cylindrem, aby ich zawartość nie została uszkodzona podczas jazdy. W komorach były dokumenty. Wyjąłem je drżącą ręką; z miejsca rozpoznałem znajdujące się w nich listy – osiem wiadomości. Jednak żaden z nich nie wyglądał na napisany ręką Elżbiety. Żaden, wydawało się, nie pochodził od niej.

Przeczytałem po kolei każde pismo. Kiedy skończyłem, przez chwilę siedziałem w milczeniu.

Było tu wystarczająco dużo dowodów, aby posłać Edwarda Courtenaya, hrabiego Devon, pod topór kata. Listy zostały napisane przez różnych arystokratów w odpowiedzi na korespondencję dostarczoną przez hrabiego w imieniu Dudleya, choć zacząłem się zastanawiać, czy Courtenay zdawał sobie sprawę z tego, do czego tak naprawdę przykłada rękę. Powiedział mi, że nigdy nie czytał owych wiadomości, które tak nierozważnie przekazywał, a gdy teraz patrzyłem na

listy, byłem skłonny uwierzyć w jego słowa. Żądza bogactw i zraniona duma sprawiły, iż Courtenay nieświadomie pozwolił sobie wyrosnąć na przywódcę zorganizowanej rewolty sięgającej od południowozachodnich po wschodnie regiony Anglii i mającej na celu zmuszenie królowej do utrzymania w królestwie protestantyzmu oraz poślubienie hrabiego, a w razie odmowy spełnienia tych warunków – do zrzeczenia się tronu. W majątkach gromadzono broń, wyznaczano trasy marszu na Londyn. Jasno wyznaczono rolę każdego z arystokratów oraz spiskowców w mającym nadejść buncie. Zagrożenie ze strony Elżbiety nie było jasno stwierdzone, jednak można było je wyczytać między wierszami; zrozumiało wydawało się, że jeżeli Maria nie zgodzi się na warunki rebeliantów – co było pewne – Elżbieta przejmie tron, a Courtenay zostanie jej małżonkiem.

Ja jednak wiedziałem swoje. Wiedziałem, że Dudley uważa, iż Elżbieta poślubi nie Courtenaya, ale jego, gdy podsunie jej koronę na tacy. Wykorzystywał Courtenaya jako pionka w tej rozgrywce; dlatego pilnował się, aby w żadnym liście nie padło jego własne imię. On, będąc głową tej całej intrygi, musiał pozostać niewidoczny.

Dlaczego jednak brakowało listu do Dudleya, który Elżbieta powierzyła Courtenayowi?

Nagle wróciły do mnie słowa Jane Grey przewracającej stos książek przy kominku: „Widzę przysyłane i odsyłane książki. Liczę je. Jedną chciałam

nawet przeczytać, ale nie było z niej pożytku. Strony zostały wycięte” – oraz Dudleya wołającego za mną: „Cokolwiek powiesz i uczynisz, nie powstrzymasz tego (...) ostatecznie to ja będę triumfował. Odzyskam dobre imię, na początek”.

Zacisnąłem szczęki. Teraz rozumiałem, dlaczego Dudley pochlebstwami nakłaniał Courtenaya, aby zdobył zaufanie księżniczki: list był jego zabezpieczeniem. Nadal go miał, schowany w innym miejscu. Przewidział wykrycie zmywy, a może nawet zdradę, ze strony kogoś oddanego Elżbiecie, kogoś, kto będzie zdawał sobie sprawę z tego, jak wielkim zagrożeniem dla niej jest właśnie on, Dudley. Jeżeli ktokolwiek będzie chciał go wydać, on może zagrozić ujawnieniem listu od księżniczki, będącego dowodem jej współudziału w spisku.

Głos Sybilli przerwał moje rozmyślenia.

– Wnoszę z twojego milczenia, że te listy są bronią, której potrzebowałeś.

Podniosłem wzrok.

– Tak – potwierdziłem, po czym zawahałem się. – Jak ci się udało je zdobyć?

– Sprytem, jakżeby inaczej. Nie było ciężko. Poczekalam, aż sekretarz uda się na dziedziniec wypróżnić pęcherz. Aż dziw, że wcześniej nie pękł. Na pulpicie stały dwa puste dzbany. Pewnie cały dzień siedział w kancelarii i pił, gdyż Renard nalega, aby jego gabinet był otwarty do późnego wieczora. Do tej pory

urzędnik na pewno zauważył zniknięcie tuby i przewraca wszystko do góry nogami, szukając jej. Gdy się spostrzeże, że została skradziona, prawdopodobnie porzuci posadę i gdzieś się zaszyje. – Głos jej się załamał. – Jeżeli Renard się dowie, że to moja sprawka, nie daruje mi tego.

– Nie musisz się go obawiać. – Wsunąłem listy z powrotem do przegródek, zwinąłem cylinder i obwiązałem go sznurkiem. – Kiedy pokażę to królowej, będzie miał nie lada problem. Nie ośmieli się tknąć ciebie czy kogokolwiek innego. Będzie zbyt zajęty wyjaśnianiem, jak to się stało, że nie zauważył, iż pod jego nosem dzieją się takie rzeczy; że pomimo środków, jakimi dysponuje, nie miał pojęcia o tak olbrzymim spisku.

– Zrozumie, że nie jesteś tym, za kogo cię brał. Żle cię ocenił – powiedziała cicho.

Oparłem się o ścianę.

– Och, dobrze mnie ocenił, ale nie spodziewał się, że zajdę tak daleko. Choć królowa zapewniała, iż darzy mnie zaufaniem, musiał podejrzewać mnie od samego początku. Dlatego gdy Jej Królewska Mość nakazała mi zbadać podejrzenia dotyczące Elżbiety i Courtenaya, uznał, że nie może ryzykować. Nie chciał, aby ktokolwiek się dowiedział o sidłach, które zastawia na księżniczkę, dlatego podrzucił zatruty list. Teraz będzie dwoił się i troił, aby oczyścić się z winy. Wkrótce będziesz już wolna do niego na zawsze.



Przygryzła wargę, splotła ręce na podołku. Jej płacz zaskoczył mnie tak bardzo, że gdy opuściła głowę, aby powstrzymać szloch, nie wiedziałem, co począć. Po chwili jednak niepewnie wyciągnąłem rękę w jej stronę. Wstała ze stołka i skryła się w moich objęciach.

– Tak bardzo się boję – wyszeptała. – Bałam się go przez całe życie.

Gładziłem ją po włosach, przymykając oczy i usiłując zapanować nad zalewającą mnie falą gorąca. Zachowywałem się tak, jak gdybym pocieszał zrozpaczone dziecko, nawet gdy poczułem, że jej dłonie, takie szczupłe, takie ciepłe, unoszą się i oplatają mi ramiona niczym giętkie pędy winorośli.

Chciałem się cofnąć.

– Nie – wymamrotałem. – Nie mogę.

Podniosła twarz i spojrzała na mnie. Zatopiłem się w jej oczach jak w oceanie.

– Ja mogę – odparła. Przycisnęła swoje usta do moich. Gwałtownie wciągnąłem powietrze.

– Boli? – szepnęła i koniuszkiem palca musnęła skaleczenie na mojej wardze, rozniecając we mnie ogień pożądania.

Jęknąłem; ten jeden słaby dźwięk skruszył mój opór do cna. Chwyciłem ją mocniej, zaplątałem dłonie w jej bujne włosy i nie czułem już bólu, a jedynie wir pocałunków i bystry prąd dotknięć, gdy zszarpywała ze mnie odzienie i zsuwała pończochy, aby objąć moją twardą męskość.

– Pragnę poczuć coś innego niż strach – usłyszałem jej głos. – Pragnę poczuć pożądanie, choć raz.

Postąpiła krok w tył i rozsznurowała suknię po bokach. Patrzyłem na nią ze ściśniętym gardłem i w głębi duszy wiedziałem, że jeżeli to zrobię, już nigdy tego nie zapomnę ani przed tym nie ucieknę. Do końca swych dni będę żył z wyrzutami sumienia, z myślą, że zdradziłem Kate, kobietę, którą kocham, która niczego nieświadoma czekała na mnie w Hatfield.

Ale już po chwili, gdy ciemny aksamit zsunął się do stóp Sybilli, a ja ujrzałem jej nieskazitelną, jasną skórę, łuk wysoko uniesionych piersi o zaróżowionych koniuszkach, żebra rozchodzące się promieniście niczym struny liry i smukły brzuch wyginający się w dół w stronę złocistego przesmyku między nogami, przestałem myśleć. Wziąłem ją w ramiona, położyłem na rzuconych na podłodze pelerynach i wdarłem się w nią gwałtownie, niemal z wściekłością, zaspokajając swój głód tym bardziej, im większą dawałem jej przyjemność, aż poczułem, jak pręży biodra, aby zrównać swój rytm z moim.

Wydawało się, że zatapialiśmy się w sobie przez całą wieczność, gdy nagle wytrysnąłem z zapierającą dech wartością. Nie zdążyłem się wycofać. Objęła mnie i przycisnęła do siebie, a wtedy, nie bacząc na nic, krzyknąłem, ona zaś zadrżała.

Opadłem na podłogę obok niej, trawiący nas ogień stygł niczym polane wodą rozżarzone węgiel.

Moje serce uspokajało się. Gdy spojrzałem na nią z boku i wyciągnąłem rękę, aby odgarnąć jej wilgotne włosy z twarzy, odezwała się ostro:

– Nie. Nie jesteś mi nic winien.

Wstała, sięgnęła po swoje odzienie. Milczałem; nie potrafiłem znaleźć słów. Również się podniosłem i patrzyłem bez słowa, jak sznuruje suknię. Teraz, gdy było już po wszystkim i nasyciłem swoją lekkomyślność, nie przynosiło mi to zadowolenia.

Schyliła się po moje ubrania i rapier. Podała mi go.

– Jeżeli listy nie odniosą skutku – powiedziała – sięgnij po to.

Przez chwilę patrzyliśmy sobie w oczy. Następnie obróciła się i wyszła.

# WHITEHALL

## Rozdział 17



Nie mogłem usnąć.

Siedziałem w ciemnościach naprzeciwko drzwi, czujnie wsłuchując się w ciszę panującą w uszpionym pałacu, dopóki z mroku nie wyłonił się nieco jaśniejszy zarys okratowanego okna umieszczonego wysoko w murze izby, co oznaczało, że zaczyna świtać. Wtedy wstałem, skrzywiłem się, czując ból w zeszywniałych mięśniach, i przyszykowałem się do wyjścia. Wyglądałem przerażająco, jedno oko miałem podbite i do połowy zamknięte, a wargę opuchniętą. Siniaki pod koszulą nabrały kolorów i miały teraz żółtoniebieski odcień. Nie spędziłem jednak dużo czasu przed zwierciadłem. Nie chciałem stanąć twarzą w twarz z wyrzutami sumienia.

W długim kruzganku wiodącym do królewskiego skrzydła pałacu służba krzątała się już wokół swoich obowiązków, zbierano ogarki świec, porzucone kielichy i inne przedmioty pozostawione przez dworzan zamroczonych trunkami podczas biesiady poprzedniego wieczoru. Gdy zbliżyłem się do podwójnych dębowych drzwi prowadzących do komnat królowej, jeden z wartowników zastąpił mi drogę, obniżając pikę.

– Stać! Czego tu szukacie?

– Bądź łaskaw powiadomić Jej Królewską Mość, że pan Beecham musi się z nią widzieć – odpowiedziałem, podczas gdy strażnik mierzył mnie spojrzeniem i najwyraźniej zastanawiał się, czy nie kazać mi zająć miejsca w tłumie innych poddanych zbierających się w południe w korytarzu, którym monarchini przechodziła do sali tronowej, aby spożyć posiłek. Dodałem szybko: – Przekaż, że wiadomości dotyczą zaręczyn Jej Królewskiej Mości.

Wartownik szeroko rozwarł oczy. Odwrócił się do jednego z towarzyszy i rzucił rozkaz. Podeszedłem do okna, z którego rozciągał się widok na dziedziniec, gdzie z ozdobnej fontanny przedstawiającej cherubina ściekał topniejący lód. Gdy strażnik szorstkim gestem polecił mi iść za sobą, zagłębiłem się w plataninę korytarzy i komnat składających się na królewskie apartamenty.

Maria czekała na mnie. Odziana była w rudobrunatną aksamitną suknię ściągniętą w talii wysadzonym klejnotami pasem, włosy miała zebrane na karku wyszywaną perłami siatką. Damy dworu siedziały obok zajęte szyciem. Jeden rzut oka wystarczył, by stwierdzić, że nie ma wśród nich Sybilli. Zdjąłem czapkę – usłyszałem stłumione okrzyki kobiet, które dostrzegły moją posiniaczoną twarz – i złożyłem ukłon.

– Proszę wybaczyć najście. Przynoszę wieści, których Wasza Królewska Mość powinna niezwłocznie wysłuchać.

– Wdał się pan w awanturę – oznajmiła Maria chłodno i zanim zdążyłem odpowiedzieć, postąpiła krok w bok.

Żołądek mi się przewrócił, gdy dojrzałem Renarda siedzącego za królową przy stole zarzuconym papierami. W dłoni trzymał pióro i spoglądał na mnie z uniesionymi brwiami.

– Tak wcześnie na nogach? Obawiam się, że nie jest to czas ani miejsce na roztrząsanie błahych spraw. Proponuję wrócić później, kiedy zostanie pan wysłuchany...

– Nie – przerwała mu Maria. – Pan Beecham już tutaj jest i wysłucham tego, co ma do powiedzenia. Wnosząc po jego wyglądzie, owe wieści rzeczywiście są pilne. Każdy inny człowiek w jego stanie nie opuszczałby łóża.

Przeniosłem wzrok na królową. Jej wygląd również wskazywał na to, że powinna więcej odpoczywać: miała woskową cerę i podkrążone oczy, jak gdyby od dłuższego czasu źle sypiała. Stanowczość, z jaką mnie przyjęła, świadczyła o tym, iż wartownik przekazał jej słowo w słowo to, co powiedziałem przy drzwiach, i dzięki temu stało się jasne, że wiem o czymś, o czym nie powinien wiedzieć nikt spoza jej najbliższego otoczenia. Najwyraźniej nie była rada z mojej niedyskrecji.

– Proszę o wybaczenie – oznajmiłem – ale to, co mam do powiedzenia, przeznaczone jest jedynie dla uszu Jej Królewskiej Mości.

– Doprawdy? Jesteśmy wśród przyjaciół. Nie mam przed nimi tajemnic.

Strach chwycił mnie za gardło; zacisnąłem pięści, z trudem powstrzymując się, aby nie sięgnąć pod poły peleryny i na oczach wszystkich nie wyjąć ukrytej tuby. Nie mogłem tak po prostu wręczyć listów monarchini; jeżeli odprawiłaby mnie, nie wysłuchawszy wpierw, byłem stracony. Krótkie spojrzenie Renarda ostrzegło mnie, że wiedział, dlaczego przyszedłem do królowej, i że jeśli tylko zdoła, to do licha z podejrzeniami Marii – dopilnuje, abym nie dożył wieczora. Muszę osobiście wyjaśnić jej, do czego doszedłem, zanim Renard użyje listów do swoich celów a monarchini dalej będzie wietrzyć zdradę ze wszystkich stron.

– Sprawa tyczy siostry Waszej Królewskiej Mości...  
– zacząłem.

Renard zerwał się na nogi.

– Wasza Królewska Mość, proszę nie pobłażać dłużej temu człowiekowi! To kłamca. Nie można mu...

– Ufam, że jestem w zupełności zdolna do tego, aby odróżnić prawdę od kłamstwa. – Maria zmiażdżyła ambasadora wzrokiem. – Proszę za mną, panie Beecham.

Wprowadziła mnie do gabinetu. Gdy mijiałem damy dworu, Jane Dormer rzuciła mi pełne niepokoju spojrzenie, a leżący u jej stóp przypięty do smyczy piesek warknął.

Choć czułem na plecach świdrujące spojrzenie, nie obejrzałem się na Renarda, który spiesznie ruszył za

nami do wyłożonej drewnianą boazerią komnaty i zamknął drzwi.

– A zatem? – Maria stanęła przed pulpitem i odwróciła się do mnie. – Jesteśmy na osobności, jak pan sobie życzył. Proszę mi przekazać owe pilne wieści na temat mojej siostry. I proszę się pospieszyć; moja cierpliwość jest na wyczerpaniu. Czeka mnie dzisiaj posiedzenie rady i spotkanie z cesarskim poselstwem, a także sprawy związane z nadchodzącą przeprowadzką do Hampton Court. Tutejsze powietrze mi nie służy. Potrzebna mi odmiana.

Skłoniłem głowę i wyjąłem tubę.

Królowa znieruchomiała.

– Bądź łaskaw, panie Beecham, wyjaśnić cóż to takiego – poleciła i choć wydawała się opanowana, jej głos delikatnie zadrżał.

– Kolejny podstęp! – Renard skoczył, aby pochwycić tubę z mojej dłoni.

Uniosłem ramię wysoko i powiedziałem:

– To dowód na spisek przeciwko Waszej Królewskiej Mości – dowód, który don Renard nakazał mi zdobyć.

Ambasador zatrzymał się, a jego twarz przybrała kolor kredy. Maria przyglądała mu się przez dłuższą chwilę, po czym wyciągnęła do mnie rękę. Wzięła tubę, odwróciła się do zawałonego dokumentami biurka, aby ją rozłożyć, a następnie dokładnie czytała i w milczeniu odkładała kolejne listy, dopóki jej ozdobiona pierścieniami dłoni nie wsunęła ostatniego pisma pod



drewniany przycisk do papieru. Maria zdawała się zeszywnieć, po czym przeniosła na mnie spojrzenie. Kiedy przemówiła, głos miała spokojny, co jedynie spotęgowało szacunek, którym ją darzyłem.

– Czy jest pan tego pewien?

– Wykonywałem powierzone mi zadanie z największą sumiennością. – Urwałem, czując, jak ogarnia mnie niesmak z powodu tego, że musiałem ochronić Dudleya i w jego miejsce poświęcić hrabiego, nawet jeżeli robiłem to dla dobra Elżbiety. – Sądzę, że te listy dowodzą, iż hrabia Devon został uwikłany intrygę zmierzającą do buntu i zmuszenia Waszej Królewskiej Mości do poddania się żądaniom rebeliantów lub poniesienia konsekwencji odmowy.

Maria zacisnęła szczęki.

– Najwyraźniej. Powiedział pan jednak, że wieści tyczą mojej siostry. Jakże to?

– Najmując mnie, don Renard wyraził przekonanie, że Jej Księżęca Mość również uczestniczy w spisku – odparłem. – Nie znalazłem na to dowodów.

Maria odwróciła się gwałtownie do ambasadora.

– Zapewniał mnie pan o czymś innym.

– Wasza Królewska Mość, jestem równie zdumiony – odrzekł.

Niemal zazdrościłem mu jego opanowania. Wydawał się nieporuszony, choć na szali leżała jego przyszłość. Żałowałem, że nie mogę wyjawić Marii, jakim człowiekiem jest Renard naprawdę – co zrobił Sybilli

Darrier i jej matce; do czego jeszcze mógł się posunąć, aby zaszkodzić Elżbiecie – jednak ja również miałem swoje tajemnice. Nie mogłem dopuścić, by odkryto, że służyć księżniczce, dopóki nie byłem pewien, iż nic jej nie grozi.

W głosie Marii pobrzmiwał sarkazm:

– Trudno mi dać temu wiarę, don Renardzie, zważywszy, jakimi środkami dysponujesz i ilu szpiegów zatrudniasz. Nie zliczę, ile razy sama, z królewskiej szkatuły, pokrywałam koszty twoich działań mających udowodnić uparcie podtrzymywaną przez ciebie tezę na temat dwulicowości mojej siostry i Courtenaya. Teraz jednak przekonujesz mnie, że nie miałeś pojęcia, iż hrabia knuje zdradę razem z wszystkimi tymi lordami, których niejednokrotnie podejmowałam z honorami na dworze, puszczając w niepamięć wszelkie urazy i zaszłości?

Z zadowoleniem zauważyłem, że ambasadora ogarnia coraz większy popłoch.

– Proszę o wybaczenie, Wasza Królewska Mość – ostrożnie dobierał słowa – ale choć owe rzekome dowody wydają się frapujące, nie możemy mieć pewności, iż świadczą one o czymkolwiek. Należy sprawdzić autentyczność listów. A nawet jeżeli okażą się prawdziwe, jest to co najwyżej zarzewie bezładnie przygotowywanej rebelii, gdyż rzeczywiście nie doszły mnie o niej żadne słuchy. Być może hrabia zdołał zebrać garstkę niezadowolonych arystokratów, niemniej nie jest

to powód do...

– Nie jest to powód! – zawołała Maria. – Mówimy o zdradzie, señor, zdradzie stanu. I wszyscy biorący w niej udział zapłacą za nią, bez wątpienia. Wszystkich, co do jednego, wyślę do Tower.

Renard ściągnął wargi. W tym mrozącym krew w żyłach momencie przejrzałem jego grę. Zamierzał zlekceważyć leżące przed nami dowody i o ile to możliwe, opóźnić uwięzienie Courtenaya, gdyż nadal miał nadzieję, że uda mu się w jakiś sposób pojmać Elżbietę. Gdyby doszło do buntu, z pewnością nadarzyłaby się szansa na znalezienie jakichkolwiek dowodów przeciwko niej.

Maria wpatrywała się w niego ze zdumieniem, nie potrafiła bowiem zrozumieć, z czego wypływała jawna niechęć, którą okazywał wobec zbadania owego spisku.

– Nie wierzę własnym uszom! Wielokrotnie ostrzegałeś mnie o zdradzie knutej przez kogoś z mojego najbliższego otoczenia, jednakże teraz lekceważysz słowa człowieka, którego zatrudniliśmy, aby wykrył ów spisek? Beładny czy nie, szykował się bunt zaplanowany przez arystokratów tego królestwa – moich poddanych, którzy śmieli podnieść na mnie rękę. Należy ich pojmać i położyć kres ich knowaniom. – Nagle zachwiała się na nogach, wsparła się o krzesło. – Boże, miej nas w swojej opiece, jeżeli cesarz się o tym dowie. Nie pozwoli Filipowi tu przybyć w obawie o życie syna!

Na twarzy Renarda odmalowała się wściekłość, gdyż

królowa w mojej obecności otwarcie przyznała się do zamiaru poślubienia hiszpańskiego księcia, a ja poczułem do ambasadora jeszcze większą pogardę. Choć wiedziałem, że Maria nie zna litości wobec innowierców, nie znosi Elżbiety i w skrytości marzy o przywróceniu Anglii na łono Rzymu, nie potrafiłem darzyć jej niechęcią. Maria Tudor nie była okrutną kobietą, lecz jedynie władczynią zagubioną w trudnej sytuacji. Renard za to był niczym wąż. Z równą wytrwałością szukał sposobu na doprowadzenie Elżbiety do zguby, co wykorzystywał wrodzony Marii brak przebiegłości i pewności własnych sądów oraz podzegał minione urazy.

Jednak moje własne odczucia nie mogły nic zmienić. Szanse na doprowadzenie do końca swojego zadania miałem tylko wtedy, gdy królowa skupi się na Courtenayu i spiskujących z nim arystokratkach.

– Moglibyśmy przesłuchać hrabiego – zaproponował Renard, jak gdyby myśl ta przed chwilą przysłała mu do głowy. – Jeżeli Wasza Królewska Mość rozkaże, możemy pojmać go i wydobyć potrzebne nam informacje. Ów spisek nie mógł zajść na tyle daleko, abyśmy nie zdołali ukreślić mu łba przed ogłoszeniem zaręczyn w Hampton Court. Zanim wieści dotrą do cesarza, będzie już po wszystkim. Wasza Królewska Mość umocni się u władzy, spiskowcy będą uwięzieni i ani cesarz, ani książę Filip nie będą mieli powodów do obaw.

Maria puściła krzesło.

– Tak zatem uczyni. Natychmiast nakaz przygotować rozkaz pojmania; podpiszę go przed posiedzeniem rady.

Renard uklonił się, po czym szorstkim gestem polecił mi iść ze sobą.

Maria odezwała się:

– Nie. Pan Beecham zostaje. Pragnę z nim pomówić. Na osobności.

Nie mógł mnie spotkać większy zaszczyt. Renard o tym wiedział. Przez ułamek chwili nasze spojrzenia spotkały się i w jego oczach wyczytałem wściekłość. Następnie ambasador wymaszerował, zamykając drzwi prowadzące do komnaty, w której siedziały zaniepokojone damy dworu. Z pewnością słyszały podniesiony głos królowej, a może nawet dobiegły je poszczególne słowa.

Maria osunęła się na krzesło. Milczała, przyglądając mi się bacznie, ja zaś, nie rozumiejąc powodów jej wyteżonej uwagi, poczułem, że cierpnie mi skóra.

– Dlaczego nieustannie bronisz mojej siostry? – spytała w końcu. – Don Renard od początku był przekonany, że spiskuje ona przeciwko mnie, że pogardza mną i pragnie przejąć tron. Jest o wiele bardziej doświadczony w dworskich intrygach niż ty.

Odchrząknąłem, rozumiejąc, że moje życie wisi na włosku.

– Uczyniłem jedynie to, co mi kazano, Wasza Królewska Mość. Don Renard zatrudnił mnie, abym

przyjrzał się działaniom hrabiego i lady Elżbiety, a ja nie znalazłem żadnych dowodów na jej udział w intrydze. Jest niewinna, choć ambasador może twierdzić inaczej.

– Niewinna, powiadasz? Zatem obawiam się, że nie znasz mojej siostry w ogóle. Elżbieta nigdy nie była niewinna. Od chwili, gdy przyszła na świat, była naznaczona grzechem.

Przerażenie zmroziło mi krew w żyłach.

– Zapewniam Waszą Królewską Mość, że nic nie wskazuje na to, aby kiedykolwiek spiskowała...

Przerwał mi zjadliwy śmiech królowej.

– Doprawdy nic? Owszem, i zapewne nic nigdy nie będzie na to wskazywać. – Wstała. – Pomimo gorliwości, z jaką Renard przekupuje moich dworzan, opłaca szpiegów i wszelkiego rodzaju hołotę, moja siostra cały czas mu się wymyka. Jest bardzo przebiegła, niczym zmija, której nie widzisz, dopóki nie poczujesz jej ukąszenia. Jednakże nie jest niewinna. Wiem o tym w głębi serca, nie potrzebuję żadnych dowodów. Wystarczy na nią spojrzeć, aby wiedzieć, czego pragnie. – Maria odwróciła się do okna i zniżyła głos, jak gdyby mówiła sama do siebie. – Przyglądam się jej każdego dnia, odkąd przybyła na dwór. Obnosi się ze swoją młodością i urodą więdźmy, szepcze, cały czas szepcze; wabi wszystkich naokoło, aby byli na jej skinienie, tak samo jak robiła to wcześniej jej matka. Elżbieta pragnie mojego cierpienia. Pragnie wiedzieć, że nigdy nie zaznam spokoju. Jeżeli nie stanę na ślubnym kobiercu,

nie zdołam urodzić potomka, który zajmie jej miejsce w kolejce do tronu; jeżeli nie będę miała męża, umrę jako dziewica. Tego właśnie pragnie. Żyje tylko tą jedną myślą – chce zagarnąć moją koronę i ogłosić, że należy do niej.

Kiedy odwróciła się z powrotem do mnie, w jej wodnistych szarych oczach dostrzegłem błysk czegoś potwornego, czegoś niepowstrzymanego. Przewiercała mnie spojrzeniem, jak gdyby szukała w mojej twarzy skazy potwierdzającej podejrzenia zrodzone z niepoahamowanej nienawiści, która zaczęła ją trawić.

– Skąd pewność, że nie miała pojęcia o spisku Courtenaya? – spytała głucho ledwo słyszalnym głosem. – Być może wiedziała i dała na niego przyzwolenie, licząc, iż mój upadek będzie jej zwycięstwem? Mogła trzymać się z daleka od przygotowań, gdyż doskonale wiedziała, ile ryzykowałyby, włączając się w planowanie rebelii, ale ostatecznie nie cofnęłyby się przed niczym – nie, nie ona, nie córka Anny Boleyn.

Stałem w milczeniu, usta wyschły mi na wiór. Słowa i wyraz twarzy Marii wyraźnie świadczyły o tym, że pojednanie jest już niemożliwe. Nawet jeżeli Elżbieta uszłaby z życiem, siostrę utraciła na zawsze. Będą występować przeciwko sobie, dopóki jedna z nich nie zejdzie z tego świata. Przewidywanie Cecila sprawdziło się. Ich przeznaczeniem było zostać śmiertelnymi wrogami.

Maria wróciła do pulpitu, znów opanowana,

pogodzona z tym, co miało nastąpić.

– Chcę ci wierzyć – powiedziała – a bez dowodów świadczących o jej winie nie mogę uczynić nic innego. Niemniej nie chcę, żeby przebywała blisko mnie; nie może być tam gdzie ja. Jednak zanim wyjedzie, spojrzę jej w oczy. Spytam ją prosto w twarz, czy wiedziała coś – monarchini szerokim gestem wskazała listy – o tych nikczemnych knowaniach. Teraz już idź. Sprowadź ją do mnie. Powiedz jej, że chce ją widzieć królowa Anglii.

Ukłoniłem się i zacząłem wycofywać w stronę drzwi, gdy Maria dodała:

– Nadal będziesz badał każdy szczegół tego spisku. Courtenay może nie przyznać się do wszystkiego, może też czegoś nie wiedzieć. Nigdy nie był szczególnie rozgarnięty; z pewnością nie uknuł tego sam. I oczekuję lojalności, panie Beecham. Jeśli sądzi pan, że ukryje coś przede mną, jeśli ośmieli się pan ochraniać kogoś ze szkodą dla mnie, zapłaci pan za to głową.

– Wasza Królewska Mość – wymamrotałem, po czym wyszedłem.

Minąłem urzędników tłoczących się przed komnatami królowej. W niecałą godzinę krużganek wypełnił się szczerlnie ludźmi i gdy szedłem między nimi, odprowadzały mnie baczne spojrzenia. W oczach dworzan stałem się kimś ważnym, jako że odbyłem rozmowę sam na sam z monarchinią. Nie dostrzegłem Renarda; zapewne zajął się przygotowaniami do pojmania Courtenaya. Spostrzegłem natomiast



Rochestera, który rozmawiał z zaniepokojonym mężczyzną w biskupiej szacie. Rozpoznałem w duchownym poplecznika Courtenaya, biskupa Gardinera. Zwolniłem, zauważając zmartwione spojrzenie Rochestera.

Rochester odwrócił się ostentacyjnie, jak gdyby mnie nie poznał.

Nie miałem mu tego za złe. Ruszyłem dalej schodami prowadzącymi w dół do kolejnego krużganka, na którym dworzanie zebrali się, aby snuć domysły. Wieści o tym, że zdarzyło się coś ważnego, rozeszły się po Whitehall lotem błyskawicy. Najpóźniej po południu w całym pałacu będzie wrzało od plotek o upadku hrabiego.

Na myśl o Courtenayu nagle opadły mnie wyrzuty sumienia. Bez wątpienia przypląci to wszystko życiem; po latach zamknięcia w Tower wyszedł na wolność i już po kilku miesiącach jego własne postętki miały go zaprowadzić na szafot. Nie był człowiekiem przyjemnym ani, jak stwierdziła królowa, szczególnie bystrym, ale mimo wszystko współczułem mu – z ulgą zauważyłem, że nie utraciłem tej zdolności – i żałowałem, iż muszę wyjawic jego knowania, mimo że przyrzekłem mu co innego. Choć hrabiemu daleko było do świętości, nie zasłużył na taki koniec.

Zasłużył na niego Dudley.

Zatrzymałem się raptownie. Nie wiedziałem, gdzie leżą komnaty Elżbiety. Gdy rozejrzałem się,

przezesując palcami splątane włosy, dostrzegłem, że dworzanie obrzucają mnie spojrzeniami, w których czai się nieskrywana odraza. Z miejsca przypomniałem sobie o swym zaniedbanym wyglądzie. Chyba jednak będę musiał podejść do tych wymuskanych strojnisiów, aby zapytać...

– Panie Beecham! Panie Beecham, proszę chwilę poczekać!

Obróciłem się i zobaczyłem pannę Dormer, która zbiegała po schodach, unosząc spódnice i odsłaniając kostki w szarych pończochach.

– Jej Królewska Mość poleciła mi towarzyszyć panu – wyjaśniła zdyszana. – Komnaty, których pan szuka, mieszczą się dość daleko, i może pan potrzebować przewodnika, gdyż nie był pan w nich wcześniej.

Uśmiechnąłem się z wdzięcznością. Jane Dormer dumnie odrzuciła głowę, po czym przeprowadziła mnie obok dworzan, którzy natychmiast nachylili się do siebie i poczęli szeptać.

– Gdzie zostawiła pani Blackiego? – spytałem, licząc że uda mi się w ten sposób uniknąć kłopotliwych pytań o moje spotkanie z królową.

– Z lady Clarencieux. Musi się przyzwyczaić, że nie mogę być przy nim cały czas. Choć bardzo się do niego przywiązałam, nigdy nie pragnęłam mieć psa. To podarunek – tak przynajmniej twierdzi panna Darrier. – Jane skrzywiła się. – Jak gdyby mogło to usprawiedliwić jej czyn

Podobnie jak podczas biesiady, tak samo i teraz zaskoczył mnie jej złośliwy ton. Choć wydawała się skromną panną, gdy mówiła o Sybilli Darrier, stawała się jadowita.

– Nie zauważyłem panny Darrier tego ranka – mruknąłem.

– Owszem, nie mógł jej pan zauważyć, bowiem panna Darrier przychodzi i wychodzi, kiedy ma na to ochotę. – Zapadło pełne napięcia milczenie, po czym Jane dodała znacząco: – Byłoby dobrze, gdyby trzymał się pan od niej z daleka.

– Och? – Starąłem się przybrać obojętny wyraz twarzy, choć dostrzegłem, że zadrżały jej wargi; była młodziutka i jeszcze niezdolna do zawiści. Piękne kobiety często stawały się dla siebie rywalkami, jednak Jane Dormer wciąż była niemalże dzieckiem. – Czym panna Darrier zasłużyła sobie na pani niechęć? Podarowała pani psa, co wydaje się bardzo wielkodusznym gestem...

– Doprawdy? – odpowiedziała ze złością. – Sądzi pan, że to sprawiedliwa wymiana za ukradzionego narzeczonego?

Prawie potknąłem się o własne nogi.

– Ukradzionego narzeczonego? – powtórzyłem.

Spojrzała na mnie, a w jej oczach błysnął gniew.

– Tak. Oczywiście nie może pan o tym wiedzieć, gdyż niedawno pan przybył na dwór, ale Jej Królewska Mość chciała, abym to ja poślubiła księcia Ferię.

Zostałabym jego małżonką i pojechałabym z nim do Hiszpanii, gdyby panna Darrier nie zapragnęła księcia Ferii dla siebie. Czy raczej ten okropny Renard zapragnął księcia dla niej.

Przeszedł mnie dreszcz.

– Być może zatem panna Darrier wcale nie życzy sobie poślubić owego księcia.

– Nie życzy sobie? – Roześmiała się, choć w jej śmiechu nie było słychać wesołości. – Kobiety takie jak ona mogą sobie życzyć wszystkiego. Dzięki zaślubinom z Ferią stanie się księżną, co stanowi nie lada przywilej dla kogoś, kto jest metresą ambasadora.

Niewidzialna pętla zacisnęła mi się wokół gardła.

– To poważne oskarżenie. Wiem, że ambasador był jej opiekunem oraz że ona sama pochodzi z wysokiego rodu. Jej ojciec i bracia zginęli w obronie Kościoła podczas Pielgrzymki Łaski.

Jane prychnęła.

– To pan od niej usłyszał? Brzmi prawdopodobnie, przyznaję, jeżeli nie zna się całej historii. Jednak większość ludzi nie zna prawdy, a tym, którzy ją znają, nie zależy, aby o niej przypominać ze względu na pozycję, jaką panna Darrier ma u boku Renarda. Niemniej lady Clarencieux wszystko pamięta; pamięta czasy, gdy pan Darrier, ojciec Sybilli, był jednym z tych dobrze się zapowiadających ludzi, którzy wzbogacili się za rządów lorda Cromwella – podobnie jak Cromwell był jurystą i sporządzał inwentarz majątków klasztornych,

gdy nakazano zamknięcie opactw. Zbił fortunę, rabując niczym pirat, wznosił swoją rezydencję za złoto, którego nie oddał do królewskiego skarbcza. Wraz z upadkiem Cromwella skończyły się dobre czasy dla Darriera. Został stracony, owszem, ale nie jako obrońca wiary. Kazano go włóczyć koźmi, a następnie poćwiartowano niczym pospolitego złodziejaszka, ponieważ okradał króla.

Zaparło mi dech w piersiach. Przed oczami stanęła mi Sybilla, opadające wokół mnie gęste pukle jej włosów, wijące się ciało...

– A jej bracia?

Jane wzruszyła ramionami.

– Któż wie, czy w ogóle istnieli? Jeżeli nawet, to zapewniam pana, że nie zginęli podczas tłumienia buntu w York. W całej historii, którą przekazuje panna Darrier, pewne jest jedynie to, że ona, jej matka i siostra uciekły z Anglii przed gniewem króla, zapewne z kuframi wypchanymi niemałą częścią bogactw, które zgromadził pan Darrier. W jakiś sposób kupiły sobie przecież wejście na dwór Habsburgów. Cesarzowa nie przyjmuje biedoty na damy dworu.

Ze wzburzenia nie mogłem postąpić ani kroku dalej i zatrzymałem się gwałtownie. Sybilla okłamała mnie. Celowo przedstawiła swoją sytuację w nieprawdziwym świetle. Nie mogłem pojąć, dlaczego to uczyniła.

– Prawdę mówiąc, raczyła księcia Ferii tą samą tragiczną opowieścią, gdy wbiegł pan na krużganek,

niosąc konającego giermka – ciągnęła Jane, nie zważając na moje zakłopotanie. – Zapewniam pana, że nie uradowało jej to, iż przeszkodził jej pan w rozmowie. Cóż, jedno muszę przyznać: nie brakuje jej urody, jeżeli ktoś gustuje w tego typu damach, ale Feria jeszcze pożałuje, że przystał na propozycję Renarda. Kobieta taka jak ona może doprowadzić mężczyznę jedynie do zguby.

Z trudem powstrzymałem się, aby nie chwycić jej za rękę i nie zasypać pytaniami, na które nie mogła mieć odpowiedzi.

– Czyżbym pana uraziła? – spytała Jane, dostrzegając wreszcie moje milczenie. – Pomyślałam jedynie, że warto pana ostrzec. Nie jest tą, za kogo pan ją bierze. Trudno ją uznać za osobę godną szacunku. Kobieta, która kradnie innej damie narzeczonego i w zamian daruje jej psa na pocieszenie, nie ma w sobie ani krzty przyzwoitości.

Znów zmieniła się w skrzywdzoną panienkę pomstującą na wyrafinowanie starszej, bardziej doświadczonej kobiety. Przytaknąłem skinieniem głowy, choć myślami byłem gdzie indziej.

– Tak – wymamrotałem. – To doprawdy nieprzyzwoite. Doceniam pani szczerłość. Okazuje mi pani wiele życzliwości.

– Zyskał pan moją sympatię. Ogromna szkoda, że jedynym zaszczytem, jakim się pan cieszy, są względy królowej.

Odchrząknąłem, po czym przeniosłem wzrok na krużganek, do którego weszliśmy. Kasetonowy sufit poznaczony plamami wilgoci okalała wyszukana sztukateria.

– Nigdy nie byłem w tej części pałacu – powiedziałem.

Obracałem w myślach słowa Jane niczym fragmenty układanki i usiłowałem dopasować je do większej całości. Dlaczego Sybilla miałaby mnie zwodzić? Czyżby zamierzała wzbudzić moją litość? Mimo wszystko mogła dążyć do tego, aby uwolnić się spod władzy Renarda; to, co powiedziała Jane, i owo dążenie Sybilli wcale nie musiały się wykluczać. Być może uznała, że prawda jest mniej interesująca niż zmyślona przeszłość, która musiała wzbudzić współczucie mężczyzny takiego jak ja.

Jane, nieświadoma moich rozważań, odrzekła:

– Ta część Whitehall jest rzadko używana. – Zawahała się. – Słyszałam, że lady Elżbieta nalegała, aby się tu zatrzymać. Ponoć mieszkała w tych komnatach, gdy za życia ojca przyjeżdżała go odwiedzać w pałacu.

Z oddalonego od zespołu pałacowego i opustoszałego krużganek, po którym nie krążyły zastępy dworzan i służących, rozciągał się wspaniały widok na rzekę, jednak prócz pejzaży niewiele mogło urzec w tym miejscu. Gdy zatrzymaliśmy się przed solidnymi drzwiami zdobionymi wyblakłymi złoceniami, zimno przenikało nas na wskroś. Przed wejściem nie ustawiono

straży; gdy zastukałem do drzwi, odgłos pukania odbił się echem od ścian korytarza. Z komnaty dobiegło nas szuranie, a następnie rozległ się drżący głos:

– Tak? Kto tam?

Poznałem Blanche Parry.

– Pan Beecham. Przynoszę wiadomość dla lady Elżbiety.

Matrona zawahała się. Przyszło mi do głowy, że przecież nie zna mojego przybranego imienia, i gdy usłyszałem, iż pilnie się z kimś naradza, zwróciłem się do Jane:

– Proszę przekazać Jej Królewskiej Mości, że przybędę razem z Jej Księżęcą Mością, kiedy tylko będzie ona gotowa.

Dwórka nadąsała się. Przypomniałem sobie, jak podczas biesiady mówiła również, iż Elżbieta powinna okazać posłuszeństwo królowej, i pojąłem, że Jane pragnie na własne oczy zobaczyć upokorzenie księżniczki. Zasmuciło mnie to. Tak młode dziewczę zdążyło już przesiąknąć jadowitą atmosferą dworu, gdzie ulubioną rozrywką było upajanie się hańbą i nieszczęściem bliźniego.

– Oczywiście – odparła bez przekonania, po czym odeszła, zerkając przez ramię, podczas gdy ja czekałem, aż Blanche odrygluje drzwi.

Gdy Jane znalazła się poza zasięgiem słuchu, zniżyłem głos i dodałem:

– Panno Parry, tu Brendan. Proszę otworzyć.



Natychmiast zazgrzytały zasuwki i w szparze drzwi ukazała się wynędzniała twarz zaufanej damy dworu, kobiety, na której Elżbieta polegała niemal tam samo jak na pani Ashley – panna Parry służyła księżniczce, odkąd ta była małym dzieckiem. Chociaż matrona nie była sędziwa – miała nie więcej niż czterdzieści sześć lat – wyglądała na staruszkę, oczy miała zapadnięte od braku snu, spod czepka wysuwały jej się kosmyki siwych włosów. Ręką o palcach przypominających pokrzywione ptasie szpony wciągnęła mnie do komnaty, po czym zatrzasnęła i ponownie zaryglowała drzwi, jak gdyby obawiała się najścia.

– Co się dzieje? – spytała z niepokojem. – Mów. Chcą ją pojmać?

Pokręciłem głową. Podbiegł do mnie Urian i zaczął trącać długim pyskiem moją dłoń, domagając się pieśczoł. Głaskałem go i rozglądałem się po komnacie. Znajdowały się w niej wspaniałe wykuszowe okno, które wpuszczało mnóstwo światła, gobeliny rozciągnięte na całą długość ściany od sufitu po podłogę, dywany oraz wytworne meble. Wszędzie dookoła porozstawiane były podróżne kufry, do których młoda pokojówka w pocie czoła pakowała naręcza ubrań, świeczek i innych rzeczy. Poza nią i panną Parry nie dostrzegłem żadnej innej damy dworu ani służącej.

Spojrzałem na matronę.

– Gdzie są damy dworu?

– Odeszły. – Westchnęła z niepokojem. Widziałem,

że biedaczka niemal odchodzi od zmysłów. – Jej Księżęca Mość jest w komnacie sypialnej; jak zwykle rano zażywała ruchu w galerii, kiedy jedna z tych nieznośnych kobiet powiadomiła ją, że hrabia Devon ma zostać pojmany. Gdy tylko usłyszały to inne, uciekły jak szczury z tonącego okrętu, zostawiając Jej Księżęca Mość samą. Kazała nam pakować rzeczy, po czym zamknęła się w komnacie. Myśli, że po nią też przyjdą. Przyjdą?

– Jeszcze nie – odparłem i ruszyłem stroną wąskich drzwi, które, jak przypuszczałem, prowadziły do jej komnaty. Urian nie odstępował mnie na krok.

Panna Parry ostrzegła:

– Nie chce nikogo widzieć.

Zapukałem.

– Wasza Księżęca Mość? To ja. Proszę mnie wpuścić.

Nikt mi nie odpowiedział. Zapukałem ponownie.

– Musi mi pani otworzyć. Przynoszę wiadomość od Jej Królewskiej Mości.

Po pełnej napięcia chwili usłyszałem zgrzyt klucza przekręcanego w zamku, a wtedy popchnąłem drzwi i ujrzałem niewielką izbę pogrążoną w ciemnościach. Nie było w niej okien, świece były zgaszone; jedynie na stoliku płonęła lampka oliwna, która więcej kopciła, niż oświetlała. Gdy światło z komnaty rozjaśniło nieco alkowę, dojrzałem niezasłane łóżę z baldachimem i jeszcze jeden kufer. Przykucnięta przy nim Elżbieta

przeglądała leżącą na podłodze stertę ksiąg. Najwyraźniej zastanawiała się, które tomy spakować do kufra, a które zostawić. Nieopodal z przerażoną miną stała druga służąca: zdaje się, że to ona mi otworzyła.

Gestem nakazałem jej, aby wyszła, drzwi zostawiłem uchylone. Urian poczłapał do Elżbiety i zaskomlał. Księżniczka pogłaskała go z roztargnieniem, rozczochrane włosy okalały jej twarz; spod rąbka ciemnej sukni wyłaniały się szczupłe, bose stopy. W alkowie panował przenikliwy chłód, ale Elżbieta nie włożyła butów.

– Nie – poleciła, zanim zdążyłem otworzyć usta. – Nie chcę tego słyszeć. Muszę zdecydować, które z ksiąg zabrać ze sobą do Tower.

– Wasza Książęca Mość nie jedzie do Tower. – Postąpiłem krok do przodu, zniżając głos, mimo że słyszałem, iż panna Parry kazała przejść służącym do innej komnaty.

Elżbieta odwróciła się do mnie, jej czarne oczy lśniły, odcinając się od ziemistej cery.

– Zatem wysyła mnie prosto na szafot?

– Odsyła panią z dworu. Nie wiem dokąd. Zanim jednak to uczyni...

– Wypyta mnie. Czy mam się poddać przesłuchaniu na oczach całego dworu?

Nie odpowiedziałem. Nasze spojrzenia skrzyżowały się, po czym Elżbieta odwróciła wzrok. Udawała, że z powrotem zajmuje się pakowaniem ksiąg. Po chwili

dobiegł mnie jej głos:

– Jeżeli cię przysłała, domyślam się, iż nie straciłeś jej względów. Czy to oznacza, że nasza sprawa została rozwiązana?

– Tak. Doręczyłem listy Jej Królewskiej Mości. Jestem odpowiedzialny za pojmanie Courtenaya. – Urwałem. – Ale Dudleyowi nic nie grozi. Na razie jest bezpieczny – choć na to nie zasługuje.

Niemal bezgłośnie wciągnęła powietrze, po czym przeszła mnie wzrokiem.

– A mój list?

– Nie było go. Pewnie zatrzymał go Dudley.

Zmrużyła oczy. Przyjrzała się uważnie mojej twarzy.

– Czy on ci to zrobił?

– Między innymi. Ale sam wyszedł na tym jeszcze gorzej.

Jej usta drgnęły; pojawił się na nich cień uśmiechu.

– Przypuszczam, że nie uradował się z waszego spotkania.

– Można tak powiedzieć. Wini mnie za wszystkie nieszczęścia, które spadły na niego i jego rodzinę. Zaklinał się, że gdy nadejdzie odpowiedni czas, dopilnuje, bym za to zapłacił.

Przytaknęła skinieniem głowy.

– Należało się tego spodziewać. Robert nigdy nie lubił brać odpowiedzialności, zwłaszcza jeżeli mógł rzucić ją na kogoś innego. – Wstała. Jej suknia była pomięta. – Zatem – ciągnęła – co jeszcze usłyszałeś

oprócz pogróżek i przechwałek? Wyznał ci wszystko?

– Większość, nie wiem jednak, na ile dać temu wiary. Spodziewałbym się również kręactwa. – Następnie, zanim zdążyłem się powstrzymać, spytałem: – Dlaczego? Dlaczego to pani zrobiła?

Tym razem po jej wargach przemknął uśmiech.

– Sądzę, że już wiesz. A jeżeli nie, Cecil wie. Dlatego cię tu przysłał. Chyba się nie spodziewaliście, iż będę spokojnie czekała, aż Renard ze mną skończy? Uczyniłam to, co musiałam. Nie żałuję tego. Żal mi jedynie, że naraziłam na niebezpieczeństwo tych, na których mi zależy. – Uniosła dłoń do szyi. – Bardzo mnie zasmuciła wieść o Peregrinie – powiedziała. – Nie pozwoliłabym, by sprawy zaszły tak daleko, gdybym wiedziała, iż przyjdzie ci zapłacić taką cenę.

– To Peregrine zapłacił. Żałuję, że nie ja. – Nasze spojrzenia skrzyżowały się. – To jeszcze nie koniec. Renard jest wściekły. Zrobi, co w jego mocy, żeby posłać panią pod katowski topór. Nadal grozi pani niebezpieczeństwo.

Odwróciła wzrok. Sięgnęła pod łoże po pantofle; różowe jedwabne wstążki oplątały jej smukłe palce.

– Niebezpieczeństwo grozi mi od dnia, w którym moja siostra została królową. Nigdy nie przebaczy mi ani nie zapomni naszej przeszłości. Jeżeli nie skrzywdzi mnie dzisiaj, uczyni to jutro. Tego jednego jestem pewna.

„Różnice w wyznawanej wierze mogą oddalić nawet

tych, którzy powinni być sobie najbliżsi...”

Słowa Sybilli rozbrzmiewały mi w głowie, podczas gdy śledziłem spojrzeniem Elżbietę, która podeszła do zmatowiałego zwierciadła ocenić swój wygląd.

– Czy pragniesz usłyszeć ode mnie coś jeszcze? Pytaj teraz, gdyż później może zabraknąć mi cierpliwości. A może tak bardzo się mną rozczarowałeś, że wolisz zamiast mnie służyć mojej siostrze?

– Ślubowałem wierność tobie, pani. Po tym wszystkim, czego dokonałem, nadal we mnie wątpisz? – Odwróciła się od zwierciadła. Choć nie powiedziała ani słowa, dostrzegłem, iż czająca się w jej oczach hardość ustępuje. – Nigdy cię nie opuszczę, pani – zapewniłem – nie z własnej woli.

Elżbieta przygryzła wargę.

– Panno Parry – zawołała. Do alkowy wpadła zaufana dama dworu. – Odnoszę wrażenie, że nadużyliśmy gościnności tutejszej gospodyni – oznajmiła Elżbieta. – Muszę stawić się przed obliczem mojej siostry i królowej i poprosić ją o pozwolenie na opuszczenie dworu. Nie sądzę, byśmy otrzymały zgodę na powrót aż do samego Hatfield – dodała, zerkając na mnie – lecz być może moja rezydencja w Ashridge okaże się dobrym miejscem. – Wzdrygnęła się, była to jedyna oznaka strachu, jaki zapewne odczuwała głęboko na dnie serca. – Padnę przed nią na kolana, jeżeli zajdzie taka potrzeba. Przynieś mi białą suknię. Muszę wyglądać... pokutnie.

Panna Parry skinęła głową, po czym wybiegła spełnić

polecenie.

Elżbieta utkwiała we mnie wzrok.

– Nadal mamy czas. Robert nie zatrzymał tego listu. Nie dlatego, że cokolwiek go obchodzisz, ale dlatego, że nie pozwoli, by stała mi się krzywda. Ma wiele wad, pragnie bardzo wielu rzeczy, ale nie mojej śmierci. Jeżeli brakuje mojego listu, musi go mieć ktoś inny.

Natychmiast obróciłem się do drzwi.

– Zaczekaj – powiedziała. Spojrzałem przez ramię. – Czyń, co należy – szepnęła. – Bez względu na wszystko, Renard nie może go przechwycić. Jeżeli mu się uda, będzie to oznaczać zgubę – dla nas wszystkich.

Wymaszerowałem do przyległej komnaty, zaskakując pannę Parry, która drgnęła wystraszona, gdyż właśnie spieszyła do księżniczki z suknią. Dopiero gdy znalazłem się sam w krużganku, pozwoliłem sobie na moment zastanowienia. Oparłem się o ścianę i wypuściłem powietrze, które wydawało się tkwić w moich piersiach niczym ciernie.

„Kobieta taka jak ona może doprowadzić mężczyznę jedynie do zguby...”

Wiedziałem, kto przejął list Elżbiety.

Kilka chwil później pojawiła się księżniczka. W srebrzystobiałej atlasowej sukni, z rozpuszczonymi włosami i wpiętą w nie prostą ozdobą w kształcie półksiężyca wyglądała niemal pogodnie. Usiłowałem skupić się jedynie na tym, by przeprowadzić ją przez pałac do królewskich komnat, choć serce waliło mi jak

młotem i nie mogłem się doczekać, aż będę mógł się oddalić i ruszyć na poszukiwania kobiety, która najwyraźniej zwiodła mnie bardziej, niż mogłem się spodziewać.

Maria czekała w sali audiencyjnej strojna w wyszywaną klejnotami suknię ciężko zwisającą z jej szczupłych ramion, wokół niej stali surowi, odziani w czarne szaty członkowie rady. Gdy Elżbieta złożyła ukłon, królowa szorstkim gestem nakazała jej iść za sobą, po czym odwróciła się bez słowa i ruszyła w stronę komnaty, w której odbywały się posiedzenia rady, za nią zaś weszli srodzy dostojnicy. Elżbieta nawet na mnie nie spojrzała; weszła do komnaty sama, z podniesioną głową, jak gdyby rzeczywiście nie miała nic do ukrycia.

Drzwi zamknęły się. Damy dworu królowej natychmiast poczęły szeptać, rzucając mi pytające spojrzenia, których unikałem. Zauważyłem już, że Sybilli nie ma wśród nich, gdzieś jednak musiała być. Nie zdołałaby tak szybko uciec, nie z Londynu. Gdzie mogłaby się ukryć? Zapewne miała przy sobie list, który wyjęła z tuby, zanim mi ją oddała; być może uznała owo pismo za kartę przetargową, którą mogła się posłużyć w rozmowach z Renardem, gdyby ten odkrył jej intrygi i groził jej śmiercią.

Wpierw musiałem ją odnaleźć.

Nagle dostrzegłem wpatrującą się we mnie bacznie pannę Dormer; bez namysłu poszedłem do niej i chwyciłem smycz, na której trzymała pieska.



– Blackie wygląda, jak gdyby musiał wyjść za potrzebą – oznajmiłem, a następnie pociągnąłem szarpiącego się i warczącego spaniela do krążganek, zaś młoda dwórka pospieszyła za mną.

– Co pan robi? – zawołała oburzona, gdy maszerowałem z czworonogiem przez krążganek.

Okazało się, że piesek rzeczywiście potrzebował wyjść. Za pierwszym rogiem uniósł tylną łapę i zmoczył mur.

Jane wydała stłumiony okrzyk.

– Należy wyprowadzać go na zewnątrz! Królowa ostrzegła mnie, że jeśli znów zrobi to w pałacu, każe mi go oddać. Mówi, iż Whitehall cuchnie...

Obróciłem się do niej gwałtownie.

– Gdzie ona jest? Gdzie jest panna Darrier?

– Skąd... skąd mam to wiedzieć? – Cofnęła się, zerkając przez ramię na dwoje dworzan przechodzących obok. – Nie mnie śledzić poczynania...

– Proszę nie kłamać. – Postąpiłem krok do przodu, ciągnąc Blackiego za sobą. – Nie bez powodu opowiedziała mi pani o niej. –Urwałem. – Zdaje sobie pani sprawę z tego, że księżniczka nadal jest następczynią tronu? Jeszcze nie została wydziedziczona, a królowa jest jej siostrą, najbliższą krewną. Mogą dojść do porozumienia. Dla mnie i dla pani byłoby lepiej, gdybyśmy stali po stronie zwycięzców.

W lot pojęła aluzję.

– Pan... pan służy... jej?

– Służę Tudorom. I muszę odnaleźć pannę Darrier, zanim będzie za późno. To sprawa życia i śmierci. Proszę mi pomóc, a ja dopilnuję, by pani zasługi zostały docenione. Nadal pragnie pani poślubić księcia Ferię, nieprawdaż? Wstawię się za panią u królowej, przyrzekam.

Uniosła brwi. Posunąłem się za daleko i ona o tym wiedziała. Nie miałem prawa niczego obiecywać. Niespodziewanie stanowczym ruchem Jane wyjęła mi z ręki smycz.

– Ostrzegłam pana, ponieważ pana lubię. Jednak moja sympatia do pana zaczęła słabnąć. Postąpił pan jak człowiek z pospólstwa, a nie szlachetnie urodzony. – Wyprostowała się. – Nie wiem, gdzie ona jest. Zawsze robi to, na co przyjdzie jej ochota. Dlaczego nie zapyta pan don Renarda albo hrabiego Devon, jeżeli zdoła go pan odnaleźć? On, zdaje się, również zaginął, podobnie jak panna Darrier. Być może są razem. Bez wątplenia jeden z nich powinien wiedzieć, co panna Darrier robi w chwili, gdy powinna przebywać w komnatach królowej.

– Razem? – szepnąłem. – Ona i Courtenay?

– Zatem pan naprawdę nic nie pojmuje? – spytała. – Przed pana przybyciem panna Darrier i hrabia Devon przyjaźnili się ze sobą. Niektórzy sądzili, że będzie zmierzała do tego, aby go poślubić, później jednak okazało się, że on zabiegał o królową, a gdy ta go odrzuciła, przeniósł swoją uwagę na Elżbietę.

Przypuszczam jednak, iż to nie powstrzymało panny Darrier. Kobieta, która nie skąpi swoich wdzięków ambasadorowi i hrabiemu, a jednocześnie knuje intrygę, aby ukraść narzeczonego drugiej kobiecie, jest zdolna do wszystkiego.

Zapadła pełna grozy cisza, ja zaś przypominałem sobie dzień, gdy Sybilla zagadnęła mnie na krużganku, a następnie natknęliśmy się na Elżbietę i Courtenaya. Powiedział wtedy: „Panno Darrier, na pani miejscu byłbym bardziej uważny w doborze towarzystwa, w którym trwoni pani swój czas. Nie warto, by ktokolwiek pomyślał, że przestaje pani z wrogiem, nieprawdaż?”.

Znali się. I było to coś więcej niż przelotna znajomość.

Jane przyglądała mi się ze zniecierpliwieniem.

– Wygląda pan na wzburzonego. Nie pojmuję dlaczego. Wspominałam już, że nie jest to kobieta godna szacunku. – Szarpnęła za smycz Blackiego. – Teraz pozwoli pan, że się oddalę, panie Beecham. Sądzę, iż powiedzieliśmy wszystko, co mieliśmy sobie do powiedzenia. – Obróciła się, aby wrócić do komnat królowej, Blackie dreptał przy jej nodze.

Nie mogłem się ruszyć. W lupanarze Courtenay powiedział: „nie gustuję w chłopcach”.

Nie kłamał.

Tamtej nocy w Jastrzębim Gnieździe czekał na Sybillę.

Pędem puściłem się z powrotem do swojej izby. Nie miałem pojęcia, jak długo może potrwać przepytywanie Elżbiety, ale musiałem się przygotować. Przeczuałem, że Courtenay ukrył się w lupanarze w Southwark; musiałem dotrzeć do niego, zanim go wytropią niczym zająca. Jeżeli Sybilla uwiodła hrabiego, prawdopodobnie wcześniej ode mnie odkryła jego udział w spisku; zapewne wiedziała, że dostarczał listy Dudleya i że Renard będzie próbował je przechwycić. Nie bez powodu wykradła list Elżbiety z tuby, po czym przekazała mi pozostałe pisma, aby przypieczętować zgubę Courtenaya. Nie miałem pojęcia, komu służyła, ale z pewnością nie był to ambasador. Chciała, by hrabia wpadł we własne sidła, chciała również złapać w sidła mnie, i należało ją powstrzymać.

Ja musiałem ją powstrzymać.

Stałem pod drzwiami i sięgnąłem do kaftana po klucz, gdy nagle rozległy się za mną kroki. Zanim zdążyłem wyszarpnąć sztylet zza cholewy, dostałem pięścią w brzuch. Zaparło mi dech w piersiach, zgiąłem się wpół i opadłem na kolana.

– Gdzie ona jest? – Z mroku wyłonił się Renard.

Jego pachołek kopnął mnie. Stęknąłem, poczułem smak krwi.

– Pytam ponownie: gdzie ona jest? Trzeci raz nie zapytam.

Podniosłem wzrok. Renard przyglądał mi się obojętnie, krzepki najemnik stał nade mną

z zaciśniętymi pięściami. Omiotłem go spojrzeniem, po czym podniosłem się z klęczek i usiadłem. Poznałem pachółka, był to towarzysz drobnego szermierza, który odebrał mi tubę. Przed oczami stanęła mi ciemna, wysmukła sylwetka fehmistrza odpierającego moje niezdarne ataki z łatwością dorosłego bawiącego się w pojedynki z dzieckiem. Przypomniałem sobie lśniące oczy spoglądające na mnie zza maski, zwinność i szybkość.

Następnie zaś przypomniałem sobie, jak chwyciłem Sybillę za nadgarstek i poczułem jej ukrytą siłę.

Ów fehmistrz nie był mężczyzną.

To była ona.

– Sądziłeś, że mnie przechytrzysz? – Głos Renarda przebił się przez moje rozmyślenia. – Przez całe życie gram w tę grę; mógłbym poderżnąć ci gardło w tej chwili i nikt by nawet słówkiem nie pisnął.

– Poza królową – odparłem, oddychając przez nos. – Poleciała mi odkryć jak najwięcej szczegółów związanych z tą intrygą. Jeżeli zaginę, będzie wiedziała, kogo o mnie spytać.

Renard skrzywił się.

– Czyżbyś mi groził? Doradzam ostrożność. Królowa już ci nie ufa; podobnie jak ja nie wierzy, że może istnieć człowiek bez przeszłości. – Machnęła niecierpliwie ręką. – Dość tego. Męczy mnie ta sprawa. Gdzie jest panna Darrier? Wiem, że knułeś razem z nią przeciwko mnie, tak samo jak wiem, że zdołałeś wykraść

te piekielne listy. Miała je odzyskać, ale zdradziła mnie.

Spojrzałem mu w oczy.

– O ile wiem, zasłużyłeś sobie na to.

Gniew wykrzywił mu rysy.

– Zapłaci za to głową – warknął. Zaraz jednak zebrał się w sobie i uśmiechnął lodowato. – Choć muszę przyznać, że świetnie odegrała swoją rolę. W zamian za współpracę zaaranżowałem nawet jej małżeństwo z Ferią. – Urwał. – A ty: pojawiłeś się nader niespodziewanie, podając się za człowieka najemnego, aby móc ocalić tę heretyczkę Elżbietę. Nikt nie zdołał cię przejrzeć. Prócz Sybilli. Zna się na podstępach; od początku cię podejrzewała. Choć wydaje się, że zdołałeś ją oczarować. Do tej pory zawsze była mi wierna. Co jej obiecałeś? Bezpieczeństwo w zamian za listy? Być może pieniądze? Tak, sądzę, że pieniądze przesądziłyby sprawę. To przecież ladacznica. Jej matka uległa mi tej samej godziny, kiedy się poznaliśmy, a gdy nie spełniła moich oczekiwań, zamiast niej wziąłem Sybillę. Jej życie zależy od mężczyzn takich jak my. Twoja alkowa czy moja: żadna różnica, najważniejsze, aby się opłacało.

Poczułem, że dłonie same zaciskają mi się w pięści. Jeżeli posunął się do ostateczności i czekał przed moją izbą, aby mnie zastraszyć, oznaczało to, iż jest w rozpaczliwej sytuacji. Sybilla zniweczyła jego zamierzenia wobec Elżbiety i teraz Renard chwycił się już każdego sposobu, aby nie pójść na dno. Bez listu nie miał właściwie nic. Księżniczka zostanie przepytana,

a następnie wypuszczona. Jeżeli tak się stanie, nigdy więcej nie trafi mu się szansa, by ją zniszczyć.

Nie spuszcżając z oka pochmurnego najemnika, chwiejnie dźwignąłem się na nogi.

– Nie muszę ci nic mówić. Gdybyś zapomniał, nie służę już tobie.

Uśmiech zniknął mu z twarzy. Uniósł rękę, zatrzymując pachołka, który mruknął coś po hiszpańsku i chciał ruszyć w moją stronę.

– Pożałujesz tego – powiedział Renard. – Jej Królewska Mość pokłada we mnie zaufanie, mimo że usiłowałeś dziś ośmieszyć mnie w jej oczach. Niemniej możemy jeszcze dojść do porozumienia. Sprowadź do mnie pannę Darrier, a ja daruję ci życie. Nie wygrasz; niezależnie od twoich wysiłków syn mojego władcy, cesarza, poślubi królową i dopilnuje, aby głowa Elżbiety stoczyła się z tego samego pnia, z którego stoczyła się głowa jej matki. Dobrze ci radzę – rozważ, komu służysz, póki jeszcze na to pora. Jeżeli się nie opamiętasz, twoje dni, podobnie jak dni Elżbiety, będą policzone.

– Moje dni już dawno miały być policzone, między innymi wtedy, gdy podrzuciłeś mi zatruty list. Nie zawieram porozumień z mordercami. Przez ciebie nie żyje mój giermek.

Renard nagle wybuchł śmiechem, w którym pobrzmiwało okrucieństwo.

– Winisz mnie za śmierć swojego giermka? – Zajrzał

mi w oczy. – Nie jesteś tak przebiegły, jak sądziłem. Nigdy nie lubowałem się w truciznach. Możesz być pewien, że gdybym pragnął pozbyć się ciebie, nie byłoby cię już na tym świecie. – Cofnął się. – Życzę ci powodzenia. Sądzę, że będzie ci potrzebne.

Odszedł, za nim poczłapał najemnik, rzucając mi przez ramię ostatnie chmurne spojrzenie.

Upchnąłem swoje rzeczy do torby, narzuciłem pelerynę, przypasałem rapier. Zostawiłem izbę pustą, taką jaką zastałem, gdy zjawiłem się w niej po raz pierwszy; nie zamierzałem tu wrócić. Gdyby przyszło mi nigdy więcej nie oglądać Whitehall na oczy, byłbym szczęśliwy.

Gdy dotarłem do krużganka i usłyszałem gwar wzburzonych głosów, pospieszyłem w stronę komnat królowej. Drzwi nadal były zamknięte, strzeżone przez wartowników, kiedy jednak się rozejrzałem, dostrzegłem pannę Parry trzymającą się nieco z boku od tłumu dworzan, jak gdyby ona również na kogoś czekała.

Gdy nasze spojrzenia spotkały się, odwróciła się na pięcie i odeszła. Ruszyłem za nią, zachowując odpowiednią odległość, dopóki nie znaleźliśmy się w pustym korytarzu wiodącym do komnat księżniczki. Nie patrząc na mnie, panna Parry rzuciła:

– Pozwolono jej wyjechać do Ashridge. – Głos jej drżał. – Dzięki Bogu, wreszcie możemy opuścić to gniazdo papistów.

Poczułem ulgę.



– A hrabia? Pojmano go?

Pokręciła głową.

– Wydano rozkaz. Ale nikt nie wie, gdzie hrabia się podział.

– Zatem nie mogę wyjechać. Jej Książęca Mość zrozumie dlaczego. Proszę jej przekazać, że dołączę do niej możliwie najszybciej.

Przytaknęła skinieniem głowy.

– Niech Bóg ma cię w swojej opiece – powiedziała, po czym co tchu pomknęła do komnat księżniczki.

Popołudniowe słońce gasło, sprowadzając na ziemię przedwczesny zmierzch. Owinięty peleryną stałem w zacienionej wnęce dziedzińca i patrzyłem, jak Elżbieta żegna się z królową.

Płatki śniegu z wolna przyprószały splecione w warkoczyki końskie grzywy, zdyszanych paziów ładujących na wozy ostatnie kufry i skrzynie, miedzianozłote pukle księżniczki upięte na karku siateczką oraz jej smukłą sylwetkę odzianą w czarny aksamit.

Niewielu przyszło zobaczyć jej odjazd, choć w oknach krużganków okalających podwórzec dojrzałem dworzan, którzy kryjąc się pod murami i z bezpiecznej odległości obserwując całe zdarzenie, czekali z zapartym tchem, aż królowa w ostatniej chwili nakaze Elżbiecie wrócić do komnat, skąd po niedługim czasie księżniczka wyruszy w swoją ostatnią, krótką podróż do Tower.

Otoczona wianuszkami dwórek Maria postąpiła parę

kroków w przód, jej fioletowa opończa załopotała na wietrze. Monarchini, która do pasa miała przypięty zdobny w klejnoty różaniec, stanęła naprzeciwko siostry niczym przeciwniczka w pojedynku.

Elżbieta skłoniła się, niemalże opadając na kolana, nisko pochyliła głowę. Przybyła na dwór jako następczyni tronu i umiłowana siostra władczyni, a w niespełna sześć miesięcy później wyjeżdżała w atmosferze nienawiści i podejrzeń. Współczułem jej z całego serca, gdy królowa wyciągnęła do niej dłoń z sygnetem. Ów gest nie miał w sobie nic z miłosierdzia, nie było w nim przebaczenia ani szczodrości; Maria wydawała się równie wyniosła jak górująca nad nami wieża zegarowa.

W ciszy, którą przerywały jedynie wiatr i skapywanie topniejącego śniegu, trzymając drobną dłoń królowej w rękach, Elżbieta podniosła głos i oznajmiła głośno, tak aby słyszeli ją wszyscy obecni:

– Opuszczam Waszą Królewską Mość z ciężkim sercem, wymagają tego jednak okoliczności i moje wątłe zdrowie. Niemniej zapewniam, że pozostaję twoją lojalną poddaną, która darzy cię miłością bardziej niż ktokolwiek inny. Zaklinam cię, abyś nie dawała wiary osobom szerzącym o mnie niegodziwe pomówienia i uniemożliwiających mi dowiedzenie fałszywej natury owych oszczerstw, gdyż wierność tobie jest dla mnie sprawą honoru.

Była to wspaniała mowa, doskonały przykład sztuki

retorycznej, w której Elżbieta celowała. Jak można było się spodziewać, Maria w odpowiedzi zacisnęła usta, jej cienkie białe wargi zmieniły się w dwie ledwie widoczne linie. Wstrzymałem oddech, wszyscy pozostali również zamarli w oczekiwaniu. Elżbieta zerknęła ostrożnie ponad ramieniem siostry na Renarda, który stał kilka kroków z tyłu za królową. Choć kapelusz osłaniał mu twarz, zapewne wpatrywał się w księżniczkę z płomienną zawziętością. Gdyby to od niego zależało, ta chwila wyglądałaby zupełnie inaczej.

Maria cofnęła rękę. Jakieś nieuchwytne, ulotne i przejmujące uczucie przemknęło jej po twarzy. Uśmiech, na który próbowała się zdobyć, przerodził się w chłodny grymas; pod wpływem impulsu wyciągnęła ramię i ponownie chwyciła dłoń Elżbiety, jak gdyby w przeproszającym geście.

W następnej chwili zawołała swoją damę dworu.

Zbliżyła się do nich lady Clarencieux, niosąc coś, co wyglądało jak małe zwierzę. Gdy księżniczka przejęła podarunek, rozłożyła ręce, rozwijając między nimi długie lśniące okrycie z soboli – pelerynę z wszytymi rękawami i kapturem wykonaną z miękkiego aksamitu i wytwornego futra sprowadzonego z Rosji.

– W Hertfordshire panują chłody – powiedziała Maria – a ty, jak sama zauważyłaś, jesteś wątłego zdrowia. Nie chcielibyśmy, abyś zaniemogła z powodu braku odpowiedniej opieki.

Elżbieta chciała coś powiedzieć, jej oczy zaszkliły

się; zanim jednak zdążyła przemówić, królowa raz jeszcze wydała krótkie polecenie i tym razem naprzód wystąpił brat zakonny odziany w pelerynę i habit zakonu franciszkanów, przepasany sznurem swojego zgromadzenia. Na jego widok księżniczka spochmurniała.

– Zapewniałaś nas, że pragniesz poznać naszą wiarę – podjęła królowa. – Ów zakonnik uda się z tobą do Ashridge, aby udzielać ci nauk. Zabiera ze sobą spisane zasady wiary, które będziesz mogła studiować codziennie i czerpać z nich pocieszenie. Modlimy się, abyś wkrótce pojęła, że jedynie odrzucając heretyckie wierzenia wpojone ci za młodu, możesz dowieść swojej lojalności, którą tak żarliwie deklarujesz.

Maria cofnęła się. Sobole przelewały się Elżbiecie przez ręce. Odwróciła się do panny Parry, przekazała jej ciężkie futrzane zwoje, a następnie ponownie złożyła głęboki ukłon i wsiadła do powozu. Opuszczała pałac w otoczeniu licznej świty złożonej z dam dworu, zbrojnych rycerzy oraz zwierząt – konia arabskiej krwi, Cantili, oraz Uriana.

– Niniejszym postanawiamy ponownie obdarzyć cię zaufaniem – oznajmiła Maria, na co Elżbieta znieruchomiała w połowie ruchu. – Jeżeli będziesz wiodła spokojny żywot w Ashridge, szczerść twoich intencji zostanie doceniona.

Księżniczka zatrzymała się, powiodła wzrokiem po zgromadzonych. Choć nie mogła dostrzec mnie wśród

zebranych dworzan, miałem nadzieję, że w jakiś sposób wyczuła moją obecność.

Strzeliły bity, zastukały kopyta i orszak wyjechał przez pałacową bramę. Tłum się rozproszył, dworscy dostojnicy pospieszyli na krużganki, aby dołączyć do tych, którzy oglądali ceremonię pożegnalną z ukrycia, i naradzić się, wymienić spostrzeżenia i obstawić szanse Elżbiety.

Owinięty opończą wmieszałem się w szemrającą ciżbę.

Nadszedł czas rozpocząć własny ostateczny pojedynek.

# SOUTHWARK

## Rozdział 18



Przemierzyłem oszronione ogrody i pole turniejowe, po czym skierowałem się do stajni. Ucieszony moim przyjściem Cinnabar zarzął cicho w swojej zagrodzie; zatrzymałem się przy nim dłuższą chwilę, głaszcząc go i uspokajając. Nie chciałem ponownie ryzykować konnej przeprawy przez most ani, dosiadając wierzchowca, stać się łatwym celem. Jeżeli Renard kazał mnie śledzić, tym razem niech ścigają mnie pieszo.

Zapłaciłem Toby'emu sownie i pouczyłem, co ma zrobić z Cinnabarem, jeśli nie wróć.

– Wyślij go do Ashridge jako podarunek Jej Księżęcej Mości księżniczce Elżbiecie. Ona cię wynagrodzi.

Gdy wychodziłem ze stajni, Cinnabar zarzął, a ja poczułem ukłucie strachu. Nie wiedziałem, czy jeszcze kiedyś będzie mi dane go ujrzeć; czy będzie mi dane ujrzeć kogoś, kogo kocham.

Wymknąłem się w lodowaty mrok i ruszyłem w kierunku rzeki. W pobliżu stopni prowadzących do rzeki usłyszałem, że ktoś za mną idzie. Czmychnąłem do najbliższej bramy, sięgnąłem po rapier. Kroki zbliżały się powoli, niepokojący odgłos szurania zgrzytał mi

w uszach. Mocniej ścisnąłem rękojeść i już miałem skoczyć do ataku, gdy spostrzegłem się, że postać, która wyłoniła się obok mnie, to kuśtykająca żebraczka. Mamrotała coś pod nosem i ciągnęła za sobą zniekształconą nogę owiniętą łańchmanami. Nie zauważyła mnie, choć czailem się z obnażonym rapierem zaledwie parę kroków od niej. Kiedy się oddaliła, ostrożnie rozejrzałem się po okolicy, po czym ruszyłem przed siebie.

Lód na Tamizie zaczął się rozstępować, delikatna odwilż panująca od kilku dni podzieliła go na grube tafle przesuujące się razem z nurtem. Pływanie między nimi było niebezpieczne, przypuszczałem jednak, że wśród dziesiątek przewoźników znajdzie się paru takich, którzy w obliczu śmierci głodowej będą woleli zaryzykować powrót do pracy. Jednego ze śmiałków dostrzegłem przy schodach, stał, rozcierając zeszywniałe od mrozu dłonie.

Skwapliwie schował dukata, którego mu wręczyłem, po czym ostrożnie wszedł na chwiejącą się łódkę. Siadając na ławce, ze wszystkich sił starałem się stłumić nękający mnie od dzieciństwa strach przed odmętem. Wypłynęliśmy na rzekę, lód chrobotał o boki łódki; przewoźnik lawirował między krami, odpychając większe z nich wiosłem. Bez przerwy myślałem tylko o tym, że jeśli jedna z tych ostrych tafli uderzy w kadłub, pójdziemy na dno jak kamień.

Mimo wszystko udało nam się bezpiecznie dotrzeć na drugi brzeg, choć po drodze zmarłem na kość od

przenikliwego wiatru. Zapłaciłem przewoźnikowi kolejnego dukata, aby czekał na mój powrót, po czym puściłem się pędem krętymi, brudnymi uliczkami w stronę Jastrzębiego Gniazda.

Drzwi i okiennice przybytku były zamknięte na głucho, broniąc budynek przed niegościnnym mrokiem nocy. Patrząc na fasadę domu, miałem wrażenie, że minęły lata, odkąd po raz pierwszy go ujrzałem. Zastukałem do drzwi i ni stąd, ni zowąd wpadła mi do głowy myśl, iż być może zastanę tu Dziobatego.

– Człowiek hrabiego – rzuciłem olbrzymowi w sieni łypiącemu na mnie lubieżnym okiem. Wysypałem na jego mięsistą łapę resztę dukatów podzwaniających w mojej sakiewce. – Jest w środku?

– Kto? – Schował dukaty do kieszeni. – Nie wiem, o co ci idzie, chłoptasiu.

Pewnie zabili go na gościńcu i porzucili ciało gdzieś, gdzie nikt go nie znajdzie, dopóki psy albo jastrzębie nie rozwłoką jego kości. Choć nie uczynił nic, czym zaskarbiłby sobie moją życzliwość, i tak zrobiło mi się go żal. Żaden człowiek nie zasłużył na taki koniec.

Ruszyłem pewnie przed siebie, olbrzym złapał mnie jednak za rękaw.

– Nie tak szybko. Jeszcze wstęp i broń.

W odpowiedzi obróciłem się gwałtownie i trzasnąłem go rękajeścią sztyletu prosto w twarz. Krew buchnęła mu z nosa. Uderzyłem go ponownie, następnie zaś wymierzyłem cios w krocze. Jęknął i osunął się na



podłogę, chwytając się za saczek.

– Suczy syn – dobiegło mnie jego sapnięcie. – Ty nędzny kurwi...

Zdzieliłem go ponownie, tym razem uciszając. Wszedłem do głównej sali z nadzieją, że go nie zabiłem.

Salon był opustoszały. Siedziało w nim zaledwie kilku zamaskowanych mężczyzn, pili i grali w kości zabawiani przez niemrawych chłopców, którzy nie silili się nawet na kołysanie biodrami. Zerknąłem na stół obok schodów, przy którym Dziobaty tkwił niegdyś na posterunku, teraz jednak nie było tam nim nikogo.

Wspiąłem się na piętro i przystanąłem, nasłuchując charakterystycznych odgłosów klientów sycących cielesne żądze. W mroku przemknęło obok mnie kilka kotów, zza drzwi nie dobiegały jednak żadne dźwięki. Czyżby wieści z pałacu rozchodziły się po mieście aż tak błyskawicznie?

Nie zadałem sobie trudu, aby zapukać. Kopniakiem otwarłem na oścież drzwi wiodące do izby Courtenaya. Był sam, siedział przy stole, przed nim stał dzban i kielich. Wystraszony drgnął i podniósł wzrok, a gdy mnie zobaczył, spochmurniał.

– Ty parszywy kundlu. Zdradziłeś mnie.

Zamknąłem za sobą drzwi, oparłem się o nie i skrzyżowałem ręce na piersiach. Choć pragnąłem chwycić go za koszulę i potrząsnąć nim tak, aby wytrząść z niego ducha, potrzebowałem jego pomocy i najlepiej, gdyby ofiarował mi ją z własnej woli, bez

przymusu.

– Prawdę mówiąc – zacząłem – obydwaj zostaliśmy zdradzeni. Panna Sybilla Darrier; to z nią tutaj się spotykałeś, nieprawdaż?

Sięgnął po dzban. Przyskoczyłem do niego i wyrwałem mu naczynie z ręki.

– Jeżeli o mnie chodzi, możesz zapisać się na śmierć, ale wpierw powiesz mi wszystko, co wiesz.

Z bliska dostrzegłem, że oczy ma nabiegłe krwią, podkrążone. Wydawał się również na wpół pijany, co nie ułatwiało mi zadania.

– Królowa nakazała cię pojmać – oznajmiłem. – W tej chwili, kiedy tu rozmawiamy, już cię szukają.

Pobladł. Chwiejąc się, wstał z krzesła, wysunął brodę do przodu, poczułem jego oddech zalatujący winem.

– Tak, a dlaczego? Ponieważ zełgałeś! Przyrzekłeś, że dopilnujesz, bym był bezpieczny. Powiedziałaś, że jeżeli ci pomogę, nie napuścisz ich na mnie. A jednak dałeś im te listy. Dlaczego miałbym ci teraz zaufać i cokolwiek wyjawić?

– Ponieważ obydwu nas oszukano – wyjaśniłem. – Ona to wszystko zaplanowała. Wykradła listy Dudleya, ale wtedy nie wiedziałem, że to jej dzieło. Potem zwróciła mi je, twierdząc, iż odebrała je Renardowi. Musiałem przedstawić coś królowej, zanim Renard wystąpi przeciwko księżniczce. Stałem przed wyborem: potoczy się twoja głowa lub Elżbiety. Tak to wtedy widziałem.

Gniew w spojrzeniu Courtenaya przygaśł.

– Ona... ona to zaplanowała? – wyszeptał.

Wpatrywaliśmy się w siebie nawzajem – on ze zdumieniem, ja z mocą.

– Przekonała mnie, że chce mi pomóc. Teraz jednak wiem, iż mnie zwiodła. – Nachyliłem się do niego. – Służy komuś innemu. Muszę się dowiedzieć, gdzie się ukryła.

Miałem nadzieję wydobyć z niego cenne informacje, jednak hrabia obrzucił mnie niewidzącym wzrokiem i odwrócił się chwiejnie.

– Powiedziała mi, że Renard haniebnie ją wykorzystał – wymamrotał, jak gdyby głośne nazwanie jej obłudnicą mogło przynieść mu ulgę. – Powiedziała, że jest Angielką, że popiera naszą sprawę. Uwierzyłem jej. Była taka piękna, tak bardzo przekonująca... Wyznałem jej wszystko o spisku i listach Dudleya.

– I o mnie – dodałem.

Żałośnie przytaknął skinieniem głowy.

– Przyszła do mnie tego samego wieczoru. Pytała o ciebie. Powiedziałem jej, że twierdzisz, iż służysz Elżbiecie, i że groziłeś mi, dlatego muszę pomóc ci przedostać się do Tower. Później, gdy zobaczyłem cię z nią w pałacu, pomyślałem, iż będzie chciała cię przekonać do przejścia na naszą stronę. – Urwał, otworzył szerzej oczy, zdając sobie w pełni sprawę z własnej łatwowierności. – Boże, dopomóż, ona kłamała. Wykorzystała mnie do własnych celów. Co ja

teraz pocznę?

– Powiedz, gdzie się ukryła. Nadal jeszcze możesz uciec. Ale ona ma list Elżbiety; muszę go odzyskać.

Po policzkach spłynęły mu łzy.

– Będą mnie torturować, nieprawdaż? Łamać kołem w katowni. Rozdzierać hakami; przypalać pochodniami i chłostać do żywego mięsa, ale to nic nie zmieni, nie powstrzymają tego. Nadejdą pozostali. Powstaną przeciwko królowej. A Sybilla wie; ona wie wszystko.

Poczułem się tak, jak gdyby ziemia zaczęła mi się rozstępować pod stopami.

– Pozostali? Jacy pozostali?

Zamilkł, zacisnął szczęki. Po chwili jednak podjął:

– Wielmoże, do których pisał Dudley – to zaledwie połowa. Nikomu nie ufał w pełni, dlatego polecił mi namawiać różnych innych możnowładców.

– Kogo? Kiedy zaczną działać?

– Gdy zostaną ogłoszone zaręczyny królowej – wymamrotał, spuszcżając wzrok – to będzie sygnał. Thomas Wyatt zebrał w Kent swoich stronników, planuje połączyć siły z księciem Suffolk i razem z jego ludźmi ruszyć na Londyn.

Książę Suffolk: ojciec Jane Grey. Niech Bóg ma ją w swojej opiece, Maria każe ją za to zgładzić. Biedna kobieta zapłaci za zdradę uknutą przez ojca i jego sojuszników. Nie mogłem tego dłużej słuchać. Chwyciłem Courtenaya za koszulę, poderwałem go z podłogi, uniosłem i przygniotłem do ściany. Jęknął;

gdy zerknąłem w dół, dostrzegłem ciemną stróżkę moczu znaczącą rajtuzy na jego udzie.

– Ty głupcze – syknąłem. – Pojmujesz, co razem z Dudleyem uczyniliście? Elżbieta mogła przez was stracić życie! Podobnie jej kuzynka Jane Grey. Sybilla zbierała informacje dla kogoś innego, a teraz, przez ciebie, ma wszystko, czego potrzebowała.

Courtenay wybałuszył oczy.

– Nie... nie zamierzałem skrzywdzić Elżbiety – wydał stłumiony jęk. – Przrzekam.

Zacisnąłem pięści na jego koszuli i przekręciłem materiał, przyduszając hrabiego.

– Muszę znaleźć Sybillę. Mów.

– Jest na Strand. – Głos mu się załamał. – W starej rezydencji Dudleyów. Tam się kryje.

Puściłem go, gdy dotknął podłogi, kolana się pod nim ugięły. Osunął się po ścianie i padł u moich stóp. Cofnąłem się. Pragnąłem mu współczuć, jednak czułem wobec niego jedynie odrazę. Przez swoją dumę i głupią ambicję utracił wszystko, Anglię zaś doprowadził na skraj wojny domowej.

Leżał bezwładnie, ja zaś dopiero wtedy usłyszałem dobiegający z dołu harmider – okrzyki przerażenia, brzęk spadających naczyń, łoskot przewracanych mebli oraz tupot ciężkich butów i głośnie, krótkie komendy. Do lupanaru weszli ludzie królowej.

Courtenay zaniósł się jękiem. Rozejrzałem się gorączkowo. Nie było dokąd uciec, pozostawało

jedynie...

Otwarłem okno na oścież i wyciągnąłem rękę do hrabiego.

– Chodź.

Skulił się.

– Nie... Nie mogę. Ja... boję się wysokości.

Nie zamierzałem prosić dwa razy. Wspiąłem się na parapet i spoglądając w dół, dojrzałem podwórze stajenne, na nim zaś rozpadające się zagrody dla koni. Zgiełk w lupanarze obudził wychudzonego psa przywiązanego do palika na podwórku. Zwierzę ujadło, szarpiąc się na postronku.

Spojrzałem w lewo. Do lupanaru przylegał mniejszy budynek z krytym strzechą dachem, który nie wydawał się nazbyt stromy. Po mojej prawej stronie zaczynała się ulica. Stałem na parapecie zewnętrznym i niebezpiecznie się zachwiałem. Mój oddech przyspieszył. Aby go uspokoić, nabrałem głęboko powietrza i powoli je wypuściłem. Po krótkim zastanowieniu doszedłem do wniosku, że ja również nie przepadam za wysokościami.

Wysunąłem stopę w bok, poza parapet, i wyczułem nią łuszczącą się belkę biegnącą wzdłuż ściany, nie szerszą niż dłoń. Zamarłem. Nie dam rady. Nie będę skakał po belkach jak jakiś przeklęty kot...

W korytarzu zagrzmiały głosy. Obejrzałem się przez ramię. Courtenay siedział skulony w rogu, struchlały ze strachu. Nie mogłem dłużej zwlekać.

Krok po kroku, nie patrząc w dół, przesunąłem się na belkę, plecami i rozłożonymi rękami przywarłem do butwiejącej od zewnątrz drewnianej ściany, obcasami ocierałem się o sople lodu. W pokoju za sobą usłyszałem głos Courtenaya, który począł się modlić:

– Słodki Jezu, wybaw mnie. Jezu Chryste, wysłuchaj moich błagań. – Następnie zaś dobiegł mnie trzask łamanych desek i huk otwieranych kopnięciem drzwi.

Brnąłem naprzód. Pies na dole wściekle ujadął.

W izbie rozległ się łomot. Dobiegł mnie przeraźliwy jęk Courtenaya.

Znaleźli go. Mozolnie posuwałem się w stronę końca budynku dręczony żywym wspomnieniem innej nocy, w której środkiem również uciekałem przez okno...

Przyspieszyłem, zostało mi zaledwie parę kroków.

Kryty strzechą dach znajdował się znacznie niżej, niż mi się zdawało, przykrywał go śliski topniejący śnieg. Zastanawiałem się, czy wytrzyma mój ciężar, czy też załamie się i przelece przez niego jak kamień wrzucony w wodę.

– Ktoś jest za oknem! – dobiegł mnie tubalny głos.

Odpiąłem pochwę z rapierem, upuściłem ją na ulicę.

– Ty! – zawołał gwardzista, wychylając się przez okno. – Stój, z rozkazu Jej Królewskiej Mości!

Zamknąłem oczy.

Skoczyłem.

Wydawało mi się, że lecę przez całą wieczność. Lodowate powietrze gwizdało mi w uszach. Czas zdawał

się zwalniać bieg, dzięki czemu zdołałem uchwycić olśniewającą panoramę rozjaśnionej blaskiem pochodni płataniny uliczek w Southwark oraz usłyszeć pełne niedowierzania i przerażenia okrzyki gwardzistów, którzy wyglądając przez okno lupanaru, patrzyli, jak spadam prosto – ich zdaniem – w objęcia śmierci.

Grzmotnąłem o strzechę. Mróz związał ułożoną warstwami słomę, przez co stała się ona twarda niczym mur. Ześlizgując się z dachu, zgiąłem kolana, rękami zaś zasłoniłem głowę. Rozmokły śnieg zalegający pod ścianą budynku złagodził siłę upadku; z całą pewnością tym razem leciałem krócej i zanim się spostrzegłem, leżałem jak długi na ulicy.

Zerwałem się na nogi, byłem zbyt przejęty, by czuć ból. Podniosłem rapier. Pies na stajennym podwórzu wył, lada moment gwardziści mogli wypaść z lupanaru.

Biegłem co tchu, zagłębiając się w labirynt walących się ruder i krętych alejek. Gwardziści przede wszystkim będą chcieli pojmać Courtenaya; przy odrobinie szczęścia uznają mnie za przestraszonego chłoptasia, który za wszelką cenę chciał umknąć, i po krótkich, pobieżnych poszukiwaniach w najbliższej okolicy zajmą się ważniejszymi sprawami. Przycupnąłem w bramie, aby złapać oddech, i nasłuchiwałem odgłosów pościgu. Nie usłyszałem nic.

Wątpiłem, że przewoźnik będzie na mnie czekał, on jednak był dokładnie tam, gdzie go zostawiłem. Wcisnął skórzany bukłak do kieszeni.



– Widzieliście ich? – dopytywał z przejęciem, sepleniąc z powodu braku większości zębów. – Ludzie królowej, siukali żdrajców. Głowy na śpicach – o wschodzie słońca znów ziołączymy głowy na śpicach.

Przytaknąłem pod nosem, po czym modliłem się w duchu, gdy podpity łajdak wypchnął łódź na rzekę i silny prąd obrócił nami w kółko, zanim przewoźnik zdołał zapanować nad łódką i skierować nas w stronę przeciwnego brzegu.

Gdy zbliżyliśmy się do schodów, dobyłem rapieru. Na nabrzeżu stała ciemna postać odcinająca się niewyraźnie na tle atramentowego nieba – potężna, owinięta peleryną, z kapturem naciągniętym na głowę. Obok stał olbrzymi siwy ogier, którego z miejsca poznałem.

Podniosłem się z ławki, nie zwracając uwagi na okrzyki wioślarza ostrzegającego mnie, że przewrócę łódkę. Stałem jak urzeczony, wpatrując się w mężczyznę, który chwycił linę rzuconą przez przewoźnika i przyciągnął łódkę do schodów. Nie zdejmując kaptura, Dziobaty mruknął:

– Odłóż ostrze, chłopcze. Nie gryzę. – Rzucił dukata wioślarzowi, na co ten radośnie zarechotał.

Zawahałem się. Najemnik żył. Śledził mnie. Czy mogłem mu jednak zaufać?

Dziobaty zdawał się wyczytać wątpliwości z mojej twarzy, gdyż zrzucił kaptur, odsłaniając szkaradne

oblicze.

– W razie gdybyś się zastanawiał, jestem wolnym człowiekiem. Służę, komu wola. Nie uśmiechało mi się służyć zdrajcy.

– Przybyłeś mi zatem pomóc z czystej życzliwości? – zapytałem, wiedziałem jednak, że choć mi się to nie podoba, lepiej będzie mu zawierzyć. Ulica Strand leżała dość daleko, on zaś miał konia, co oznaczało, iż mogę zyskać na czasie.

Wsunąłem rapier do pochwy. Dziobaty chrząknął, widząc, jak podchodzę do jego wierzchowca. Koń mierzył niemal szesnaście dłoni, miał grubą szyję i olbrzymi łeb, kiedy jednak zarżał cicho i delikatnie mnie obwąchał, wziąłem to za dobry znak. Człowiek, który potrafił okiełznać takie zwierzę, nie mógł być na wskroś zły.

Złapałem łęk siodła, aby dosiąść wierzchowca, a wtedy Dziobaty oznajmił:

– Cerber to jedyna cenna rzecz, jaką posiadam. Oczekuję czegoś w zamian.

Zwinnie wskoczyłem na siodło.

– Mój koń jest w Whitehall. Znajdź stajennego Toby’ego i powiedz mu, że przyszedłeś zabrać wierzchowca do Ashridge. Zatrzymaj go do mojego powrotu. Spotkamy się w Gryfie.

Następnie spiąłem Cerbera i pogalopowałem przed siebie.

## Rozdział 19



„Wyznałem jej wszystko o spisku i listach Dudleya...”

Słowa Courtenaya rozbrzmiewały mi w głowie, gdy gnałem na złamanie karku przez spowite mrokiem miasto. Sybilla wiedziała o mnie; powiedział jej, że służę Elżbiecie. Zaprzyjaźniła się ze mną, aby móc dzięki listom wydać Courtenaya królowej i dopiec Renardowi, co jednak było jej ostatecznym celem? Skoro wiedziała, że korespondencja ujawnia zaledwie część prawdy, co osiągnęła, zatrzymując pismo od Elżbiety? Grała w jakąś tajemniczą grę i dręczyło mnie przeczucie, że nie gra na moją korzyść.

Myślałem również o tym, iż w czasie gdy jej szukam, buntownicy Wyatta nieustannie się zbroją. Gdy tylko zaręczyny zostaną ogłoszone, twierdził Courtenay, rebelianci powstaną. Oficjalne ogłoszenie nie mogło jednak nastąpić wcześniej niż po przenosinach dworu do Hampton Court, a zatem, rozumowałem, wciąż jeszcze nie było za późno, by powstrzymać Sybillę i donieść o pozostałych odkryciach królowej. Jeżeli Wyatt zgodnie z planem połączy siły z Suffolkiem, Jane Grey może przypłacić to życiem. Kilka miesięcy wcześniej jej

ojciec pomógł Northumberlandowi osadzić lady Jane na tronie Anglii, wbrew woli samej Jane. Maria przyrzekła okazać jej łaskawość, jednak Renard będzie wskazywał kolejną zdradę Suffolka jako dowód na to, że nie należy oszczędzać Jane. Jeżeli ona, kobieta, w której żyłach płynie krew Tudorów, zostanie ścięta, czyż Renard nie zdoła przekonać królowej, aby skierowała swój gniew przeciwko Elżbiecie?

Ponownie popędziłem konia. Okrążyłem miejskie mury, minąłem popadającą w ruinę bramę Ludgate i ruszyłem pod górę po wysypanej żwirem ulicy Strand biegnącej równolegle do Tamizy i otoczonej nadrzecznymi rezydencjami wielmożów. Wkraczałem w inny świat, w świat zbytku, który nie miał nic wspólnego z ubóstwem i brudem Londynu. Nawet tutejsze powietrze pachniało świeżej niż wewnątrz murów, jedynie chwilami podmuchy wiatru znad Tamizy przynosiły cierpką woń. Wzdłuż drogi tu i ówdzie rosły zagajniki nagich drzew; wyobraziłem sobie lato i bujne soczyste listowie, w którego cieniu wieczorami spacerowały damy w towarzystwie dzieci i służących.

Stado oburzonych łabędzi pierzchło z drogi. Każda kolejna mijana rezydencja nie różniła się zbyt od poprzednich – były to masywne, bogato zdobione ceglane budowle o drewnianej konstrukcji, z kosztownymi oknami wykuszowymi i eleganckimi nowomodnymi kominami odprowadzającymi dym prosto z paleniska. Każde domostwo otaczał wysoki mur, do

każdego wjeżdżało się przez szeroką bramę; każde miało własny dostęp do nabrzeża. Ludzie dobrze sytuowani nie zapuszczali się w londyńskie uliczki, woleli zejść nad rzekę i przeprowić się przez nią we własnej łodzi.

Przy jednej z bram zatrzymałem Cerbera.

Wokoło panowała grobowa cisza.

Nigdy wcześniej tutaj nie byłem, choć służyłem rodzinie Dudleyów. Mimo to nie mogłem się pomylić. Cała budowla wyglądała tak, jak gdyby popadła w niełaskę razem ze swoimi właścicielami: bramę porastały zeschłe pędy pnączy, dziedziniec był opustoszały i zaniedbany. Nad frontowymi drzwiami widniał zarośnięty porostami, poplamiony ptasimi odchodami herb Dudleyów – niedźwiedz i pień drzewa. Gdy go zobaczyłem, zalała mnie fala wspomnień. Przez całe życie patrzyłem na ów emblemat, wyrzeźbiony w boazerii i nadprożach okien, wszyty w liberie i płaszcz. Sam go przez pewien czas nosiłem, będąc giermkim Roberta. Niegdyś był to symbol dumy i władzy; teraz – upadłego rodu.

Zsiadłem z Cerbera, przywiązałem go do żelaznego pręta w murze. Zmęczony szybką jazdą wierzchowiec począł skubać wystające z ziemi suche chwasty, ja zaś okrążyłem rezydencję, szukając wejścia. Brama była zaryglowana, zbyt wysoka, aby się na nią wspiąć. Okalająca posiadłość kamienna ściana wydawała się równie nieprzystępna. Jednak w miejscu gdzie mur opadał w stronę rzeki, dostrzegłem niewielką wyrwę –

pod wpływem wilgoci i w wyniku zaniedbania kilka kamieni obluzowało się i wypadło.

Przykucnąłem, aby zerknąć przez dziurę. Dojrzałem część ogrodu, niegdyś zapewne wytwornego, ale teraz zapuszczonego. Wysuszony trawnik wiódł w stronę schodów prowadzących do rzeki i niewielkiego pomostu, przy którym podskakiwała na wodzie poruszana nurtem zadaszona barka.

Wydobyłem sztylet, zacząłem wydrapywać resztkę zaprawy murarskiej i po chwili zdołałem wyjąć kolejne kamienie, by powiększyć otwór. Położyłem się płasko na brzuchu, zarzuciłem pelerynę na głowę, aby nie zaplątała mi się między nogi, następnie zaś wpełzłem do środka, szorując brzuchem po zimnym, kamienistym gruncie.

Kiedy wstałem, poczułem narastające we mnie napięcie. Dom wznosił się tuż obok – zwalisty olbrzym o ciemnych oknach. Przemierzyłem wyłożony kamiennymi płytami taras i dotarłem do tylnych drzwi. Choć spodziewałem się, że będą zamknięte, gdy nacisnąłem klamkę, ustąpiły. Wszedłem do środka i potknąwszy się o coś, niemal się przewróciłem. Były to zwłoki. Jeden rzut oka wystarczył, abym rozpoznał w nich najemnika Renarda. Kałuża krwi rozlana wokół tułowia świadczyła o tym, że mężczyzna poniósł śmierć niedawno i w wyniku precyzyjnego pchnięcia rapierem. Zapewne dokonał żywota zaraz po tym, gdy znalazł się w rezydencji, do której przybył bez wątplenia na polecenie Renarda, aby odszukać Sybillę. Nagle

przypomniałem sobie, jak opowiadała mi o wynajmowanym przy ulicy Strand domu, w którym Renard utrzymywał metresę. Wiadomość była jasna, ale tyle się zdarzyło w ciągu ostatniego dnia i nocy, że zupełnie wypadła mi z głowy.

Zwabiła mnie tutaj. I podobnie jak czekała na przybycie człowieka Renarda, z pewnością teraz czekała na mnie.

Minąłem ciało i ostrożnie zagłębiłem się w mroczne wnętrze rezydencji. Był to dom widmo – w jego licznych opustoszałych pomieszczeniach rozbrzmiewał jedynie zwielokrotniony echem tupot moich nóg. Ściany były nagie.

Gdy ujrzałem przed sobą słabe migotanie światła, dobyłem rapieru. Spodziewałem się, że z ciemności wyłoni się Sybilla i bez ostrzeżenia rzuci się do ataku, kiedy jednak podszedłem bliżej, przekonałem się, iż jasność bije z jednego z pokoi, gdzie na stoliku przed zwierciadłem postawiono latarnię.

Chwilę później dobiegł mnie jej głos.

– Nie obawiaj się. Jestem sama.

Wszedłem przez wąskie drzwi. Pomieszczenie, w którym się znalazłem, mogło służyć za gabinet lub niewielką prywatną bibliotekę. Okno o szybach w kształcie rombu wyglądało na dziedziniec i bramę wjazdową. Na podłodze pod oknem leżał stos starego sitowia nakrytego strzępami narzut. Powietrze było wilgotne, zapach stęchlizny mieszał się z dziwną wonią

tłuszczu, której źródła nie potrafiłem ustalić.

Jedynymi meblami w całym pokoju były stół z latarnią i łuszczący się dębowy pulpit, za którym stała Sybilla. Miała na sobie czarną koszulę o luźnych rękawach, dopasowaną skórzaną tunikę i spięte pasem pumpy: ubiór szermierza. Brakowało jedynie maski, która zasłoniłaby jej twarz.

Uśmiechnęła się.

– Nie spieszyłeś się. Wspominałam ci o wynajmowanej przez Renarda rezydencji, nieprawdaż? Choć zważywszy na okoliczności, można ci wybaczyć roztargnienie.

Siłą woli zmuszałem się, aby oprzeć się jej oczom – lśniący niczym fiołki skąpane w blasku księżycy, kuszącym niczym grzech. Zacisnąłem dłoń na rękojeści, jak gdyby była moim talizmanem.

– Możesz to odłożyć. – Rozłożyła ramiona. – Jak widzisz, jestem nieuzbrojona.

– Tak przynajmniej twierdzisz – odparłem. – Choć wcale mnie to nie powstrzymuje. Uzbrojona czy nie, gdybyś nie była kobietą, zabiłbym cię bez chwili wahania.

– Zatem moja płeć wreszcie mnie chroni? Bądź łaskaw powiedzieć, cóż uczyniłam, by zasłużyć na taką wrogość.

Wpiłem w nią spojrzenie.

– Zwodziłaś mnie od początku. Powiedziałaś, że szpiegujesz królową dla Renarda, ale tak naprawdę on



kazał ci mieć oko na Courtenaya. Uwiodłaś hrabiego, wyciągnęłaś z niego wszystkie tajemnice, nie przekazałaś jednak Renardowi tego, czego dowiedziałas się o spisku i o mnie. Wiedziałaś, że odnalazłem Courtenaya w lupanarze i jaki układ z nim zawarłem. Wmówiłaś mi, że mi pomagasz, przez cały czas jednak zastawiałaś na mnie sidła. Mam mówić dalej?

– Owszem. – Jej oczy zalśniły. – To wszystko wydaje się doprawdy... fascynujące.

Postąpiłem krok w jej stronę.

– Zostawiłaś zatruty list w mojej izbie. Podsunęłaś mi myśl, że uczynił to Renard, choć w rzeczywistości była to twoja sprawa.

Podniosła dzban stojący na stoliku i nalała ale do dwóch kielichów. Wyciągnęła rękę, aby jeden z nich podać mnie, ja jednak nie wziąłem go. Westchnęła, a następnie odstawiła puchar tak, bym mógł sam po niego sięgnąć.

– Nie zamierzałam uśmiercić chłopaka. Chciałam jedynie cię ostrzec. Nie spodziewałam się twojego przybycia; tego nie było w planach. Głowiłam się, w jaki sposób poradzić sobie z tobą. Jednakże nałożyłam na pieczęć zaledwie odrobinę trucizny, miałeś się po niej jedynie rozchorować. Twój giermek musiał ważyć bardzo mało, ponieważ trucizna zadziałała zbyt szybko i mocno. To był niefortunny wypadek.

– Wypadek? – rozwścieczony jej słowami podniosłem głos. – Chłopak umarł przez ciebie!

– Wiem. I... żałuję tego.

Mówiła tak, jak gdyby nazywanie uczuć było dla niej czymś nowym, trudnym. Była tą samą kobietą, która płakała w moich ramionach, okazała mi troskę i wpuściła mnie do swojego wnętrza, a jednak była też kimś innym, jak gdyby zrzuciła skórę, ukazując równie piękne, ale o wiele bardziej śmiercionośne wcielenie.

– Snułaś te swoje misterne intrygi z jakiegoś powodu – ciągnąłem. – Nie najął cię Renard, komu zatem służysz?

– Jeszcze tego nie odgadłeś? Ułożyłeś pozostałe fragmenty z niezwykłą łatwością. – Przeciągnęła dłonią po pulpicie, zmuszając mnie do tego, abym uniósł ostrze i w ten sposób nie pozwolił jej zbliżyć się do mnie. Zatrzymała się przy krawędzi pulpitu, parę kroków ode mnie. – Renard zawsze był aż nazbyt nieustępliwy – podjęła. – I służy równie nieustępliwemu panu. Karol V jest cesarzem, ale krępuje go przeszłość, podobnie jak Marię. On nie potrafi wybaczyć sobie tego, co uczynił matce Marii, swojej ciotce Katarzynie Aragońskiej. Przynależał pomóc Katarzynie w konflikcie z królem Henrykiem, zabiegającym o unieważnienie małżeństwa, jednakże zmarła ona w samotności i zapomnieniu w jakiejś odległej rezydencji, podczas gdy Anna Boleyn, królowa wiedźma, zajęła jej miejsce. Pomimo wszystkich swoich obietnic Karol nie uczynił absolutnie nic. – Urwała, spojrzała na mnie. – Wyrzuty sumienia musiały dręczyć go przez wszystkie kolejne lata. Gdy

Maria wreszcie wstąpiła na tron, dojrzał w tym okazję do odkupienia przeszłych win. Postanowił ożenić z nią swojego syna Filipa; Maria i Filip wspólnie mieliby przywrócić Anglię na łono katolicyzmu, wybić wszystkich heretyków i naprawić błędy przeszłości. Pozostawała tylko jedna przeszkoda.

– Elżbieta – szepnąłem.

– Tak. Córka królowej więdźmy. Była niebezpieczna. Heretycy stanęliby w jej obronie; należało się jej pozbyć. Cesarz wysłał Renarda z poleceniem negocjacji warunków zawarcia małżeństwa oraz dopilnowania, aby Elżbieta nie wyszła z tego cała. – Ponownie zamilkła, na jej twarzy odmalowała się zaduma. – Jak już wspomniałam, są nieustępliwi. Natomiast mój pan wie, czym jest kompromis i rozumie jego potrzebę. Nie widzi sensu pozbywania się kogoś, kto może okazać się największym atutem.

– On...?

Skóra mi ścierpła. Rozprawiała o wszystkich tych sprawach tak rzeczowo, jak gdyby ludzie roztrząsali podobne kwestie na co dzień. Być może tak było. Być może tam, skąd pochodziła, rozważania na temat zniszczenia lub ocalenia życia księżniczce stanowiły chleb powszedni.

Odrzuciła głowę, roześmiała się zmysłowo.

– Dlaczego nadal nie chcesz dostrzec tego, co leży tuż przed tobą? Cesarz widzi świat oczami osoby przedwcześnie postarzałej. Jednak Filip, księżę

Hiszpanii, postrzega to inaczej. Jest młody, męski. Poświęci się na ołtarzu zbudowanym z ojcowskich wyrzutów sumienia tylko wtedy, gdy będzie mógł uszczknąć coś dla siebie.

– Służysz... Filipowi? – spytałem ze zgrozą. – On jest twoim panem?

– Zatrudnił mnie jako swoją zausznickę. Zna mnie od lat; dorastałam na dworze jego matki. Wiedział, że szpieguję dla Renarda, i przyrzekł mi wolność – małżeństwo ze szlachetnie urodzonym kawalerem i własny dom, posag dla mojej siostry i schronienie dla matki. Miałam za zadanie wykorzystać wrogie nastawienie Renarda, aby zniszczyć Courtenaya, rywala również starającego się o rękę Marii, oraz wszystkich przeciwnych przymierzu z Habsburgami. Filip jednak miał pozostać niewinny. Krew, która niechybnie się poleje, musi splamić jedynie ręce Marii.

– Dobry Boże – wymamrotałem. – Dlaczego? – Nagle doznałem oszałamiającej jasności, a ostatni kawałek układanki zajął należne mu miejsce. – Chodziło o Elżbietę, przez cały czas. Filip pragnie jej.

Sybilla uśmiechnęła się.

– Jesteś zdumiony? Księżę to człowiek nowych czasów; nie dba o przeszłość. Jego ojciec jest zmęczony. Kiedy Karol abdykuje, Filip odziedziczy połowę cesarstwa. Dlaczego miałyby znosić dzielenie małżeńskiego łoża ze starszą siostrą, jeżeli nie miałyby pewności, że z czasem u jego boku pojawi się młodsza?

Jednakże Elżbietę należy okiełznać; wszyscy wspierający jej heretyckie skłonności muszą umrzeć. A gdy Maria nie zdoła wydać na świat dziedzica i pożegna się z życiem, co prędzej czy później musi nastąpić, Elżbieta będzie należeć do niego. Z nią Filip spłodzi potomków, przed którymi będzie drżała cała Europa – dynastia Tudorów-Habsburgów będzie władać światem.

Ogarnęły mnie mdłości.

– Jesteś obłąkana. On jest obłąkany. To ohydna intryga. Elżbieta nigdy na to nie przystanie.

– Ależ oczywiście, że przystanie – mruknęła Sybilla, unosząc głowę – jeżeli życie jej miłe. List do Dudleya potwierdza, iż wiedziała ona o buncie. – Jej głos stwardniał. – Koniec tej gry. Nawet ty nie zdołasz jej ocalić.

Skoczyłem do przodu, siekąc ostrzem w blat pulpitu. Z przyjemnością zauważyłem, że Sybilla gwałtownie wciągnęła powietrze i cofnęła się, nie odrywając oczu od mojego rapieru.

– Oddaj go. Oddaj mi list.

Nawet nie drgnęła.

– Dlaczego nie przestajesz toczyć walki, która jest już przegrana? List należy teraz do Filipa. Książę wie, że Elżbieta własnoręcznie wydała zgodę na zdradę. Gdy Wyatt i jego ludzie dotrą do Londynu, królowa każe ją pojmać. Renard dopilnuje, aby o wszystko obwinić Elżbietę i wtrącić ją do Tower. Jedyłą osobą, która może

ją ocalić, jest pożądanym przez Marię mężem, na którego skinienie królowa uczyni wszystko, nawet daruje życie wiarołomnej siostrze. Filip zostanie wybawcą Elżbiety. A za jakiś czas Elżbieta zostanie jego żoną.

– Nie dojdzie do tego, jeżeli zdążę ją ostrzec.

Uniosłem rapier. Sybilla przywarła do ściany. Zaglądając jej w twarz, po raz pierwszy dostrzegłem coś, na co tak długo czekałem.

Strach.

Nagle przeszył mnie dreszcz. Pogardzałem za to każdą częścią swego ciała, jednak wspomnienie pożądania, które we mnie budziła, nadal trzymało mnie w okowach. Była kobietą. Nigdy wcześniej nikogo nie zabiłem. Wiedziałem, że muszę ją zgładzić, aby ocalić Elżbietę. List zapewne leży gdzieś ukryty, czeka na przybycie Filipa. Sybilla nie powierzyłaby nikomu tak wartościowej rzeczy. Mogłem nigdy go nie znaleźć, ale nikt inny również by go nie znalazł. Mogłem zyskać choć trochę cennego dla Elżbiety czasu...

Wahałem się zbyt długo. Odskakując na bok, Sybilla wyszarpnęła z rękawa sztylet i cięła mnie w rękę. Piekący ból i krew, która trysnęła z rany, przerwały moje rozmyślenia. Gwałtownie się obróciłem i machnąłem peleryną, aby osłonić się przed kolejnym ciosem.

Ona jednak pomknęła w kierunku drzwi.

Obróciłem się. Rzuciłem się w jej stronę z uniesionym rapierem, tym razem gotowy rozplatać ją na pół, a wtedy ona kopnęła stolik. Stojąca na nim

latarnia przewróciła się na stertę sitowia pod oknem i roztrzaskała. Suche rośliny i stare szmaty błyskawicznie zajęły się ogniem, płomień buchnął wysoko w górę, ja zaś odruchowo odskoczyłem i uniosłem ręce. Najwyraźniej Sybilla oblała wcześniej sitowie łojem – stąd dziwna woń tłuszczu, która uderzyła mnie po wejściu do izby.

– Nie! – ryknąłem.

Sybilla zatrzasnęła drzwi. Gdy do nich dobiegłem, usłyszałem zgrzyt klucza przekręcanego od zewnątrz w zamku. Szarpnąłem za klamkę, wrzeszcząc ile sił w płucach, po czym zacząłem walić w deski ręką rapieru, nie zważając na krew tryskającą mi z rany na rękę.

Po chwili przestałem i z wolna odwróciłem się z powrotem w stronę pokoju. Serce podeszło mi do gardła. Płomienie wpełzały na ściany, pochłaniając suche sitowie i rozlany tłuszcz niczym wygłodniała bestia.

Oczy zaczęły mi łzawić. Usiłując nie tracić zimnej krwi, odsunąłem się najdalej jak mogłem od źródła ognia i rozejrzałem po izbie. Nie widziałem żadnej innej drogi ucieczki prócz okna. Sybilla dokładnie wszystko zaplanowała; zwabiła mnie tutaj właśnie po to, aby w ten sposób ze mną skończyć.

Miałem umrzeć.

Dym gęstniał, kłębił się pod sufitem niczym ciemna burzowa chmura. Za chwilę wypełni cały pokój, a ja się uduszę. Stracę przytomność; gdy ogień zacznie mnie

trawić, niczego nie poczuje, a gdy pożre już wszystko, z rezydencji zostaną jedynie tłące się zgliszcza, a ze mnie zwęglone kości.

Z mojej piersi wydobyło się wycie. Rozejrzałem się w popłochu, zatrzymałem wzrok na dzbanie i nietkniętym kielichu. Naciągnąłem kaptur na głowę, schowałem rapier i oderwałem rękawice od pasa. Chwyciłem puchar, po czym drżącą ręką oblałem trunkiem ubrane w rękawice dłonie. Następnie zmoczyłem kaptur i odrzuciłem pusty kielich na bok. Wiedziałem, że to nie wystarczy; nie wystarczyłoby i dziesięć dzbanów, jednak obracając się zdecydowanie w stronę ognia, wiedziałem, że nie mam innego wyjścia. Pomimo odzienia czułem gorąco płomieni, jak gdyby zaczynały już lizać moje ciało...

Zgarbiłem się i postąpiłem krok w przód. Podłoga zachwiała się pod moimi nogami. Spojrzałem w dół. Deski... poruszały się...

W mojej głowie rozbrzmiał obłąkańczy ryk. Kaszląc, zatoczyłem się do przodu. Wszystko przez dym. Dusił mnie, mamił, sprawiał, że widziałem rzeczy, których nie było. Gdyby tylko udało mi się przedrzeć przez ścianę tańczących płomieni i dopaść klamki u okna...

Nie pomyślałem, że zmierzam wprost w objęcia śmierci, ani nie usłyszałem skrzypienia zawiasów, gdy część podłogi za mną rozwarła się, poczułem jedynie, jak czyjeś ręce brutalnie mnie łapią, ciągną do tyłu i w dół, w otwór w podłodze. Dopiero wtedy spostrzegłem się, że



przenikliwy dźwięk, który dzwoni mi w uszach, to mój własny krzyk.

– Ruszaj się, zanim to wszystko zwali nam się na głowę – dobiegł mnie nagłący głos.

Powlokłem się za zwałistą postacią, która mnie uratowała, w zatkanych sadzą nozdrzach poczułem słaby zapach wilgotnej ziemi. Znajdowałem się w tunelu pod rezydencją, w tajemnym podziemnym przejściu. Pod nogami chlupotała mi mulista woda; w panujących wokoło ciemnościach nie widziałem absolutnie nic, powoli jednak mrok rzedł. Nade mną otworzyła się kłapa, ponownie czyjeś ręce chwyciły mnie bezceremonialnie i pociągnęły, tym razem w górę, a następnie zwały na trawnik w ogrodzie. Leżałem na plecach, kaszląc, charcząc i usiłując złapać oddech. W oddali dostrzegłem rzekę połyskującą niczym smoczy ogon w ponurym świetle zimowego brzasku.

Barki nie było.

Spojrzałem w zniekształconą twarz Dziobatego.

– Masz szczęście, że dostrzegłem przed bramą mojego konia – powiedział, owijając mnie swoją peleryną. Była przemoczona, przesiąknięta odorem rzeki.

– Jeszcze chwila, a upiekłbyś się jak prosię.

– Skąd... skąd wiedziałeś? – Głos miałem słaby, ochryply.

– Mówiłem ci. Dojrzałem biednego Cerbera, szarpał się jak oszalały, no i cały ten dym...

– Nie. Przejście. Wiedziałeś o nim. Byłeś tu

wcześniej.

Znieruchomiał. Potem zaś powiedział cicho:

– Nie poznasz mnie, chłopcze?

Poczułem, jak gdybym wpadł w otchłań bez dna i spadał, cały czas spadał, wiedząc, że upadek nigdy się nie skończy.

– Shelton – szepnąłem. Nie mogłem uwierzyć, iż nie spostrzegłem się wcześniej.

One tam cały czas były, pod nałożoną na twarz maską szpetoty – rysy człowieka, którego niegdyś znałem, surowego zarządcy Dudleyów. To on pomagał mnie wychowywać i wprowadził na dwór. Gdy doznawszy olśnienia, spojrzałem w jego jedyne oko, mimowolnie cofnąłem się do straszliwych wydarzeń z tamtej nocy w Tower, gdy biegłem mu na pomoc. Utknął w tłumie usiłującym precyzyjnie się przez bramę ze spuszczaną kratą. Przerażeni ludzie uciekali w popłochu przed wartownikami wymachującymi halabardami i obuchami – bez wątpienia niejedna czaszka została rozłupana, kości rąk i nóg zgruchotane, a ciała rozplątane niczym tusze zwierzęce. Zapewne dopadli również zarządcę, rozszarpali mu twarz do kości, musieli też połamać mu nogi, skoro jedną miał krótszą i nosił but z koturnem. Mimo to przeżył. Wylizał się z ran, zmienił nazwisko, tożsamość. Wsiąknął w londyński półświatk, najął się na służbę u hrabiego. Na pewno poznał mnie już na samym początku, ale nie zdradził się ani słowem. Czyżby zamierzał na zawsze

ukrywać przede mną swoją tożsamość, zabrać swoją tajemnicę do grobu? Jeżeli tak było, zarzucił ten plan, aby mnie ratować.

– Wiem, że winien ci jestem wyjaśnienia – powiedział szorstko –ale teraz nie czas ani miejsce na to. Jeżeli chcesz złapać tę wilczycę, lepiej ruszajmy. Śledziłem ją od chwili, gdy zasadziła się na nas na gościńcu. Nie ośmieliłem się wystąpić przeciwko niej. – Skrzywił się. – Jestem innym człowiekiem niż kiedyś. Widziałem jednak, jak wsiadała do barki i kierowała się w stronę mostu. Prąd nie jest silny. Zostało nam trochę czasu.

Poruszyłem się gwałtownie, chciałem wstać, biec za nią. Zarządca chwycił mnie mocniej za ramię.

– Trzeba opatrzyć ranę. – Oderwał pasmo materiału od własnej koszuli i owiązał nim moją rękę, tamując krwawienie. – Nie jest głęboka. Później należy się nią zająć, ale na razie to wystarczy.

Puścił mnie. Dźwignąłem się na nogi, w ustach czułem smak węgla. Spoglądając ponad jego ramieniem na rezydencję, zobaczyłem dym unoszący się z dachu i upiorny pomarańczowy blask rozświetlający okna. Ogień się rozprzestrzenił. Strawi cały dom.

Powlekliśmy się w stronę rzeki, woda sięgała nam po pas, gdy brodząc, okrążaliśmy otaczający rezydencję mur, który kończył się w Tamizie. Dziobaty przywiązał konie z dala od rezydencji. Gdy pomagał mi wgramolić się na siodło, Cinnabar zaczął niespokojnie dreptać

w miejscu przestraszony zapachem pożaru. Przez chwilę świat wirował mi przed oczami. Cóż najlepszego robiłem? Jak zamierzałem powstrzymać Sybillę, mając jedną rękę niesprawną z powodu rany i polegając na mężczyźnie, którego do dziś uważałem za zmarłego i któremu tak naprawdę nie wiedziałem, czy mogę na nowo zaufać?

Pomknęliśmy w kierunku miasta.

Zostało nam trochę czasu, powtarzałem sobie. Zostało trochę czasu...

Przed nami wyłoniła się potężna wartownia prowadząca na most. Tuż przed nią stali ubrani w peleryny urzędnicy, podczas gdy odziani w liberie wartownicy i uzbrojeni żołnierze pilnowali porządku w bliższym i dalszym otoczeniu. Ludzie ustawiali się w kolejce do wejścia, zaganiaли swój inwentarz. Wokoło zapewne panował zgiełk, ja jednak słyszałem jedynie bicie własnego serca.

Zostało trochę czasu...

Zeskoczyłem z Cinnabara.

– Jest zbyt tłoczno, a jadąc wierzchem, będziemy zbyt widoczni.

Dziobaty przytaknął skinieniem głowy.

– Mam cię na oku. Bądź ostrożny.

Gdy pieszo ruszyłem w stronę bramy, prowadząc za sobą Cinnabara, rozglądałem się na boki, przepatrując ciżbę ludzką. O tej porze dnia większość z tych, którzy tłoczyli się przed wartownią, pragnąc przejść przez most,

stanowili rzemieślnicy i handlarze, kiedy jednak stanąłem w kolejce, nagle zauważyłem na jej przedzie Sybillę owiniętą w pelerynę, z kapturem nasuniętym na głowę. Trzymała za uzdę wałacha nerwowo przebijającego kopytami, gdy pchający się naokoło ludzie przypadkiem go potracali. Zapewne porzuciła barękę i najęła konia. Oparłem dłoń o rękojęść rapieru i poczułem rwący ból w ręce. Wartownicy machnęli na Sybillę, dając znak, że może przechodzić. Wskoczyła na grzbiet konia i zaczęła przeciskać się przez tłum. Nie mogła jechać szybko; gdy tylko oddaliła się nieco, dosiadłem Cinnabara i lawirując między zwierzętami, wózkami i furmankami przetaczającymi się po moście, również ruszyłem do przodu pochłonięty tylko jedną myślą – nie zgubić jej.

Nie spieszyła się, wydawała się też nie przejmować ewentualnym pościgiem. Widziałem, jak strzela z bata, aby zrobić sobie miejsce na przejazd. Zastanawiałem się, dokąd zmierza; jednego byłem pewien, nie do Whitehall. Obejrzałem się przez ramię. Ku swojej uldze niedaleko w tyle dostrzegłem Dziobatego; zostawił Cerbera w stajniach przy moście, gdzie za opłatą stajenni oporzadzali konie.

Sybilla raptownie się zatrzymała przy sklepie włókienniczym. Zeskoczyłem z siodła, ponad głowami falującego tłumy dostrzegłem, że ona również zsiadła. Przywiązała lejce do słupka, podeszła do drzwi obok sklepu i otworzyła je kluczem. Chwilę później zniknęła

wewnątrz budynku. Uniosłem głowę. Budowla w niczym nie różniła się od tych pozostałych zagracających most – wciśnięta między sąsiednie domy, niebezpiecznie wysoka, z balkonami ozdobionymi schnącym praniem i z obłazującą z farby fasadą znaczoną niewielkimi oknami o grubych szybach.

Serce zabiło mi szybciej.

Tu musi być jej kryjówka. Tutaj schowała list. Wróciła po niego.

Dziobaty zbliżył się do mnie. Gestem pokazałem mu, aby przypilnował Cinnabara, po czym przeszedłem na drugą stronę drogi. Sklep włókienniczy był zamknięty, górujący nade mną budynek wydawał się opustoszały i cichy, choć wszędzie dookoła panował uliczny zgiełk.

Podobnie jak w rezydencji Sybilla nie zamknęła za sobą drzwi na klucz. To wzmogło moją czujność; przestąpiwszy próg, znalazłem się w pustym salonie, z którego wąskie schody prowadziły w górę, a ich szczyt ginął w mroku. Gdy zacząłem się po nich wspinać, ciszy, która panowała w domu, nie mącił żaden dźwięk prócz rozlegającego się co pewien czas skrzypnięcia desek pod moimi nogami; słysząc to, krzywiłem się, gdyż wiedziałem, że Sybilla jest gdzieś na górze, być może już wie, że nadchodzę, i szykuje się do ataku. Nie pocieszało mnie to, iż nie spodziewała się pościgu. Poprzednim razem nie doceniłem jej. Tym razem zamierzałem walczyć na śmierć i życie.

Zatrzymałem się na pierwszym piętrze i dobyłem

rapieru. W pokoju przede mną coś się poruszyło. Posunąłem się w tamtą stronę, wyciągnąłem wolną rękę, po czym zebrałem się w sobie i pchnąłem drzwi. W rogu pomieszczenia dostrzegłem łoże, pulpit i stołek; obok dojrzałem ją – klęczała przy uniesionej desce podłogowej. Błyskawicznie wstała, a gdy mnie zobaczyła, na jej twarzy pojawiła się niepewność, niemalże zakłopotanie. Spojrzałem na odsuniętą deskę podłogową, zaś sekundę później Sybilla rzuciła się na mnie z rapierem w dłoni.

Wykonałem unik i pchnięcie. Odskokczyła.

– Lepiej byś zrobił, gdybyś dał się spalić – wycedziła. – Szkoliłam się przez wiele lat u mistrza z Toledo. Gdy z tobą skończę, zawiozę mu twój rapier, żeby zobaczył, jak daleko zawędrowała hiszpańska stal.

Nie odpowiedziałem, oszczędzając siły i koncentrując się na parowaniu ciosów Sybilli oraz kierowaniu jej tak, aby odeszła jak najdalej od podniesionej deski. Ręka mnie bolała; czułem, że rana pod prowizorycznym opatrunkiem otworzyła się i znów zaczęła krwawić, jednak trawiący mnie gniew był silniejszy, niepohamowany, dlatego widziałem już tylko ją i pragnąłem już tylko jej. Resztki wątpliwości zniknęły; mój rapier zdawał się przewidywać jej ruchy. Zobaczyłem, jak jej rysy twardnieją, gdy raz po raz unikałem jej pchnięć, po czym drasnąłem ją ostrzem w bok. Musiała odskoczyć, aby uniknąć poważnego zranienia, ale i tak z zadanej przeze mnie rany popłynęła

krw. Pojęła, do czego dażę, natarła więc na mnie ze zdwojoną siłą, wyprowadzała sztych za sztychem i wypchnęła mnie z pokoju w stronę schodów, gdzie zapewne zamierzała zadać mi ostateczny cios.

Nasze ostrza starły się z bezlitosnym zgrzytem. Chwiejąc się na krawędzi schodów, wiedziałem, że za parę chwil Sybilla przełamie moją obronę. Nie zastanawiałem się, nie zawahałem. Odwróciłem się na pięcie i zbiegłem w dół, przeskakując po trzy stopnie naraz. Zgodnie z moimi przewidywaniami rzuciła się za mną niczym wilk, który zwietrzył krwawiącą ofiarę.

Wypadliśmy na ulicę zwarci w zaciętym pojedynku, przechodnie rzucili się do ucieczki, torując sobie drogę między przelewającym się tłumem. Sybilla poruszała się zwinnie niczym żywe srebro, spod upiętej na karku siateczki wysunęły się pojedyncze pasma włosów, okalając jej zarumienioną twarz, i nawet teraz, w tej straszliwej chwili, gdy walczyłem z nią o swoje życie, była piękna jak anioł zemsty – i równie okrutna.

Nie dostrzegła Dziobatego. Przeprowadził Cinnabara na drugą stronę ulicy o parę domów dalej, sam zaś ukrył się w zbieraniu ludzi i zwierząt. Nagle wychynął z tłumy, jego masywna sylwetka i pochylona głowa nadawały mu wygląd rozjuszzonego byka. Gdy uderzył w Sybillę z hukiem, straciła równowagę na wyboistym bruku. Rapier wypadł jej z dłoni. Tego mi było trzeba. Moja przeciwniczka poderwała się i wyszarpując sztylet zza cholewy buta, zwróciła się przeciwko Dziobatemu,



a wtedy ja przyskoczyłem do niej, gotów odrąbać jej głowę. Chybiłem o włos, powietrze zadrżało od mojego ciosu, gdy Sybilla schyliła się i zatoczyła. Na sekundę, która wydawała się wiecznością, nasze spojrzenia się spotkały. Zagroziłem jej drogę do budynku.

Skrzywiła usta w lodowatym uśmiechu.

Następnie odwróciła się i rzuciła do ucieczki.

– Na górze! – krzyknąłem do Dziobatego, ruszając za nią. – Pod podłogą.

Zator na moście powiększał się; zbliżał się późny ranek i setki ludzi krzątały się wokół swoich sprawunków. Sybilla wymijała ich, uskakiwała raz w jedną, raz w drugą stronę, lawirowała między krzyczącymi woźnicami i rozgniewanymi kupcami, cały czas ściskając w dłoni sztylet, choć jego ostrze nie mogło się równać z klingą mojego rapieru i ona dobrze o tym wiedziała. Zmierzała w kierunku południowej bramy; jeżeli zdołałaby zbiec z mostu i zagłębić się w labirynt uliczek dzielnicy Bankside, musiałbym ruszyć jej śladem i starać się ją wytropić.

A wtedy byłoby bardzo możliwe, że ona dopadłaby mnie pierwsza.

Żadne z nas nie spodziewało się dodatkowych wartowników rozstawionych na drugim końcu mostu. Bez wątplenia był to środek ostrożności zastosowany z powodu wydarzeń wokół pojmania Courtenaya. Gdy wyłoniła się przed nami ciężka sylwetka bramy zwieńczonej potężnym barbakanem i koroną nadzianych

na szpikulce gnijących głów, Sybilla zwolniła. Każdy, kto opuszczał Londyn – od włóczęgów z tobołkiem zawieszonym na kiju po odziane w futra damy jadące w karocach – był zatrzymywany i przepytywany, zanim pozwolono mu zejść z mostu. Pochwyciłem strzępy rozmów prowadzonych przez wzburzonych ludzi czekających na przejście: „Buntownicy z Kent, mówią, armia zdrajców!”, a następnie dojrzałem, jak Sybilla zawraca, wiedząc, że owi wartownicy będą ją wypytywać i że być może Renard przekazał gwardzistom jej opis.

Zatrzymała się, dysząc, i stanęła twarzą do mnie. Nagle przestałem widzieć i słyszeć to, co się dzieje naokoło. Z krzykiem rzuciłem się w jej stronę, ona zaś w tym samym momencie wskoczyła na niską balustradę mostu – byliśmy w jednym z niewielu miejsc, gdzie między budynkami pozostawiono szczelinę, z której roztaczał się olśniewający widok na rzekę i miasto. Sybilla przykucnęła na balustradzie niczym zachwycający ptak drapieżny, targana wiatrem peleryna owinęła się wokół jej smukłej sylwetki, dziesiątki iglic górujących nad Londynem zalśniły złotem, gdy oblał je blask słońca wyłaniającego się z porannych oparów.

– Nie – usłyszałem swój szept. Rzuciłem rapier na ziemię.

Sybilla przekrzywiła głowę, jak gdyby doznała rozczarowania. W następnej chwili ku mojemu niedowierzaniu rozpostarła ramiona i przy wtórze stłumionych okrzyków przerażenia dochodzących

z tłumu skoczyła z balustrady.

W ciszy, która zapadła, poczułem, jak coś we mnie pęka. Stojąca obok kobieta wrzasnęła przenikliwie, przerywając panujące wokoło milczenie, a wtedy gawiedź gnana chorą ciekawością ruszyła na wyścigi do balustrady, aby spojrzeć w zapchany bryłami lodu nurt.

Stałem nieruchomo. Po chwili podniosłem rapier i odszedłem.

Dziobaty czekał z Cinnabarem obok sklepu włókienniczego. Sięgnął do kaftana, z którego wyciągnął skórzaną tubę z listem Elżbiety, po czym przekazał ją mnie. W drugiej ręce trzymał rapier Sybilli.

– Kosztowne cacko – powiedział – warto je zatrzymać.

– Jest twoje. – Wetknąłem tubę za pazuchę kaftana. – Ja dostałem, co moje.

Schowałem rapier do pochwy, chwyciłem uzdę Cinnabara. Przejechaliśmy przez północną bramę, Dziobaty poszedł odebrać Cerbera ze stajni. Czekając na jego powrót, zauważyłem, że przybyło gwardzistów i urzędników w pobliżu bramy; dostrzegłszy wśród nich potężną sylwetkę Rochester'a drżącego z zimna i zatopionego w rozmowie z jednym z wartowników, zawołałem:

– Milordzie!

Obrócił się zdumiony, po czym podszedł do mnie spieszenie.

– Co się dzieje? – spytałem. – W czym rzecz?

Zerknął przez ramię na obserwujących nas urzędników.

– Przed świtem dotarły wieści, że zmierza na nas armia z Kent. Wysłano zwiadowców, aby to sprawdzili. Oczekujemy ich powrotu.

– Przecież zaręczyny królowej – zdziwiłem się – nie zostały jeszcze ogłoszone...

Jeszcze zanim dokończyłem zdanie, przekląłem w duchu brak przenikliwości z mojej strony. Mogłem się domyślić, że to również stanowiło część planu Dudleya. Przekonał on Courtenaya, iż sygnałem będą zaręczyny, choć wcale tak nie było. Niespodziewane natarcie: to jedyny sposób, aby zaskoczyć królową i Londyn.

Rochester wydawał się skonfundowany.

– Oficjalnie ogłoszenie odbędzie się w Hampton Court, jeżeli musi pan wiedzieć, choć widzę, że na dworze żadna tajemnica długo się nie uchowa. Hrabia został wtrącony do Tower; przesłuchano go dokładnie i podał nazwiska. Wydano nakazy pojmania pozostałych spiskowców, jednak większość z nich, jeżeli nie wszyscy, do tej pory zapewne już usłyszała o pochwyceniu hrabiego. Jeżeli mają trochę oleju w głowie, w tym momencie gnają co koń wyskoczy do najbliższego portu, aby uciec z kraju. – Zniżył głos. – Hrabia nie wspominał słowem o księżniczce. Powtarzał, że ona nic nie wiedziała.

Odetchnąłem z ulgą. Courtenay, mimo iż był nikczemnikiem, zachował resztki honoru.

– Nie warto czekać na powrót zwiadowców – oznajmiłem Rochesterowi. – Bunt już się zaczął; na jego czele stoi Wyatt z Kent. Listy, które dostarczyłem, to zaledwie połowa korespondencji. Wyatt planuje połączyć się ze zwolennikami Suffolka. Cokolwiek zamierza Jej Królewska Mość, nie może zwlekać. – Przerwałem, widząc, że Rochester pobladł. – Proszę jej to przekazać ode mnie. Proszę przekazać, że wykonałem powierzone mi zadanie i że są to ostatnie odkrycia, które poczyniłem. Teraz jednak muszę odjechać. Dziękuję, milordzie, za wszystko, co pan uczynił dla mnie i Jej Księżęcej Mości. Pana życzliwość nie zostanie zapomniana.

Drgnął.

– Musisz do niej jechać – wyszeptał – zanim się zacznie. Jeżeli to prawda, jeżeli zbliżają się buntownicy, obawiam się, że będzie potrzebowała cię bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

– Zrobię, co w mojej mocy – odrzekłem. – Przyrzekam.

# ASHRIDGE

## Rozdział 20



Przy bramie Bishopsgate Dziobaty zatrzymał się.

– Dalej nie jadę.

– Co takiego? – Utkwiłem w nim spojrzenie. – Nie możesz tu zostać. Muszę zapytać cię o rzeczy, o których tylko ty...

Przerwał mi z westchnieniem.

– Wiem. Jestem ci winien wyjaśnienia, ale to musi poczekać. Londyn jest moim domem; tutejsi złodzieje, ladacznice i żebracy, szumowiny, na których nikt nie zwraca uwagi – oni mi pomogli, kiedy nikt inny tego nie zrobił. Jeżeli na ulicach dojdzie do walk, muszę tu być. Poza tym – dodał – tu jest mój pies. Nie zostawię go.

Niemalże się roześmiałem.

– Zarządca, którego znałem, nie troszczył się o nic prócz obowiązków.

– Pies potrafi zmienić człowieka. – Nagle spowaźniał. – Jedź. Ostrzeż księżniczkę. Znajdę cię. A jeżeli ty wrócisz do miasta pierwszy, odszukaj mnie. O ile uchowam się przy życiu, będę w Gryfie. Zadbaj o rękę. Inaczej skończysz okaleczony, jak ja.

To powiedziawszy, nawrócił konia i bez słowa ruszył z powrotem w stronę miasta.

Patrzyłem za nim, zastanawiając się, czy jeszcze kiedyś się spotkamy. Pragnąłem go zawołać, domagać się, aby opowiedział się ze wszystkich swoich poczynań, wyjaśnił, dlaczego mi pomagał i dlaczego zniknął na wiele miesięcy. Jednakże miał rację: to musiało poczekać. On miał swoją drogę, a ja swoją i na razie nasze ścieżki prowadziły w dwóch różnych kierunkach.

Nie wahając się dłużej, ruszyłem gościńcem, zostawiając Londyn za sobą.

Podróż była długa, droga prowadziła przez smętne okolice, na które nie zwracałem uwagi, czując, że ze znużenia mógłbym zdrzemnąć się w siodle, sen jednak nie przychodził.

Przed oczami cały czas miałem Sybillę przykucniętą na balustradzie i dziwny wyraz jej twarzy na chwilę przed tym, jak rzuciła się prosto w objęcia śmierci. Przypominałem sobie jej promienny uśmiech, oszałamiającą urodę, która zaparła mi dech w piersiach, gdy pierwszy raz podeszła do mnie w komnatach królowej; wspólny spacer po krużganku, troskę, którą okazała mi po śmierci Peregrine'a, i naszą żarliwość, gorączkowe zbliżenie w ciemnościach mojej izby.

Choć wiedziałem, że jej życie dobiegło końca i że nigdy nie będę musiał wyznać mojego grzechu przed Kate, nie potrafiłem zaznać spokoju. Sybilla zwodziła wszystkich wokół i wykorzystywała ich, nieustannie knuła, niszcząc wszystko, na czym mi zależało. Przez nią umarł Peregrine; jej koniec powinien mnie więc cieszyć,

gdyż dzięki temu jej pan książę Hiszpanii Filip po przybyciu do Anglii nie będzie miał żadnych dowodów przeciwko Elżbiecie. Nie będąc w posiadaniu listu, nie mógł jej szantażować, a zatem aby zdobyć jej przychylność, musiał stanąć w jej obronie.

Kiedy jednak jechałem po przyprószonym śniegiem gościńcu, z głową schowaną w ramionach, niesiony do celu miarowym chodem Cinnabara, musiałem przyznać, że pomimo tego, co uczyniła, pomimo tego, iż nigdy wcześniej nie znałem takiej kobiety i modliłem się, aby nigdy więcej takiej kobiety nie poznać, spotkanie z Sybillą odmieniło mnie. Obudziła coś we mnie – dogłębne zrozumienie samego siebie.

„Nie jesteś mi nic winien”.

Myliła się. Winien byłem jej wdzięczność za wiedzę, którą posiadałem. Podobnie jak ona znałem smak przerwane go dzieciństwa, bezradność rodzącą się w człowieku zależnym od bezdusznych zachcianek innych. Mnie również trawiło gorące pragnienie dowiedzenia swojej wartości. Była moim odbiciem, moją mroczną bliźniaczą duszą. Różniliśmy się tym, że podczas gdy ja, służąc Elżbiecie, usiłowałem zwalczyć, przezwyciężyć i okiełznać tę część swojej natury, Sybilla wyszła jej naprzeciw, udoskonaliła ją i opanowała do perfekcji niczym sztukę fechtunku.

Była człowiekiem, którym mógłbym się stać, gdyby moje losy potoczyły się inaczej.

Przed zmrokiem dotarłem do Ashridge.



Krajobraz Hertfordshire spowijały białe szale świeżego śniegu. Gdy z tętentem wjechałem na dziedziniec, podbiegł do mnie chłopiec stajenny. Wziął ode mnie wodze, ja zaś odpiąłem sakwę i powlokłem się do rezydencji.

W oświetlonym pochodniami holu powitała mnie panna Parry, która na mój widok wydała stłumiony okrzyk przerażenia.

– Dobry Boże, tylko na siebie spójrz!

Dopiero wtedy dotarło do mnie, jak muszę wyglądać, ubłocony po przebytej drodze, wybrudzony od przeciskania się przez dziury w murach i podziemnych tunelach; pelerynę miałem przemoczoną, koszulę porwaną, moją rękę pokrywała zaschnięta krew, a ja cały cuchnąłem potem i koniem.

– Mam za sobą długi dzień – powiedziałem, wyciągając tubę z listem Elżbiety. Zdjąłem pelerynę, odpiąłem pochwę z rapierem i podałem je panie Parry.  
– Gdzie zastanę Jej Księżęcą Mość?

– Udała się do komnaty wypocząć. – Głos panny Parry zadrżał, gdy dostrzegła tubę w mojej dłoni. – Jakie wieści przywozisz z Londynu? Czy jej... czy nadal nam coś grozi?

– Obawiam się, że tak. Zrobiłem, co w mojej mocy. Jednak powinniśmy się przygotować; królowa zapewne przyśle ludzi, aby przepytali Jej Księżęcą Mość. Muszę z nią wcześniej porozmawiać.

Matrona kurczowo ścisnęła moje rzeczy, podczas gdy

ja obróciłem się w stronę schodów.

– Czy mam posłać do Hatfield po panią Ashley i pannę Stafford? – spytała raptem.

Zamarłem. Po chwili skinąłem głową.

– Tak – powiedziałem – chyba tak będzie najlepiej. – Zacząłem wspinać się na piętro.

Gdy przyjdzie Kate, wyznam jej wszystko.

Drzwi do komnaty księżniczki były uchylone; zapukałem, aby uprzedzić ją o swojej obecności, po czym wszedłem. Pomieszczenie było niewielkie, wyłożone ozdobną boazerią rzeźbioną w zagięcia imitujące fałdy płótna i ogrzewane ogniem płonącym na wbudowanym w ścianę palenisku. Na podłodze leżały pootwierane kufry i skrzynie podróżne. Księżniczka zdążyła wypakować księgi i kilka sztuk odzienia.

Podniosła wzrok. Siedziała na skraju łoża, na kolanach trzymała otwartą księgę, obok płonęła świeca. Rozpuszczone włosy opadały jej na ramiona, ich miedzianozłote pasma przeplatały się ze szkarłatem sukni. Bez odświętnego dworskiego stroju wydawała się młoda i bezbronna niczym proste dziewczę. Jak gdyby nie była księżniczką.

Coś ścisnęło mnie w gardle.

Podąłem jej tubę, którą wiozłem na piersiach przez całą drogę do Ashridge.

– Nie rzucasz słów na wiatr – rzekła. Nie otworzywszy pakunku, położyła go na stoliku obok świecy. – Czy to koniec?

– Nie. Ale nie ma dowodów przeciwko tobie, pani.

Nie sięgnęła po tubę, nawet na nią nie spojrzała, jak gdyby nie interesowało ją, co znajduje się w środku, podczas gdy ja opowiadałem o tym, czego się dowiedziałem o Sybilli i Filipie, oraz ich intrydze zmierzającej do tego, aby uczynić z Elżbiety zakładniczkę księcia. Nie przerwała mi, nie zadała ani jednego pytania, a kiedy skończyłem, nadal siedziała nieruchomo i można by pomyśleć, że zamieniła się w kamień, gdyby jej piersi nie falowały w rytm przyspieszonego oddechu.

– Nie miałam pojęcia, że uważa mnie za tak cenną zdobycz – odezwała się po dłuższej chwili. – Słaba to pociecha, zważywszy, iż Maria zyska dzięki temu kolejny powód, aby mną pogardzać.

– Ona nic nie wie... – zacząłem, ale w tym momencie świat zawirował mi przed oczami. Kolana ugięły się pode mną; niemal upadłem, sięgając po najbliższe krzesło.

– Jesteś ranny – powiedziała Elżbieta. – Musisz usiąść.

Gdy opadłem na krzesło, słaby niczym nowo narodzony źrebak, księżniczka podeszła do jednej ze skrzyń, aby wyjąć pomalowaną szkatułkę. Wskazała moją rękę.

– Proszę mi ją pokazać.

Pokręciłem głową.

– To nic wielkiego. Nie trzeba...

– Nie spieraj się ze mną. Zdejmij kaftan, koszulę i pokaż. Jeżeli rana zacznie się jątrzyć, Kate mi tego nie daruje.

Otworzyła szkatułkę, podczas gdy ja niechętnie zdjąłem górną część odzienia. Kiedy spojrzałem na księżniczkę, wyjmowała słoik z balsamem oraz złożone płócienne szmatki. Następnie chwyciła stojący na kredensie dzban z wodą i obmyła mi rękę z krwi i brudu. Po przemyciu rana okazała się głęboka, ale niezbyt rozległa.

Palce Elżbiety wydały się chłodne, gdy dotknęła nimi mojej skóry przy rozcięciu. Skrzywiłem się.

– Wyglądasz jak niedźwiedź po walce – oznajmiła. – Nie ruszaj się. Może piec. To maść sporządzona przez Kate; zrobiła ją specjalnie dla mnie, zanim wyjechałam z Hatfield. Zawsze mam ją przy sobie.

Zaskoczony jej zdecydowaniem pozwoliłem posmarować się maścią sporządzoną z rozmarynu i mięty i roztaczającą woń, która przypomniała mi zapach Kate. Elżbieta opatrywała mi ranę sprawnie, w jej ruchach nie wyczuwałem wahania ani odrazy. Zapomniałem, że większą część życia spędziła z dala od dworu w wiejskiej rezydencji, gdzie nawet księżniczki muszą się nauczyć podstaw leczniczej sztuki. Balsam złagodził ból i wywołał upragnione odrętwienie. Gdy tylko Elżbieta skończyła, sięgnąłem po koszulę i poprawiłem pumpy zsuwające się z bioder niebezpiecznie nisko.

– Proszę. Od razu lepiej, nieprawdaż? – Włożyła

przybory z powrotem do szkatułki. – Powinieneś nakładać maść przynajmniej raz, a jeżeli zdołasz – dwa razy dziennie. – Przyjrzała się mojej twarzy. – Rana na skroni również powinna zostać opatrzona. Mniejsza o to, co mówi większość medyków; ja jestem przekonana, że nawet w najmniejszych skaleczeniach może zgromadzić się brud. Jeżeli zaczniesz się jątrzyć, będzie źle.

Mówiła rzeczowo, jak gdybym nie przekazał jej przed chwilą wiadomości o tym, że w każdym momencie do Londynu mogą dotrzeć buntownicy i że grozi jej niebezpieczeństwo – prawdę mówiąc, nikt z nas nie był bezpieczny.

– Co zrobimy? – spytałem wreszcie.

– Cóż możemy zrobić? Poczekamy. – Podeszła do stolika, jej smukła dłoń zawisała nad skórzaną tubą. – Czas pokaże, czy Wyattowi powiedzie się, czy nie; czy moja siostra postanowi uznać mnie za winną, czy za niewinną; czy zostawią mnie w spokoju, czy pojmą. – Zerknęła na mnie. – Choć jeżeli sytuacja jest tak tragiczna, jak mówisz, sądzę, że odpowiedzi na te pytania poznamy raczej prędzej niż później. – Po tych słowach podniosła tubę, po czym zapytała: – Co zawiera ten list?

Choć powtarzałem sobie w duchu, że nie powinienem o to pytać, nie mogłem się powstrzymać. Nagle poczułem, iż mam prawo się dowiedzieć, dla jakiej sprawy poświęciłem tak wiele.

Księżniczka zawahała się. Z tubą w dłoni przeszła

obok mnie, zatrzymała się przed kominkiem i stała nieruchomo dłuższą chwilę. Odsunęła ruszt, po czym zamaszystym ruchem nadgarstka wrzuciła tubę do ognia.

– Powiedziała ci na dworze, że masz jedyną okazję do zadawania pytań. Lepiej, byś nie wiedział więcej, niż już wiesz. Dość wycierpiałeś z mojego powodu.

Jej przygana nie zdziwiła mnie. Bezczelnością było przypuszczać, iż raczy mi się zwierzać. Słowa, które skierowała do Roberta Dudleya, pozostaną ich tajemnicą, a papier, na którym zostały spisane, spopielał się właśnie w palenisku.

– Zasiądziesz do wieczerzy? – spytała. – Zapewne umierasz z głodu.

Przytrzymując się krzesła, wstałem.

– Nie, udam się prosto na spoczynek.

– Zatem idź. Panna Parry wskaże ci komnatę. Dom jest prawie pusty; jest z czego wybierać.

Pozostała przy kominku, blask ognia oblewał ją czerwoną poświatą. Gdy ruszyłem do drzwi, odprowadziła mnie spojrzeniem, ja zaś położyłem dłoń na kłance i ku własnemu zdumieniu spytałem:

– Odpowiesz mi, pani, na ostatnie pytanie?

Przytaknęła.

– Jeżeli będę mogła.

– Czy było warto?

Westchnęła.

– Przekonałam się, że zawsze warto walczyć o to, w co się wierzy, niezależnie od wyniku. Ryzyko zawsze

ma swoją cenę.

Skinąłem głową.

– A ty? – spytała. – Walczyłbyś w mojej sprawie, gdybyś znał całą prawdę?

Zawahałem się tylko przez chwilę.

– Tak – odrzekłem. – Niezależnie od tego, co uczynisz, wierzę w twoją sprawę.

Uśmiechnęła się powściągliwie.

– Tego właśnie oczekuję. Odpocznij, przyjacielu. Zasłużyłeś na odpoczynek.

Obawiałem się, że nie zdołam zasnąć, gdyż wydarzenia poprzednich dni będą do mnie wracały w ciszy nieznanego domostwa. Jednakże kiedy tylko zdjąłem odzienie i położyłem się w pachnącym stęchlizną łożu, zapadłem w głęboki sen po raz pierwszy, odkąd opuściłem Hatfield.

Obudziłem się po południu. Porę dnia ustaliłem, spoglądając na kąt padania promieni słonecznych przesączających się przez okno. Gdy spałem, panna Parry przysłała kogoś, kto zajął się moimi rzeczami. Oprócz świeżej koszuli na schludnie ułożonej stercie obok sakwy leżały moje pumpy i pończochy pomarszczone i sztywne od schnięcia przy ogniu, ale za to czyste i pachnące lawendą. Obmyłem się, zmieniłem opatrunek na rękę, po czym zszedłem do holu. W świetle dziennym okazało się, że dom w Ashridge jest równie porządnie urządzone jak rezydencja w Hatfield; posiadał potrzebne sprzęty i odpowiednią przestrzeń, jednak

brakowało w nim domowej atmosfery, podobnie zresztą jak we wszystkich tego typu domostwach, które rzadko widywały gości i najczęściej ziały pustką.

Najadłem się do syta, siedząc samotnie przy szerokim stole. Usługiwała mi oblewająca się rumieńcem służąca, której nie poznałem, ale przypuszczałem, że to właśnie ona zajęła się moim odzieniem. Dowiedziałem się, że Elżbieta pozostała tego dnia w swojej komnacie, postanowiłem zatem zajrzeć do Cinnabara. Został dobrze oporzędzony, okryto go ciepłą derką i nie poskąpiono obroku. Urian obwąchiwał słomę wokół kopyt wierzchowca; a kiedy mnie rozpoznał, zaczął radośnie szczekać. Łzy napłynęły mi do oczu, bowiem przypomniałem sobie, jak bardzo Peregrine kochał tego psa. Ukryłem twarz w sierści liżącego mnie po rękach Uriana i pozwoliłem sobie pogrążyć się w boleści, na co pies wydał przeciągły, niski skowyt, jak gdyby wyczuł moją żalność.

Po chwili otarłem łzy i wybiegłem na zaśnieżony dziedziniec, gdzie zacząłem rzucać Urianowi patyk, rozkoszując się jego ochoczym udziałem w zabawie, zwinnymi susami i ujadaniem, gdy prosił o kolejny rzut. Tak dawno nie robiłem nic tak zwykłego, tak normalnego, że nasze igraszki na świeżym powietrzu wydawały mi się czymś osobliwym, a jednocześnie cudownym.

W końcu gdy pies dyszał z wywieszonym językiem, zaś moje ręce zmarzły na kość, z Urianem przy nodze



zawróciłem w stronę rezydencji. Po drodze zastanawiałem się, czy księżniczka już wstała, ale rozmyślenia przerwał mi tętent kopyt. Obracając się w stronę gościńca, wiedziałem, co zobaczę: mężczyźni w pelerynach i kapeluszach galopem zbliżali się w naszą stronę.

Puściłem się pędem do domu. Nadchodziła nasza odpowiedź.

Panna Parry również usłyszała nadjeżdżających. Zbiegała po schodach, ściskając w garści materiał spódnicy i unosząc jej rąbek. Gdy mnie dojrzała, rzuciła:

– Jej Książęca Mość mówi, że musisz się ukryć. Nikt nie może cię tu zobaczyć. Mogliby cię rozpoznać.

– A co z nią?

Udzieliło mi się rozgorączkowanie matrony; zacząłem oglądać się przez ramię, jak gdybym w każdej chwili spodziewał się, że drzwi otworzą się z hukiem i w progu staną uzbrojeni mężczyźni.

– Leży w łóżu. – Panna Parry pokręciła głową. – Przy jej stanie zdrowia często dostaje gorączki. Będzie żyła, ale jest zbyt słaba, by wstać – mówiąc to, wysunęła hardo szczękę – lub też witać gości. Owi wielmoże, kimkolwiek są, będą mieli trudny orzech do zgryzienia, jeżeli uznali, że mogą przyjechać tu i udzielić Jej Książęcej Mości połajanki.

Oczywiście był to wybieg. Chorą księżniczkę trudno będzie gdziekolwiek przenieść. Nie odezwałem się, gdyż pozostała część służby – pokojówka, kuchcikowie i paru

próżnujących parobków – zaczęli zbierać się w holu. Co do jednego wyglądali na przerażonych.

– Do pracy. – Panna Parry skinęła dłonią, na co służący spiesznie rozbiegli się do swoich zajęć. Następnie matrona zwróciła się do mnie: – Ty uchodź. Nie trzeba nam pytań, co człowiek, który niegdyś służył królowej, robi teraz w domu Jej Księżęcej Mości.

Miała rację. Musiałem zniknąć. Natychmiast.

Pobiegłem do swojej izby i zacząłem wpychać z powrotem do sakwy wszystko, co nie tak dawno z niej wyciągnąłem. Rozejrzałem się, aby się upewnić, czy niczego nie przeoczyłem, i wtedy dobiegł mnie stukot kopyt na dziedzińcu, a następnie pokrzykiwania na pachołków stajennych, gdy jeźdźcy zsiadli z koni.

Przybysze weszli do rezydencji, zanim zdążyłem dobiec do drzwi; słyszałem głośny tupot ich butów oraz pełen oburzenia głos panny Parry:

– Pani przebywa w komnacie. Leży złożona gorączką. Nie należy jej przeszkadzać...

Zarzuciłem sakwę na ramię, drugą dłoń położyłem na rękojeści rapieru. Przez uchylone drzwi zerknąłem na korytarz i dojrzałem mężczyzn, którzy z kapeluszami w dłoniach wspinali się po schodach, po czym skręcili w przejście wiodące do komnat księżniczki. Rozległ się przerażony okrzyk jednej z pokojówek, a w chwilę po nim gwałtowne pukanie do drzwi.

– Pani, proszę otworzyć! Przybywamy w imieniu Jej Królewskiej Mości!

Cofnąłem się do izby. Mój oddech przyspieszył. Może nie przeszukają rezydencji. Może przepytają księżniczkę i gdy przekonają się, że była tu cały czas, leżała z gorączką, zostawią nas...

Odgłosy kroków zbliżyły się do moich drzwi.

W popłochu zacząłem wycofywać się w stronę posłania z myślą, aby się pod nim schować. Zrobiłem to zbyt wolno. Drzwi stanęły otworem, w progu ujrzałem gwardzistę.

– Ty. – Uniósł dłoń w rękawicy i wskazał mnie palcem. – Na dół. Już.

Zaprowadził mnie do holu. Zebrała się tu cała służba, pokojówki szlochały, pobladli mężczyźni stali w milczeniu. Cieszyłem się, że nie było między nimi pani Ashley ani Kate. Przy odrobinie szczęścia panna Parry nie zdążyła ich jeszcze wezwać.

Ludzie królowej krążyli po holu, stojący pośrodku stół zastawiony był przywiezionymi przez nich rzeczami: torbami, bronią, papierami, gęsimi piórami i kałamarzami. Poznałem kilku dostojników, widziałem ich na dworze, choć nie znałem ich nazwisk; byli członkami rady. Gdy gwardzista ustawił mnie w rzędzie razem z innymi służącymi, jeden z przybyłych – szczupły białowłosy arystokrata z rozwidloną brodą i władczą miną dowódcy – odwrócił się w moją stronę i wpił we mnie spojrzenie, jak gdyby usiłował sobie coś przypomnieć.

Po chwili jednak odwrócił wzrok, ja zaś mogłem

odetchnąć z ulgą, opuścić oczy i głowę.

Ów dostojnik oschłym tonem oznajmił:

– Nazywam się lord William Howard, admirał Anglii. Z rozkazu Jej Królewskiej Mości mam przeszukać ten dom i przepytąć przebywające w nim osoby w związku z niedawnym zradzieckim buntem przeciwko monarchini. Thomas Wyatt i inni zostali pojmani i uwięzieni w Tower. Jej Królewska Mość okaże łaskę niewinnym, o ile owa niewinność zostanie dowiedziona, jednakże wcześniej nikt z was nie może opuścić majątku, inaczej czeka go niechybne pojmanie.

Omiótł nas lodowatym spojrzeniem, aby zaznaczyć swoją władzę, a następnie podszedł do gwardzistów, którzy wyprowadzali służbę.

Już miałem wyjść razem z pozostałymi, zatrzymał mnie jednak głos lorda Howarda.

– Ty zostań.

Obejrzałem się przez ramię. Jednak mnie poznał. Ukłoniłem się.

– Milordzie.

– Nie widziałem cię na dworze? – Zabrzmiało to nie jak pytanie, ale niemal jak stwierdzenie, mimo to postanowiłem zaryzykować.

– Być może, milordzie. Służę Jej Księżęcej Mości i od czasu do czasu przybywam z różnymi poleceniami...

– Łżesz? – Nie podniósł głosu, niemniej wyraźnie pobrzmiwała w nim groźba. – Jeżeli łżesz, ostrzegam

cię, mamy sposoby na łgarzy i potrafimy tak rozwiązać im języki, by zaczęli mówić prawdę.

Zamilkłem. Zastanawiając się, co powinienem uczynić, rozmyślałem również, kto tym razem mnie zdradził. Pierwszym winowajcą, który przyszedł mi na myśl, był Renard; po naszej kłótni przed moją izbą w Whitehall miał aż nazbyt wiele powodów do tego, by się mnie pozbyć. Stracił kontrolę nad własnym szpiegiem; Sybilla obróciła się przeciwko niemu, wykradła dowody, których poszukiwałem, sprawiła, że wyszedłem na głupca. Jedyne on miał coś do stracenia, gdybym wyznał wszystko, co wiem; z pewnością mógłbym opowiedzieć lordowi Howardowi, że hiszpański ambasador czynił, co w jego mocy, aby doprowadzić do zguby siostry królowej, przez co nie dostrzegłem, iż pod jego nosem zawiązuje się spisek. Być może nie uratowałoby mnie to, ale byłem niemal pewien, że Renard wolałby, by jego własne ohydne knowania i porażki nie ujrzały światła dziennego.

Lord Howard przekrzywił głowę.

– Jak się nazywasz?

Zawahałem się przez ułamek chwili, po czym odpowiedziałem:

– Prescott, panie. Giermek Prescott.

Liczyłem, że tą marną sztuczką zyskam nieco czasu. Renard i Maria znali mnie jako Daniela Beechama; jeżeli Renard nakazał tym ludziom mnie szukać, podał im moje dworskie przybrane imię.

– Prescott – zadumał się lord Howard. – Cóż, Prescott, nie wolno ci opuszczać posiadłości. Masz być pod ręką na każde moje zawołanie. Być może będę miał życzenie jeszcze z tobą porozmawiać.

– Tak, milordzie – wymamrotałem i skłoniłem głowę.

Nie poruszył się i patrzył za mną, gdy szedłem w stronę drzwi. Czekałem, aż mnie zawoła, pewny, że zanim przestąpię próg, on każe mi wrócić, bowiem przypomni sobie, iż widział mnie na dworze, jak wchodziłem do komnat królowej i z nich wychodziłem, a wtedy znajdę się w prawdziwych opałach.

„Nie wierzę, że może istnieć człowiek bez przeszłości...”

Howard nie zatrzymał mnie.

Przed komnatą księżniczki postawiono strażę; jedynie panna Parry i członkowie rady mogli wchodzić do środka. Wieczór spędziłem ze służbą w kuchni, jednym uchem słuchałem ich cichej, rozgorączkowanej paplaniny, drugim zaś usiłowałem złowić głosy lorda Howarda i jego ludzi rozprawiających przy wieczerzy.

Panna Parry weszła z tacą, na której stał nietknięty posiłek Elżbiety; odciągnąłem matronę na bok.

– Co się dzieje? Co wiadomo?

Wyraźnie przestraszona, choć usiłująca zachować opanowanie dama dworu wyszeptała:

– Bunt Wyatta nie powiódł się. Choć z początku wydawało się, że może odnieść zwycięstwo; miał pod

sobą ponad dwa tysiące zbrojnych, podczas gdy rada przyznała królowej zaledwie pięciuset dodatkowych gwardzistów. Wtedy Maria udała się prosto do ratusza i wygłosiła taką mowę, że cały Londyn stanął w jej obronie. Zwolennicy Wyatta opuścili go, gdy zobaczyli, jakie siły zebrano przeciwko nim. Lord Howard też tam był; nie przepuścił buntowników przez Ludgate. Przed zmrokiem Wyatt się poddał. Po obu stronach zginęli ludzie, ale nie było ich wielu.

– A teraz? – Pomyślałem o Dziobatym. Czy on również walczył przeciwko Wyattowi?

– Polecą więcęj głów – odpowiedziała ponuro. – Ścigają każdego, kto przyłączył się do armii Wyatta. Jednak to jeszcze nic. Byłam w komnacie pani, kiedy lord Howard przekazał jej, że przechwycono tajemną przesyłkę zawierającą różne pisma, które miały trafić za granicę, i między nimi znaleziono list rzekomo od Wyatta informujący księżniczkę o jego planach. Królowa wpadła we wściekłość. Poleciała siostrze natychmiast wracać na dwór. Upieram się, że Jej Księżęca Mość nie czuje się na tyle dobrze, aby podróżować, jednak Howard posłał po medyka. W najlepszym razie zostało nam kilka dni. Gdy przybędzie medyk i ją zbada, orzeknie, że jest zdrowa. Nie może być inaczej.

Stałem jak porażony. W przesyłce skierowanej za granicę znajdował się kolejny list, tym razem od człowieka, który pomaszerował na Londyn? To mogło jedynie przypieczętować los Elżbiety.

Istniało tylko jedno wyjaśnienie i myśl o nim zmroziła mi krew w żyłach.

Renard. To było jego dzieło. Znalazł sposób na podrobienie listu od Wyatta, zastawiając sidła, w które Elżbieta musiała wpaść.

Przygryzłem dolną wargę. Gdybyśmy tylko mieli kilka dni, może jeszcze nie wszystko byłoby stracone.

– Czy możemy wysyłać listy? Czy można w jakiś sposób przekazać stąd tajemną wiadomość?

Popatrzyła na mnie z niedowierzaniem.

– Niby jak, bądź łaskaw powiedzieć. Otoczyli posiadłość. Nawet pchła nie wyskoczy stąd niezauważona. Poza tym do kogo moglibyśmy się zwrócić? Nikt teraz nie poprze księżniczki, nawet ci, którzy mienili się jej przyjaciółmi.

– Znam kogoś. Człowieka, z którym królowa się liczy. Gdyby on przekonał Marię...

– Nie pojmujesz. Za późno na to. Królowa przystała na egzekucję lady Jane Grey, Guilforda Dudleya i ojca Jane, księcia Suffolk. Lord Howard powiedział to księżniczce prosto w twarz. Och, powinieneś być widzieć, jak na niego spojrziała! Gdyby nie leżała w łożu, chybaby go uderzyła. Teraz już za późno na wysoko postawionych przyjaciół. Królowa wtrąci ją do Tower i księżniczka – głos panny Parry się załamał – księżniczka o tym wie. Niech Bóg ma ją w swojej opiece, jedyne, co może teraz uczynić, to odwlec wszystko, udawać chorobę w nadziei, że zbawi ją jakiś cud.



– Dobry Boże – wyszeptałem.

Przypomniałem sobie ostatnie spotkanie z nimi w Tower, Jane trąciła nogą stos ksiąg, po czym przekazała mi tubę, a Guilford, jej nieznośny mąż, z którym musiała się pobrać wbrew własnej woli, wieszczył mi rychłą śmierć: oboje mieli jako pierwsi paść ofiarami Renarda. Czy Roberta i pozostałych braci Dudleyów czeka podobny koniec? Czy Courtenay również umrze? Ile krwi utoczy jeszcze podżegana przez Renarda królowa?

Czy Elżbieta ujdzie cało?

Oczy panny Parry lśniły od łez.

– Pani mówi, że jeżeli nadejdzie jej czas, poprosi o fehmistrza z Calais, podobnie jak jej matka. Nie pozwoli, aby odrąbali jej głowę toporem jak jakiemuś bydłociu w zagrodzie. Cóż możemy poradzić? Cóż którekolwiek z nas może na to poradzić?

Wszystkie głowy zwróciły się w naszą stronę, służący patrzyli na nas z przerażeniem. Ująłem matronę pod ramię, aby ją uciszyć. Jej oczy otwierały się coraz szerzej, gdy nachylałem się do niej.

– Proszę jej przekazać, by napisała do królowej. Musi się zarzec, że nie miała pojęcia o buncie i spisku Wyatta. Jeżeli uda się zasiać wątpliwości w głowie monarchini, być może zdołamy ocalić księżniczkę. Przekaż jej, że dostarczę list na dwór.

– Ty? – szepnęła. – W jaki sposób...?

– Mniejsza o to. – Podprowadziłem damę dworu do

kuchennych drzwi. – Proszę jej wszystko przekazać, zanim będzie za późno.

Nie mogliśmy opuszczać rezydencji, na dworze padał śnieg, my zaś siedzieliśmy w domu, podczas gdy członkowie rady z Howardem na czele kilka razy dziennie mozolnie wspinali się po schodach do komnaty Elżbiety. Za każdym razem wracali zdenerwowani, gdyż ich groźby były lekceważone; za każdym razem dobiegał nas z korytarza gniewny głos Howarda naradzającego się z dostojnikami, co czynić dalej. Panna Parry powiedziała mi, że lord Howard jest spokrewniony z księżniczką przez jej rodzinę ze strony matki; łączyły ich rodzinne więzy i trochę mi ulżyło, gdy zacząłem podejrzewać, iż wielmoża przewodzący delegacji nie jest aż tak pewny swojej misji, jak mogło się zdawać. Przeszukano każdy skrawek domu, przewrócono do góry nogami całą posiadłość; widać było wyraźnie, że szukano dowodów na to, iż Elżbieta gromadziła zapasy broni, którą mogłaby wesprzeć buntowników i bronić się, dopóki nie zostałaby ogłoszona królową, podobnie jak uczyniła to Maria podczas walki z Northumberlandem. Znalezione jedynie zamarznęte żywopłoty i stare zardzewiałe ostrze siekiery w sadzie. W obliczu braku namacalnych dowodów winy Elżbiety lord Howard coraz bardziej wyglądał na człowieka, który wolałby znajdować się gdziekolwiek indziej niż w miejscu, w którym właśnie gościł, aby zastraszać chorą damę i gromadkę i tak już przerażonych służących.

Po wieczerzy, gdy mężczyźni rozchodzili się do swoich izb, panna Parry przychodziła do mnie, aby przekazywać mi wieści. Mimo że przykuta do łoża boleści Elżbieta odważnie się broniła, twierdząc, że nie wierzy, aby posądzano ją o tak nieczne czyny, jej lekkomyślne postępowanie z czasów, gdy przebywała na dworze, obróciło się teraz przeciwko niej. Widywano ją przecież, przypominał lord Howard, w towarzystwie Courtenaya oraz jego popleczników; ustalono również, że opierała się podejmowanym przez Marię próbom nawrócenia jej na rzymską wiarę, gdyż zaraz po przyjeździe do Ashridge odesłała zakonnik, któremu królowa powierzyła owo zadanie. Niemniej żadnego z tych czynów, o czym wielokrotnie zapewniałem pannę Parry, nie można było uznać za zdradę. Jedynie plotki i pomówienia łączyły Elżbietę z buntem Wyatta, a to za mało, aby ją skazać na śmierć.

Mimo to nawet gdy powtarzałem swoje zapewnienia, myślami wracałem do swojego pierwszego wieczoru w Ashridge, gdy księżniczka stała w komnacie przy kominku i rzuciła w ogień list do Dudleya. Jeżeli postanowią przeszukać cele Dudleyów w Tower, co mogą w nich znaleźć? Jakie jeszcze tajemnice skrywała Elżbieta?

Czwartego dnia, gdy słabowite słońce usiłowało przebić się przez kłęby chmur, do Ashridge przybył wysłany z dworu medyk – zadufany w sobie starszy mężczyzna w szpiczastej czapce i czarnej szacie

noszonej przez ludzi jego fachu – który otrzepawszy pelerynę ze śniegu, zamknął się z Elżbietą. Panna Parry była jedyną osobą również obecną podczas badania; to nie do pomyślenia, oznajmiła, aby jej pani pozostała sama na sam z nieznanym mężczyzną. Gdy dwie godziny później medyk opuścił komnatę księżniczki, orzekł dokładnie to, czego obawiała się panna Parry: Jej Księżęca Mość lady Elżbieta owszem, cierpiała na poty, jednakże jej stan nie był na tyle poważny, aby uniemożliwić jej powrót na dwór, oczywiście w dogodnych warunkach.

Lord Howard zarządził natychmiastowy wyjazd. Jego ludzie ochoczo przystąpili do działania, zadowoleni, że wreszcie mają inne zajęcie prócz obrzucania pożądanymi spojrzeniami służek i osuszania przydomowych piwniczek. Gdy służba zaczęła biegać tam i z powrotem, ładując bagaże na wozy i szykując karocę na dziedzińcu, wymknąłem się do stajni osiodłać Cinnabara. Zakładałem mu uzdę, gdy z podwórca dobiegł mnie znajomy, podniesiony głos. Spiesznie wyszedłem na zewnątrz, w światło dnia skrzącego się prószącym śniegiem. Ścisnęło mi się serce. Obok dwóch pokrytych pianą klaczy stały pani Ashley i moja Kate, drogę zastawił im rząd zbrojnych strzegących wejścia do rezydencji oraz sam lord Howard.

– Powtarzam, muszę się z nią zobaczyć – oznajmiła pani Ashley. – Nikt nie powiadomił mnie o jej chorobie. Dowiedziałam się o wszystkim przypadkiem.

Wyruszyliśmy natychmiast, ale podróż zajęła nam kilka dni z powodu zatorów i opóźnień na gościńcach. Nie mamy nic wspólnego z wszystkimi godnymi pożałowania wypadkami, do których doszło. Jestem guwernantką Jej Księżęcej Mości i nalegam, by mnie wpuszczono!

Howard wydawał się wytrącony z równowagi przez pulchną kobietę nastroszoną niczym kwoka i grożącą mu palcem. Może i stawiał czoła buntownikom Wyatta, brakowało mu jednak doświadczenia w postępowaniu z nieugiętymi damami pokroju pani Ashley. Ruszyłem w ich stronę. Kiedy się zbliżałem, twardy śnieg zakrzypiał mi pod nogami, a wtedy Kate obróciła się i spojrzała na mnie przez ramię.

Znieruchomiała. W następnej chwili uniosła rękę, aby odrzucić kaptur, a ja dojrzałem cienie pod jej oczami. Pragnąłem przygarnąć ją do siebie; przybyła w najmniej odpowiedniej porze, miała za sobą kilka dni uciążliwej podróży, ja zaś nie mogłem okazać łączącej nas zażyłości. Po naszej pierwszej rozmowie Howard zostawił mnie w spokoju, nie śmiałem jednak budzić jego podejrzeń, odnosząc się poufale do dam dworu księżniczki.

– Milordzie – odezwałem się, Howard zaś przeniósł wzrok na mnie. – To rzeczywiście jest pani Ashley i dama dworu Jej Księżęcej Mości, panna Stafford. Służą lady Elżbiecie w jej domu w Hatfield.

– Owszem. Powiadomiono mnie o tym – odparł

sucho Howard, jednak wyraz jego twarzy złagodniał. Pani Ashley natychmiast uznała jego potwierdzenie za zgodę na wejście, ruszyła więc przed siebie, wyminęła dostojnika i przekroczyła próg rezydencji. Kate zawahała się. Howard, jak gdyby zgadując, co się dzieje między mną a przybyłą damą, odwrócił się znacząco. – Wyjeżdżamy za godzinę – oświadczył. – Bez zwłoki.

Zawrócił do holu.

Kate podeszła do mnie.

– Nasz drogi Peregrine... – wyszeptała i wyciągnęła do mnie rękę.

Cofnąłem się, zerkając na gwardzistów; kilku z nich przypatrywało się Kate z upodobaniem. Powiedziałem cicho:

– Muszę wracać do obowiązków, panno Stafford. Proszę wejść do środka. Jej Księżęca Mość niewątpliwie z radością powita wasze przybycie.

– Słucham? – zmarszczyła brwi. – Nie. Muszę z tobą porozmawiać. Chcę cię spytać...

Postąpiłem krok w tył, sprawiając, że urwała, po czym odwróciłem się w kierunku stajni. Nie obejrzałem się, choć wiedziałem, iż stoi w miejscu i wpatruje się we mnie ze zdumieniem. To było zbyt niebezpieczne. Nie mogliśmy ryzykować. Nie chciałem zagłębiać się w inne powody mojego postępowania, takie jak plama na honorze, przez którą stałem się tchórzem niepotrafiącym spojrzeć Kate w oczy.

Wtedy usłyszałem jej szybkie kroki i nagle stała

u mojego boku, kaptur opadał fałdami na jej ramiona, twarz miała zarumienioną od zimna.

– Nie unikaj mnie – poprosiła. – Nie po tym wszystkim. Zamartwiałam się o ciebie. Kiedy przyjechał Cecil z listem od ciebie i wiadomością o Peregrinie... – Głos jej się załamał. – Brendan, proszę. Co mu się stało? Co tobie się stało? To coś straszego, nieprawdaż?

– Owszem, coś straszego. I to jeszcze nie koniec. – Ponownie z trudem się powstrzymałem, by jej nie dotknąć, nie przygarnąć jej wiotkiego ciała do siebie i nie udawać, że między nami nic się nie zmieniło, że niezależnie od wszystkiego nasza miłość może przewyciężyć moją słabość. – Howard mnie podejrzewa – powiedziałem. – Nie pytaj mnie więcej o nic. Nie teraz. Po prostu zrób, o co proszę.

Po wyrazie jej twarzy poznałem, że poczuła się zraniona, a jednocześnie była rozdarta, gdyż z jednej strony dotarły do niej moje ostrzeżenia, ale z drugiej – wyczuwała niewidzialne pęknięcie, które nastąpiło między nami, choć nie znała jeszcze jego przyczyny.

– Co mam zrobić? – spytała w końcu.

Miałem nadzieję, że nasza rozmowa wyda się gwardzistom niewinna, wiedziałem jednak, iż aby tak było, nie może trwać długo, rzuciłem więc:

– Nadal nosisz wisior ode mnie?

– Wiesz, że tak. Nie zdejmuję go, odkąd... – Stłumiła okrzyk. – Ależ jestem niemądra! Powinnam była go zostawić. Gdyby mnie przeszukali, mogliby go znaleźć.

– Odepnij go.

Staralem się zachować obojętny wyraz twarzy, jak gdybym zamieniał z nią parę słów na zwykłe tematy, na które rozmawiają mało ważni ludzie służący innym, ważnym ludziom.

Uniosła rękę do szyi, aby odpiąć wisior, ale zatrzymała się.

– Dlaczego potrzebujesz go teraz? Chciałam zwrócić ci go w Hatfield, ale wtedy odmówiłeś.

– Kate, proszę. Nie ma czasu na wyjaśnienia.

– Nie wolno ci czynić niczego pochopnie – powiedziała. – To klucz do twojej przeszłości, w nim jest ukryta twoja tożsamość; może ujawnić, że w twoich żyłach płynie królewska krew.

– Nikt poza królową nie rozpozna klejnotu. To może być nasza jedyna szansa. Kate, upuść wisior na ziemię i odejdz. Nie zadawaj więcej pytań; nie spotykajmy się więcej. Cokolwiek się stanie, musisz trwać przy Jej Książęcej Mości. Walczę o nasze życie.

Zacząłem się odwracać, podczas gdy Kate dotknęła szyi i palcami usiłowała wymacać zapięcie.

– Myślałam, że mi ufasz – szepnęła.

Odwróciła się i gdy odeszła, ogarnął mnie rozpaczliwy smutek. Nie mogłem mu się poddać. Musiałem skupić się na tym, co należało czynić.

Schyliłem się, jak gdybym poprawiał buty, i korzystając z chwili nieuwagi gwardzistów odprowadzających wzrokiem Kate, która minęła ich, aby



wejść do rezydencji, wyłowilem ze śniegu łańcuszek z wysadzonym rubinami wisiorkiem w kształcie liścia.

# WHITEHALL

## Rozdział 21



Przy wtórze trzaskania biczy i w podmuchach wiatru unoszących z drogi tumany śniegu opuściliśmy Ashridge. Nadciągnęła zamieć; mimo że nie padało mocno, zjadliwy wichur przenikał wełniane peleryny i przesywał nas do kości. Panna Parry na próżno usiłowała zyskać jeszcze jeden dzień, tłumacząc lordowi Howardowi, że jeśli księżniczka ucierpi na skutek aury, wina spadnie na jego głowę. Dostojnik pozostał niewzruszony. Medyk uznał, że Elżbieta znieśie podróż; o ile nie zdarzy się żadna katastrofa, lord Howard wołał zaryzykować jazdę w czasie zawiei niż gniew królowej.

Księżniczkę ujrzałem jedynie przelotnie, gdy wyniesiono ją z komnat. Opatulona w futra odwróciła opuchniętą twarz i dała się usadowić w wyściełanej poduszkami karocy. Pojazd otoczyli gwardziści, w jego okienkach zasunięto zasłony. Nie było czasu, by zamienić z nią choć kilka słów, a nawet gdyby znalazła się taka chwila, nie zdołałbym jej wykorzystać, ponieważ odesłano mnie na tyły razem z wozami i służbą, podczas gdy pani Ashley, Blanche Parry i Kate jechały obok karocy.

Posuwaliśmy się powoli. Karoca podskakiwała

i chwiała się na nierównym gościńcu, Elżbieta kilkakrotnie prosiła o postoje, skarżąc się na niewygody i zmuszając lorda Howarda, aby przychylił się do jej prośb. Odwlekała to, co nieuniknione, zdecydowana wydłużyć jednodniową podróż do granic możliwości. Gdy nadszedł zmierzch, a Londyn znajdował się jeszcze wiele godzin jazdy przed nami, Howardowi nie pozostawało nic innego, jak zarządzić nocleg po drodze. Schronienie znaleźliśmy w pobliskiej rezydencji, której właściciele nie spodziewali się tak zacnego i liczego orszaku, ugościli nas jednak najlepiej, jak mogli, oddając własną komnatę sypialną do dyspozycji księżniczki.

Następnego ranka wyruszyliśmy o brzasku. Tego dnia zasłony w karocy Elżbiety nie rozchyliły się ani razu, a z ust księżniczki nie dobyło się ani słowo skargi. Lord Howard jechał obok z kamiennym wyrazem twarzy, za nim stąpały konie dam dworu. Ja trzymałem się z tyłu i co pewien czas wyteżałem wzrok, aby dostrzec Kate, która wzięła sobie do serca moją radę. Ani razu nie obróciła się i nie zerknęła w moją stronę.

O zachodzie słońca, które ołowiane niebo powlekło szkarłatnymi smugami, dotarliśmy do bram miasta.

Wszystko się zmieniło, podejrzenia jątrzące się od kilku tygodni pękły niczym wrzód, ukazując zaropiałą ranę w całej jej okropności. Na bramach wisały podrywane kończyny buntowników Wyatta. Ich krew skapywała na drogę, na której gromadziły się psy warczące na siebie i chlepczące zastygłe kałuże

brunatnej cieczy. Na każdym rogu stały szubienice ozdobione nagimi wypatroszonymi zwłokami, sztywnymi i czerniejącymi. Wszyscy wiedzieli, że taka właśnie kara spotyka każdego zdrajcę, jednak odór śmierci w połączeniu z myślą, iż może mnie czekać podobny los, poraził mnie.

Tym razem obawiałem się, że królowa zażąda głów nas wszystkich.

Domy i sklepy pozamykane były na cztery spusty, drzwi i okiennice zaryglowane, choć nie zapadł jeszcze zmrok. Po ulicach przemykali pojedynczy przechodnie, którzy dostrzegłszy orszak w otoczeniu zbrojnych, pędem chowali się po bramach niczym myszy w dziurach podłogi. Mimo to musiała się roznieść wieść, że do miasta wjeżdża nie kto inny jak sama księżniczka Elżbieta, gdyż wzdłuż drogi do Whitehall zebrał się niewielki tłum śmiazków – morze głów, dziesiątki milczących spojrzeń i oszołomionych twarzy, w których można było wyczytać historię niespodziewanych brutalnych zamieszek, jakie przetoczyły się przez miasto w ostatnich dniach. Zauważyłem, że Howard zaciska mocniej lejce i spogląda znacząco na karocę księżniczki, jak gdyby oczekiwał jakiegoś wybuchu.

Nagle zasłony w okienkach pojazdu rozsunęły się, ukazując wymizerowaną Elżbietę ubraną w białą suknię o wysokim kołnierzu. Włosy miała rozpuszczone, głowę opartą o podgłówek. Wokół szyi niczym symbol i złowieszcza przepowiednia połyskiwała obróżka

z kwadratowych rubinów. Księżniczka omiotła tłum obojętnym spojrzeniem swych ciemnych oczu, na co kilka kobiet złożyło ukłon, a któryś z mężczyzn wzniósł okrzyk:

– Boże, chroń Jej Księżęcą Mość!

Howard skinął na gwardzistów. Zanim zwartym szeregiem otoczyli karocę, zasłaniając ją przed oczami gawiedzi, Elżbieta posłała dostojnikowi pełne rozbawienia spojrzenie. Pomimo strachu nie straciła na kęśliwości.

Gdy przed nami wyłoniły się budynki Whitehall chronione przez oddziały gwardzistów, przez co siedziba królowej przypominała bardziej fortecę niż pałac, Kate w końcu odważyła się na mnie zerknąć. W jej wzroku czaiło się pytanie; choć jechała zaledwie kilka kroków przede mną, wydawało się, że oddziela nas przepaść, której nie sposób pokonać.

Wjechaliśmy główną bramą. Elżbieta siedziała sztywno wyprostowana, patrzyła nieruchomo przed siebie. Za plecami gwardzistów stała grupka dostojników, minęliśmy jednak bez zatrzymywania i jednych, i drugich. Przejechaliśmy przez kolejną masywną bramę i znaleźliśmy się na dziedzińcu, na którym czekali ubrani w zielono-białe liberie Tudorów i uzbrojeni w halabardy żołnierze królewskiej straży przybocznej.

Howard zeskoczył z konia, a następnie pomógł Elżbiecie wysiąść z karocy. Gdy księżniczka zrzuciła

z siebie futra i dostrzegła zdawkowe ukłony gwardzistów, gniewnie zmarszczyła brwi.

– Czy to w ten sposób jestem witana? – spytała. – Bądź zatem łaskaw powiedzieć mi, panie, gdzie będę mieszkała? W lochu?

– Jej Księżęca Mość zajmie specjalnie przydzielone komnaty – odparł Howard. – Ci żołnierze będą służyć Jej Księżęcej Mości ochroną. Na służbie może pani zatrzymać trzy damy dworu; wszyscy pozostali zostaną odprawieni.

– Odprawieni? – jej ton zdradzał zdenerwowanie. – Z pewnością nie zamierza pan pozbawić mnie oparcia ludzi, na których polegam? – Howard nie odpowiedział. Unosząc brodę, Elżbieta głośno oznajmiła: – Domagam się spotkania z moją siostrą królową! Domagam się audiencji u Jej Królewskiej Mości, która nie może...

Żołnierze zbliżyli się do niej. Widząc ich postawę, księżniczka zamilkła. Pani Ashley i Blanche Parry pospieszyły w jej stronę; nagle musiało do niej dotrzeć, że rzeczywiście została zdana tylko i wyłącznie na łaskę Marii, gdyż ponownie zwróciła się do Howarda.

– Zaklinam cię, milordzie, choćby przez wzgląd na nasze rodzinne więzy. – Położyła ubraną w rękawiczkę dłoń na jego rękawie. – Pozwól mi przynajmniej korzystać z usług mojego giermka. Mam ciężką skrzynię podrózną. Musi ją zanieść do moich komnat.

Była to nieudolna wymówka wymyślona w akcie desperacji i Howard zapewne zdawał sobie z tego

sprawę. Każdy z krzepkich żołnierzy mógł pomóc księżniczce z kufrem, niemniej dostojnik wydawał się rzeczywiście rozważać prośbę Elżbiety. Przeniósł spojrzenie na mnie, stałem obok Cinnabara. Kate, odziana w pelerynę i z kapturem na głowie, również znieruchomiała przy swojej klaczy, jak gdyby nie wiedziała, co czynić.

– Żadnych mężczyzn – oznajmił Howard. – Mam jasne rozkazy. Jedynie damy dworu Jej Księżęcej Mości.

– Proszę, milordzie – błagała Elżbieta. – To zwykły sługa. Jaką szkodę może wyrządzić?

– Ogromną – odrzekł dostojnik szorstko – jeżeli jest to ten sam człowiek, na którego wygląda.

Wiedział, kim jestem. Wiedział przez cały czas. Czyżby zatem mi sprzyjał?

Puściłem lejce i podszedłem do niego.

– Milordzie – zacząłem. – Jej Księżęca Mość jest chora. Niewątpliwie powinna zostać otoczona dodatkową opieką – powiedziałem, po czym zniżyłem głos i dodałem: – Być może pewnego dnia znajdzie się w sytuacji, w której będzie mogła wynagrodzić twoje miłosierdzie.

Jego usta drgnęły. Tak jak przypuszczałem, lord Howard nie był zwykłym pochlebcą. Bronił Londynu, narażał się na niebezpieczeństwo, aby ochronić koronę. Stał na straży honoru. Moje słowa najwyraźniej poruszyły jego sumienie, które i tak musiało go od pewnego czasu dręczyć, gdyż po chwili skinął krótko

głową.

– Giermek może pomóc. Ale zaraz potem musi odejść. Nie mogę przeciwstawić się woli królowej – dodał, niejako przepraszając. – Jeżeli utracę jej łaskę, na cóż zda się moja przychylność wobec Jej Księżęcej Mości?

Elżbieta odetchnęła.

– Dziękuję, milordzie. – Wyprostowała się.

Żołnierze otoczyli ją i w ich asyście weszła do pałacu, a wraz z nią Kate, Ashley i Parry. Gdy zdejmowałem z wozu okutą mosiądzem i obitą skórą skrzynię, złowiłem spojrzenie Howarda.

Kamienna maska zniknęła, a na jego obliczu odmalował się niepokój.

– Cokolwiek zamyślasz – wymamrotał – uczynić to szybko.

Pospieszyłem za Elżbietą. W korytarzu panowała duchota, sklepiony sufit wisiał nisko nad naszymi głowami. Zaprowadzono nas do izb pozbawionych okien, zaopatrzonych jedynie w niezbędne sprzęty. W pomieszczeniach panował chłód, gdyż nie było w nich kominków ani choćby piecyków. Żołnierze wycofali się do sieni, złożyli ukłon, po czym zamknęli za sobą drzwi.

Panna Parry rozglądała się z przerażeniem. Pani Ashley tupnęła nogą.

– To oburzające! Czy Jej Królewska Mość zamierza uśmiercić nas przeziębieniem i gorączką?

Elżbieta ze znużeniem osunęła się na stołek, jak



gdyby wszystkie jej kości zwiotczyły i przelewały się niczym woda.

Postawiłem skrzynię na podłodze.

– Twój list, pani – powiedziałem. – Zaniosę go komuś, kto tak samo jak Howard nie życzy sobie zobaczyć cię w Tower.

Księżniczka spojrzała na mnie w osłupieniu.

– List?

– Tak, list do królowej. Ten, który prosiłem, pani, byś napisała. Proszę, Wasza Książęca Mość. Musimy się spieszyć. Zostało niewiele czasu.

W tym momencie wtrąciła się panna Parry.

– Ja... ci nie uwierzyłam. I nie miałyśmy jak tego uczynić. Zabrali nam atrament, pióra i papier z komnat w Ashrigde. Jej Książęca Mość nie mogła nic napisać, zatem... nie przekazałam prośby o list.

Podczas gdy Elżbieta świdrowała spojrzeniem swoją wierną damę dworu, Kate przyklęknęła i zaczęła szperać w torbie z grubego ozdobnego materiału. Wyciągnęła z niej arkusz papieru, zaostrzone gęsie pióro i niewielki kałamarz. Obróciwszy się do stołu, Elżbieta wyjęła z buteleczki korek i zamoczyła w atramencie czubek pióra. Zawahała się z dłonią uniesioną nad czystym papierem. Spojrzała na mnie. Następnie pochyliła się i zaczęła pisać, a w panującej wokoło ciszy rozlegało się jedynie szaleńcze skrobanie.

Kate przypatrywała mi się bacznie. Nie potrafiłem spojrzeć jej w oczy, gdyż wiedziałem, że zobaczę w nich

strach, do którego się przyczyniłem, bowiem nie potrafiłem nas ochronić. Mimo to zostało jeszcze trochę czasu; gdybym zdołał dotrzeć do królowej i przekonać ją, być może zapobiegłbym najgorszemu.

Elżbieta obróciła kartę, zacisnęła szczęki, lekko przygryzając język. Chwilę później skończyła pisać równie raptownie, jak zaczęła, i uważnie przyjrzała się skreślonym naprędce słowom. Wydawało się, że zastanawia się nad czymś i szuka w liście błędów. Zadowolona, iż żadnych nie znalazła, ponownie zanurzyła pióro w kałamarzu, przekreśliła wolną przestrzeń pod listem dwoma ukośnymi liniami, a następnie na samym dole złożyła podpis.

– Piasek – poleciła.

Kate znów przeszukała torbę.

– Nie przywozłam – odpowiedziała, po czym zmeła przekleństwo. – Tak bardzo się spieszyliśmy, gdy dotarła do nas wiadomość, że... że... – Gdy załamał jej się głos i owładnęły nią emocje, nad którymi do tej pory panowała, Elżbieta przygarnęła ją do siebie.

– Nie ty – wymamrotała. – Nie moja dzielna Kate. Ani mi się waż. Jeżeli się rozpłaczesz, ja również zacznę płakać, a obydwie wiemy, że łzy nas nie zbawią, choćby ronił je nad nami cały świat.

Patrząc ponad głową Kate, księżniczka utkwiała wzrok we mnie. Nie mogła wiedzieć, że zdradziłem Kate, dzieląc łożę z inną kobietą, ale w tym momencie wydawało mi się, iż zajrzała w najmroczniejsze

zakamarki mojej duszy. W jej spojrzeniu znalazłem wybaczenie, do którego sam sobie nie dawałem prawa, i zrozumienie osoby, która również padła ofiarą zakazanej żądzy. Jednak jej wzrok ostrzegał mnie również: ci, których kochamy, nie mogą cierpieć z powodu naszych słabości. Nie ma potrzeby, by wciągać ich w grzędawisko naszych grzechów.

– Muszę iść. – Mój głos zabrzmiał twardo.

Kate odwróciła się od księżniczki, drżącą dłonią zasłoniła usta. Zmusiłem się, aby spojrzeć w jej pełne przerażenia oczy, i położyłem dłoń na piersiach, w miejscu gdzie w wewnętrznej kieszeni kaftana schowałem wysadzany klejnotami wisior w kształcie liścia.

– Los wkrótce się odwróci – oznajmiłem, przenosząc wzrok na Elżbietę, która dmuchała na zapisany papier, usiłując osuszyć atrament przed złożeniem listu. Gdy skończyła, wziąłem od niej wiadomość i ukryłem ją pod peleryną. – Nie mogą po ciemku przewieźć cię, pani, barką do Tower. Czyń, co w twojej mocy, aby zostać tu na noc.

Księżniczka przytaknęła skinieniem głowy.

– Tak uczynię. Niech Bóg ma cię w swojej opiece, przyjacielu.

Ukloniłem się nisko, po czym wyszedłem, czując na sobie wzrok Kate. Nie obejrzałem się.

Nie zasługiwałem na nią, nie po tym, jak postąpiłem.

Mimo to gotów byłem oddać życie, aby uchronić ją

i Elżbietę.

Pałac był pogrążony w ciemnościach, pochodnie skwierczały i osmalały mury, ledwie rozjaśniając głęboką zimową noc. Owinięty peleryną spieszonym krokiem przemierzyłem dziedziniec, trzymając się blisko nieoświetlonych ścian. Przybycie Elżbiety z pewnością nie uszło uwadze dworzan. Musiałem najdłużej, jak to możliwe, pozostawać nierozpoznany.

Wspiąwszy się bocznymi schodami na krużganek, przystanąłem, aby się rozejrzeć. Gabinety, których szukałem, musiały mieścić się w pobliżu komnat królowej. Zagadnąłem przechodzącego paza, on zaś pokierował mnie w odpowiednią stronę. Po drodze napotkałem więcej wartowników, niż bywało to wcześniej, jednak żaden z nich nie okazał mi większego zainteresowania. Szedłem przed siebie pewnym krokiem służącego, który ma do wykonania ważne, powierzone mu przez pana zadanie. We wnękach z braku lepszej rozrywki przesiadywali dworzanie. Domyśliłem się, że wszyscy zamożni arystokraci umknęli z Londynu, aby zaszyć się na wsi, która chwilowo wydawała się bezpieczniejszym miejscem niż stolica, jednak dobrze naoliwiona dworska machina nadal działała i po pałacu krążyli sekretarze i paziowie, spiesząc z poleceniami, torbami i teczkami. Niewątpliwie spotkanie rady, na którym ważyły się losy siostry królowej, miało trwać do późnej nocy.

Znalazłem Rochestera w jego gabinecie, gdzie razem

z urzędnikiem pochyłali się nad pulpitem zawalonym księgami.

– Proszę o wybaczenie, jeżeli przeszkadzam – powiedziałem, zatrzymując się w progu.

Rochester gwałtownie uniósł głowę i zmarszczył brwi niezadowolony z najścia. Wydawał się znużony ponad miarę, jego zwykle rumiane policzki były blade. Ostatnie zdarzenia musiały go wyczerpać, w minionych dniach zapewne nie miał zbyt wiele czasu na sen, a co dopiero na spożywanie sutoch posiłków i zakrapianie ich winem. Gdy zrzuciłem kaptur, aby blask świecy wydobył z ciemności moją twarz, warknął na urzędnika:

– Idź! Przynieś te dokumenty z archiwum! – Następnie udawał, że studiuje leżący przed nim otwarty tom, podczas gdy gryziپیórek, zerkając na mnie, wyśliznął się z izby. Kiedy zostaliśmy sami, Rochester szepnął: – Wszyscy święci, co cię opętało? Nie jesteś już tutaj mile widziany. Jeżeli się dowiedzą, że wróciłeś, pojną cię, wtrąca do lochu i będziesz tam gnić do końca swych dni.

Zamknąłem drzwi. W pomieszczeniu panowała duchota od piecyka płonącego w rogu.

– Muszę z nią porozmawiać.

– Z nią? – powtórzył, po czym gdy dotarło do niego, co mam na myśli, pokręcił głową. – To nie wchodzi w rachubę. Nie przyjmie cię. Nikogo nie przyjmuje, a ciebie to już na pewno.

Wyjąłem spod peleryny złożony list.

– Muszę jej to dostarczyć. Zależy od tego życie księżniczki. Ty również troszczysz się o Elżbietę. Wiem, że nie chcesz, aby Renard triumfował.

Przełknął ślinę.

– O... o czym mówisz?

– Dobrze wiesz. Tak samo jak od samego początku, odkąd tu przybyłem, wiedziałeś, po co się zjawiłem. Czekaleś na mnie. Spodziewałeś się, że Cecil kogoś przyśle, ponieważ go ostrzegłeś.

Z jego przerażonego spojrzenia wywnioskowałem, że się nie mylę: osobą, która potajemnie przysyłała wieści z dworu, był nie kto inny jak Rochester, zaufany rachmistrz królowej. Ostrzeżenia o niebezpieczeństwie grożącym Elżbiecie ze strony Renarda oraz zbliżających się zaręczynach z księciem Filipem pochodziły od niego. Zapewne sumienie nie dawało mu spokoju. Kochał królową; trwał u jej boku w najgorszych chwilach, gdy Northumberland władał królestwem i wszyscy stracili wiarę, że Marii uda się odzyskać tron. Mimo to, podobnie jak wielu innych służących królowej ludzi, uważał również, iż Maria zamierza popełnić straszliwy błąd. Rochester, Anglik w każdym calu, nie mógł znieść myśli o przejęciu przez obce mocarstwo władzy nad królestwem i piekle, które niewątpliwie w wyniku tego się rozpęta.

– Jestem lojalnym poddanym Jej Królewskiej Mości – odparł drżącym głosem. – Nie masz przeciwko mnie żadnych dowodów. A jeżeli mimo to będziesz próbował

czegoś dowieść, wszystkiemu zaprzeczę.

– Nie pojmujesz. Nie pragnę...

Przyskoczył do mnie i chwycił mnie za nadgarstek.

– To ty niczego nie pojmujesz. Nic jej teraz nie ocali. To koniec. Przegraliśmy. – Głos mu się załamał. – Królowa nie da się odwieść od tego, co postanowiła. Dziś kazała ściąć lady Jane Grey i Guilforda Dudleya. Byłem przy tym; musiałem zaświadczyć o ich śmierci.

Ból ścisnął mi serce. Jane i Guilford byli zaledwie pionkami w rozgrywce prowadzonej przez innych; teraz oboje nie żyli. Za to Robert Dudley ocalał. Mężczyzna, którego nienawidziłem bardziej niż kogokolwiek innego na świecie, któremu nie ufałem za grosz i który uknuł całą tę intrygę i swoimi czynami doprowadził do tego, że Elżbieta i ja znaleźliśmy się w tak beznadziejnej sytuacji – ten mężczyzna nadal żył.

Jeżeli oczekiwałem sprawiedliwości, powinienem był go zabić, gdy miałem do tego okazję.

– Niech Bóg odpuści im winy – wymamrotałem. – Mam tylko nadzieję, że lady Jane nie cierpiała.

– Krew ścięła mi się w żyłach – powiedział Rochester. – Biedne dziewczę, gdy przewiązali jej oczy, nie mogło znaleźć pnia. Szukała go po omacku, błagając wszystkich naokoło o pomoc. Nigdy tego nie zapomnę, ten obraz będzie mnie prześladował przez resztę życia. – Odwrócił się ode mnie, aby otrzeć twarz rękawem. – Idź stąd. Nie mogę ci pomóc. To koniec. Teraz każdy musi troszczyć się o siebie.

– Sam w to nie wierzysz. Nigdy nie wierzyłeś. Jesteś dobrym człowiekiem, pamiętasz? Musisz postępować zgodnie z tym, co nakazuje ci sumienie, inaczej będziesz tego żałował do kresu swoich dni. Już zawsze będziesz się zastanawiał, czy gdybyś uczynił to, o co prosiłem, ocaliłbyś księżniczkę. – Znieruchomiał, stojąc plecami do mnie ze zwieszonymi ramionami. – Pozwolisz, aby ten przeklęty Renard doprowadził do jej zguby? – ciągnąłem. – Ja nie zamierzam. Prędzej sam poślę go do diabła.

– Diabłem wcielonym – odezwał się Rochester – powinno nazywać się ciebie. Niechybnie będziesz się smażył w piekle, a ja razem z tobą. – Poczłapał do pulpitu, zdjął z blatu pęk kluczy i wziął jedną ze świec. Osłaniając płomień dłonią, obrócił się do mnie. – Nie mogę paradować w twoim towarzystwie po korytarzach. Szukają cię. Nie będę się niepotrzebnie narażał. Mam żonę i dzieci. Wolę zachować głowę na karku. – Zabrzęczał kluczami, po czym zbliżył się do boazerii. Popchnął ręką jeden z dekoracyjnych paneli, który ustąpił pod jego naciskiem, ukazując wąski tunel. – Ten korytarz prowadzi do jej komnat. Przeprowadzę cię do jego końca, ale uprzedzam, dalej nie pójdę. Będziesz zdany tylko na siebie.

– Zgoda.

Schyliłem głowę i przecisnąłem się przez szczelinę. Przejście musiało być częścią starej, ukrytej sieci pałacowych tuneli – w kamiennym korytarzu, w którym



z trudem mieściła się potężna sylwetka Rochestera, panował tak niezgłębiony mrok, że zdawał się pożerać słabe światło rzucane przez świecę.

Oddychałem powoli i głęboko. Poza wartkimi nurtami silną niechęć wzbudzały we mnie zamknięte przestrzenie. Miałem wrażenie, że nie mogę nabrać powietrza, dłonie lepiły mi się od potu. Korytarz zdawał się ciągnąć bez końca, niczym czyściec. W chwili gdy zacząłem się obawiać, że nie dam rady iść dalej i zawrócę, Rochester skręcił i zadzwonił kluczymi. Wyszukawszy odpowiedni, otworzył pokryte pleśnią drzwi, popchnął je, one zaś otwarły się z zadziwiającą łatwością, jak gdyby ktoś niedawno naoliwił zawiasy, ja zaś z ulgą wychynałem z tunelu i stanąłem w królewskiej kaplicy nieopodal ołtarza.

– Bardzo wygodne – wysiliłem się na lekki ton, mimo że pot ściekał mi po czole. – Zwłaszcza dla tych, którzy spóźnią się na nabożeństwo.

– Tajna droga ucieczki – wyjaśnił Rochester. – Wie o niej zaledwie garstka osób służących monarchom, a pochodzi z minionych czasów, gdy Cromwell siał postrach w całej Anglii. Dawniej kaplica należała do klasztoru York. W tej części pałacu znajduje się mnóstwo tuneli, niektóre z nich ponoć prowadzą do rzeki. – Skrzywił się. – Braciszekowie zakonnicy zapewne lubili popijać opłatki przemycanymi trunkami.

Rozkoszowałem się błogą ciszą panującą w bogato zdobionej, przytulnej kapliczce, w której nie tak dawno

brałem udział w nabożeństwie za duszę Peregrine'a. Witrażowe okna jaśniały osobliwym, stonowanym blaskiem, wpuszczając światło księżycy i pochodni umieszczonych na zewnątrz pałacu. Wdychając mroźny zapach marmuru i aromatycznego drewna przepojonego wonią kadzidła, ponownie uderzyło mnie to, jak bardzo znajome i bliskie wydawały mi się te doznania, jak gdybym kiedyś był katolikiem.

– Zostań tu. – Rochester zdmuchnął świecę. – Szpiedzy Renarda wężą wszędzie; jeżeli nie będzie bezpiecznie, wracamy, skąd przyszliśmy. Bez dyskusji.

Ruszyłem wzduż przejścia, ale zaraz się zatrzymałem.

– Stój – powiedziałem, po czym wręczyłem Rochesterowi list księżniczki.

Wzdrygnął się.

– Nie zamierzam wplątywać się w to bardziej, niż już się wplątałem. Jeżeli ona zgodzi się przyjąć ciebie, możesz wręczyć jej to pismo osobiście.

Wyjąłem z kaftana wysadzany klejnotami liść owinięty kawałkiem materiału, który oderwałem od brzegu koszuli, zanim wyjechaliśmy z Ashridge.

– Wobec tego przekaz jej to.

– Co to jest? – Spojrzał na mnie podejrzliwie. – Przekupstwo? Nie spodoba jej się to, zapewniam cię.

– Po prostu jej to przekaz. Kiedy to zobaczy, przyjmie mnie.

– Tak, zaufanie i wiara w ludzi to pierwszy stopień

do piekła – prychnął w odpowiedzi.

Schował jednak wisior do kieszeni i ruszył przed siebie, zrzedzając pod nosem.

Musiałem się uśmiechnąć. Gdybym kiedyś potrzebował przyjaciela u boku, chciałbym, by był nim lord Rochester.

Usiadłem w ławie i czekałem, cisza otuliła mnie niczym aksamit. Dopiero w tej chwili dotarło do mnie, jak szaleńcze było moje życie, jak mocno skupione na jednym celu; wszystkie moje poczynania, każdy dzień i godzina były podporządkowane walce o bezpieczeństwo Elżbiety. Teraz, w samotności kaplicy, w której właściwie w ogóle nie powinienem przebywać, nagle poczułem ciężar zmiany, jaka dokonała się we mnie w ciągu minionych dni.

Przekroczyłem niewidzialny próg. Cokolwiek się stanie, nigdy nie będę tym samym człowiekiem co niegdyś. Zostałem sam, nie miałem już żadnych powodów do tego, by zachowywać pozory, i w końcu mogłem przyznać przed sobą, że choć długo nie godziłem się z rzeczywistością i podejmowałem mozolne wysiłki, by wieść normalne życie, łudziłem się, sądząc, iż jest to możliwe. Myślałem, że uda mi się uciec przed głęboko skrywaną tajemnicą mojej przeszłości i być zwykłym człowiekiem. Mocno pragnąłem w to wierzyć i przekonałem sam siebie, iż poślubiając Kate i tworząc z nią nowe życie, budując dom, który będzie naszym schronieniem i w którym nikt i nic nas nie

dosięgnie, odnajdę spokój.

Myliłem się. Spokój nie był mi przeznaczony.

„Doprawdy masz wrodzony talent”.

Cecil miał rację. Od dawna wiedział to, czego ja nie chciałem przyznać: moim przeznaczeniem był los zupełnie inny, o wiele bardziej niebezpieczny niż ten, który chciałem dla siebie wybrać.

Zerwałem się na nogi, słysząc szelest spódnic. Obróciwszy się w stronę wejścia do kaplicy, zobaczyłem nadchodzącą lady Clarencieux. Na jej twarzy malował się chłód.

– Niektórzy stwierdziliby zapewne, że nie zbywa ci na odwadze –oznajmiła bezceremonialnie. – Inni uznaliby, że najwyraźniej życie ci nie miłe.

Skłoniłem głowę.

– Jeszcze inni przypisałiby mi i jedno, i drugie.

– Dla twojego dobra, panie, oby było inaczej. – Gestem pokazała, abym szedł za nią, po czym dodała: – Nie wiem, co Rochester powiedział królowej, ale choć przez cały dzień nie chciała nikogo widzieć, ciebie zgodziła się przyjąć.

## Rozdział 22



Ruszyłem za nią do królewskich komnat. Pozostałe damy dworu zostały odprawione; choć na kominku buzował ogień, a w lichtarzach na ścianach płonęły świece, w pomieszczeniach nie było nikogo poza nami.

Drzwi do gabinetu były zamknięte. Lady Clarencieux zbliżyła się do nich, ale raptem się zatrzymała.

– Proszę nie myśleć, że z powodu pańskich przeszłych zasług królowa będzie skłonna okazać panu łaskę. Od czasu, gdy doszło do buntu, don Renard niemal nie odstępuje jej na krok, wytrwale doradza we wszystkich sprawach, a zwłaszcza tych dotyczących pana. Jeżeli rzeczywiście wejdzie pan do niej, może pan tego pożałować.

– Rozumiem – powiedziałem. – Jednakże Jej Królewska Mość musi poznać prawdę o pewnych zdarzeniach.

– Czyżby? Czasami lepiej nie burzyć dobrze skonstruowanego kłamstwa. – Spojrzała mi w oczy, po czym zapukała do drzwi. Nikt nie odpowiedział, ale dama dworu tak czy inaczej odstaąpiła na bok. – Oczekuje pana.

Coś ścisnęło mnie w gardle, gdy nacisnąłem klamkę

i wszedłem do środka.

W gabinecie było niemal tak ciemno jak w tunelu, który przed chwilą pokonałem. Musiałem kilka razy mrugnąć, aby przyzwyczać wzrok, i dopiero po chwili dostrzegłem niewyraźne zarysy sprzętów – złoczonego pulpitu zarzuconego księgami i stosami papieru; stołu, przy którym odbywały się posiedzenia rady; obitych skórą krzesel i dużego wielodzielnego wykuszowego okna w drugim końcu komnaty. Kotary były zasłonięte, przez co gabinet zmienił się w pachnący starym dymem kokon. W złotym lichtarzu płonęła pojedyncza świeca.

Stałem bez ruchu, serce waliło mi jak młotem. Nigdzie jej nie dostrzegłem.

Odezwała się do mnie z mroku.

– Jak śmiesz pokazywać mi się na oczy?

– Jej Królewska Mość.

Opadłem na jedno kolano. Postać skulona w rogu przy pulpicie wyprostowała się. Dobiegł mnie krótki, szorstki śmiech.

– Dość późno na okazanie pokory, nie sądzisz?

Podniosłem wzrok. Włosy okalały twarz Marii Tudor jasnozłotymi potarganymi pasmami opadającymi na ramiona. Miała na sobie tę samą fioletową suknię, w której widziałem ją, gdy żegnała Elżbietę przed wyjazdem do Ashridge, teraz jednak materiał był zmięty, zniekształcony, jak gdyby próbowała go podrzeć; góra sukni była rozchylona, obnażając wystające obojczyki. Maria nie miała na palcach pierścieni; w jednej dłoni

wydawała się coś trzymać, ale to jej twarz –surowa, zapadnięta, z oczami płonącymi niczym dwa węgle – przykuła moje spojrzenie.

Nie mogłem odwrócić od niej wzroku. Z trudem łapałem powietrze.

Ona również przekroczyła pewien próg, jednak podczas gdy moja droga z czasem miała mi przynieść pogodzenie się z losem, przed nią były jedynie cierpienie i strach.

– Wasza Królewska Mość – zacząłem. – Przybyłem, ponieważ wiem, że ty, pani...

– Nie. – Gwałtownie uniosła rękę. – Nie chcę tego słuchać. Zawsze sprowadzasz nieszczęście.

Czyżby Rochester nie przekazał jej wisiora? Zacząłem sięgać pod pelerynę, aby wyjąć list Elżbiety, ale wtedy królowa otwarła dłoń i pokazała, co w niej trzyma – wysadzany rubinami złoty liść zawieszony na łańcuszku.

– Skąd to masz? – Wpiła we mnie spojrzenie. – Skąd mogłeś to dostać?

Pokój zawirował mi przed oczami. Przez chwilę nie widziałem i nie słyszałem nic. Potem zaś odparłem cichym głosem:

– Należał do mojej matki.

– Masz czelność nazywać księżniczkę mojej krwi swoją matką?

Miałem wrażenie, że opuściłem swoje ciało i przypatrywałem się z bezpiecznej odległości, jak cały

mój świat się rozpada.

– Dlaczego miałbym kłamać? – spytałem.

Maria przysunęła się do mnie tak szybko, że nie miałem czasu zareagować. Błyskawicznie wyciągnęła rękę i uderzyła mnie. Liść zaciął mnie w policzek; poczułem zbierającą się w skaleczeniu krew.

– Kim jesteś?

Jej wściekłość otoczyła nas czarną chmurą. Niemal spodziewałem się, że do komnaty wbiegnie lady Clarencieux zaniepokojona okrzykiem królowej, kiedy jednak znów zapadła cisza, w której odbijało się jedynie echo pełnych wzburzenia słów, odpowiedziałem:

– Pragnę, żebyś poznała prawdę, pani. Twoja ciotka Maria Suffolk, siostra twojego ojca, króla Henryka, wydała mnie na świat. Posiadała złoty wisior w kształcie karczocha, dar od francuskiego króla z okazji jej zaślubin z Brandonem, przyjacielem twojego ojca, pani. Zanim umarła, kazała połamać wisior, a jego kawałki przekazała czterem kobietom. Ty byłaś jedną z nich. Masz dokładnie taki sam złoty liść. – Słyszałem jej ciężki stłumiony oddech wydobywający się zza zaciśniętych zębów. – Zarządca Suffolków, który przekazał ten klejnot tobie, pani – ciągnąłem – najął się na służbę u Dudleyów. – Urwałem. – Zrobił to ze względu na mnie. Nazywał się Archie Shelton. Czuwał nade mną. Usiłował zachować w sekrecie tajemnicę mojego pochodzenia, ale nie udało mu się. Odkryłem ją podczas przewrotu Northumberlanda, który usiłował



ukraść ci koronę.

– I to jest twoja tajemnica? – Głos Marii drżał. – Przychodzisz do mnie z tą... tą zmyśloną opowieścią, z tym potwornym kłamstwem po tym, co uczyniłeś? Nie chcesz, żebym poznała prawdę. Pragniesz jedynie ocalić moją siostrę, którą przez cały ten czas chroniłeś.

– Owszem. – Nie odrywałem od niej spojrzenia. – Ale nigdy nie przestałem chronić również ciebie, pani. Proszę, uwierz w to, nawet jeżeli nie dajesz wiary niczemu innemu. Nie zdradziłbym własnej krwi.

Zacisnęła szczęki, rysy jej twarzy zmieniały się, odzwierciedlając walkę wewnętrzną, którą toczyła. Przeczynałem, że wkrótce przegra ów bój, a zbudzone podszeptami Renarda demony, za których sprawą posłała na śmierć Jane Grey i Guilforda Dudleya, pożrą również ją.

– Co jeszcze? – spytała. – Lepiej powiedz mi teraz, zanim zdecyduję o twoim losie.

– To wszystko, co wiem, jedynie... nie wierzę, bym był z prawego łoża. Sądzę, że dlatego matka kazała mnie ukryć. – Głos mi się załamał, gdyż przyszło mi wyrazić obawę, której do tej pory nie wypowiadałem głośno. – Zapewne przyniosłem jej hańbę.

– Innymi słowy, jesteś bękartem. – Jej oblicze przybrało kamienny wyraz. – Czy Elżbieta wie?

– Nie. Ale udzieliła mi schronienia, gdy nie miałem gdzie się podziać.

Maria uniosła brodę.

– Jeżeli tak bardzo się o ciebie troszczy, dlaczego nie wyznałeś jej tego wszystkiego?

– Na dowód mam jedynie ten klejnot. Wasza Królewska Mość ma drugi. Nie widziałem powodu, dla którego miałbym o tym opowiadać.

– Doprawdy? Zapewne słyszałeś, że również Elżbietę niektórzy nazywają bękartem, niemniej uznaje się ją za moją następczynię. Skąd wiadomo, iż tobie nie zostanie przyznany podobny zaszczyt, jeżeli postanowisz się o niego upomnieć?

Popełniłem poważny błąd. Błąd, który będzie mnie kosztował życie. Nie powinienem był niczego mówić. Łamiąc słowo dane samemu sobie, rozpętałem coś niepojętego.

– Przyrzekam na własne życie – odpowiedziałem – wyznaję to wszystko tobie, pani, ponieważ ważą się losy twojej siostry. W jej żyłach również płynie nasza krew. Sądziłem, że gdy ujawnię przed tobą prawdę o sobie, przekonasz się, iż nie pragnę niczego innego, niż służyć mojej królowej i mojej księżniczce.

– Nie pragniesz? – odparła. – Czy nie możesz pragnąć, gdyż brak ci dowodów?

Wstrzymałem oddech, powietrze ciążyło mi w piersiach kamieniem, jednak już po chwili nieprzejednanie malujące się na twarzy Marii ustąpiło. Nagle stała się tą samą kobietą, którą niegdyś poznałem, śmiałą królową, niepozwalającą, aby zniszczyły ją lata zaciętej wrogości. Gdzieś w głębi serca zrozumiała.

Podobnie jak ja знаła smak zwątpienia w to, kim się tak naprawdę jest.

Owinęła łańcuszek wisiora wokół palców.

– To nic nie znaczy. To zaledwie kawałek zapomnianej przeszłości, który mogłeś ukraść i przedstawić na poparcie niedorzecznej historii. – Urwała. – Jednakże gdybyś kiedykolwiek postanowił zmienić zdanie i zachowywać się inaczej, wiedz, że nie będę tego znosić. Dopilnuję wtedy, byś skończył na szafocie. – Wsunęła liść do kieszeni spódnicy, a następnie wyciągnęła dłoń. – Teraz daj mi ten list, o którym mówił Rochester.

Sięgnąłem do kaftana. Maria wzięła pismo i obróciła się w stronę biurka.

Nie podnosiłem się z klęczek.

Królowa rozłożyła papier, w milczeniu przebiegła po nim wzrokiem. Przez dłuższą chwilę stała bez ruchu, trzymając przed sobą list, po czym upuściła go na podłogę.

– Czy to prawda? – spytała. – Czy naprawdę otacza mnie największą czcią i szacunkiem? Czy podobnie jak ty jest zwykłą oszustką? – Zerknęła na mnie przez ramię. – Przypuszczam, że nawet ty nie znasz odpowiedzi na te pytania. Ostatecznie jest o wiele bardziej doświadczona od ciebie.

– Wasza Królewska Mość, twoja siostra jest niewinna. Przybyłem na dwór, aby jej pomóc, owszem, ale również zgodnie z poleceniem zbadałem spisek.

I odkryłem coś, o czym musisz się, pani, dowiedzieć na temat don Renarda i...

Ponownie uniosła dłoń, przerywając mi.

– Renard doniósł mi o wszystkim. Wiem o panie Darrier i jej knowaniach. Nawet gdyby on zachował to dla siebie, utrzymuję na dworze szpiegów, odkąd zaczęłam stawiać pierwsze kroki. Wiedziałam, co to za kobieta. Cieszę się, że zapłaciła za zdradę. – Uśmiechnęła się oziębłe. – Księżę Feria może teraz poślubić moją Jane Dormer, tak jak początkowo planowałam. I gdybyś jeszcze wątpił, zamierzam okazać łaskę swojej rzekomo wiernej mi siostrze. Przelano już wystarczająco dużo krwi – przynajmniej na tę chwilę.

Odetchnąłem. Powoli zaczynałem wierzyć, że moja misja się powiodła, gdy królowa dodała:

– Niemniej jutro pošlę ją do Tower. Najwyraźniej nie można jej pozostawić samej sobie. W twierdzy przynajmniej będzie bezpieczna przed tymi, którzy wszczynają bunty, powołując się na jej imię. Gdy przybędzie mój mąż, księżę Filip, wspólnie zdecydujemy o jej dalszym losie. Posłucham jego rady.

„Jego rady...”

Wiedziałem, co doradzi jej Filip; w przeciwieństwie do Marii doskonale wiedziałem, czego pošąda hiszpański księżę. Mimo to nie mogłem pozwolić sobie na więcej niż to, co już uzyskałem. Królowa nie skaże Elżbiety na śmierć. To na razie musiało wystarczyć.

– Wasza Królewska Mość jest pełna miłosierdzia –

powiedziałem, pochylając głowę.

– Owszem – odparła. – Tak mówią. Każdy inny dawno kazałby ją ściąć, ale ja odpowiadam przed Bogiem. Nie splamię sobie rąk krwią siostry bez powodu. Co się tyczy ciebie, nie wierzę w twą niezwykłą opowieść. Żadna księżniczka nie wydałaby na świat bękarta. Mylisz się; zostałeś przez kogoś wprowadzony w błąd. Niemniej daruję ci życie ze względu na twoje przeszłe zasługi, które, jak twierdzisz, wynikały z twojej własnej woli. Odtąd jednak nie masz prawa przebywać na królewskim dworze. Nie życzę sobie więcej cię oglądać ani o tobie słyszeć. Teraz możesz odejść.

– Wasza Królewska Mość. – Wstałem i obróciłem się do drzwi.

Odezwała się raz jeszcze, lodowatym tonem i z miażdżącą mocą:

– Pamiętaj, kimkolwiek jesteś: dla mnie przestałeś istnieć. Osiągnąłeś swój cel. Naprawdę stałeś się człowiekiem bez przeszłości. Dopilnuj, by tak zostało.

Obejrzałem się, aby po raz ostatni na nią spojrzeć. Stała wyprostowana, trzymała głowę wysoko, królowa w każdym calu pomimo potarganych włosów i pomiętej sukni. Ukłoniłem się z szacunkiem, po czym wyszedłem.

Lady Clarencieux wstała ze swojego stanowiska przy kominku. Dostrzegłem ulgę w jej twarzy, gdy wyciągnąłem rękę i ująłem jej dłoń.

– Proszę o nią dbać – powiedziałem. – Potrzebuje więcej opieki, niż jej się zdaje.

– Dbam o nią z całego serca. – Pozwoliła, by przez chwilę jej dłoń spoczywała w mojej, po czym cofnęła rękę. – Proszę na siebie uważać, panie Beecham.

Skierowała się w stronę drzwi wiodących do kaplicy. Nie musiała niczego wyjaśniać; człowiek, który nie istniał, nie mógł przechadzać się po Whitehall.

Gdy zamknęły się za mną drzwi, dobiegł mnie jej głos:

– Przy rozwidleniu w prawo. Tamtędy dojdzie się do rzeki.

Rochester uciekł, tak jak przypuszczałem. Sam powiedział, że ma rodzinę, o którą musi się troszczyć. Drzwi w kaplicy wiodące do tajemnego przejścia zostawił otwarte, wiedziałem jednak, że te, które znajdowały się po drugiej stronie tunelu i prowadziły do jego gabinetu, będą zaryglowane. Odetchnąłem głęboko, nałożyłem rękawice, po czym wszedłem do kamiennego korytarza. Tym razem nie miałem nawet świeczki. Widziałem nie dalej niż na dwie stopy, pod butami chrzęścił gruz, piski i chrobotanie umykających szczurów sprawiały, że ciarki przechodziły mi po plecach. Im bardziej zagłębiałem się w duszny mrok, tym wyraźniej wyczuwałem kwaśny odór rzeki. Przyspieszyłem kroku, potykając się tuż przed miejscem, które wyglądało na wspomniane przez lady Clarencieux rozwidlenie.

Lewa odnoga tunelu prowadziła w ciemną pustkę; na końcu prawej migotało słabe światło. Położyłem rękę na

przypasanym do boku rapierze i ostrożnie ruszyłem przed siebie. Pod moimi nogami nadal chrzęściły odłamki kamieni; zawilgocone ściany były śliskie w dotyku, co czułem nawet przez rękawice. Tak mocno się skupiłem na odległym punkciku światła, które zdawało się wabić mnie niczym miraż, że początkowo nie zwróciłem uwagi na inny delikatnie owiewający mnie zapach – zwodniczą woń perfum unoszącą się w powietrzu, jak gdyby osobą, która się nimi skropiła, niedawno przemierzała tę samą drogę.

Zamarłem. Lilie.

Zza pleców dobiegł mnie odgłos kroków. Obróciłem się gwałtownie, wyszarpnąłem rapier z pochwy.

Nikogo nie było.

Zacząłem drżeć na całym ciele. Nie, to nie mogło dziać się naprawdę. To niemożliwe. Widziałem, jak skoczyła z mostu. Rzuciła się prosto w objęcia śmierci.

Zapach perfum był teraz wszechobecny, otaczał mnie niczym natrętna niewidzialna mgła i jedyną wonią, którą wyczuwałem, była jej woń. Przenikała mnie całego, z zewnątrz i od wewnątrz. Była wszędzie.

– Pokaż się! – wrzasnąłem, a mój głos odbił się dudniącym echem.

Ponownie usłyszałem kroki, zgrzyt kamieni rozcieranych na proszek obcasami butów. Rzuciłem się do przodu, w stronę tego dźwięku, ostrze wyciągnąłem przed siebie, kopnięciami usuwałem szczury z drogi, a z moich trzewi dobywało się szaleńcze wycie.

Dobiegłem do rozwidlenia. Tunel prowadzący do gabinetu Rochesterera był tuż przede mną, przejście wiodące do kaplicy znajdowało się po lewej. Stałem zdyszany, przerażenie skręcało mi wnętrzności i wtedy dobiegło mnie skrzypnięcie otwieranych drzwi oraz wyraźny stukot obcasów.

Ktoś wszedł do kaplicy.

Boże, dopomóż, ona nadal żyje. Sybilla wciąż żyje.

Usłyszałem dolatujące z kaplicy stłumione dźwięki: szmer głosów, krótką komendę oraz śpiew dobywanych metalowych ostrzy. Nie czekałem na strażników, którzy wpadną do tunelu. Odwróciłem się na pięcie i pomknąłem tą samą drogą, z której wcześniej zawróciłem, zataczając się w tunelu niczym pijany, serce podeszło mi do gardła. Korytarz robił się coraz ciaśniejszy, docierałem do wzniesienia. Sklepienie obniżało się i by o nie nie zawadzić, musiałem pochylić głowę. Pod moimi nogami zachlupotała woda, która podchodziła coraz wyżej i po krótkiej chwili sięgała mi do pasa. Brnąłem dalej, nurt był lodowaty i poczułem, że napinają mi się wszystkie mięśnie. Wokoło robiło się coraz jaśniej. Nogi mi zdrętwiały, brodząc w cuchnącym potoku, powoli zaczynałem wpadać we wściekłość. Czuję, że jeszcze moment, a zacznę wyć, wtedy jednak dostrzegłem przed sobą półkolistą kratę wychodzącą z kamiennego muru.

Wrota śluzy: znajdowałem się w kanale ściekowym odprowadzającym nieczystości z pałacu.



Zgiełk za mną wzmagał się. Słyszałem głosy ścigających mnie mężczyzn oraz coraz bliższy chłupot. Schowałem rapier do pochwy, odpiąłem pelerynę i rzuciłem ją na bok. Szeptem zacząłem odmawiać modlitwę, zamknąłem oczy, po czym zanurzyłem się w wodzie, chwytając się bramy i szukając przejścia. Jeżeli sięgała samego dna, byłem skończony. Owładnęła mną rozpacz, zaczynałem się dusić i wbrew nakazom umysłu, który podpowiadał mi, że gdy tylko otworzę usta, zamiast zaczerpnąć powietrza, utonę w ohydny bagnie, niemal rozchyliłem wargi, jednak właśnie wtedy moje palce natrafiły na ząbkowany koniec kraty. Uczepiłem się metalowych prętów, wcisnąłem pod nie i rękami odpychałem od pokrytego wstrętną mazią dna. Poczułem ostre szarpnięcie za ramię, coś zahaczyło o rękaw mojego kaftana. Zaparłem się nogami i kopnąłem z całej siły. Wiedziałem, że ktokolwiek mnie goni, widząc porzuconą pelerynę, pozna miejsce, w którym zanurkowałem. Zostanie wszczęty alarm; gwardziści wyruszą na poszukiwania. Gdyby mnie znaleźli, królowa tym razem nie obroniłaby mnie.

Uwolniłem się, choć ząb kraty pozostawił na moim ramieniu długie rozdarcie przypominające ranę zadaną szponem. Wypłynąłem na powierzchnię i już po chwili wartki nurt porwał mnie w dół pochyłości. Młóciłem rękami, usiłowałem złapać się czegośkolwiek, chwyciłem różne odpadki, ale nim się spostrzegłem, leciałem na łeb, na szyję kanałem prowadzącym do rzeki. Nade mną

zawirowało niebo usiane gwiazdami, dojrzałem srebrny błysk otulonego chmurami księżyca.

Odgłosy pościgu ucichły, a odległe nabrzeże Southwark połyskiwało światłami nielicznych pochodni. Wygramoliłem się z kanału, usiłując złapać oddech.

Po chwili dźwignąłem się i co sił w nogach popędziłem w stronę miasta.

Przemoczony i drżący dowlokłem się do doków. Przypomniałem sobie o Cinnabarze, który został w stajni, a także o wierzchowcu Elżbiety, Cantili, oraz o Urianie i pomyślałem, że będę musiał znaleźć jakiś sposób, aby odzyskać zwierzęta. Nie ważyłem się jednak sam wrócić do pałacu. Musiałem znaleźć schronienie w jedynym miejscu, w którym jeszcze mogłem na nie liczyć i które znajdowało się w zatłoczonych uliczkach nieopodal Tower.

Chwiejnym krokiem minąłem pozostałości po stłumionym buncie Wyatta: przełamane barykady, stratowane sztandary, poplamione krwią opaski na ramię walające się w rynsztokach. Wszystkie domy, sklepy, oberże i gospody były zamknięte. Gdy doszedłem do Gryfa, załomotałem do drzwi posiniaczonymi knykciami.

– Proszę, proszę, otwórz – szeptałem, dzwoniąc zębami. – Proszę, bądź tutaj.

Wydawało się, że minęła cała wieczność, zanim w oknie na piętrze rozchyliły się okiennice.

– Kto tam? – zawołał kobiecy głos.

Zadarłem głowę, patrząc w kierunku postaci w przekrzywionym czepku nocnym, która wyglądała z okna, opierając się spracowaną ręką o parapet.

– Dziobaty – powiedziałem, a gdy kobieta przekrzywiła głowę, powtórzyłem głośniejszym głosem: – Dziobaty! Jest w środku?

Posłała mi twarde spojrzenie.

– Nie ma tu nikogo, kto by się tak zwał. Idź stąd, żebraku, albo szurnę w ciebie nocnikiem. Poszedł stąd, mówię!

– Nie, nie rozumiecie mnie... – zaprotestowałem słabo. Byłem niemal pewien, że rozmawiam z dorodną Nan, która usługiwała mi tamtego wieczoru, gdy spotkałem się tu z Dziobatym. Kobieta zapewne jest szynkarką albo żoną szynkarza; właściciele zwykle mieszkali nad swoimi lokalami, pilnując dobytku przed złodziejami. – Shelton – wypaliłem nagle. – Szukam Archiego Sheltona.

Zawahała się, po czym zniknęła, zatraskując za sobą okiennice.

Jęknąłem. Nie miałem siły, by powlec się dalej. Moje odzienie zamarzło; w miejscu, gdzie poharatała mnie krata, czułem piekący ból. Kolana pode mną drżały; w chwili gdy postanowiłem, że padnę na progu oberży, bo po co szukać innego miejsca, by zdechnąć, usłyszałem zgrzyt odsuwanej rygli i w drzwiach stanęła kobieta, ściskając w dłoni rogi chusty, którą owinęła pulchne ramiona.

Za nią w samych tylko pantalonach, z obnażonym szerokim torsem stał Dziobaty.

– Pomyślałem, że cię tu zastanę – powiedziałem, on zaś podtrzymał mnie, gdy zacząłem osuwać się z nóg.

## Rozdział 23



Mocny trunek wlewany mi do gardła sprawił, że oprzytomniałem. Rozkaszałem się, poczułem ohydny smak zółci w ustach i przechyliłem się nad obdrapaną ławą, aby zwrócić przerażające ilości obrzydlistwa zalegającego mi w żołądku.

– Biedaczysko – mruknęła Nan, ocierając mi usta szmatką, gdy z jękiem opadłem z powrotem na poduszkę. – Gdzieś ty się, na litość boską, włóczył?

– Po zapachu wydaje się, że taplał się w rzece – zagrzmiął Shelton.

– Gorzej – wychrypiałem. Z trudem otwarłem oczy. – O wiele gorzej. Nie chcielibyście wiedzieć.

– Racja, nie chcemy.

Siedział obok na stołku i przyglądał mi się. Na nowo wzniecili ogień w kominku i bijące od niego ciepło powoli rozgrzewało moje przemarznięte kości. Odruchowo przyjrzałem się nagiemu torsowi Dziobatego, umięśnionemu niczym u zapaśnika; ta część jego ciała w porównaniu z resztą była wyjątkowo gładka, niemal pozbawiona blizn.

– Wypij jeszcze. – Podsunął mi kielich. – To koniak przywieziony z Sewilli, chyba jedyna dobra rzecz od

tych cholernych Hiszpanów.

Odmówiłem, po czym podparłem się na łokciach. Znajdowałem się w niewielkim salonie, niezbyt wytwornym, ale czystym i schludnym. Wymizerowany pies Dziobatego leżał przy kominku na chodniczku z trzciny, wpatrywał się we mnie mętными oczami z umiarkowanym zainteresowaniem.

– Mieszkasz tu? – spytałem.

– Większość dni; kiedy Nan mnie wpuszcza.

Nan prychnęła. Wyżęła szmatkę nad miednicą, która stała na kredensie, po czym podeszła do mnie i przyłożyła mi zimny okład na czoło.

– Dobrze. Teraz nie ruszaj się i odpocznij. Przyniosę gorącej owsianki z kuchni.

Wychodząc, rzuciła zatroskane spojrzenie Dziobatemu i zamknęła za sobą drzwi.

– Martwi się – wyjaśnił. – Zawsze mówi, że najbardziej się boi jakiegoś pachółka Dudleyów, który przyjdzie nocą i poderżnie nam gardła w łóżach, choć ja powtarzam jej, że to niemożliwe. Ta cała banda ma o wiele ważniejsze sprawy na głowie niż przejmowanie się tym, czy jeszcze żyję.

– Wie o tobie... wszystko?

Wzruszył ramionami.

– Nie można być obcym dla wszystkich. Ktoś musi wiedzieć, kim jesteś. – Widząc, że odmawiam koniaku, sam wypił trunek do końca. – Poza tym pomogła mi. Była ladacznicą w jednej z tych ruder na Bankside

i bynajmniej nie młodniała; jej klienci również. Znalazła mnie na brzegu tego wieczoru, gdy uciekłem z Tower, nogi miałem pogruchotane, a twarz – cóż, sam widzisz, jak mnie urządzili. Ona i inne dziewczki z okolicy zajęły się mną. Minęło kilka tygodni, zanim otworzyłem oczy i wydobyłem z siebie jakiś dźwięk poza jękiem, opowiadała Nan. Gdyby nie ladacznice, dawno bym nie żył.

– A teraz mieszkasz razem z nią?

– Można tak powiedzieć. Gdy doszedłem do siebie – na tyle, na ile to możliwe – najmowałem się do pilnowania porządku w lupanarach; Nan i ja ciułałiśmy grosz do grosza. Z czasem zaoszczędziliśmy tyle, że starczyło, by kupić tę budę od jej wuja, pijaczyny, który prawie ją zrujnował. Umarł na tej tu ławie, wątroba nie wytrzymała. Był nędznym sukinkotem, ale na koniec przysłużył się Nan. Przynajmniej nie musi się kobieta sprzedawać, żeby zarobić na chleb.

Zakręciło mi się w głowie, zarówno od następstw niedawnych burzliwych zdarzeń, jak i od opowieści Archiego Sheltona, niegdysiejszego zarządcy posiadłości wielmożnych Dudleyów, który obecnie prowadził oberżę na spółkę z byłą ladacznicą.

– Zdziwiony? – Jego jedyne oko błysnęło. – Muszę przyznać, że ja z początku również nie mogłem się nadziwić. Nie myślałem, że zabawię tu dłużej. Ale spodobało mi się. Przymierzam się do tego, by zostać tu i pracować na stałe. Po tej całej awanturze z hrabią

doszedłem do wniosku, że najwyższa pora ustatkować się na stare lata.

Emocje chwyciły mnie za gardło.

– Już drugi raz uratowałeś mi życie.

– Nie przeczę. Bez wątpienia masz dar do pakowania się w tarapaty. – Przez chwilę siedział w milczeniu i wpatrywał się w trzaskający ogień. – Udało ci się? – Odezwał się wreszcie. – Pomogłeś jej?

Westchnąłem.

– Pójdzie do Tower, ale uzyskałem zapewnienie, że nie zostanie stracona.

Choć z okaleczonej twarzy trudno było wyczytać jakiegokolwiek uczucia, nie miałem wątpliwości, że odmalowało się na niej niedowierzanie.

– Zapewnienie od kogo? Od królowej? – Prychnął. – Na twoim miejscu nie dawałbym jej wiary. Zapewne widziałeś te wszystkie zwłoki porozwieszane na każdym kroku i nowe głowy na moście. Gdy po drugiej stronie rzeki dostrzeżono ludzi Wyatta, królowa udała się prosto do ratusza i przyrzekła, że nie stanie na ślubnym kobiercu bez zgody swojego ludu. Podburzyła miasto, aby stanęło w jej obronie tak samo jak wtedy, przeciwko księciu. Ale ona kłamie. Poślubi Habsburga. Wyatt dobrze wszystko przewidział, tylko źle się do tego zabrał.

– Zgadza się – odparłem. – Jednak polegam nie tylko na jej słowie.

Szczelniej otuliłem się kocem. Leżałem pod nim



nagi, moje złachmanione odzienie suszyło się w koszu zawieszonym przy ogniu. Ramię pachniało mi ziołami; zapewne Nan opatrzyła zranienie. Bolało, choć pewnie nie było aż tak źle, jak się wydawało.

– Chcesz opowiedzieć, co się zdarzyło? – spytał.

Nie. Nie chciałem się uwalniać od ciężaru świeżych wspomnień, było na to za wcześnie. Pomimo to zacząłem mówić, mój głos brzmiał niezwykle spokojnie, gdy opisywałem ostatnie wydarzenia, wszystko po kolei, zachowując dla siebie jedynie tajemnicę, z której zwierzyłem się Marii. Kiedy skończyłem, Shelton siedział z wysuniętą dolną wargą, jak gdyby rozważał wyjątkowo drażliwą sprawę.

– Masz pewność, że to była ona? Upadek z mostu to nie przelewki.

Zastanowiłem się.

– W tunelu panował mrok. Nie widziałem jej.

– Zatem może to tylko twoja wyobraźnia. Może Renard odkrył, że zakradłeś się do pałacu, aby spotkać się z królową, i posłał kogoś za tobą. Albo Rochester mu doniósł. To dwór, chłopcze. Dworzanie zrobią wszystko, żeby ratować własną skórę, a ty wiesz zbyt wiele, by bezpiecznie chodzić po tym świecie.

– Może – przyznałem niechętnie. – Niemniej ów zapach: tylko ona tak pachniała. I czuć go było wszędzie. Jak gdyby oblała się perfumami, gdyż chciała, bym wiedział, że przeżyła.

Nadal powątpiewał.

– W całym tym brudzie i smrodzie czułeś jej zapach?  
– Odchrząknął. – Założmy, że to możliwe. Do diabła, wszystko jest możliwe. Ale jeżeli wyszła cało z takiego upadku, ma więcej doświadczenia niż ktokolwiek, kogo znam. Świetnie fechtuje, a teraz to – musiała się szkolić. Nigdy nie słyszałem, by ktoś w środku zimy rzucił się z mostu do rzeki i przeżył, aby o tym opowiadać.

Musiałem przyznać mu rację. Siedząc w ciasnym salonie nad oberżą Gryf po tym, jak niemal utopiłem się w kanale ściekowym, nie byłem już pewien niczego, zwłaszcza siebie. Tunel przypominał duszny labirynt ze złego snu. Musiałem postradać rozum. Wydawało się zupełnie nieprawdopodobne, by Sybilla, rzuciwszy się do Tamizy, nie zginęła na miejscu. Maria powiedziała, że jej dwulicowa dama dworu zapłaciła za swoje czyny, ale nie przyszło mi do głowy spytać, czy odnaleziono ciało. Dobrze, że tego nie uczyniłem. Lepiej bym nigdy się tego nie dowiedział. Wolałem wierzyć, że jest martwa. Nie chciałem się zastanawiać, co by było, gdybym odkrył, iż jest inaczej. Polowanie na nią zniszczyłoby mi życie.

– Muszę być jutro w Tower – odezwałem się po dłuższej chwili. – Muszę to zobaczyć.

Shelton spojrział na drzwi, słysząc, że Nan wspina się z powrotem po schodach.

– A zatem będziemy tam – oznajmił.

Następnego ranka wyszukał dla mnie stare odzienie należące do zmarłego wuja: koszulę, drapiący kaftan

prześnięty słabym zapachem lawendy i silną wonią pleśni, połatane rajtuzy, zbyt obszerny kapelusz opadający mi głęboko na uszy oraz za duże buty. Wuj musiał być większy ode mnie, przeszło mi przez myśl, gdy wciągałem na siebie ubrania, a przy okazji oglądałem potłuczone ręce, siniak na torsie nabierający fioletowego koloru i obolałą ranę na ramieniu owiniętym bandażem; zauważyłem też, że zmizerniałem. Shelton znalazł również znoszony pas, który po założeniu przytrzymał mi górne i dolne części garderoby w mniej więcej odpowiednim miejscu. Mój stary ubiór nie nadawał się do niczego. Nan w pocie czoła starała się go uratować, ale smród ścieków okazał się nie do wywabienia, i powiedziałem, by dała sobie spokój. Buty udało się ocalić dzięki wtartym w skórę olbrzymim ilościom tłuszczu, który przywrócił im po wysuszeniu miękkość. Najbardziej martwiłem się o rapier, jednak gdy spałem, Shelton oczyścił go z wilgoci i brudu, po czym wypolerował na błysk.

Wyruszyliśmy wczesnym rankiem, który wydawał się wręcz wiosenny, słońce przebijało się przez chmury świetlistymi snopami wnikającymi w przemarzną ziemię. Gdy szliśmy w stronę nabrzeża Tower leżącego po zachodniej stronie fortecy, w koronie rosnącego przy drodze buku usłyszałem świergot i ze zdumieniem spojrzałem w górę. Dostrzegłem rudzika siedzącego na nagich splątanych gałęziach, które zaczęły puszczać maleńkie pączki – upragniony znak, że nawet ta zima

musi minąć, choć z ciężkim sercem myślałem o tym, iż wiosna zastanie Elżbietę, Kate, panią Ashley i pannę Parry za murami więzienia.

Na brzegu zebrało się niewiele osób, o wiele mniej, niż można by się spodziewać w takiej chwili, gdy do twierdzy posyłano księżniczkę. Tego dnia wypadła Niedziela Palmowa, dowiedziałem się od Sheltona, i na każdym murze w mieście wywieszono oficjalne zarządzenie królowej zachęcające mieszkańców do tego, aby zgodnie ze starą tradycją uczestniczyć w nabożeństwie.

– Zapewne celowo – szepnął mi Shelton na ucho. – Nie chcą, aby zbyt wielu widziało, jak Elżbieta trafia w to samo miejsce, gdzie stracono jej matkę. Lud ją kocha. Zaczynają rozumieć, że ona jest ich ostatnią nadzieją.

Staliśmy razem wśród garstki ludzi zgromadzonych przy wejściu do Tower, a ryki uwięzionych w klatkach lwów zdawały się obwieszczać przybycie Elżbiety. Z początku sądziłem, że nie będzie zsiadać z barki i wpłynie do Tower bramą wodną, ale Shelton przypomniał mi, iż przyływ był zbyt niski o tej porze dnia. Podpłyną najbliżej, jak to możliwe, po czym księżniczka będzie musiała wejść do twierdzy na własnych nogach.

Tak też się stało. Ukryty w ciżbie gapiów dostrzegłem, jak Elżbieta schodzi z barki, prostuje się, nieruchomieje i z dłonią przyłożoną do czoła spogląda na

grube mury twierdzy. Miała na sobie czarną pelerynę z nasuniętym na głowę kapturem, kiedy jednak wartownicy stojący wzdłuż pomostu zwarli szeregi, z tłumu dobiegł słyszalny szmer, a wtedy księżniczka odrzuciła kaptur, aby odsłonić twarz.

Była bardzo blada, niemniej stwarzała wrażenie spokojnej. W otoczeniu pięciu ponurych dostojników ruszyła w stronę tej samej bramy, przez którą kilka dni wcześniej ja sam wszedłem do Tower. Tuż za nimi szły pani Ashley i panna Parry, niosąc torby wypchane rzeczami Elżbiety, oraz postawny żołnierz w liberii Tudorów dźwigający podróżną skrzynię z cennymi księgami księżniczki. Serce mi się ścisnęło, gdy z barki jako ostatnia spiesznym krokiem zeszła Kate, aby dołączyć do Elżbiety. Gdy stanęła obok księżniczki, ukradkiem chwyciła ją za dłoń. Elżbieta obróciła się do niej nerwowo, jak gdyby w odpowiedzi na wyszeptane przez Kate słowa otuchy, po czym skierowała spojrzenie na zebraną gawieź.

– Boże, chroń Jej Księżęcą Mość! – zawołała jakaś kobieta.

Gdy jej przenikliwy krzyk powoli rozplywał się w porannym powietrzu, pozostali zaczęli wznosić chóralne okrzyki, jak gdyby zawczasu je przećwiczyli: pełne żarliwości i serdeczności hasła, które sprawiły, że Elżbieta zatrzymała się. Wielmożowie, wśród których rozpoznałem wysokiego siwobrodego lorda Howarda, wymienili zaniepokojone spojrzenia. Czyżby

spodziewali się próby odbicia więźniarki?

Elżbieta patrzyła prosto na nas, jej oczy przypominały dwa czarne punkciki świecące w wynędzniałej twarzy; nie mogła odpowiedzieć na pozdrowienia z tłumu. Jako podejrzana o zdradę stojąca u progu miejsca, z którego niewielu uchodziło z życiem, nie mogła narażać się na oskarżenia o podburzanie tłumu. Jednak mimo dzielącej nas odległości zdołałem dojrzeć, że okrzyki wzruszyły ją do głębi. Wpatrywała się w nas z rozdzierającą serce mocą, jak gdyby pragnęła wyryc ten widok w pamięci i hołubić go niczym skarb bezcenny podczas zbliżającej się niewiarygodnie trudnej próby. Lęk, który ją pętał, ustąpił; jego miejsce na krótką chwilę niczym muśnięcie wiosny widoczne na gałęziach drzewa zajęła siła płynąca w żyłach wszystkich Tudorów.

Zacząłem przeciskać się do przodu, torując sobie drogę łokciami. Nie podobało się to ludziom stojącym przede mną, kiedy jednak Shelton pomógł mi i zamaszystym ruchem ręki odsuwał niezadowolonych na bok, wystarczyło, że spojrzeli na jego okaleczoną twarz i zaraz milkli, a nawet sami się rozstępowali. Wkrótce stałem przyciśnięty do barykady i oglądałem całą scenę tuż zza ramion wartowników. Howard przynaglił księżniczkę, ale ona zamiast ruszyć do przodu, cofnęła się. Zerwałem kapelusz i nie zważając na zagrożenie, pomachałem nim, unosząc rękę najwyżej, jak mogłem. Stojący obok wzięli ze mnie przykład, poczęli zrywać

nakrycia głowy i już po chwili w powietrzu powiewały dziesiątki czapek, chust i czepców niczym chmura prymitywnych proporców.

Elżbieta uniosła brodę, przepatrując tłum; wymachiwałem kapeluszem, jak gdyby zależało od tego moje życie, a wtedy jej wzrok spoczął na mnie. Przez ułamek chwili nasze spojrzenia spotkały się. Patrzyliśmy sobie prosto w oczy.

Uśmiechnęła się.

W milczeniu wróciliśmy do Gryfa. Nie potrafiłem wydobyć z siebie słowa. Gdy przeprowadzali ją przez bramę, stałem i czułem, jak łzy spływają mi po policzkach. Zimna jak metal nienawiść niemalże mnie dławiała; nieustannie myślałem tylko o tym, że Robert Dudley w końcu zwyciężył. Nareszcie byli razem, uwikłani w sieć, którą sam zastawił. To, czego nie udało mu się osiągnąć siłą płynącą z pożądania, zdobył dzięki zdradzieckim intrygom.

Życzyłem mu najgorszego. Miałem nadzieję, że z rozkazu królowej to jego głowa potoczy się jako następna.

Takiego rozkazu jednak nie będzie. To od niej usłyszałem. Koniec rozlewu krwi, przynajmniej na razie.

Maria Tudor zajmowała się teraz planowaniem wesela.

Milczenie w końcu przerwał Shelton.

– Spróbuj się nie trapić, chłopcze. Jeżeli jest na tym świecie ktoś, komu uda się przetrwać Tower, tym kimś

jest właśnie ona. To córka starego Henryka, pamiętaj. Tak łatwo się nie podda.

Przełknąłem ślinę. Cóż za ironia, że Elżbieta musiała teraz polegać na łasce księcia, którego nigdy nie spotkała, nieznajomego mającego poślubić jej siostrę – a wszystko z powodu doniesień dwulicowej zauszniczki, owianej tajemnicą kobiety, która już zawsze będzie mnie prześladować w snach.

– Co teraz? – spytał Shelton.

Zawahałem się. Wcześniej nie zastanawiałem się nad tym. Odkąd przybyłem na dwór, żyłem z dnia na dzień, a jeszcze częściej z godziny na godzinę, nie wybiegając za daleko w przyszłość. Teraz zrobiłem szybki obrachunek: wygnano mnie z dworu, Peregrine nie żył, Elżbieta i Kate zostały uwięzione, mój świat rozpadł się na kawałki, a ja musiałem żyć dalej. Musiałem przygotować się i czekać na dzień, gdy fortuna znów się do mnie uśmiechnie.

– Mój koń i wierzchowiec księżniczki, a także jej pies Urian zostały w stajni Whitehall – powiedziałem. – Nie mogę odjechać bez nich. Jeżeli jednak tam wrócę, niewątpliwie zostanę pojmany. Nawet jeśli zdołam się wśliznąć niepostrzeżenie, nie mam czym przekupić stajennych.

– Zostaw to mnie. Zapominasz, że byłem człowiekiem od wszystkiego na usługach Courtenaya. Nie zliczę, ile razy zajmowałem się końmi hrabiego, gdy ten spił się do nieprzytomności w jakiejś norze. Nan i ja



zaoszczędziliśmy też trochę grosza, wystarczy, żeby zabrać zwierzęta.

Z wdzięcznością skinąłem głową.

– Odwdzięczę się za wszystko, masz na to moje słowo.

– Nie trzeba – odparł. – W końcu to ja jestem twoim dłużnikiem.

Zostałem w Gryfie, podczas gdy Shelton udał się do Whitehall, zabrawszy wpierw z salonu niewielką sakiewkę. Nan nie była zadowolona, ja zaś próbowałem jej to wynagrodzić, pomagając szynkarce i chłopakowi, którego najęła, a który spał na dole, w przygotowaniu oberży do otwarcia.

– Interes nie kręci się od wielu dni, odkąd przyszedł Wyatt – opowiadała Nan. – Czas zakasać rękawy i brać się do roboty. – Pokazała stertę stołków poukładanych jeden na drugim. – Postaw je przy stołach, jeśli łaska.

Roznosząc stołki, pomyślałem, że Shelton znalazł w niej wspaniałą towarzyszkę. Odpowiadało mu jej rzeczowe podejście do życia i widać było wyraźnie, iż darzyli się uczuciem. Ponownie nie mogłem się nadziwić, że mężczyzna, który zawsze zdawał mi się oziębły i powściągliwy, a nawet bezduszny w swojej obowiązkowości, okazał się zupełnie inny.

– Nie zaciągniesz go z powrotem do tego dworskiego bagna? – spytała raptownie Nan. – Myśli, że z niego kawał byka, i w porównaniu z innymi tak jest, ale dostał po drodze trochę batów. Cały czas bolą go nogi. Nie

może biegać po całym mieście za hrabiami i innymi hulakami.

Zdołałem zdjąć ostatni stołek z samego czubka sterty, nie przewracając przy tym pozostałych mebli.

– Nie – zapewniłem. – Nie sędzę. Poza tym dworskie bagno nie jest już dla mnie. Zostałem wygnany.

– Doprawdy? – Wsparła ręce na obfitych biodrach. – No, no. Ciekawe, czym taki robaczek jak ty mógł aż tak rozsierdzić królową. – Zarechotała. – Szczęściarz z ciebie. W tych czasach każdy, kto ma choć trochę oleju w głowie, będzie się trzymał z dala od dworu. Jej Królewska Mość najadła się chyba szaleju. Tylko patrzeć, jak razem z hiszpańskim mężem będą palić ludzi na stosach.

Mówiła beztrąsko, popatrując na najętego chłopaka, czy wymiata brudy za drzwiami, a nie w róg izby, ale jej słowa przyprawiły mnie o dreszcze. Czy rzeczywiście prości mieszkańcy Londynu tak myślą o królowej? Jak to możliwe, że Maria zdążyła tak bardzo stracić w ich oczach od dnia koronacji, gdy tłumy wiwatowały na jej cześć? Zapał, z jakim przystąpiła do zbawiania dusz i zapewnienia potomka, który obejmie po niej koronę, przesłonił jej tę rzecz, bez której żaden monarcha pragnący dobrze sprawować władzę nie może się obejść: miłość poddanych.

Przeczuwałem, że tej lekcji Elżbieta nigdy nie zapomni, gdy nadejdzie jej czas.

## Rozdział 24



Shelton wrócił po południu, jechał na Cinnabarze, obok zaś biegł pochlapany błotem gościńca Urian, który widząc znajomą postać, skoczył na mnie z radości. Gdy głaskałem uszczęśliwionego psa i dawałem mu się lizać, Shelton przyznał, że niełatwo było namówić stajennych, aby wydali mu zwierzęta, choć pomogło mu w tym ogólne zamieszanie w stajniach.

– Musiałem opróżnić sakiewkę – powiedział, rzucając Nan spojrzenie pełne skruchy. – Szykują się do przeprowadzki do Hampton Court, więc parę zwierząt mniej to zawsze mniejszy kłopot. Ale nie puścili mnie do araba księżniczki. Dobrze o niego dbają; zapewne Jej Królewska Mość postanowiła podarować go Filipowi, gdy ten przybędzie.

– Pani się to nie spodoba – mruknąłem. Wyobraziłem sobie oburzenie Elżbiety, kiedy się o tym dowie. Wrzawa, jaką podniesie, zagłuszy ryk lwów w Tower.

– Dwór wyrusza jutro – dodał Shelton. – Cała zgraja jedzie przygotować pałac dla Filipa i jego świty. Zastanowiłeś się już, co poczniesz dalej? Przypuszczam, że nie uśmiecha ci się zostać tutaj, by serwować pasztety marynarzom.

– A co w tym złego? – obruszyła się Nan. – To przyzwoita robota. I założę się, że bezpieczniejsza niż to, co mu się w głowie kluje.

– To prawda – przyznałem, tłumiąc śmiech.

Nagle, gdy przysłuchiwałem się tej domowej sprzeczce, zrobiło mi się lekko na duchu. Myśl, że istnieje jeszcze normalne życie, przyniosła mi ulgę. – Założę się, że masz rację. Wyjeżdżam jednak z Londynu. Byłbym dla was jedynie kolejnym problemem. – Spojrzałem na Sheltona. – Mam tylko jedno wyjście.

– Cecil – powiedział.

Przytaknąłem skinieniem głowy.

– Tak. Jest spragniony wieści ze stolicy i może mnie ukryć.

Rumiane policzki Nan pobladły.

– Chyba nie zamierzasz...? – spytała Sheltona.

Uniósł dłonią jej podbródek i nachylił się, aby ją pocałować.

– Tylko na trochę, skarbie. Nie możemy puścić chłopaka samego, nieprawdaż? Z jego szczęściem zaraz wdałby się w jakąś awanturę.

Chciałem mu przypomnieć, że nie musi się o mnie troskać. Miałem dwadzieścia jeden lat, byłem dorosłym mężczyzną, który stawiał czoła o wiele bardziej niebezpiecznym przygodom niż wyprawa na wieś. Zaraz jednak wyczułem jego intencje i nie odezwałem się.

Droga do posiadłości Cecila była dla nas okazją, która mogła nigdy więcej się nie powtórzyć.

Wyruszyliśmy następnego dnia o świcie. Łatwiej będzie uniknąć niepotrzebnych spotkań i pytań, podsunął Shelton, gdy cały dwór wyruszy z Londynu, a mieszczanie zgromadzą się przy drodze podziwiać orszak królowej.

Włożyłem pożyczone ubrania, a zatrzymując się przy bramie, dodatkowo zsunąłem kapelusz nisko na oczy i pochyliłem głowę, podczas gdy Shelton snuł wspaniałą opowieść o swoich przewagach w szkockich wojnach Henryka VIII, twierdząc, że to właśnie wtedy otrzymał imponujące rany, którymi teraz się szczyci, gdyż świadczą o jego honorze. Wartownicy, jak można się było spodziewać, byli pod wrażeniem. Jeden z nich – poskręcany starością i z trudem dźwigający na sobie mundur – walczył w tych samych wojnach i z dumą zakasał rękaw, aby pokazać nierówną bliznę biegnącą wzdłuż ramienia. Gestem kazał nam przejeżdżać, darując opłatę. Wkrótce cwałowaliśmy po zrytej kolejnami drodze, zostawiając za sobą miasto.

Obejrzałem się przez ramię i długo spoglądałem na Londyn. Choć nie mogłem dojrzeć twierdzy, wyobraziłem sobie Tower – białe wieże górujące nad otaczającymi je murami, wąskie gzymsy nad otworami okiennymi – i pomodliłem się o bezpieczeństwo kobiet, które tam zostawiłem. Będę czekał na ich uwolnienie. Będę czekał i gotowił się. Sybilla Darrier udzieliła mi lekcji, której nie zapomnę; nadszedł czas pogodzić się z tym, kim jestem: szpiegiem Elżbiety bezgranicznie

oddanym jej sprawie. Następnym razem niebezpieczeństwo, gdy nadejdzie, nie zaskoczy mnie znieca.

Po chwili przeniosłem się myślami do kościoła, w którym spoczywał Peregrine.

– Żegnaj, przyjacielu – wyszeptalem. – Nigdy cię nie zapomnę.

Jechaliśmy z Sheltonem w zgodnym milczeniu, mijając osady, w których wieśniacy wracali do zwykłego rytmu życia po zawierusze wywołanej buntem, odwracając głowy od kołysanych wiatrem ciał wiszących na szubienicach. Urian biegł przed nami, radośnie buszując w zaroślach, skacząc po łąkach, taplając się w strumieniach, w których z powodu roztopów wzbierała woda.

W końcu przerwałem ciszę. Miałem mnóstwo czasu, by zastanowić się nad pierwszym pytaniem otwierającym rozmowę, do której się gotowałem; mimo to nie wiedzieć czemu zapytałem:

– Czy moja matka była piękna?

Shelton westchnął.

– Och tak. Była najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziałem. Właśnie dlatego jej brat król Henryk nazywał ją swoją Różą. Wystarczyło, by weszła na salę, a cały dwór zamierał i patrzył tylko na nią. Jednak nie chodziło tylko o urodę: miała w sobie światło. Świeciło w niej nawet wtedy, gdy była smutna. Zawsze pozostawała lojalna wobec tych, których kochała. Nigdy

nie była nieuprzejma czy wymagająca; traktowała wszystkich jak równych sobie.

Wpatrywałem się w niego z fascynacją. Znał ją. Znał moją matkę.

– Czy ty...? – głos mi się załamał; nie mogłem wykrztusić z siebie słowa. Nagle poczułem się, jak gdybym naruszał cenne i głęboko skrywane wspomnienia.

Shelton patrzył przed siebie, ale myśli o przeszłości sprawiły, że twarz mu złagodniała, i wydawało mi się, iż dojrzałem w niej rysy krzepkiego młodego zarządcy sprzed lat.

– Oczywiście, że tak – odpowiedział po dłuższej chwili. – Każdy mężczyzna, który ją spotkał, musiał się w niej zakochać. Wzbudzała pożądanie, choć nie czyniła nic, aby tak było. – Urwał i odchrząknął. – Jednak nie było tak, jak możesz pomyśleć. Nie był to romans, o których śpiewają minstrele.

Miałem wrażenie, że powietrze wokół mnie gęstnieje.

– Ale ty i ona byliście...?

Wreszcie obrócił głowę w moją stronę. Przez chwilę, która zdawała się wiecznością, nie odpowiadał. Potem zaś rzekł:

– Tak. Stało się to, gdy jej mąż, mój pan, ksiązę Suffolk Brandon pojechał do Francji z królem i panną Boleyn.

– Z matką Elżbiety – uściśliłem. – Królową Anną.

– Tak. Jednakże wtedy jeszcze nie była królową. Twoja matka nie pozwalała, aby ktokolwiek w jej obecności nazywał tę kobietę inaczej niż właśnie tak, jak to uczyniłem. Nienawidziła jej; oskarżała ją o to, że ukradła królowej Katarzynie męża, króla. Myliła się. Henryk brał to, co chciał, i nie zważał na to, jeżeli musiał kogoś zdeptać po drodze. Nakazał twojej matce oddać najwspanialsze klejnoty, aby panna Boleyn miała co włożyć podczas wyprawy do Francji. Twoja matka wpadła w szal; pokłóciła się o to z mężem. Byłem przy tym. Słyszałem, jak krzyczeli na siebie w holu. – Jego twarz drgnęła. – Panna Boleyn słyszała o wysadzonym klejnotami wisiorze w kształcie karczocha i chciała go włożyć, pokazać francuskiemu królowi, na którego dworze niegdyś służyła, że jest warta tego, aby zostać królową Anglii. Moja pani nie chciała w ogóle o tym słyszeć. Kiedy książę przyszedł wziąć od niej wisior, zamknęła się w komnacie i oświadczyła, że nie wyjdzie. Później wysłała mnie na dwór, abym zawiózł inne jej klejnoty. Panna Boleyn uznała to za zniewagę i obróciła swój gniew przeciwko królowej Katarzynie, odbierając ostatnie drogocенności, jakie ta posiadała. Mój pan natomiast wyładował swój gniew na mnie.

– Na tobie? Dlaczego? – Zaczynałem rozumieć zachowanie Sheltona z czasów, gdy służył u Dudleyów, jego małomówność i nieustanne nakazy, bym we wszystkim służył swoim mocodawców.

Wzruszył ramionami.



– Tak naprawdę złościł się nie na mnie, lecz na siebie. Popierał króla, choć w głębi ducha nie zgadzał się z nim. Nie uważał, by Anna Boleyn nadawała się do czegokolwiek innego niż do łoża, niemniej wiedział również, że niemądrze byłoby mówić o tym Henrykowi. Twoja matka i on od lat nie mogli dojść ze sobą do porozumienia w tej sprawie; mieli tak różne zdania, że w końcu zniszczyło to ich małżeństwo. Pomimo gróźb Henryka jego siostra przestała bywać na dworze. Trwała wiernie przy królowej Katarzynie i nie kryła się z tym. Natomiast jej mąż, książę, był niczym chorągiew na wietrze. I miał rację. Przed wyjazdem z Francji Anna Boleyn uległa królowi i została poczęta Elżbieta.

Zagryzłem wargę, czując się rozdarty między przeszłością a teraźniejszością.

– Nie pojechałeś do Francji.

– Nie. Mój pan kazał mi udać się do posiadłości Westhorpe. – Zniżył głos, jak gdyby w samym środku szczerego pola ktoś mógł nas posłyszeć. – Kiedy przybyłem, zastałem panią, twoją matkę, osamotnioną. Ona również zdawała sobie sprawę z tego, że jej brat król jest gotowy zrujnować królestwo dla Anny Boleyn, i myśl ta doprowadzała ją do rozpacz. Kilka dni później w nocy rozpętała się groźna burza, jak gdyby sam Bóg okazywał swoje niezadowolenie. Jedna z dwórek wezwała mnie do komnat twojej matki, która nie mogła poradzić sobie ze skrzydłowym oknem. Wicher otworzył je na oścież i do środka wpadały strugi deszczu. Moja

pani była przemoczona do suchej nitki, ale nie przestawała zмагаć się z oknem, jak gdyby od wyniku tej walki zależało jej życie. Była delikatnego zdrowia; wydała na świat czwórkę dzieci i po każdym porodzie stawała się coraz słabsza. Nie dawała tego po sobie poznać, ale je martwiłem się, że się zaziębi i rozchoruje, więc... próbowałem... –Przełknął ślinę; jego głos nagle się zmienił. – Byłem wtedy głupim młodzieńcem, pożądlivym i dumnym, rozmiłowanym w kobiecie postawionej tak wysoko, że wydawała się niedostępna. Jednak tamtej nocy była tak bardzo samotna, tak bardzo zagubiona. Odprawiła pokojówkę, a ja zostałem z nią, gdy siedziała przed kominkiem. Podałem jej grzane wino, starałem się dodać otuchy. Mówiła o minionych czasach, gdy uznawano ją za kandydatkę godną ręki członka królewskiego rodu. Opowiadała, że sam król Francji Franciszek starał się o nią, i wyjaśniła, dlaczego nie zgodziła się oddać wisiora w kształcie karczocha – była to jedyna pamiątka z czasów, gdy zaryzykowała wszystko, aby poślubić Brandona, miłość jej życia. Potem zaś uśmiechnęła się i rzekła: „A teraz spójrz na mnie, Shelton – jestem smutną, starą kobietą. Nikt nie pamięta dziewczyny, którą byłam”.

Zapiekły mnie oczy. Wyciągnąłem rękę, jak gdybym chciał dotknąć dłoni, w której ścisnął lejce. Shelton jednak odsunął się, broniąc się przed poufałym gestem.

– Nie – wychrypiał. – Daj mi skończyć. Daj mi to z siebie wyrzucić. Nikomu o tym nie mówiłem. Ty

musisz o tym wiedzieć, a ja muszę o tym opowiedzieć.

Zatrzymał Cerbera przy strumieniu. Gdy nasze konie pochyliły łby, aby się napić, zsiadł i ciężkim krokiem zbliżył się do rosnącego nieopodal dębu. Przez chwilę stał pod nim, wpatrując się w drzewo. Zeskoczyłem z siodła i podszedłem do Sheltona. Kawałek dalej Urian tarzał się na polu.

– Doszło do tego zaledwie kilka razy. – Jego głos brzmiał beznamiętnie, jak gdyby chciał w ten sposób odciąć się od przeszłości i tego człowieka, którym był. – Tamtej nocy po raz pierwszy. Nie potrafiłem się powstrzymać. Ona musiała to dostrzec w moich oczach. Myślałem, że jestem przebiegły, że uda mi się zachować swoje uczucia dla siebie i odgrywać wiernego giermka, ale ona wiedziała, jak wygląda pożądanie. Być może znajdowała pocieszenie w tym, że ponownie rozbudzała wielkie namiętności, znów czuła się jak za młodu... ale dla mnie – och, dla mnie był to raj na ziemi! Nigdy wcześniej nie czułem niczego podobnego. Przymknąłem jej dozgonną miłość, zaklinałem się, że nigdy nie będę miał innej. Śmiała się, mówiła, iż wszyscy mężczyźni plotą takie nedorzeczności pod wpływem chwili, ale ja naprawdę tak czułem. W pewnym sensie dalej czuję. – Pęknięte usta wykrzywiły mu się w uśmiechu. – Dlatego próbowałem cię chronić, gdy znalazłem cię w domu Dudleyów, dlatego chciałem ukryć przed tymi, którzy mogliby cię skrzywdzić. Przymknąłem jej to, choć nie było mi dane powiedzieć jej o tym. Wiem, że czasami

bywałem surowy, ale uważałem, że tak trzeba dla twojego bezpieczeństwa. Twoja matka nie chciałaby, żebyś cierpiał.

Nie potrafiłem się ruszyć, gdy obrócił się do mnie i patrzył jednym okiem, które nie mogło już płakać, choć z całej sylwetki Sheltona biła żalność.

– Wróciłem na dwór, gdy księżę przyjechał z Francji. Panna Boleyn obwieściła, że spodziewa się dziecka, więc w pośpiechu zaplanowano koronację. Zostawiłem twoją matkę w Westhorpe, nie wiedząc, że ona również jest przy nadziei. Nie powiedziała o tym nikomu z wyjątkiem zielarki, pani Alice. Oficjalnie rozpuściła pogłoskę, że zaniemogła na poty. Nigdy więcej jej nie widziałem.

– Umarła przeze mnie. – Usiadłem na ziemi, głowę ukryłem w dłoniach.

Przyklęknął obok mnie.

– Nie. Nie przez ciebie. Kochała swoje dzieci; ciebie również obdarzyłaby miłością. – Ujął mnie pod brodę i obrócił moją twarz do siebie. – Masz jej oczy, jasnoszare, które w zależności od nastroju przybierają niebieski lub morski kolor.

– Jak mnie znalazłeś? – wyszeptałem. – Skąd wiedziałeś, dokąd mnie zabrano?

– Znów ten przeklęty wisior – powiedział – ten, którego pragnęła Anna Boleyn. Twoja matka w ostatniej woli zapisała, że życzy sobie, aby karczoch został połamany, a każdy jego liść trafił do wymienionej przez nią kobiety. Księżciu te sprawy były obojętne. Anna

Boleyn urodziła córkę i Brandon musiał radzić sobie z królem. Poza tym twoja matka ledwo zdążyła ostygnąć w grobie, gdy księżę poślubił swoją podopieczną, piętnastoletnią dziewczynę. Nie przejąłby się życzeniami zmarłej księżnej, gdybym z własnej woli nie zaoferował się dla uhonorowania jej pamięci rozwieźć złote liście.

– Naprawdę nic o mnie nie wiedziałaś? Niczego nie podejrzewałaś?

– Z początku nie. Potem dowiedziałem się, że jedna z kobiet wymieniona w testamencie twojej matki jest zielarką, i to wywołało pierwsze podejrzenia. Alice zniknęła po śmierci twojej matki; nikt nie wiedział, dokąd się udała. Uznałem, że dostarczenie tych liści jest znakiem, wiadomością przeznaczoną dla mnie. Dlatego wywiązałem się ze swojego obowiązku. Jeden liść przekazałem księżniczce Marii, po czym wróciłem na dwór, aby służyć księciu, obserwować i czekać. Miałem liść dla lady Dudley, jednakże nie wiedzieć czemu nie ufałem jej; wolałem na razie się do niej nie zbliżać. Jeszcze przed śmiercią księcia – ciągnął – odkryłem, że pani Alice mieszka w majątku Dudleyów w Warwickshire. Kiedy udałem się do lady Dudley z prośbą o przyjęcie na służbę, zatrudniła mnie na stanowisku zarządcy ze względu na pełnione przeze mnie funkcje u Suffolków. Alice nie wierzyła własnym oczom, gdy stanąłem w progu kuchni. Ja również osłupiałem. Gdy zobaczyłem cię siedzącego razem z nią, podobnego do matki jak dwie krople wody, niemalże zapragnąłem,

abyś był jedynie wytworem mojej wyobraźni. Przeraziła mnie myśl o życiu czekającym ciebie, syna księżniczki, o którym nikt nie wiedział; potomka królewskiego rodu.

Dalszy ciąg tej historii znałem; doświadczyłem jej na własnej skórze. Ledwie uszedłem z niej życiem. Mimo to musiałem zadać ostatnie pytanie, choć wydawało się zupełnie zbędne, niemal nieistotne.

– Jesteś moim ojcem?

Nie odpowiedział od razu. Wiatr szumiał w gałęziach nad nami, stado ptaków rozsypało się po niebie. Wierzchowce przebierały w miejscu kopytami i nastawiały uszu, nasłuchując odgłosów przyrody budzącej się z zimowego snu. Ubłocony Urian dopadł nas w paru susach i przysiadł, ciężko dysząc.

– Tak – odpowiedział w końcu. – Zapewne jestem. – Potarł brodę, jak gdyby zaniepokoiła go ta myśl. – Nie powinienem był ukrywać przed tobą prawdy. Podejrzewałem, że wróciłeś na dwór już tamtego wieczoru, gdy podsłuchiwałeś rozmowę księżniczki z hrabią, ale nie miałem jeszcze pewności. Potem zjawiłeś się w lupanarze i natychmiast cię poznałem. Jest, pomyślałem. Mam swoją drugą szansę. Wcześniej jednak nie spodziewałem się ujrzeć cię ponownie, a ty sądziłeś, że nie żyję. Bardzo się zmieniłem; nie chciałem robić tego, do czego byłem zmuszony.

– Dlatego mnie śledziłeś – powiedziałem. – Nadal starałeś się mnie chronić.

Zachichotał.

– Marnie mi to wyszło, przyznasz. Widziałem, jak hrabia przekazuje listy posłańcom i odbiera od nich różne pisma; wiedziałem, że wikła się w coś niebezpiecznego, pomagając więzionemu w Tower Robertowi Dudleyowi. Domyśliłem się, iż sprawy, które sprowadziły cię na dwór, wkrótce mogą cię przerosnąć. Przyzwyczajenie jest drugą naturą: chciałem, byś był bezpieczny. – Sięgnął za pazuchę kaftana i wyjął małą paczuszkę owiniętą skrawkiem jedwabiu i owiazaną strzępiącą się wstążką. – Mam coś, co należy do ciebie. – Wsunął mi zawiniątko w dłoń. – Przechowywałem to przez wszystkie te lata.

Zacisnąłem palce na podarunku. Nie musiałem odwijać materiału, by wiedzieć, co skrywa: wysadzany klejnotami liść przeznaczony dla lady Dudley, który jednak nigdy nie trafił do jej rąk.

– Dziękuję – powiedziałem cicho.

Przysunąłem się do niego. Nie drgnął, gdy powoli objąłem go ramionami. Przytuliłem się do niego, choć nie odważyłem się spojrzeć mu w twarz. Słyszałem, że zdławił szloch.

– Ach, chłopcze – mruknął, po czym uniósł rękę, aby pogłaskać mnie po głowie.

Wreszcie odnalazłem swoją przeszłość.

Teraz mogłem spoglądać w przyszłość.

# Posłowie autorskie



Podobnie jak *Sekret Tudorów*, pierwsza część szpiegowskich kronik z czasów Elżbiety I, również niniejsza opowieść jest przede wszystkim wytworem wyobraźni. Choć starałem się pozostać wierny faktom, w celu usprawnienia narracji pozwoliłem sobie miejscami na swobodne potraktowanie materii historycznej. Dotyczy to zwłaszcza skrócenia czasu rozgrywania się pewnych zdarzeń. Na tej samej zasadzie, mimo że przestudiowałem dokładnie każdą postać historyczną, w dużej mierze wyposażyłem je w fikcyjne motywy oraz rysy charakteru, choć zawsze na pierwszy plan wysuwałem udokumentowane cechy ich osobowości.

Książka ta jest oparta na zajęciach prowadzących do kluczowego i często pomijanego wydarzenia w historii dynastii Tudorów: buntu Wyatta. Gdyby powstanie to zakończyło się zwycięstwem, przyszłość Anglii najprawdopodobniej wyglądałaby zupełnie inaczej. Dokładnie zaplanowana, ale ujawniona w ostatnim momencie rewolta upadła. Od wieków historycy spierają się o to, czy Elżbieta wiedziała o spisku przeciwko siostrze, królowej Marii I, i czy była w jakikolwiek



sposób zaangażowana w ową intrygę.

Jak można się spodziewać, zwłaszcza w kwestiach dotyczących Elżbiety, zdania są podzielone. Postanowiłem nakreślić jeden z możliwych scenariuszy. Choć z perspektywy czasu dość śmiało może się wydawać stwierdzenie, że Elżbieta zaryzykowałaby uczestnictwo w tak niebezpiecznym przedsięwzięciu – obok błyskotliwości drugą cechą znamionującą jej panowanie była ostrożność – zapominamy, iż w czasie, gdy rozgrywały się opisywane przeze mnie wydarzenia, istniały duże wątpliwości co do tego, czy w przyszłości zasiądzie ona na tronie. Większość katolików uważała ją za nieślubne dziecko; z pewnością jej własna siostra miała powody, by podważać prawowitość Elżbiety jako potomkini Henryka, gdyż pełna zaciętej wrogości separacja rodziców pozostawiła w Marii ogromny uraz oraz napełniła ją nienawiścią do Anny Boleyn, ostatecznie ściętej za zdradę i cudzołóstwo. Choć nam może się to wydawać niedorzeczne, Maria z pewnością była przekonana o winie Anny.

Dążenie Marii do ślubu z księciem Hiszpanii Filipem okazało się fatalnym w skutkach błędem; niemalże kosztowało ją utratę królestwa i przyczyniło się do jej śmierci. Obejmując tron, cieszyła się powszechnym poparciem; w ciągu dwóch lat z powodu małżeństwa zyskała sobie przydomek „Krwawa Maria”. Pragnąc zadowolić Filipa i oczyścić Anglię z heretyków, nakazała zgładzić setki protestantów. W tamtym mrocznym

okresie Elżbieta stała się światelkiem nadziei i centralną postacią intryg. Co dziwne, to właśnie Filip – człowiek, którego trudno posądzić o tolerancję, zwłaszcza w kwestiach religijnych – wstawiał się u Marii za Elżbietą. Wiadomo również, że gdy Elżbieta zasiadła na tronie, Filip starał się o jej rękę. Tych kilka faktów zainspirowało mnie do stworzenia fikcyjnej postaci Sybilli Darrier.

Edward Courtenay, hrabia Devon, był zamieszany w bunt Wyatta. Nie zdołano ustalić, w jaki sposób zmuszono go do złożenia zeznań, które zapobiegły rozprzestrzenieniu się rewolty. Przyjmuje się jednak, że wyznał wszystko w trakcie przesłuchań prowadzonych przez jego sprzymierzeńca i mentora biskupa Gardinera, który popierał hrabiego jako kandydata na małżonka Marii. Wielu członków królewskiej rady chętniej widziałoby u boku królowej przystojnego, choć prowadzącego sybarycki tryb życia Courtenaya niż księcia Filipa, katolika i cudzoziemca. Niektórzy nawet opowiadali się za jego małżeństwem z Elżbietą.

Courtenay przeżył męki, którym go poddano. W 1555 roku zwolniono go z Tower i wygnano. Choć zatrzymał tytuł i majątek, zabroniono mu powrotu do Anglii i zarówno Maria, jak i Elżbieta nie chciały więcej słyszeć o jego istnieniu. Zmarł we Włoszech w wieku trzydziestu dziewięciu lat jako bezdzietny kawaler.

Simon Renard cieszył się dużymi wpływami u Marii i był zaufanym powiernikiem Karola V. Historycy

zgodnie twierdzą, że był również zagorzałym wrogiem Elżbiety i wielokrotnie przed buntem Wyatta oraz po nim nakłaniał Marię, by nakazała egzekucję siostry. Zmarł w 1573 roku po długiej i wybitnej karierze w służbie Habsburgów.

Stracenie Jane Grey, Guilforda Dudleya, ojca Jane księcia Suffolk oraz około stu buntowników, w tym samego Wyatta, zakończyło tragiczny w skutkach zryw – była to krwawa ofiara złożona cesarzowi i mająca przypieczętować decyzję o zaślubinach Filipa z Marią.

Przygody Brendana jeszcze się nie skończyły...

Jak zwykle jestem niezmiernie wdzięczny mojej rewelacyjnej, pracowitej agentce Jennifer Weltz, której niesłabnący entuzjazm i pomoc ładują mnie energią. Jej współpracownicy z agencji literackiej Jean V. Naggar stanowią równie niezawodne źródło wsparcia i otuchy. Redaktor Charlie Spicer nie tylko pomógł nadać książce ostateczny kształt, ale pozwolił mi dokonać tego samemu, co poczytuję jako oznakę najwyższego zaufania. Zastępca redaktora April Osborn, adiustatorka India Cooper oraz cały zespół literacki wydawnictwa St. Martin's Press wsparli mnie swoim zapalem do pracy i profesjonalizmem. W Wielkiej Brytanii moimi orędownikami niezmiernie pozostają redaktorka Suzie Dooré oraz jej zespół z wydawnictwa Hodder & Stoughton, za co pozostaję im głęboko zobowiązany. Chciałbym również wyrazić szczególne podziękowania mojej przyjaciółce Sarah Johnson, która poświęciła swój

czas, aby przeczytać szkic książki i przekazać mi nieocenione wskazówki.

Mój partner nieustannie dostosowuje się do wymagań, jakie na domowy rytm nakłada życie aktywnego twórczo pisarza: podróżuje razem ze mną, wspiera moją pasję do zgłębiania tematu i opowiada o książce każdej napotkanej na swojej drodze osobie. Pisanie bywa zajęciem uzależniającym i samotniczym, dlatego jestem szczęściarzem, że dzielę życie właśnie z nim. Moim wiernym towarzyszem dnia codziennego była Paris, suczka, która nigdy nie dawała mi zapomnieć o posiłkach i spacerach. Odeszła, zostawiając po sobie ogrom tęsknoty. Upragnioną pociechę przyniosło pojawienie się w naszym domu dwóch kotów, wraz z którymi przybyło miłości i radości.

Niezależne księgarnie są moimi bohaterami; w tych skomplikowanych czasach rewolucji cyfrowej i niezliczonych możliwości dostarczanych przez przemysł rozrywkowy nieustannie propagują słowo pisane, podkreślając jego wagę. W szczególności chcę podziękować księgarniom Bookshop West Portal oraz Orinda Books za sprzedaż moich tytułów, promowanie ich w klubach książki, a także wsparcie udzielane miejscowym pisarzom.

Z tego samego powodu jestem również wdzięczny wszystkim bloggerom, którzy biorą udział w spotkaniach autorskich ze mną, oraz tym, którzy odkrywają moje książki, a następnie poświęcają swój czas i energię, aby

je zrecenzować lub choć o nich wspomnieć. Bloggerzy to niedocenieni partnerzy pisarzy; mimo że większość z nich prowadzi aktywne życie i ma mnóstwo własnych spraw, pozostają bezgranicznie oddani idei szerzenia czytelnictwa.

Kontakt z przyjaciółmi jest źródłem radości i wytchnienia. Zaprzyjaźnieni pisarze są szczególnie pomocni w chwilach zwątpienia i paniki, natomiast przyjaciele spoza branży przypominają, że rozmowy o sprawach niezwiązanych z literaturą są nie do przecenienia. Wszystkim tym, którzy razem ze mną dzielili trudy podróży i trwali przy mnie na dobre i na złe – dziękuję.

Na koniec chciałbym podziękować wam, moi czytelnicy. Wasze e-maile, wiadomości przekazywane poprzez portale społecznościowe, komentarze na stronach poświęconych literaturze i nieustanne wsparcie sprawiają, że nadal piszę. Bez czytelników pisarz jest niemową. Jesteście moim głosem. Mam nadzieję, że będę dostarczał wam rozrywki przez wiele nadchodzących lat.

Jeżeli chcecie się dowiedzieć czegoś więcej o mnie i mojej pracy, a także uczestniczyć w organizowanych online rozmowach na temat książek, zapraszam do odwiedzin: [www.cwgortner.com](http://www.cwgortner.com).

- 1 (hiszp.) Jej Królewska Mość (przyp. tłum.).
- 2 (hiszp.) Mówi, że otruli młodzieńca. Nie dotykaj go (przyp. tłum.).
- 3 (hiszp.) Nie, nie ten! Chłopak! Łap go! (przyp. tłum.).
- 4 (hiszp.) Przeszukaj go (przyp. tłum.).
- 5 (hiszp.) Mam to (przyp. tłum.).
- 6 (hiszp.) Teraz kończymy (przyp. tłum.).